

SMECZ

Z UKOSA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

Z UKOSA

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 476

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0144-4

IMPRIME EN POLOGNE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

En coédition avec
O. W. „POMOST” VARSOVIE 1992

SMECZ

Z UKOSA

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1992

OD AUTORA

Te felietony pisałem przez dwa lata, piszę je nadal, obawiam się więc, że to jakaś forma nałogu, a nałogi rzadko bywają ładne, chociaż czasami są ciekawe. Kiedy przeczytałem swoje teksty stłoczone w korekcie książki poczułem, że właściwie nie zgadzam się z ich tonem, barwą i obsesyjnością powtarzających się tematów, ale że jednocześnie niczego nie mam ochoty zmienić. Pisałem te felietony ze szczerą złością i szczerze mnie one teraz denerwują. Pisałem, co można wyczytać między wierszami, nie mieszkając w Polsce, a jedynie w niej bywając. Nie wiem, czy wypada używać tak kategorycznego tonu, mając przywilej tak dużego dystansu. To nie jedyny grzech autora, są też inne. Nie mam sobie jednak zbyt wiele do wyrzucenia, bo w końcu to są tylko słowa, i aż słowa. A cóż nie jest warte słów, pisanych zgodnie z własnym sumieniem.

Ciemny ton tej książki znajdzie pewnie swoich zwolenników, bo pesymistów u nas nie brakuje, są jednak organizmy wrażliwe, którym tyle goryczy może zaszkodzić. A Nasza Polska? Jej to z pewnością nie zaszkodzi, Ona da sobie radę, chociaż obawiam się, że musimy uzbroić się w cierpliwość.

Druk: Zakład Poligraficzny HABERMAN, 05-150 Łomianki, ul. Jaśminowa 13

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L. PARIS, 1992

MAJ 1990

A więc w końcu jesteście wolni, lub prawie wolni. To „prawie” przybiera różne figury, czasami zanika, a czasami puchnie. Wczoraj, kiedy jak zwykle cierpiałem na bezsenność i gdy jak zawsze punktualnie o świcie rozpoczęły swój przeraźliwy koncert ptaki, zobaczyłem nagle, że mój brak snu jest już prawie wolny, że wolny jest ból głowy a nawet zastępy Służby Bezpieczeństwa przeprawiają się na mój brzeg pod dowództwem Krzysztofa Kozłowskiego, który przypatruje się tej przeprawie z fajką wetkniętą w półuśmiech. Bliscy mu ludzie jednak wiedzą, ile za tym się kryje niepokoju.

Premier Mazowiecki miał przez pół dnia namawiać redaktora *Tygodnika Powszechnego*, zastępcę Turowicza, by z katolickiego intelektualisty stał się policjantem nr 2 RP, z szansą na nr 1.

„Jest to tak obrzydliwe i brudne zajęcie, że powinien tym się zająć dżentelmen” – miał mu powtarzać Premier, jakby odmawiał różaniec. Premier, widzę, jest podobnie jak ja, czytelnikiem angielskich powieści szpiegowskich, a tam wywiadem obowiązkowo zajmują się dżentelmeni – w czym jednak pomagają im wydatnie wyobraźnia pisarzy. Kto pomoże Kozłowskiemu? Czy generał Kiszczak, który jest nadal szefem MSW? Czy własne poczucie humoru, błyskotliwa inteligencja i umiejętność jazdy na nartach? Jak na razie nie jest lekko. Kozłowski, który jest mieszkańcem Krakowa, i zna dobrze tylko tamtejszy Urząd Spraw Wewnętrznych, miał spore kłopoty, by pierwszego dnia

ministrowania trafić do swego gabinetu. Pytał więc znajomych, którym autobusem dojechać. No i dojechał. I od razu wzruszył mnie. Bo zrobił, co ja bym na jego miejscu od razu uczynił. Zażądał własnej teczki. Okazało się jednak, że jej nie ma. Zaginęła. Zażądał więc teczki znajomego. Wyglądała jak grubas podany okrutnej operacji odchudzającej. Były tam tylko dwa nieważne papiery. Przynajmniej wiadomo, czym przez ostatnie miesiące zajmowali się funkcjonariusze. Niszczyli akta. Cóż za okropne zajęcie. Niszczyli lata swojej ciężkiej pracy, tajne pałace informacji, suszyli rzeki i morza donosów. Nie było to łatwe, bo naród niuchał, a jak wyniuchał, że gdzieś się dymi, to od razu zaczynał się rwetes – pała! Nie wiem, jak w końcu resort rozwiązał ten problem – ja oczyma wyobraźni widzę tysiące funkcjonariuszy, jak siedzą i jedzą, zjadają nasze akta, tony papieru, ciężko przeżuwać góry informacji, które pracownicy zbierali przez dziesiątki lat.

A co robią moje kochane baranki, moi kapitanowie, czuli opiekunowie, aniołowie stróżowie moi? Czy pamiętacie, jak z przejęciem gaworzyliście o tajnej liście do wieszania, na którą miałem wciągnąć was i wasze pocziwe rodziny? A potem szliśmy korytarzem, gdzie mijały nas funkcjonariuszki – ta ma za niskie zawieszenie, ta dobra – wymienialiście się uwagami, gdy już po skończonym spektaklu przesłuchania byłem tylko przedmiotem, przy którym można się nawet rozdziać i wydalić. O, wy też siedzicie wśród przeżuwaczy i wcinacie właśnie moje zdjęcia, o których tyle rozprawialiście na przesłuchaniach. Zezreć tyle zdjęć nie jest łatwo. A one mogłyby mi się przecież przydać, w końcu tak niewiele mam pamiątek z tamtego czasu. Właściwie została mi tylko bezsenność.

A Lech Wałęsa śpi dobrze. Chociaż ostatnio nieco gorzej. Budzi się rano, a tu za oknem góra, a na górze fotel prezydenta, ogromny jak krzyż na Giewoncie. Góra też wydaje się stroma, ale Wałęsa bywa w Tatrach i wie, że nawet takie strome góry mają ścieżki, po których wejdzie się choćby w szpilkach. Nie ma powodu, by nie wejść tą łatwą ścieżką, ale na przeszkodzie może stanąć to i owo. Np. warszawskie mądrale. To, że znają słowa, których on nie zna, że wchłonęli tyle książek, to ich tak nadyma. A on, który nie przeczytał żadnej książki, sam napisał o sobie książkę, *best-seller*. Niedawno otrzymał w Gdańsku doktorat *honoris causa*, to wstyd, że dopiero teraz. Kiedy był w Ameryce, zaproponowano mu ponad 60 doktoratów, ale nie miał czasu na głupstwa.

Wcale bym nie zmienił mojej bezsenności na wałęsowskie przebudzenia. Widzieć co rano taką górę z fotelem, koszmar. Kiedy wręczano mu ten doktorat, przypominał otylego borsuka, odzianego we fioletowe futro. Nabytym kilka lat temu nawykiem poruszał zuchwami i wąsem, jakby zjadał własne zadowolenie. Zjadać tak nieustannie własne zadowolenie to straszny ciężar dla żołądka. Wszystko byłoby półbiedy, które utonęłoby w naszej całej biedzie. Problem, że wielki Lech jest ogromnie mały przy swoich kompleksach, lękach, niepewnościach, zrodzonych bardziej z uwierania niż ze świadomości własnych braków. Na tyle jest mądry (a bywa mądry, jak tego nie przyznać), by czuć te braki, chociaż zostały upchnięte kopniakami pod stołem. Ciągłe jednak coś wystaje.

Prezydent z takimi uprawnieniami, jakie mu daje nasza konstytucja, obarczony takim garbem kompleksów, na dodatek w kraju, który musi przepłynąć morze problemów...

– Jeśli on zostanie Prezydentem, to trzeba będzie emigrować – mówi stary pisarz.

– Kiedy zostanie ktoś inny, a On będzie cierpiał, że nie On, to też trzeba będzie emigrować – zauważa żona pisarza.

– Jeżeli On... to ja popełniam akt samospalenia na murach Warszawy – oświadcza poseł X.

Zastanawiam się, jaka byłaby pochodnia z posła X. Dochodzę do wniosku, że efektowna. A nie każdy się łatwo zapala, o nie. Dołącza się do nas szeptem znany prawnik.

– Kiedy tak idiotycznie konstruowano okrągły stół i ustalano prerogatywy dla Prezydenta, ja wiedziałem, że to się źle skończy i będzie nieszczęście na pół wieku dla Polski.

– To co robić? – odszeptuje poseł.

– Trzeba będzie jeść wspólnie tę żabę – szeptce prawnik i zerka czy ktoś nie podsłuchuje.

– Ja nie jem. Ja się pałę – mruczy poseł.

– Jest nadzieja, że Tadeusz się zgodzi, tylko w Tadeuszu nadzieja, że się z Premiera na Prezydenta przesiądzie – wtrąca się literat.

– Tadeusz nigdy nie zajmie fotela Lechowi – szeptce poseł. I póki co zapala papierosa.

– Jedyne wyjście to restaurować monarchię, ma wiele córek, mogą być korzystne koligacje – proponuje prawnik.

– Nie będzie wtedy można grać sztuki „Z chłopca pan” – zauważa żona literata.

Takie oto rozmowy przeplatają się z papierosowym dym-

kiem w warszawskich salonach, a wszystko na brzegu wiosny, która po ciepłej bezśnieżnej zimie zakwitła chorobliwie wcześniej i coś jest ogromnie niepokojącego w tym wczesnym pokwitaniu i wroście, gdy nasza gospodarka poddana 50 % recesji już nawet nie jęczy.

Zwolnienie tempa życia. Ludzie mniej jeżdżą, mniej chodzą, mniej jedzą, nawet mniej wódki piją. Książek i pism już w ogóle nie czytają. Za to nader energicznie poszukują nosicieli wirusa HIV. Jak ktoś takiego wirusa nosi, to choćby siedział w willi ogrodzonej wysokim kolczastym drutem, mieszkańcy się zbiorą i wykurzą. Kraj, który jest dumny, że nie palono tu czarownic, gdy postępową Europą ogrzewała stosami swoje salony, zaczyna dzisiaj budować stos dla chorych na AIDS. Jako że zawsze miałem skłonności apokaliptyczne, pocieszam się, że podpalając go, podpalimy nie tylko stodołę, ale całą naszą zapyziałą wieś. A wydaje się, że budować będzie łatwiej od nowa na spopielalej pustyni, niż w tak rozlazłym bagnie.

Nastał czas pretensji. Gdy ciało jest osłabione przez tyle lat niewoli, wolność bywa jak trąd. Pretensje to jeden z objawów. Wszyscy do wszystkich o wszystko. A tak naprawdę to ludzie mają pretensje do siebie samych, że jest nie tak, jak by się chciało, bo oto mamy wolność, a jest kiepsko. Szukanie winnego albo wroga. Zawzięte myszkowanie, chociaż odciażając biedne myszy użyłbym raczej pojęcia – szczurowanie.

Ofiarą szczurowania po obu stronach padają najzaciejsi ludzie. Albo są szczurowani, albo sami szczurują. Z publicznych najbardziej ostatnio szczuruje się na Geremka, Drawicza, Paszyńskiego, Cywińską, Kuronia. No i patrzcie ludzie, czy można by wybrać zaciejszą piątkę. Jaruzelski, Kiszczak nie są w ogóle szczurowani, gdyż traktuje się ich jako niedogryzione zabytki, które mogą się jeszcze przydać, bo kiedy nie będzie już co gryźć, oni jak ta mięsista kość *ancien régime'u* zawsze pod zębem.

Szczurowanie jest zaraźliwe i ja sam, pozornie odporny na szczurowanie, ja który mógłbym w tej chwili wyliczyć tysiące zalet wymienionej zaciejszej piątki, też się łapię na tym zajęciu. Bronisław Geremek, moja wczorajsza miłość, doprowadza mnie do pasji. Jego już się nie słucha, z nim się współplacze.

Andrzej Drawicz, jak się mawia apostoł miłosierdzia dla telewizyjnej nomenklatury, zdaje się być bezlitosny dla posiadających inne zdanie niż on. A oślepia wszystkich cyklopowym błyskiem swego czoła. Gdybym nie wiedział, ile dobroci i ciepła

było zawsze w tym człowieku, bałbym się nawet nań spojrzeć. Wszystko to można by zaliczyć do półbiedy, ale sama instytucja telewizji zdaje się przypominać miejsce opuszczone przez ludzi, którzy mają ochotę na cokolwiek. Telewizja, usta naszego dramatu, od jej słów zależy wiele. I oto dzisiaj ona pod rządami mądrego, odważnego i pięknie mówiącego Drawicza... bełkoce.

Aleksander Paszyński już dawno zyskał opinię geniusza biznesu, supergłowy, czego dowiódł osobistymi sukcesami. Kiedy został ministrem budownictwa, było rzeczą oczywistą, że 40-letnie kolejki do mieszkań zostaną wchłonięte przez mnożące się bloki, jakby mrówkojad gigant wysał mrowisko. I oto nagle okazało się, że Paszyński rozłożył nasze budownictwo na amen i nawet mówi się, że ma zostać odwołany.

Artyści drą szaty, że minister Izabela Cywińska wykańcza kulturę. To znaczy, że pozwala wykańczać rynkowemu walcowi. Nawet najsubtelniejsi mówiąc o tej przezacnej niewieście i wybornej reżyserce teatralnej, używają słów, jakich nawet taki cham jak ja nie powtórzy publicznie. Najbardziej skaleczeni wydają się malarze – pisarze są przyzwyczajeni, by pisać do szuflady. A oto malarze dowiedzieli się, że za pracownię będą płacić jak rzemieślnicy za lokal. Taka cena nie zarżnie tylko niepijącego malarza pokojowego, artystę plastyka zarżnie. Szykuje się więc marsz malarzy na Sejm. Ciekawe, na jaki kolor pomalują białą jak niemowlęce pieluszki świątynię naszej raczkującej demokracji.

No a w ogóle to artyści mają generalną pretensję – że państwo im nie daje. Od narodzin przodującego ustroju dawało, to się przyzwyczaili. Można nienawidzić ojca, co leje pasem i wsadza do ciemnicy za każde niegrzeczne słowo, ale wikt i opierunek, jakie tatuś dawał – do tego kulturalny człowiek przywyka. No i przyzwyczaili się wszyscy na amen. A teraz płacz i zgrzytanie zębów.

Powinno być na koniec o Jacku Kuroni. Ale on, który co wtorek obnaża na telewizyjnym ekranie wielką czułą pierś i matkuje naszej biedzie, ma chyba jednak więcej przyjaciół niż wrogów. Dajmy więc spokój temu najzaciejszemu z zacnych. Faktem jest jednak, że i moja sympatia do niego topnieje jak góra lodowa, która niesiona okrutnym prądem oceanicznym wpłynęła na gorące wody morza wiecznych swarów.

Oj, gdzie nam do normalnego luksusu stanu wojennego. Do ówczesnych porywów serca, do słodkiego śpiewu skrzydeł naszej husarii atakującej czołgi wroga.

Teraz zamiast tego prywatne śledztwo przy kieliszku wódki:
– Czy Michnik przeszedł na ty z Kiszczakiem, czy jeszcze nie przeszedł.

– Czy prawdą jest, że naszemu ministrowi X zaproponowano od ręki czteropokojowe mieszkanie na Starówce, a on odmówił, bo szlachetny, ale inni już nie mają takich skrupułów.

A przecież ten czas jest piękny, wyjątkowy czas. Rozkoszny sen obrósł w ciało. Rozsypało się Imperium jakby dziecko rozwarło piąstkę, w której dzierżyło plik zapalek. Niektóre zapalki mają już zwęglone główki, inne mogą jeszcze zapłonąć. A wszystko może w końcu wybuchnąć od ognia tej największej zapalki. Kiedyś marzyłem o wielkiej, kolorowej katastrofie. Teraz już wiem, że to nudne.

W naszej telewizji pokazano, jak grupa Rumunów z niezwykłym zapalem próbuje rozbić drągami głowę leżącego Węgra. Leżący jest otyły, podtatusiały i zupełnie nie rozumiem, czemu mu nie dają spokoju, skoro już leży i nie rusza się. To jest przypis do naszej wolności, na szczęście jeszcze pisany *petitem*. Ale, ale... zaraz ukazało się ostre *dementi* rumuńskiej strony, że to Węgrzy rozbijali Rumunowi. I już przerzuciłem swoją żywą niechęć na Węgrów, gdy nagle sprostowali Węgrzy, że to właśnie jednak Rumuni. Pogodziłem się więc z faktem, że nie wiadomo kto komu, bo każdy każdemu w tej części świata może, albo móc będzie. A największe „atrakcje” szykują się w ZSRR. Kiedy byłem tam niedawno, szło ze mną pod ramię przekonanie, że tylko pomoc Pana Boga uchronić może ten rejon od gigantycznej zawieruchy, gdzie się wszyscy zjadać będą wzajemnie, a w ukraińskim barszczu zakołyszą się gruzińskie uszy.

A póki co w naszej telewizji to tydzień miliony Polaków leczą się, oglądając niejakiego Kaszpirowskiego, telewizyjnego psychoterapeutę (kopia zakupiona od sowieckiej TV). Najpierw obywatele ZSRR (co za gęby) opowiadają, jak ich cudotwórca uleczył, a potem ten liczy do dwudziestu – można słuchać lub nie. Prawie wszyscy znajomi wpatrują się w mistrza. My też, bo a nuż pomoże, nawet nasz kot kastrat patrzy – kto wie czy nie ma najważniejszej sprawy do załatwienia. Tak oto ZSRR eksportuje dzisiaj w świat nie Lenina, a Kaszpirowskiego.

A co w polityce? Nic u nas nie buzuje, ale sporo cieknie. Oto strumyczki nowej naszej nomenklatury w postaci np. ambadorów ściekają do wielkiego zbiornika starej nomenklatury.

Onyszkiewicz i Komorowski jak dwie krople święconej wody spadają na pancerną skorupę naszej armii. Kto kogo przerobi?

Sporą sensacją jest przyjazd Zdzisława Najdera. Oto wczorajszy skazaniec, już prawie wiszący na szubienicy PRLowskiej sprawiedliwości, dzisiaj zawisł na spadochronie na wysokim szczeblu politycznej drabiny. Ubrany w strój komandosa i pchnięty dłonią Wałęsy uczynił desant na Komitet Obywatelski. Ten Komitet jest przy ciele Lecha, więc niby miał prawo, ale jakoś to okropnie brzmi, że Wujec, pełniący funkcję szefa, dowiedział się o wszystkim z gazet. Tak oto Lech szykuje sobie bazę dla przyszłej Prezydentury. Uznał on, że w ramach przygotowań warto by publicznie dać kilka klapsów Premierowi. Stało się to na zebraniu Komitetu Obywatelskiego. Na koniec dostał mniej oklasków niż Premier i wpadł w gniew wielki. Nazajutrz jednak, kiedy obejrzał w telewizji skrót spotkania, gniew zmienił mu się w panikę, że źle wypadł, i ruszył sprostować. To co prostuje Lech, należałoby nazwać raczej wikłaniem. W kilka dni potem wystąpił w telewizji, gdzie ludzie z ulicy zadawali mu pytania. Nieźle było tylko, gdy boksował się na słowa z cwaniaczkami z ulicy, mrużył oczka i cudowne ludowe przekomarzanki z tego wynikały. Ale w ogóle to nasza ludowa Pytia lawinowo traci popularność, a jeżeli ją utrzyma, to raczej w rejonach, gdzie się niewiele myśli. Powstaje więc polityczna trąba powietrzna, aż serce rośnie na myśl o tym, jak ta trąba będzie się przemieszczać po Rzeczypospolitej Polskiej.

Bo jak na razie to nasze życie polityczne niechętnie się odradza. Nie ma dlań pola, mimo że jest prawie wolność. Opozycja (nie mylić z wczorajszą opozycją, a dzisiaj przy władzy) zamknięta w rezerwacie. Mogą sobie gadać a nawet podskakiwać, i tak wiadomo, że prymitywni albo wariaci. Jak chronić ten naród przed jego własnym obrzydliwym charakterem? Oto cel, ku któremu idzie tak wielki wysiłek rządu, aż mu żyły występują na czoło i żyły występują warszawskim politykom. Jak Polaków chronić przed Polakami. Bo przecież wiadomo, że „dla Polaków można zrobić wszystko, z Polakami nie”. Coś w tym jest, coś jest, myślę sobie, ale w życiu społecznym, jak w przyrodzie, nic nie ginie, co się odwlecze to nie uciecze, zaś co się odwlecze, to wróci ze zwielokrotnioną siłą. Dajcie więc Polakom się obnażyć, pokażać wszystkie narodowe narządy, niech niewiasty mdleją, a młodzież się gorszy, to minie jak pornograficzny film. A gdy zamknie się te słabości na kłódkę w kufrze z napisem demokracja, to wtedy mogą się wykluc prawdziwe demony.

No i stało się. Wałęsa oświadczył publicznie, że włązi na fotel prezydencki. Jako że póki co siedzi tam generał, najwyraźniej włązi mu na kolana. Gdyby tak zostało, cóż za niezwykła byłaby z obu panów hybryda. A co z posłem, który miał spalić się na murach Warszawy? Na wszelki wypadek unikam Starówki. Pewnie dlatego nagle ujrzałem śródmieście Warszawy i oniemiałem, bo nie wiedzieć kiedy centrum mojego miasta skalkuciało. Wilgotny od potu tłum przeciska się wśród niezliczonych straganów pełnych przekupniów. Na wzgórzach śmieci i opakowań siedzą chorzy na AIDS i żebrzą. Na jednej ze ścian widzę plakaty, gdzie nowa partia, o nazwie „atomowa”, jako swój program polityczny wysuwa żądanie, by Polska posiadała broń jądrową. „Polska atomowa przedmurzem chrześcijaństwa” – głosi hasło. Są również argumenty: „Niemcy się jednoczą, a pacyfiści chcą nas rozbroić”. Na tych „pacyfistach” ktoś dopisał „Zydy”. I nagle mi się pomyślało: Lech na Prezydenta, cóż za genialny pomysł, tylko ON nas ocali przed populistycznym wybuchem. On z ludu, lud czujący. Będzie dobrotliwym dyktatorem, jak dobry pasterz podstrzygający tak demokratyczną jak i autorytarną wełnę. I ta myśl, wbrew myśłom poprzednim, trzymała się mej głowy przez cały dzień, aż do wieczornych wiadomości. Tam pokazali naszego przyszłego prezydenta, jak gaworzył z robotnikami w fabryce. „Zaraz się przekonamy jak jest – rzekł Lech. – Kto jest za tym, żebym został prezydentem, niech podniesie rękę”. Podniosły się ręce. – „Kto jest przeciw?” – podniosły się tylko trzy ręce. – „A widzieć” – triumfował Wałęsa. I pomyślałem: O Jezu, ja bym tak chciał, ale nie potrafię Go chcieć.

A teraz coś z naszej politycznej biologii. Dawna nomenklatura wyhodowała dwa gatunki aparatczyka. Typ stary, wywodzący się z czasów stalinowskich, który do dziś przeszedł niewielką tylko ewolucję. Przysadzisty osobnik, oblicze kartoflane, cera alkoholiczna, nadwaga.

Ciepły klimat, lat 70-tych, otwarcie na Zachód, szelest dolara zrodziły drugi gatunek, nazwijmy go „partyjny cwaniaczek”. Dobrze ubrany, czasami nawet posiada języki, giętki, jakby zamiast kręgosłupa miał cynowy drut.

Nowa nomenklatura pracuje nad nową rasą. Nazwijmy ją „logiczny czystoszek”. Wychowanie na ogół prawnicze lub ekonomiczne, sylwetka smukła, twarz pociągła, raczej bez wyrazu, obowiązkowe okulary. I co bardzo charakterystyczne – nieustanne bieganie, by umyć ręce. Zamilowanie do matematyki i prawa, logiczne myślenie. Ta logika niestety nijak się ma do

stanu rzeczy, bo nasz stan rzeczy jest nielogiczny, to szambo. I te czyste ręce, nad którymi czuwa głowa, by się nie zabrudziły. Ci ludzie zajęci swoimi teoriami nie zauważają nawet bagna na dole, a stara nomenklatura im nie przczskadza, bo to właśnie na jej barkach nowi siedzą, a nawet chodzą, by się nie unurzać.

Są też nowe podgatunki, np. typ długowłosa (kiedyś przelotny romans z hippizmem). Duża umiejętność przystosowania się. Ma więc szansę, by poprzez przyspieszoną ewolucję, obcięcie włosów, okulary, dobre mydło, dołączyć do gatunku „logiczny czystoszek”, jak również do każdego innego gatunku. Może nawet zostać sobą, będąc zarazem kimś innym. Typ długowłosy-hippisowski nie posiada bowiem, wbrew pozorom, wyraźnego ukształtowanego charakteru, a dziwactwa zewnętrzne mają ukrytą wewnętrzną niewyraźność.

W korytarzach ministerstwa poznaje się te wyhodowane przez władzę stare i nowe gatunki od pierwszego rzutu okiem. „Oni się teraz łączą w jedno – mówi mój znajomy – stara nomenklatura z nową, jakby ktoś do kawy dołał śmietanki i począł mieszać srebrną łyżeczką”.

Sensacja. Prasa donosi, że ocalało jednak wiele ubeckich tezczeń, że nie zdążyli tego spalić i przeżuć, szczególnie na Śląsku słabo się starali, mają pewnie zęby rozchwiane przez *pollution*. Zaczął się w tym wszystkim grzebać minister Kozłowski, równie intensywnie mu tego zazdroszczę, co współczuję, i potem oświadczył: „Są dowody w kartotekach, że istnieje grupa ludzi – nie chcę określać jej wielkości – która została przez resort zlamana”. Dalej Kozłowski mówi, i tu go serdecznie ściskam za mądrą uczciwość, że tych nazwisk nie wolno ujawniać, by nie rzucać tych ludzi po raz drugi na dno. Na koniec stwierdza, że ci, co mają nieczyste sumienie, a są na stanowiskach, niech się po cichu wycofają. O wiele mniej mi się podoba, że do warszawskich katakumb ubeckich zeszli dzierżąc w dłoniach naukowe świeceki profesor Jerzy Holzer i magister Adam Michnik. Siedzą tam w dzień i w nocy i szperają. Holzer pół biedy, świetny historyk przede wszystkim, i ma w sobie coś z miłego księdza, ale Pan Adam... słynny ze swej „dyskrecji”, uwikłany w polityczne harce, co on tam na Boga wyczyta, aż mi ciarki po plecach łążą i próbuję sobie w panice przypomnieć całe swoje życie.

Nasza wolność – należy ją pić duszkiem, zatykając nos i starając się nie czuć smaku. „Teraz dopiero jest okropnie, teraz jest nie do zniesienia” – mówią ludzie odmieniając te zdania na

różne sposoby. Z Zielonej Góry, z Grudziądza, ze Szczecina i z wiosek, których nazw nikt nie spamięta, zjechali do stolicy na święta Wielkanocne ludzie, do tych, do tamtych sąsiadów, i przywieźli wieści, że Polska jest rozkradana, że kwitnie rozbój, a załatwić cokolwiek w urzędzie trudniej niż kiedykolwiek. I że już wszyscy mają wszystkiego dosyć.

Niczego tak jeszcze nie chwalono, no może niegdyś sukcesy gospodarcze przodującego ustroju oraz jego inne uroki, jak dzisiaj się chwali nasze społeczeństwo. Za cóż to? Za cierpliwość, że jest ciężko, a ono nie wybiega na ulicę, by gwałcić ład społeczny. W szumie tych pochwał nikt nie usłyszał, że ono już straciło cierpliwość. Nie wie tylko, czym i w co uderzyć.

Gdy co najmniej trzech moich znajomych mówi niemal to samo od siebie niezależnie, siadam, by zapisać jeden z tych głosów. „W tym kraju wszystko się rwie, niczego nie daje się skończyć, więc każda praca wydaje się bez sensu. Kiedy szukam czegoś w encyklopediach i słownikach, wiem, że jeśli hasło zaczyna się na dalszą literę alfabetu, jest mała szansa, że twórcy książki zdążyli je zawrzeć”.

I ja to czuję z pełną mocą, że nowy czas, który jest dopiero na pierwszych literach, nie wejdzie daleko po schodach alfabetu.

Kultura nr 513, czerwiec 1990

SIERPIEŃ 1990

Okęcie, słowo splątane w sobie jak korzeń. Okęcie gdzie było tyle powitań i pożegnań, że zbito się po latach w jedną sfilcowaną całość o kształcie zużytego kaptura. Okęcie pełne policyjnych służ, przerażających kontroli, odlanych z asfaltu pysków wopistów. I ta granica, która obnażała kły gdy się do niej zbliżyć. To tam kurczyły się nasze serca jak serca zajęcy. Nawet Polacy żyjący na Zachodzie cierpią na ten skurcz, gdy przekraczają już prawie nie istniejące granice, i zwykle dopiero po 10 latach życia w wolnym świecie ów objaw znika. I te bardzo szczególne odloty emigracyjne bliskich ludzi w stanie wojennym, podmuch odrzutowych silników niosący zapach benzyny, który wydawał się wiechem niedostępnej nam wolności.

Dzisiaj Okęcie zmarniało, a lęk graniczny skapcianał. Bo sama granica stała się już tylko granicą między naszą niemożnością, naszym śmietnikiem, a tamtym światem. Został tylko ten dawny skurcz serca. Czy nasze serca będą miały swoje 10 lat na kurację leczniczą?

Szukam celników, ale ich nie widzę, krzątają się tylko młode dziewczęta chyba na praktyce celnej. Wydają się zagubione w tym wielopiętrowym bałaganie. Pytają czy ja do kontroli – mówię, że mnie nie wolno kontrolować – trochę się dziwią, ale nie za bardzo, uśmiechają się bezradnie.

Dzisiaj Okęcie to przede wszystkim nieopisany tłok, jakby ten tłum pchał się na Arkę Noego. Jeżeli to ucieczka przed

potopem, to przed potopem wolności, którego wody niosą nie wiadomo co. Chwytam wzrokiem głowę mecenasa De Virion, która góruje nad tłumem, on też jakby spłoszony ucieka do Londynu by objąć tam polską ambasadę. Uciekamy więc od zalewu wolności na wiele sposobów, nawet na dyplomatyczne placówki. Uciekamy od Polski, która jest wolna, ale której nie potrafimy udźwignąć. Ale problem nie w ciężarze, a w braku uchwytu. Rozbijani młotem dwóch stuleci, duszeni niemal 50 lat przez sowiecki system – żeby dłońmi, siedzieli nam tyłkiem na twarzy – utraciliśmy swój kształt. I sami już nie wiemy, czy my dumna szlachta, czy mali żydowscy handlarze przeganiani ze straganów Europy. A nasz patriotyzm, nasze narodowe symbole, słynne zalety, gdzie one?

Poruszałem się ostatnio po Polsce z coraz większym trudem, jakby coś mi krępowało ruchy. I popadać zacząłem w stan, który pewien pisarz określił „całkowitą niemożnością”. Bo oto stoi przed spragnionymi ustami szklanka pełna źródlanej wody z napisem Europa, sięgamy po nią dłońią, a ta dłoń nie ma palców, to kikut. Nigdy więc jeszcze Europa nie była tak blisko i tak daleko. Niemożność na wszystkich szczeblach naszej dzisiejszej drabiny, czy tam w ogóle są jakieś szczeble?

Nie potrafimy nawet zagospodarować pieniędzy, które od czasu do czasu rzuca nam Zachód, problem w tym, że po złych doświadczeniach nie rzuca jak kiedyś głodnemu psu ochłap. Pies zżerał wszystko raz dwa i wszystko się marnowało. Teraz Zachód żąda dokładnego planu na co te pieniądze przeznaczymy. I tu zaczynają się kłopoty.

Do Polski nadal przybywają liczni biznesmeni licząc na robienie interesów. Wyjeżdżają dziwnie spłoszeni i zakłopotani. M. jest biznesmenem polskiego pochodzenia, nie przybywa więc do Polski jak na obcą planetę, pełną zdumiewających zjawisk. Opowiada, że jeszcze nigdy nie było tak ciężko cokolwiek załatwić. Ludzie pogubili się w zmieniających się przepisach, często pogubili się specjalnie. Urzędnicy czekają na egzekucję, a chronią się przed nią w gąszczu paragrafów. I tylko ten sam co zawsze głodny wyraz ich twarzy, gdy mówią – sprawa jest nie do załatwienia. Ale wprawne oko dostrzeże w tych słowach szczelinę, w której przebiera palcami trzecia ręka, ta od łapówek, ów socjalistyczny czarci narząd.

Wczoraj rozmowa z S. Wrócił dopiero co z Polski, bardzo przybity mówi, że jechał z transportem po raz ostatni. Ma dosyć. S. od lat woził do Polski urządzenia medyczne, które sam kupo-

wał. Teraz stał na granicy dwa dni, w grubym samochodowym ogniu. Drugiego dnia ten ogon począł nagle wydzielać z siebie zapach gnilny, to psuły się owoce cytrusowe wiezione przez tysiące handlarzy.

Odplynał majowo-czerwcowy strajk kolejarzy. Od podobnego strajku kolejarzy zaczął się cykl zdarzeń, który zrodził „Solidarność”. Teraz ci sami kolejarze starsi o lat 10 zaciskają na szyi solidarnościowego rządu śmiertelną pętlę. Pamiętam tamte wakacje roku 80 w Ustce i ów szmer, to potrącony kamień uruchomił lawinę. I pamiętam, że poczułem jak po plecach przeszedł mi metafizyczny dreszcz. Tak brakuje mi dzisiaj tych dreszczy, dzisiaj gdy stało się niemożliwe i rozpada się Imperium. Teraz tylko prasa informuje, że „w ostatnich dniach w społeczeństwie niebezpiecznie zaostrzają się wystąpienia i nastroje antykolejarskie”. Kolejarze odpowiadają strajkiem głodowym. Głodówki u nas mają niezwykle obfite pożywienie w postaci poczucia odrzucenia. Bo kto w Polsce nie czuje się odrzucony. Cały ten kraj jest dzieckiem nie kochanym przez historię. I jak u dzieci, odmowa jedzenia staje się nie tylko próbą zwrócenia na siebie uwagi zimnych rodziców, to wołanie o miłość. Ale głodówka jako forma protestu wydaje się w Polsce już zupełnie zużyta. Na pociechę trzeba rzec, że jeszcze gorzej by to wyglądało w Etiopii. Ale nie zraża to nikogo – głoduje młodzież przeciwko elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Przed gmachem Sejmu głoduje robotnik, by uświadomić społeczeństwu, że już dłużej nie potrafi żyć wraz z żoną i czworgiem dzieci w mieszkaniu o powierzchni 15 m kw. Głodują w sprawie niepodległości Litwy, głodują niewidomi, więźniowie, jak również studenci w Olsztynie, bo ich uczelnia nie mogła przejąć budynku po PZPR, i znowu młodzież tym razem w Legnicy, by wyrzucić oddziały sowieckie z ich miasta. Gdy Lech Wałęsa osobiście przekonał głodujących kolejarzy by zaczęli spożywać, to jeden nieprzejednany kolejarz postanowił na szpitalnym łóżu popełnić samobójstwo.

Spirala głodówek to rzecz nie do śmiechu, bo ludzie się dręczą, to znak ich bezgranicznej bezradności i świadectwo, że demokratyczne kanały są dopiero w budowie, jeżeli nie w planach.

Odplnęły również te nieszczęsne wybory samorządowe, nieco powyżej 40 % frekwencji wyborczej. To jakby Polska miała wysoką gorączkę, ale ze znakiem ujemnym, bo apatia kojarzy się

z mrozem. Prasa już wolna, jakże niechętnie patrzy w oczy, stara się patrzeć w policzki.

Znowu wiadomość w gazecie, która jak niespodziewany podmuch wiatru unosi spódniczkę wspomnienia, i chociaż nie chcę tam patrzeć, ale nie mogę się powstrzymać. Oto „w Bydgoszczy radni popierani przez Jana Rulewskiego sprzymierzili się z radnymi z SDRP przeciw radnym z Komitetu Obywatelskiego rady miejskiej (pod przew. Antoniego Tokarczuka) i na przewodniczącego rady miejskiej wybrali byłego I sekretarza Komitetu PZPR”.

W heroicznym czasie Rulewski był przewodniczącym bydgoskiej „Solidarności”, słynny z nicugiętego ale mało inteligentnego antykomunizmu. Antek Tokarczuk był jego zastępcą. Bohaterowie słynnej bydgoskiej afery, marzec 81, gdy podczas obrad radnych z udziałem szefów „Solidarności” wkroczyło ZOMO. Pobito m.in. Rulewskiego. Zdjęcia zmaltretowanych obiegły kraj, zdjęcie Rulewskiego bez zębów. Fabryki w całym kraju zmieniły się w twierdze i szykowaliśmy się na śmierć. Zaciśnięliśmy pięść, której nie pozwolono spaść. To wtedy uszła z nas para, i opór w grudniu był mniejszy niż należało się spodziewać. Siedząc potem w jednej ciupie z Antkiem, nastawiałem ucha, do którego szeptał mi jak ta sprawa interwencji ZOMO i pobicia naprawdę wyglądała. Było nieco inaczej niż przedstawiała nasza strona, Rulewski wyjął sobie sztuczną szczękę, no, ale dajmy spokój, co to teraz kogo obchodzi. Ja tylko sobie wtedy uświadomiłem, że naszą stroną też stać na małe matactwa. I to naiwne zdziwienie, że wydarzenia historyczne mają z reguły zupełnie inną podszewkę niż to się później wydaje historykom. Wracając do Rulewskiego i Tokarczuka. Teraz ci dwaj dzielni towarzysze broni też stali się śmiertelnymi wrogami (syn trzeciej ofiary, pobitego chyba naprawdę Michała Bartoszcze, dowodzi dzisiaj chłopami, którzy zaczynają oblegać nasze miasta). Trzecim w naszej celi był Seweryn Jaworski, bardzo miły i pożyteczny, wstawał o 6 rano, mył głowę i przyrządzał śniadanie. Seweryn teraz walczy w „Solidarności 80”, a więc niemal wszystkich ma za zdrajców, i mnie, i Tokarczuka, i Mazowieckiego.

Jak wytłumaczyć, że w Polsce nastąpiło pospolite ruszenie wszystkich przeciwko wszystkim, jakby wolność zerwała tamy solidarności, przyzwoitości, zdrowego rozsądku. Bez psychologii tego nie rozbierzesz. Przeszedł po nas komunistyczny walec i nie tylko trzeba od nowa budować z miazgi, ale również dawać imiona i samookreślać się. Najłatwiej to czynić poprzez konflikt. Je-

żeli ten konflikt nie rozkruszy naszej ruiny, to zacznie się kiedyś proces scalania. Na bliźnach wyrosną pierwsze źdźbła trawy, a może nawet – tu zdobywam się na bolesny optymizm – kwiaty.

A póki co ludzie proszą, a również ludzie uczeni twierdzą, że już we wrześnie społeczeństwo nie wytrzyma. Pytam, jaką formę przybierze to niewytrzymanie, przeciwko komu obróci się gniew? I tu nie otrzymuję żadnej sensownej odpowiedzi, co stanowi pewną nadzieję, że tak się nie stanie.

Straciłem nie wiem kiedy umiejętność uciekania w przeszłość. We wspomnienia i w wyobraźnię, jakby mijające lata podobne do pędzących pośpiesznych pociągów, swoimi gorącymi podmuchami wysuszyły wszystkie źródła. A jednak przeszłość wydaje mi się lepsza od dzisiaj i jutra. „Wspomnienie jest wolne od niebezpieczeństwa, może dlatego przeszłość wydaje się znośniejsza”, napisał w swoich dziennikach Mieczysław Jastrun. Samemu też mi się zdarzało pisać dziennik, ale wracając do niego po latach, odkryłem, że taki zapis nie ratuje dla mnie osobście niczego istotnego z przeszłości. Wszystko co naprawdę ważne jest w pamięci lub gnije w nieświadomości. Dziennik po latach prawie nie pobudza pamięci, już bardziej zapach bijący z kuchni, czy dotyk czyjejs dłoni. Dlatego autorzy po latach czytają swoje dzienniki jak zapiski kogoś obcego.

Wojskowi, których spotykam, pułkownicy, kapitanowie, nie inaczej milicjanci w niskich i wysokich szarżach, jak niemowleta, które rozneglizowano z pancernych pieluszek. Ci ludzie są teraz nadzy, zółwie pozbawione ideologicznej skorupy. W Polsce przegrał nie tylko komunizm, ale również stan wojenny, i przegrało prawo pięści. Ofiary nowej sytuacji pokazują dzisiaj swoje miękkie bezradne brzuchy. Garną się do wszystkiego co nowe i gdzie im się zdaje, że jest choćby trochę siły, lub przynajmniej składane są sprawnie słowa i potrafi się na myśli zawiązać krawat. Ci ludzie na ogół posiadają osobowości autorytarne, potrzebna im więc jest czyjaś siła, organizacja, cel, jak rybom niezbędna jest woda. Mogą stać się w przyszłości klientelą jakiegoś demagoga, ale jaki demagog przełamie bierność i sceptycyzm naszego społeczeństwa, również wobec demagogii.

Stara nomenklatura, cała nastroszona wysiłkiem by stać się nowym ciałem pełnym uczuć demokratycznych. Ten demokratyczny wysiłek powoduje, że ich oblicza cierpią na nieustanne wzdęcie. Niewiele tam twarzy, na ogół pyski, tak działała selekcja negatywna. I na tych pyskach do demokratycznego wzdęcia wle-

wa się lęk niepewności – zetną, czy nie? Cóż za bogactwo na jednym karku.

Nietrudno dowiedzieć się co mówili jeszcze dwa lata temu. Ich sprzątaczkę, kierowcy, mali urzędnicy, oni pamiętają. Ten cały podrzędny personel, gdyby mógł, wydrapałby im oczy, za to, że pod ich pańską ręką kurwił się. A więc jeszcze dwa lata temu słuszną była tylko linia PZPR, a Wałęsa i spółka powinni wisieć. Teraz gdy słyszą Wałęsę, stają na baczność, gdy słyszą Mazowiecki, Kuroń, Bujak, stają na baczność. Nie pamiętają jak opijali złapanie Bujaka. Udają, że nie widzą konfliktu Wałęsy z Mazowieckim, oni zawsze na jednym dworze nie potrafili poradzić sobie z podziałem nowego dworu na dwie części.

Wierni czciciele 1-majowego święta dzisiaj grzebią je z krzykliwym entuzjazmem. Nie czekając na jakże leniwe drukarnie sami wycinają z tektury korony i wkładają je orłom na głowy. Osobiście w pocie czoła przerabiają tony pism i dokumentów. Na własne oczy widziałem pisma, gdzie jakże pracownicy wykreślone zostało słowo propaganda, a wpisane długopisem – informacja. Nowe teksty pisane są gorliwie. Problem w tym, że to jest ten sam język i ten sam zapach, ale w drugą stronę. Oto placówki dyplomatyczne otrzymały nową listę osób ze świata artystycznego, polecanych by je zapraszać. Wykonano ogromny wysiłek aby sprawdzić biografie twórców pod nowym kątem politycznym, im większy antykomunista, bardziej był w podziemiu, więcej miał kłopotów, tym większy artysta. Doprawdy należy zbierać te nowe dokumenty, są świadectwem jak nowy czas jest stary.

Wobec nielicznych Nowych, staronomenklaturowcy kurczą się w atencji. Stosują dwie taktyki. Jedni, liczniejsi, twierdzą, że owszem, skurwili się, czas był ciężki, szli na zbyt dalekie kompromisy, ulegli przemocy. Ale już od dłuższego czasu zorientowali się, że tak nie wolno, narażali się wcześniej niż inni, ba, w jakimś sensie, oczywiście tylko w jakimś, padli nawet ofiarą prześladowań. Nie porównują się do Nowego, ale...

Drugi typ oświadcza, że upadek był niewątpliwy, że za takie postępowanie należy się kara. Czekają na wyrok z pokorą. Są dobrymi fachowcami, mogą się przydać. Są do dyspozycji.

Jeden z częstszych mechanizmów obronnych, to niezwykle ściśle przestrzeganie przepisów. Zachowują się jak dzieci, które wierzą, że nie nadeptując na łącza chodników zrealizują swoje marzenie, a ich marzenie – to przetrwać.

Obecne reformowanie urzędów przez Nowych naszych mi-

nistrów i wice... jest zabiegiem żałośnie delikatnym i amatorkim. Te urzędy są chore od korzenia, a ci Nowi nawet nie wiedzą o korzeniu.

Jedna rozmowa z kierowcą z urzędu dostarczy więcej materiału niż jakiegokolwiek inspekcje czy intuicje doktorów i profesorów prawa. Nikt jednak nie będzie z kierowcami rozmawiał, to poniżej klasy Nowych. Oni nie interesują się donosami. Dzięki swojej uczciwości wyluskując ze starej nomenklatury fachowców, będą często mianować ludzi, którzy powinni pójść siedzieć.

Większość społeczeństwa nie rozumie mechanizmów psychologicznych władzy, trującego działania jej miazmatów, nie pojmuje mechanizmów małej i wielkiej polityki, chociaż jeśli uważniej się przyjrzeć to elementy tej gry widać wśród dzieci w piaskownicy. Dlatego cała ta burza na szczytach dawnej „Solidarności” jest zjawiskiem niepojętym, budzi zabobonny lęk, jaki piorun musiał budzić wśród ludów pierwotnych. I tu trudno spodziewać się wyjaśnienia zjawiska w sposób racjonalny. Lud będzie doszukiwał się spisków, knoń tajemnych, pod powierzchnią sporów widzieć będzie podwodne góry lodowe. Jedni poczują gniew i przemożną chęć ukarania tych, co ich zawiedli. Inni zajmą się po prostu swoim interesem, za nic mając interes ogólny, skoro ci którzy tak wiele o interesie ogólnym mówili, wzięli się teraz za łby najwyraźniej z prywatnych powodów.

A oto jak rozmawiają ze sobą przywódcy „Solidarności”, wczoraj jeszcze legendarni przywódcy podziemia, połączeni wspólną walką z wrogiem.

– Pomysł rozwiązania Komitetu to zdrada Polski – oświadcza Wałęsa.

– Dużo mówisz o sobie Lechu, a nie o Polsce – replikuje Frasiński, legendarny przywódca podziemia z Wrocławia – co to za instytucja, która za tarczą „Solidarności”, mając za herb węża Wałęsa przywała wszystkim (...) Lech Wałęsa mówił, że w Polsce nie ma Murzynów, to nieprawda. Ja byłem Murzynem przez lata, a teraz mam być w dworze despoty?

– Kto chce może tu być, kto nie, wolna droga – krzyczy Wałęsa spod wąsów.

– Proszę o lepszy styl – mówi legendarny przywódca hutników z Nowej Huty, Gil – gdyż ostatnia wypowiedź rzecznika rządu zdaje się świadczyć, że pani rzecznik była przeszkolona chyba u ministra Urbana. Arogancji było już dosyć w PRL.

– Porozumienie Centrum uderza w reformy rządu – ubolewa wicemarszałek Senatu Andrzej Wielowicyski.

– Żądam dowodów, pan mnie oskarża, chcę żeby cała Polska słyszała! – krzyknął boleśnie Wałęsa.

Gdy wicemarszałek zasłonił się sondażami opinii publicznej, Wałęsa rzucił – stłucz pan termometr, nie będziesz pan miał gorączki.

Legendarny przywódca podziemnej Warszawy Zbigniew Bujak przeszedł z Wałęsą na Pan. Nawijając do słów Wałęsy o zdradzie Bujak wpadł w ton patetyczny: – „Za zdradę stanu staje się na szafocie. Pan na pewno wygra. Mam więc jedną prośbę. Chciałbym, aby w swej dobroci i umiłowaniu demokracji, pozwolił mi Pan później na prawo ostatniego słowa”.

Tak oto wszyscy wspólnie, twórcy wielkiego mitu „Solidarności”, drą go dzisiaj na strzępy. I mam ochotę krzyczeć, bijcie się po mordach, ale „Solidarność” zostawcie, niech zamieszka wśród najpiękniejszych polskich mitów i poi nas czystą wodą przez stulecia.

Wałęsa jako wielki czyściciel – „Trzeba czyścić sprawę”. Konieczność czyszczenia była powtarzana wielokrotnie w różnych wariantach przez przewodniczącego. Nic dziwnego, że i wezwania Premiera i parlamentu do Stoczni nazwał zabiegiem higienicznym. Doszło więc do wielu publicznych lewatyw i do publicznych efektów tego zabiegu. Upubliczniono prywatne listy, wypomina się przeszłość dalszą i bliższą, nawet wspólnie zdjęcia. Mazowiecki dowiedział się, że się nie nadaje na Prezydenta, tego samego dowiedział się Wałęsa od wielu, a od Wałęsy Hall dowiedział się, że nie nadaje się na ministra itd... Jednym słowem wielkie burzenie babek w piaskownicy. Szkoda tylko, że ta piaskownica to Polska.

Wałęsa i stoczniowcy wysyłają ultimatum do rządu i parlamentu, by przybyli na spotkanie do źródeł, a więc do Stoczni. Premier nie chciał. W międzyczasie był dramat, kto ma pierwszy do kogo zadzwonić. Propozycja spotkania niejako w pół drogi u biskupa wzruszyła mnie, bo przypomina czasy średniowieczne. – Do źródła, do źródła – upierał się Wałęsa, na którym Kościół czyni coraz mniejsze wrażenie. Ksiądz Jankowski, jego spowiednik i doradca odsunął nagle swoje ucho od ust przewodniczącego. Cóż za dramatyczny rozwód! Listy Papieża do Mazowieckiego i Wałęsy między wierszami konwencjonalnej treści miały prośbę o pojednanie. Rzecznik prasowy Wałęsy podaje się

do dymisji. To się jednak w coś układa, najbliżsi ludzie nie mogą z nim wytrzymać. Jak łatwo zapominamy przeszłość, zbyt byliśmy wtedy zajęci wojną z komunizmem, by patrzeć na siebie. Przecież Wałęsa wykosił w czasie pierwszego wcielenia „Solidarności” wszystkich swoich współtowarzyszy broni, najlepszych przyjaciół. Głowy spadały równie gęsto jak w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tylko że u nas gilotyny były symboliczne.

Ale kto wie czy nie najgorsze w tym wszystkim, że On Ma Teraz Wiele Racji. Tylko ta forma, która zatruwa treść!

Nie potrafię w tym sporze stanąć wyraźnie po jednej stronie. Nie lubię Wałęsy, a jego dwór wydaje mi się z kiepskiej zrobiony materii. Ale i druga strona chociaż o tyle bliższa i tyłu tam znajomych, drażni mnie swoim zachowaniem. Drażni tym przede wszystkim, co muszę określić słowem, którego używam niechętnie, bo zabrudzili je komuniści, stosując je do swych celów – tym słowem jest – arogancja. Arogancja ludzi inteligentnych, wysoko wykształconych, pewnych swej przewagi nad durniem. Nie wiem czy bez tej arogancji nie byłoby tego sporu, ale wiem, że ona właśnie rozpalila go do białości. Do tego ci intelektualiści przy władzy są amatorami w polityce. Nie odbiegają w tym od reszty społeczeństwa. Niemożność, całkowita niemożność organizowania pracy zespołowej. System, który miał sekularyzować kolektywy, z Polaków, którzy zawsze byli indywidualistami uczynił superindywidualistów. Ale to też indywidualizm kaleki, indywidualizm, który w języku ulicy wyraża się słowami: – „Pan nawet nie wiesz, kim jestem. Możesz mi pan naskoczyć”. Nie jest to indywidualizm inicjatywy i samodzielniego działania.

W Stoczni Wałęsa zwymyślał posłów i senatorów od gamoniów, którzy gadają bzdety. Słucham relacji z tego spotkania, jadąc autostradą ze skalistej wyspy, gdzie przeciąga się w słońcu ta część świata, której się udało. Rano dramat, czy pływać żaglówką czy motorową łodzią. Chociaż to wyspa jest na niej sklep lepiej zaopatrzony niż wszystkie razem wzięte sklepy postsocjalistycznego świata i telefony, z których można się w ciągu sekundy dodzwonić wszędzie, oprócz postsocjalistycznego świata. Prom nie zabrał wszystkich samochodów, nasz został, więc przyjedzie po nas specjalnie. Jeszcze mnie to wzrusza, że to wszystko działa, że nie jest się nigdzie intruzem. A przecież to miejsce na ziemi jeszcze kilkadziesiąt lat temu cierpiało biedę, której nie można porównać do naszej dzisiejszej. Więc dlaczego nasza pogoń za światem wydaje się niemal daremna? Jest jakiś powód.

Zamykam oczy i ryzykując wypadnięcie z trasy na pobocze obcego świata, próbuję odkleić tę stocznice, którą pamiętam z ruchomego święta sierpnia, od stoczni dzisiejszej, gdzie Wałęsa jak karykatura Piłsudskiego wymyśla posłom, a oni obnażają miękkie brzuchy.

Każda próba załatwienia czegokolwiek w Polsce przypomina grzebanie bardzo długim i niestety zbyt miękkim patyczkiem w smole. Ale najpierw niebywała i doprowadzająca do szewskiej pasji próba nawiązania kontaktu z krajem. Smoła zaczyna wypływać przez otwór słuchawki, gdy próbuje się z Zachodu dodzwonić do Polski. Poczucie, że godzinami żłobi się tarczą telefonu dziurę w ścianie nie wiadomo jak grubej. Gdy w końcu jest się po tamtej stronie, głosy stamtąd dochodzące ujawniają swoją bezradność. Tego nie ma, tamtego brak, a wszystko trudne i prawie niemożliwe. Bezradność w smole.

Dodzwoniłem się do W., pytam co się dzieje. Odpowiada cierpko, jak to wszyscy ze wszystkimi biorą się za łby. Twierdzi, że z nikim się nie utożsamia. Patrzy jak na spektakl. — „Staram się trzymać od tego z daleka, jak od trybów wielkich maszyn, które mogą zaczepić zębem i wciągnąć”. — Tu głos w słuchawce zaczął zamierać, słowa nagle wydłużyły się i ujawniły swoje włókna by zniknąć zupełnie. Próba ponownego dodzwonienia się do W. utknęła na elektronicznym murze, więc nie wiem czy W. został zmielony przez tryby politycznej maszyny, która podpełzła po niego na odległy Ursynów, czy tylko przewody telefoniczne zwężyły swoje chore gardła.

Nagle łapię się na wrażeniu, że dzwoniąc do kogokolwiek w Polsce mam poczucie, że dzwonię do chorego. Jeśli słyszę w słuchawce zdrowy głos, myślę sobie, podejrzanym, czemu ten biedak udaje rzeźskość. Traci energię, która może się przydać w nieszczęściu. Na ogół głosy nie są zdrowe. Najpowszechniejszy głos kobiety-urzędnika, wściekłość, że się przeszkadza, głos kobiety, która zmieniła się w babę, cechą baby jest stwardniała płeć. Baba jest zjawiskiem szczególnie rozpowszechnionym w Europie wschodniej. Kobieta zamienia się w babę na skutek działania czasu, który przyprawiony jest kolejkami, obieraniem kartofli i nieświadomym poczuciem krzywdy. W Azji i w Europie zachodniej są różne odmiany starości, ale rzadko można spotkać babę.

Powroty dziesiątków znajomych z Polski. Jedni przerażeni — przerażeni, inni przerażeni — zachwyceni. Strumienie relacji

próbuję zlać w jedną rzekę. Najbardziej niepokoi naszych emigrantów zwiedzających ojczyznę — ulica. Ulica jak stary zagoniony pies, który ma świerzb, zepsute zęby, i może nie wiadomo kiedy ugryźć. Uderza ogromna ilość żebraków, którzy nagle wypelzli na scenę spoza kotary wolności. Prawie wszyscy twierdzą, że mają AIDS. Dramaty moralne, dawać im czy nie dawać, bo w większości to narkomani, którzy zbierają na narkotyki.

Taksówkarze mają w repertuarze tylko dwa dowcipy.

— Tylko jeden minister w polskim rządzie nie jest Żydem. Który? Syryjczyk.

— W polskim rządzie jest tylko dwóch nicobrzezanych ministrów. Jacy to? Niezabitowska i Cywińska.

Taksówkarze, niegdyś obok pijaków sumienie naszego narodu, niewyparzone gęby gwałcące wszelkie paragrafy i przepisy w kwestiach szceptancji i gadanej propagandy, roznosiciele plotek, które dodawały nam otuchy i dowcipów, które wyciskały łzy śmiechu w najsmutniejszych czasach.

To zapewne przez tych taksówkarzy na Zachodzie znowu pojawiają się głosy, że w Polsce jest antysemityzm. Nasz rząd jest innego zdania. Mimo nadmiaru pracy i ogólnie złego stanu zdrowia, co spowodowało zainicjowanie przez grupę lekarzy i psychoterapeutów akcji pt. ratujmy rząd — otóż ten rząd zauważył, że takie krzywdzące nas opinie pojawiają się. Dlatego rząd przystąpił do walki.

Liczne urzędy otrzymały nakaz, by z tym posądzeniem walczyć. Uświadamiać świat będziemy przy pomocy materiałów propagandowych — przepraszam — informacyjnych. Przewiduje się rozesłanie druków — zaznaczono, że posiadamy niewielką ilość i należy gospodarować oszczędnie. Podkreślono iż są nadzieje, że znajdą się w archiwach jakieś filmy. Już widzę jak stare urzędaszki myszkują za tymi filmami. Będziemy szumnie jak nigdy obchodzić rocznicę powstania w getcie. A w ogóle to jest nakaz, by każdego Żyda kochać i okazywać mu miłość. Były czyny partyjne, były pięciolatki, teraz będzie czyn miłości do Żydów. Cała wolnomyślna Polska zaśpiewa w chórze — kochamy Żydów — zaśpiewa oczywiście wielce niezgodnie, jak to się zdarza na naszych stadionach ze śpiewaniem hymnu, każdy sektor z osobną ciągnie zwrotki w swoją stronę. A po tym spektaklu, jak zmęczeni aktorzy, zejdziemy ze sceny by zmywać makijaż i burczeć pod nosem — no patrz pan do czego nas znowu te Żydki doprowadziły.

W prasie zalew materiałów odslaniających kulisy 45 lat

PRL. Codziennie mam w zasięgu ręki książkowe zwierzenia Edwarda Gierka i moja dłoń nie może do nich dojść. Czytałem fragmenty, poczucie niesmacznej nudy. Nie inaczej czyta się setki tajnych listów, dokumentów, donosów. Kiedyś dałbym sobie zabrać pół życia, by zajrzeć za kulisy PRLu. Co za naiwność. Kulisy zbrodni i głupoty są banalne i nudne. Teraz bada się zbrodnie czasu niedawnego. Np. kto jest winien, że zastrzelono górników w kopalni Wujek. Okazuje się, że nikt nie wydał rozkazu, by strzelać, nikt strzelać nie chciał. Winne są same karabiny. Zostanie nakręcony film o kopalni i ma stanąć pomnik. Zbierane są w tym celu pieniądze. Na dworcu w Katowicach ustawiono wielką skarbonkę, gdzie mieszkańcy Śląska mogli wrzucać datki na pomnik. Ale skarbonkę ktoś ukradł.

Za to do 15 sierpnia mają być z terenu Warszawy wykoszone wszelkie pomniki Marchlewskiego i Świerczewskiego, tak postanowili radni stolicy.

Trybuna drukuje fragmenty wywiadu z Włodzimierzem Sokorskim. *Trybuna* wyzwolona z *Ludu* stała się frywolna i pozwala 82-letniemu satyrowi biegać po swoich łamach na golasa. Sokorski obnaża tam swe marne członki, tak polityczne jak i erotyczne. „ – Powiem otwarcie, cieszę się, że dożyłem końca komunizmu” – oświadcza wieloletni minister z najgorszych i z nieco lepszych czasów komunizmu. Sokorski potrafi jak nikt łączyć politykę z erotyką, a współczesność z przeszłością. Widzi nawet podobieństwa między Gomułką i Wałęsą.

– Czy Gomułka miał kochanki? – pyta reporter *Trybuny*. Sokorski oczywiście nie ma żadnego kłopotu z takimi pytaniami.

– Miał. To zwykle były jego sekretarki. On je bardzo lubił, obcałowywał. Kiedy w roku 1948 jedną z nich wsadzili do kicia, to Gomułka bardzo to przeżywał. Później już do niej nie wrócił, bo miał inną sekretarkę. W sumie Gomułka tak po chłopsku lubił kobiety, miał z nimi ciche kontakty. Wałęsę też o to podejrzewam.

– A jaki stosunek do kobiet miał Bierut? – pytają wytrwali tropiciele życia seksualnego pierwszych sekretarzy. Kto by pomyślał, że to właśnie *Trybuna* przy pomocy Władzia Sokorskiego będzie publicznie ściągać gacie swoim wczorajszym nieomylnym, nietykalnym...

Szczegółów o życiu seksualnym Bieruta i Wandy Wasilewskiej oszczędzę czytelnikom. W końcu niektórzy spożywają pis-mo jako dodatek do śniadania.

Listy kilku młodych ludzi, bardziej lub mniej znajomych, łączy je jedno, są z Polski a to gwarantuje, że mają w sobie wszelkie odcienie rozpaczy. I wszystkie są w jakiś sposób fascynujące i piękne, bo młoda rozpacz ma w sobie coś z górskiego strumienia, który wylewa się z brzegów.

Agata lat 23, pisze, że nie znosi teraz pisać listów, a kiedyś „uwielbiałam pisać listy, bo wydawało mi się, że coś zmieniam na lepsze”. Pisze oczywiście o planach wyjazdowych na Zachód w celach zarobkowych, to oczywiste, że każdy młody człowiek w Polsce, jeśli ma głowę na karku, musi takie wyprawy odbywać. Dalej pisze: „Tutaj jest okropnie – wczoraj doszłam po raz kolejny do tego wniosku w tramwaju nr 4 na trasie Wolska–Stalowa – ale mimo tej okropności możesz sobie bez przeszkód wesoło ponarzekać i wszyscy cię rozumieją – i ludzie prości i wykształceni, murarze, kolejarze, górnicy i hutnicy i młodzież i stoczniowcy, możesz pójść na wiec Międzomiastówki Anarchistycznej (»Balcerowicz stop«), albo na wesołe spotkanie z Kuro-niem w domu kultury.”

W innych listach powtarzają się zdania. „W Polsce zrobiło się duszno, duszno nie do zniesienia”. Albo „Budzę się rano i myślę po co?”

To wszystko piszą ludzie w wieku 20 plus kilka lat. Jeśli młodzież jest przyszłością narodu, to wchodzimy w tę przyszłość tak obciążeni pesymizmem, że nie obędzie się bez tragarzy. Czy to będzie niemiecki osilek?

Moje pokolenie, czyli 40-latkowie, pokolenie „Solidarności” to już frustraty skwaszone jak powojenne ogórki. Mój wybitny przyjaciel, artysta, pisze – „Zaczęła się walka polityczna przy otwartej kurtynie. Wałęsa i Centrum atakują, chamstwo wylazi niestety. (...) Najgorsze, że każdy po trochu ma rację. Mazowieckiemu przydał się kopniak, nareszcie poleciało kilku ministrów (za mało) i rozbity został dogmat jego „drużyny”. Były mniej osobistych ambicijek, a więcej konkretnych propozycji. (...) Dużo się pisze o kulturze, ale to i tak zdechnie. Ja już nie biorę udziału w żadnych prorządowych akcjach. To co przy byle przedsięwzięciu rzuca się w oczy w tym kraju, to totalna amator-szczyzna i brak odpowiedzialności. Niestety”.

Niestety, każde z tych słów jest moim słowem.

Czym byłyby Polska gdyby nie wojna i kopnięcie nas w sowiecki worek? Kiedy byłem dzieckiem uwielbiałem bawić się w co by było gdyby było? Tępilli to dorośli zabójczym zdaniem:

„Co by było gdyby baba miała wąsy”. Spotkałem potem wiele wąsatych bab. Polska była przed wojną krajem zamożniejszym niż Hiszpania i Grecja. Myślenie o tym jaka byłaby dzisiaj Polska bez komunizmu jest bolesne. Nie mam odpowiedniego miejsca, by urodzić taką wizję. Natomiast szkodzi mi jak bardzo nie potrafię sobie wyobrazić Polski jako kraju czystych toalet, dobrej architektury, pełnych sklepów, uśmiechniętych, pogodnych ludzi. Nie potrafię sobie tego tak bardzo wyobrazić, że podejrzewam, że jestem produktem tych 45 przeklętych lat.

Górnicy ze Śląska, szukają polskiego konsulatu. Stoją skupieni wokół swoich rąk. Chcą jechać do RPA. To wyprawa zbiorowa i zbiorowa rozpacz. Narzekają. Na „Solidarność”, komunistów, Kuronia, Wałęsę... Im bardziej boją się nowego świata tym bardziej będą narzekać na to co opuszczają. Nie dali by rady bez tego narzekania. Nie potrafię nie patrzeć na ich ręce. Robotnicy tutaj nie mają już takich rąk. Te ręce dosypywały przez dziesięciolecia węgla do gasnącego pieca naszej gospodarki. Nie mam im nic do powiedzenia. Zupełnie nic.

Kultura nr 516, wrzesień 1990

WRZESIEŃ 1990

Rano budzi mnie wybuch nowej wojny, nadlatują myśli myśliwce, myśli bombowce. Wylatują szyby snu. Ale to nie tu, tu spokój i dobrobyt, który zjada w milczeniu własny ogon; to tam. I chociaż kraj ten daleko, widzę nasze zgnojone miasta, zgnojone krajobrazy, zgnojone myślenie, nasz zgnojony gnój, który już nie pachnie romantycznie w naszych zgnojonych wsiach. I naszą wolność, która nie potrafi dojść z samą sobą do ładu.

Rozpadło się imperium, topnieje na wschodzie lodowiec. Szczątki pomordowanych wyciągane z odmetów ziemi w świetle reflektorów. Kiedyś, budząc się rano, czułem chłód od wschodu. Teraz jest tam wielka dziura ze znakiem zapytania, który z wielkim trudem utrzymuje pod sobą ołowianą kulę.

Wczoraj informacja, że gdzieś w ZSRR przez dwa dni trwały walki uliczne, są ranni. Powodem tej małej rewolucji był fakt, że nie otworzono na czas sklepu monopolowego. Słucham tych wiadomości jadąc autostradą obok wznoszonych właśnie podmiejskich centrów handlowych. Smutna architektura XXI wieku, budowana przez ludzi, którzy nie wierzą już w Boga, ani w diabła, wierzą za to w nadmiar towaru, który trzeba sprzedawać. Dla tych ludzi rozpadające się Imperium ze swoją wódczaną czkawką jest duchem nie z tego świata, i nie myślą się tak bardzo.

Irak, i uśmiechnięte czoło Saddama Husajna. Tak oto rodzi się nowa geografia problemów końca naszego wieku. Wzbierająca fala arabskiego radykalizmu nieprzyjemnie łaskocze naftowe

podbrzusze Zachodu. I nasza niewiedza na temat tego świata. Nasze brutalne uproszczanie. Według tutejszych nauczycieli w tutejszych szkołach z niemal setki nacji z całego świata, najbardziej, najmiłsze są podobno dzieci Irańczyków. W wojnie Iranu z Irakiem braliśmy stronę Iraku, bo zraził nas fanatyzm Chomeiniego. Co wiemy o irackich dzieciach? Teraz wzruszają nas tylko dzieci Europejczyków, wzięte z rodzicami jako zakładnicy. Co wiemy o młodych ludziach, których wbito tam w wojskowe mundury, którym jak wszędzie i zawsze opowiada się te same kłamstwa? Nie inaczej indoktrynowano polskich żołnierzy, wysyłając ich do pacyfikacji budujących się kolejnych miesięcy naszej powojennej tragedii, października, czerwca, grudnia, listopada. Jak to możliwe, że nasi młodzi żołnierze i milicjanci strzelali do swoich rodziców i kolegów?

Andrzej mieszkał na czwartym piętrze, był młodszy od nas o dwa lata, dostawał więc nieustannie tęgie lanie. O tak, bez wątplenia padał wówczas ofiarą złego traktowania. Była w nim jakaś słabość, a dzieci jak koty nie powstrzymują się, by nie molestować tego, co małe i co się rusza. Któż by wtedy przypuszczał, że kiedyś będzie to mieć pewne znaczenie dla mieszkańców Gdańska?

Spotkałem go po dłuższej przerwie, gdy zapach świąt i Nowego Roku mieszał się z dymem spalonych na Wybrzeżu partyjnych komitetów. Andrzej był w mundurze, a jego twarz straciła młodzieńczy wyraz, była młoda, ale zużyta, jakby ktoś jej zrobił zastrzyk z piasku. Przywitał się z pewnym trudem, wydawał się złapany w pułapkę klatki schodowej i drewnianej poręczy, po której jeszcze nie tak dawno zjeżdżaliśmy okrakiem, albo na brzuchu, i na którą pluliśmy z samej góry na dół, kto celniej. Teraz podając mi rękę przekraczał granicę, której twardość ja również poczułem. Coś się stało, że już należeliśmy do dwóch odmiennych światów. Kiedy zapytałem, gdzie służy, zawahał się i zawstydzził. Z trudem uzyskałem od niego informację, że był w Trójmieście. Dostał się jakiś czas temu do wojskowych oddziałów szkolonych do tłumienia rozruchów. Póki co wzywani byli do knajp, gdzie dochodziło do bijatyk. W ten sposób stracił swój pierwszy przedni ząb, który spotkał się nieszczęśliwie z fruującym kuflem po piwie. Kiedy zaczęło się to, czego tak śmiertelnie bała się władza ludowa, gdy lud postanowił zjeść swoją władzę, żołnierze, szkoleni by tej władzy bronić, zostali zamknięci w koszarach. Odbyły się pośpieszne wykłady, gdzie polityczni wykładowcy opowiadali o wkroczeniu do Gdańska wojsk niemie-

ckich i dywersantów przebranych w stoczniove uniformy. Nie wierzyli, słuchali przecież Wolnej Europy z kieszonkowych radioodbiorników. Nie wierzyli w kłamstwa, ale uwierzyli w rzeczywistość, czyli w ostre naboje, w pistolety położonych, a przede wszystkim w nienawiść miasta do nich. Uwierzyli w pierwsze cegły i w tych szaleńców, którzy skakali z butelkami benzyny na grzbiety czołgów. Potem byli pierwsi zabici i krew. I nie było odwrotu. Broniąc komendy milicji i więzienia, mogli przez chwilę, chyba przez czyjąś nieostrożność, obejrzeć sobie delegację robotników, która już nie wróciła do Stoczni, a to spowodowało manifestacje. Oni przynajmniej wiedzieli, czemu nie można było pozwolić tej delegacji wrócić. Nie pokazuje się ludzi tak pobitych, bo to robi złe wrażenie. Broniąc więzienia przed atakiem demonstrantów, nie mieli wątpliwości, że bronią własnego życia. Był dumny z tej obrony. W miarę jak opowiadał przestawał się wstydzić – „Jak szliśmy w nocy na patrol, ktoś spuścił mi na hełm doniczkę. Przejechałem serią po oknach. Nie wyobrażasz sobie jak wtedy ciurkiem sypie się szkło”. Potem tak samo strzelali do tłumu. „Do wszystkiego można się przyzwyczaić” – stwierdził cierpko. Zauważyłem, że mógł przez pomyłkę zabić swojego ojca, albo co gorzej matkę. Przyznał mi rację. Ale już więcej się nie wstydział. Było mu dobrze, że to wszystko powiedział. Zrobiło mu się lepiej, bo nagle znalazł formułę – było jak musiało być.

Wkrótce spotkałem chłopca w jego wieku, który był po drugiej stronie zdarzeń, ale w Szczecinie. Widział jak w nocy, w smudze reflektora, grzebano potajemnie plastikowe worki z martwymi. „Ci, co to robili, wyglądali jak chłopci, którzy kradną ziemniaki”, powiedział. A na komendzie milicji był świadkiem, jak oficer zastrzelił jednego z zatrzymanych, który za bardzo się ruszał.

On, który mi to opowiadał, nie miał się czego wstydzić, on tylko się dziwił. Mam nadzieję, że przechował to uczucie do dzisiaj, mimo że po drodze zdarzyło się tyle rzeczy, które mogą zabić niejedno zdziwienie.

Filip bawił się ze mną i z Andrzejem na jednym podwórku. Zawsze był nieznośny, a dzisiaj wyrósł na jednego z największych warszawskich spryciarzy. I chyba rzecz można, że w Polsce nie wygrali komuniści, nie wygrała opozycja. To oni wygrali. Ma-li i duzi spryciarze. Nie tylko przetrwali, jakżeż oni pięknie pływają w naszym codziennym gnoju, i to wieloma stylami, a od czasu do czasu nurkują, by wyciągać z dna pieniądze.

Filip nie wie, czemu wylądował nagle w Nowej Hucie, w niefortunnym czasie, gdy to miasto stało się pomnikiem ironii historii. Wzniesione w latach 50-tych wokół hutniczych pieców, tuż obok inteligentnego Krakowa, miało być robotniczym kneblem, co zamknie usta przeszłości, która nie rozumiała budowy nowego lepszego świata. Nowa Huta zakpiła sobie z centralnego planowania naszej zbiorowej świadomości i oto w roku 82 proletariackie miasto stało się centrum oporu robotników wobec władzy, która nazywała siebie robotniczą. Walki toczyły się wokół wielkiego pomnika Lenina, który niedawno podzielił los pomników twórców komunizmu, czyli powędrował na śmietnik. To gdzieś tam tajniak zastrzelił chłopca, który go rozpoznał. Lenin, podobnie jak warszawski Dzierżyński, nawet zastygły w kamieniu, zabijał i wsadzał do więzień.

Filip, jak przystało na naszego cwaniaka, czyli cwaniaka z domieszką szlachectwa, a nawet szlachetności, nie mógł się powstrzymać, by nie wziąć udziału w tym co właśnie działo się w mieście i zrobił to oczywiście po stronie walczących o sprawę wolności, tej wolności, która dla jego interesów mogła okazać się zębna. Nie słyszałem, by ktoś równie barwnie i z tak gorzkim humorem opowiadał o torturach, które przeszedł na komendzie milicji.

Sam już nie wiem, czemu o tym piszę. Chyba by powiedzieć, że i w tej dziedzinie, w dziedzinie zbrodni, nie jesteśmy tacy niezwykli, jak nam się wydaje. A jednak od razu sobie zaprzeczę, bo zarazem jestem przekonany, że nie jesteśmy brutalni i okrutni, a jeśli się coś zdarza, to jak wypadek przy pracy. Cała nasza dawna i nowa historia ukazuje naszą cholerną łagodność i niechęć do zbrodni, okrutnie tylko wiele narzekamy i wygrażamy.

Polacy gromadzący się w kościołach miast Europy Zachodniej. I zawsze na chwilę utrata oddechu, gdy widzę ten tłum pod kościołem, tłum niestety wschodnio-malomiasteczkowy, na tle zachodniego świata.

Polskie wieczory. Sala jest zwykle pełna. Prelegent przybyły z kraju jak zwykle nieco chaotycznie, ale z kawaleryjską fantazją próbuje rozplątać polski węzeł. Potem zaczyna się czas pytań. Pytający nawet jeżeli zgadzają się z bohaterem spotkania, mają nieco inne zdanie. Nie w tym problem. Oni tylko udają, że zadają pytania, a w rzeczywistości wygłaszają przemówienia. Udowadniają, że oni też powinni być bohaterami spotkania. „Ja się teraz pokażę, ja się teraz pokażę” — gra im w duszy smyczek na

skrzypkach. Wśród starszych są oczywiście żołnierze AK. Ci zwykle wpadną w ton patetyczny. Nie zabraknie starszych pań. Ton wypowiedzi dostosowany do wibracji, jakie wzbudza w naszych czułych sercach pojęcie „Matka Polka”. Znajdzie się oczywiście starzec o godnej przeszłości w nadzwyczajnie dobrej formie, który zabierze głos i nie pogodzi się z koniecznością ograniczenia w czasie swojej wypowiedzi. Młodzież zaczyna się burzyć. — „Przerwać mu, do nocy będzie gadał”, odezwią się gniewne głosy, zupełnie pozbawione szacunku dla zasług i wieku.

Ale tak starych jak i młodych łączy jedno — oni lepiej wiedzą, jaka jest sytuacja w kraju i co czynić należy w ojczyźnie, od tych którzy tam przebywają na stałe. Bo przecież przebywanie na stałe w miejscu tak chorym powoduje utratę wzroku. Przy okazji dostanie się krajowi, gdzie mieszka nasza emigracja. Tutejszy dobrobyt jest wynikiem dobrego położenia geograficznego. Tubylcy są jednak ograniczeni, by nie powiedzieć zwyczajnie głupi. Mądrzy jesteśmy my, ale my mamy pecha.

Jeżeli uciekać się do metafor przestankowych, nieomal każdy uczestnik spotkania wydaje się być podkreślony. Niektórzy noszą, za lub przed sobą, wykrzykniki. Najgorzej z kropkami, a myślniki zdarzają się rzadko i zwykle już po chwili ustawiają się pionowo. W tym wszystkim tkwi jakiś poważny błąd ortograficzny, który ma swój historyczny korzeń.

Po takim obrazie, surowym jak świeże mięso, nic już właściwie nie można napisać, powinno się ze zwieszoną głową pojechać tutejszym głupio czystym i punktualnym metrem do domu. Ale nasza gramatyka jest jak wiadomo piekielnie pokrecona. I oto niemal ta sama publiczność potrafi wysłuchać recytacji poezji, wykładu filozoficznego i uderzy nagle serią ciekawych pytań. Dlatego ten polski paszтет zamyka usta krytyce jak i pochwałom.

W Polsce jak się zdaje pogubili się wszyscy, bo nowa sytuacja poplątała nici ekonomiczne i polityczne. Pokraka komunizmu miała swoje nogi, ręce, a nawet organy przyjemności. Wszystko paralityczne i chore na świerzb, ale nie było wątpliwości, co jest grane. Teraz w trakcie gwałtownych przekształceń z tego monstrum zrobił się gwałtownie wirujący kłębek. I nikt już nie jest pewien, co robić, by było dobrze. Wszyscy mają wątpliwości, ale tylko nieliczni się do nich przyznają, bo w końcu zawód polityka to pewność siebie. X, znana dzisiaj osobistość, opowiada, że jeszcze nie tak dawno było kilku rabinów, do któ-

rych można było pójść po radę. Zawsze wiedzieli i wyciągali z rękawa jakieś cudowne lekarstwo. Teraz już nikt się do nich nie zwraca, wiadomo, że oni też bezradni.

Od kiedy dane mi jest spotykać się z ludźmi, którzy podejmują decyzje, czasami węzłowe dla naszej polskiej szyi, przeraża mnie, jak bardzo ci, którzy te decyzje podejmują, są do mnie podobni. Przeraża mnie to, bo wiem jak bardzo jestem bezradny i słaby.

Ten problem w takiej czy innej postaci dotyczy również całego świata. Genialne odkrycia nauki obnażają nowe połacie naszej bezradności. Słodką naiwność tych, którzy są z dala od kulis ważnych decyzji – przekonanie, bez którego trudno żyć, że ci, w których rękach spoczywają losy świata, są mądrzy, wiedzą co robić i potrafią. Tę wiedzę i pewność mają tylko czas i prawa rozpadu.

Cóż się porobiło w niektórych rejonach wschodniej Europy. Władzę objęli ludzie z literackiej kawiarni. Nie ma sensu wyliczać nazwisk pisarzy, dziennikarzy, profesorów, którzy w Europie uczonych Platona stają się ciałem. I oto nagle otwiera się przepaść między teorią i praktyką, żywą inteligencją a oporem twardej materii, którą czasami trzeba podważać nożem, bo językiem się nie da.

Pocieszam się, że najazd ludzi sztuki i nauki na szczyty władzy, chociaż nie przyniesie cudu gospodarczego, zostawi po sobie wiele ciekawych książek i wspomnień.

Zbigniew Bujak, legenda podziemia stanu wojennego, opowiada dzisiaj o spotkaniu z ubekiem, który go wysłedził. Piszę o tym z lekkim żalem, bo wierzę, chociaż coraz mi trudniej, że stan wojenny przy wszystkich swoich truciznach był dla społeczeństwa szkołą solidarności i stworzył kilkanaście symboli, które warto by ocalić. Jednym z tych symboli była wytrwałość Bujaka i bezradność policyjnego państwa. Mit o Janosiku ubrał swój szkielet w ciało. Siła takich symboli w tym, że odrywają się od swego podłoża i szybują przez wieki nad już zmienionym krajobrazem, ciesząc utrudzone oczy przyszłych pokoleń. Taki symbol da się jednak zestrzelić, ale tylko wtedy, gdy nie zdąży poszybować dostatecznie wysoko, by nic go już nie mogło ściągnąć na ziemię. I oto sam Bujak dokonuje tej egzekucji. Opowiada o spotkaniu na własne życzenie ze zdolnym funkcjo-

nariuszem, który go upolował. „Dostał mnie do rozpracowania w końcu lutego 1986. Pracował dość krótko, szybko się ze mną rozprawił”. Dalej funkcjonariusz zwierzał się Bujakowi, że „podstawową trudnością w rozpracowaniu podziemia była jego hermetyczność, brak konfidentów w czołowiec opozycji, tylko na jej obrzeżach”. To potwierdza nasze odczucia z tamtego czasu i jest niewątpliwie cenną informacją o naszym społeczeństwie. Przy licznych wadach, na konfidentów się nie nadajemy. Szczegóły rozpracowania Bujaka są banalne – nieostrożny telefon. To, że telefony nas wykończą jako konspirację, też było oczywiste. Dalej Bujak relacjonuje:

„Okazało się, że człowiek, który mnie rozpracował, jest tak jak ja elektrykiem, ale – jak stwierdził – miał zawsze duszę milicjanta. Była to rozmowa jak między dwoma świetnymi fachowcami: od ukrywania się i poszukiwania. (...) Zapewniłem go, że go polecę naszemu ministrowi spraw wewnętrznych”.

Ta konfidencja oprawców i ofiar jest od biedy do przelknięcia dla tych, którym się udało. Ale iluż ludzi zostało przez stan wojenny pokaleczonych na zawsze. Oni nam nie wybaczą, nam, którzy w sumie po latach jakoś skorzystaliśmy na nieszczęściu. Byli pewni, że biorą udział w fizycznej i moralnej wojnie, o tak, wtedy sprawa moralna została doprowadzona do swoich ostatecznych granic. Dzisiaj przywódcy tej naszej wojny mówią im – daliście się nabrać, to była tylko zabawa w chowanego.

Kto by kiedyś pomyślał, że Bujak będzie w roku 90 polecał ministrowi spraw wewnętrznych człowieka, który go upolował. Wtedy był rok 86. O sukcesie ogłosiły triumfalnie środki masowego przekazu. Nagonką dowodzić miał osobiście generał Kiszczak. Dziwiłem się, że nie pokazano potem zdjęcia generała dzierzącego w rękę ząb Bujaka. Ten dzień był dniem pierwszego meczu mistrzostw świata w piłce nożnej i owa wiadomość zepsuła milionom kibiców smak tego wydarzenia. Bo trudno było mieć już wątpliwości, że „Solidarność” dogorywa. Dzisiaj list pochwalny Bujaka gwarantuje, że zdolny funkcjonariusz przejdzie weryfikację w MSW, bo wiadomo, że nowy minister MSW to nasz człowiek.

Ja pewnie zachowałbym się podobnie jak Bujak, a potem byłbym wściekły na swoją słabość. Ale ja nie jestem politykiem, co zresztą uważam za zaletę. Boję się, że mimo lat uprawiania polityki Bujak nie stał się politykiem, co jednak w jego sytuacji jest tak zaletą jak i wadą. I trochę mi szkoda symbolu. Został rozpruty, a z jego brzucha wylazł jeszcze jeden paradoks.

Nasi intelektualści i Wałęsa, z którym mieli romans. Nie śmiem porównywać tego romansu do przygody, jaka się zdarzyła naszej elicie w czasach stalinowskich. Wtedy miał miejsce romans z diabłem. O tak, było niesłychane ciśnienie gwałconej historii, a pod nogami ziemia spuchnięta od grobów i świat roztrząskany przez wojnę. I to brutalne prawo psychologiczne, że człowiek, jeżeli nie może się czemuś przeciwstawić, ma skłonność uwierzyć, że co jest, jest nieuniknione. A jednak zawsze będzie tajemnicą, jak łatwo, powszechnie i głęboko zapadano na chorobę stalinizmu. Jak lekko przewody naukowe i delikatne artystyczne gardła połykały zbrodnię i bzdurę. O ileż łatwiej zrozumieć uwielbienie dla Wałęsy. Największe jego głupstwa były przez tłum doktorów i profesorów przerabiane na złoto. Teraz ten sam chór wyszydza chama, który sięga tak brutalnie po władzę, a ich, elitę, ośmiela się nazywać jajogłowymi. Szczególnie kpi się ze sposobu wysławiania się przewodniczącego. Ja nie zauważyłem, by kiedykolwiek mówił inaczej. Wałęsa jest jaki był. Nawet nie utył w ciągu ostatnich trzech lat. Będą go nienawidzić tym bardziej, im bardziej dali się nabrać, im bardziej udawali, że nie słyszą okrzyku dziecka – przecież król jest nagi. Król jest nagi, to prawda, ale ma niezwykłą polityczną intuicję i wiele racji w swoich proletariackich gniewach, a jego ludowy nos wyczuwa zapachy niedostępne dla perfumowanych inteligentkich nosów.

Pamiętam kiedyś histeryczną nienawiść środowisk opozycyjnych do Tadeusza Mazowieckiego. I ten dzień w roku 80, kiedy wkładano żałobę, bo przyszła wieść, że to Mazowiecki zostanie szefem *Tygodnika Solidarność*. Ta niechęć była pogłosem konfliktów z ekspertami, do których należał dzisiejszy premier, którzy histeryzowali u boku sierpniowych komitetów strajkowych – „cicho sza, na palcach, nie tak daleko, bo obudzicie sowieckie czołgi”. Stan wojenny potwierdził z pewnym poślizgiem ich lęki, a dzień dzisiejszy znowu im zaprzecza. Potem młodzi bojowcy opozycji kpili z Mazowieckiego – „mięczak intelektualista, człowiek, który nie potrafi podjąć decyzji i boi się własnego cienia”. Będąc na jakimś przyjęciu, za oknami pieniał się rok 80, rzuciłem uwagę, że Mazowiecki to zdolny człowiek – zdolny do wszystkiego – odparło kilka głosów. Poczulem się zupełnie nagi w swojej naiwności. Teraz ci sami ludzie załamali się na wiadomość o jego nominacji przez Wałęsę, potem zmienili zdanie, co będzie jutro? Ludzie się zmieniają, zmienia się sytuacja, nawet rzeki zmieniają swoje brzegi, ale wiele tu jednak labilności

w poglądach i nie mniej stadnych zachowań. Sam padam i padałem tego ofiarą, więc uderzam się we własne inteligentkie piersi. Bije tam serce, które aż przez miesiąc roku 1980 kochało genialnego robotnika, szczerą socrealistyczną miłością. I wiem, o ile z takim sercem jest żyć przyjemniej.

Problem z partiami. Niechęć do słowa partia. Nowe twory aspirujące do aktywności politycznej liczą co najwyżej po tysiąc, dwa tysiące członków i nazywają się struktura, ruch, porozumienie, asocjacja, ale nie partia, bo nadal nie odklejono tego słowa od zwłok PZPR.

Mamy więc Centrum, ROAD, Chłopów. Nie mamy programów politycznych, wizji przyszłości, mamy za to zrujnowaną gospodarkę i społeczeństwo, gdzie erozja moralna pogłębia się, a depresja wybrzusza swoje dno. Programy polityczne zaczną się teraz budować, bo są one niezbędne, by zracjonalizować osobiste niechęci i ambicje, które doprowadziły do podziałów. Te niechęci są mimo wszystko na bazie różnic charakterów. A jako że w końcu przynależność człowieka do jakiejś doktryny czy poglądu, jeżeli nie wypływa z konformizmu, kończy się lub zaczyna na chemii psychicznej, to nie należy uznawać tej sytuacji za tak nie-normalną, jak to się może wydawać tym, którzy spoglądają z zazdrością na zachodnie demokratyczne instytucje.

Wprowadzenie religii do szkół. Nie wiem czemu tak to mnie zmartwiło, przecież zdarzają się większe nieszczęścia. I całym wiele ważą racje „za” – że większość chce (zapewne, bo tego nie raczono sprawdzić), że nie ma przymusu. No i te racje spoza kurtyny, że to przecież kompromis, bo biskupi chcieli stopni z religii na świadectwach, a nawet stopnia na maturze. Właściwie czemu nie, skoro od tego zależy zbawienie.

Problem w tym, że tolerancyjne ramy instrukcji dotyczącej nauczania religii katolickiej w szkołach w obecnym stanie rzeczy w Polsce, są ramami wybitego okna.

„W klasach, w których większość dzieci uczestniczy w lekcjach religii, może wisieć krzyż. Można także wprowadzić modlitwę przed i po zajęciach szkolnych”. Instrukcja przypomina jednak, że „należy zwrócić uwagę na odczucia dzieci innych wyznań, a jeśli modlitwa miałaby się stać przyczyną konfliktu, należy raczej z niej zrezygnować”. Zarówno tych, co uczęszczają na lekcje religii jak i tych, którzy korzystają z błogosławieństwa tolerancyjnych ram ustawy „nie może spotkać z tego powodu

jakakolwiek przykrość ze strony pracowników szkół” mówi instrukcja.

Już widzę, jak wilgotny nos naszego szkolnictwa skierowany pod wiatr historii czuwa nad tolerancją, wychytując bezbłędnie wszystkie brzydkie zapachy. Nasza szkoła w ciągu ostatnich lat dorobiła się dużych „tradycji” w tej dziedzinie. Wesprze ją w tym nasze społeczeństwo, które wedle badań w 80 % czuje się dzisiaj zagrożone. Związek między poczuciem zagrożenia i nietolerancją jest równie oczywisty, chociaż czasami równie skomplikowany, jak między matką a dzieckiem.

Wkrótce czeka nas zakaz przerywania ciąży. Można również liczyć na zakaz stosowania środków antykoncepcyjnych, co nie będzie groźne, bo wprowadzi się zakaz współżycia pozamałżeńskiego, a małżeńskie ograniczy się do celów świadomej prokreacji. Czekają nas w dziedzinie obyczajowej wiele atrakcji, a przecież w innych dziedzinach też ich nie zabraknie. A wszystko to będzie demokratyczne, bo nadane wolą większości. Tak oto po terrorze mniejszości poznamy, no może nie terror, ale terrorkę większości. Znając jednak przekorną naturę Polaków, daję głowę, że szkolne nauczanie religii przyspieszy proces laicyzacji naszego społeczeństwa, a ewentualny zakaz przerywania ciąży gwałtownie zwiększy ilość zabiegów.

Rosjanie, których tu spotykam. Tak podobni, tak inni od nas. Z reguły jakby cofnięci w czasie o 20, 30 lat. Lecz nawet tam gdzie są inni, czy nawet obcy, tak łatwo się mieszczą w dłoni naszego rozumienia. Ich kobiety jakże często noszą światło, które gęstnieje w pobliżu oczu. I prawie wszyscy są jakby zmiękczeni przez swój język. Rozmawiam z S. Była w Moskwie pierwszy raz po 20 latach emigracji. „Nie zmieniło się tam nic, jakby czas popłynął gdzieś bokiem. I tylko drzewa były zaskoczeniem, bo drzewa nie rosną w pamięci”.

— Do tego już doszło, że marzy mi się domek na wsi — zwierza się mój znajomy, który zawsze chciał żyć w samym środku naszego politycznego wiru.

Ale nasza wieś już nie gwarantuje sielskości ani bezpieczeństwa. Gdy jakiś czas temu chłopci blokowali drogi, miejscy kierowcy stali w kilometrowych kolejkach zdani na łaskę i niełaskę chłopca. A przy okazji byli przez wieś uświadamiani. Chłopcy uważają, że większy gwałt na ich uszach czynią środki masowego przekazu, które są w rękach miejskich Panów. „Chłopca bił Ko-

zak, była przedwojenna władza, bił komunistę, a teraz wygrzmoci go demokracja” — krzyczy nasza wieś. A problem jest prosty jak trzonek kosa. Mamy w Polsce 36 % ludności pracującej w rolnictwie, a powinno być nie więcej niż 6 %. A więc setki tysięcy nierentownych gospodarstw musi umrzeć. Wiele ginie naturalnie. Młodzi nie chcą już, by pług orał im twarz. Ale liczne gospodarstwa, nawet te karłowate, mimo wszystko chcą żyć. Doprawdy, trudno wymagać od tyłu organizmów, by bez walki pozwoliły zacisnąć sobie na szyi śmiertelną pętlę. Nawet zarzykana świnia wydaje z siebie głos, który długo stoi potem w delikatnych miejskich uszach. Martwe świnie są nam niezbędne, podobnie jak przemiany na wsi. Zobaczmy co z tego wyniknie, bo chłopcy w przeciwieństwie do świń potrafią się bronić. Mam słabość do naszych chłopów. Cóż to za skomplikowany organizm zbiorowy, jeden gumiak utkwiał mu w wieku XIX, drugim pograża się w naszym czasie. Nasz chłop ma coś z krowy, konia, lisa i zająca, coś ze szlachcica i coś z niewolnika. Nie myje się, ale mówi wierszem. Nie wie co się dzieje w sąsiedniej gminie, ale posiada wyrobiony sąd na temat Iraku i wojny w Liberii. Potrafi sam postawić dom, a w nim zbuduje łazienkę z bieżącą wodą i z wanną, gdzie będzie trzymał narzędzia. Gdyby nasi chłopcy dostali komputery, nauczyliby się nie tylko je obsługiwać, ale i naprawiać. Nasz chłop jednak jest dzisiaj chory, bo chora jest nasza wieś. Wyrwano jej korzeń, gnije wiejska kultura i obyczajowość, a w puste miejsce wlewa się rzeka wódki. Nasza wieś płynie po wezbranej wódczanej rzece jak porwana gwałtownym prądem tratwa, wygraża ręką światu i krzyczy — chłop potęgą jest i basta.

Jeżeli chłopom uda się nie pokłócić, co mało prawdopodobne, stworzyć mogą, jako jedyna grupa społeczna, partię polityczną z prawdziwego zdarzenia, mocną bo skupioną wokół konkretnych interesów. Wybraliby też bez trudu swojego Prezydenta, gdyby znaleźli jakiegoś wałęsachłopa. Wszystkie reformy wtedy szlag trafi. I biada wówczas miastu, a i krajowi biada. Czyli chłopów trzeba będzie dzielić dla dobra ojczyzny nie inaczej, jak oni sami dzielą krowę i prosiaka. Cóż za obrzydliwe zajęcie — polityka.

Rocznica „Sierpnia”. Obchodzona uroczystie z nakazu tych, którzy są przy władzy i którzy Sierpień urodzili. Widać już pierwsze znaki, jak się robi z tego akademia ku czci... Są już pierwsze mity i mitki. Jako że znam fakty z tego czasu od podszewki, bawi mnie ta cała czcza gadanina, bo wiem, że już teraz prawda

na ten temat nie jest ważna, a przede wszystkim nie jest potrzebna. „Sierpień” już szybuje wysoko i tylko wiatry historii mają wpływ na jego lot. Prawda i kłamstwo te pojęcia zostały wtedy doprowadzone do swoich ostatecznych granic i stały niepewnie na ostrzu noża, drżąc nad przepaścią. I nagle waga słów, słów, które wydawało się, że już nic nie znaczą, a jednak cała południowa krawędź Imperium wybrzuszyła się pod ich ciężarem. Dzisiaj rocznicę Sierpnia obchodzi się obowiązkowo jak kiedyś 1 maja i rocznicę bitwy pod Lenino. I wszędzie kręcą się i gadają, palanty martyrologiczne, palanty patriotyczne, palanty patetyczne, babiuchy solidarnościowe, ciotki podziemia, wujowie konspiracji. Tak oto jesteśmy świadkami nowego cudu. Ma miejsce cudowne rozmnożenie działaczy podziemia i ofiar wojennego stanu. Są również cudowne połączenia cudów, bo oto w jednym miesiącu sierpniu „Cud Solidarności” splótł się ramionami z „Cudem nad Wisłą”. Weteranów pierwszego cudu jest bez liku, o wiele gorzej z weteranami cudu roku 20, a poszukiwania ich rzadko kończą się sukcesem, bo czas nie uznaje cudów. O wiele łatwiej o wdowy po żołnierzach warszawskiej bitwy. I oto znaleziono całkiem sporo wdów w zdumiewająco dobrym stanie. Teraz tylko problem, jak je zagospodarować?

A co się dzieje z panią Anią, ze słynną suwnicową, której wyrzucenie ze stoczni uruchomiło lawinę? Pani Ania znowu na swojej słynnej suwnicy, w tej samej stoczni, gdzie jednak już imię Piłsudskiego wyrzuciło Lenina. Jako że Szwajcarzy zamierzają budować przy bramie nr 2 muzeum „Solidarności”, pani Ania byłaby niewątpliwie najbardziej atrakcyjnym eksponatem w tym muzeum. Ale pani Ania jest dzisiaj do oglądania na żywo w samej Stoczni, prawdziwy eksponat w czasów sprzed narodzin ruchu, jak wtedy zawieszona pod sufitem fabrycznej hali, jeździ swoją suwnicą. Jej emerytura jest głodowa, więc chce sobie dorobić. Tak Wałęsę, Mazowieckiego jak i Kuronia ma za zdrajców świętej sprawy. A dawnego wroga zastąpiła „Solidarność” stoczni. Młodzi robotnicy, twórcy strajków roku 88, które przywróciły życie „Solidarności”, serdecznie nie znoszą nieznośnej suwnicowej, a więc matki. Jak dzisiaj pamiętam odwiedziły w mieszkaniu pani Ani, otwartym dla wszystkich. Stał wtedy za oknem rok 80, jak wysoki maszty z białoczerwoną flagą szarpaną dumnie przez wiatr historii. I wszystko było niemal tak samo jak dzisiaj, nawet ton konfliktów i gwar kłótni, a jednak było zupełnie inaczej, jak różni się ból dzieciństwa od bólu starości.

Odrywanie się od życia. Tak już jest, że politycy działający tam, gdzie demokracja nie robi codziennie dożylnego zastrzyku z realizmu, odrywają się. Spotykam nieustannie swoich znajomych mieniących się już dzisiaj wszystkimi rangami władzy i już niemal wszyscy mniej lub bardziej oderwani unoszą się nad wodami naszej rzeczywistości. Grono jest liczne, bo każdego niemal dnia jakiś znajomy zostaje kimś mniej lub bardziej ważnym. Gdy skończył się mój notes z ostatnich lat, zaczęli ku władzy wyfruwać znajomi z notesów dawnych, o których zapomniałem jak o starych podmiejskich cmentarzach. I teraz świadkuję powszechnemu zmartwychwstaniu. Odrywanie się od rzeczywistości następuje na skutek nowego punktu siedzenia, zmęczenia i obfitości pokarmu dla złudzeń.

Co premier Mazowiecki dzisiaj wie o warszawskiej ulicy, o suchym ze zmęczenia nosie tej ulicy, odciskach i hemoroidach? On zresztą sam ledwie żywy.

Ale od rzeczywistości oderwali się również ci, którzy są na dole. Stąd polowania na czarownice i liczne egzorcyzmy. Hasło pełnej wymiany starej nomenklatury to hasło samobójcze. Oni są zbyt liczni, a my, chociaż czyści, to jednak amatorzy. Należałem również do tych, którzy byli przekonani, że w Polsce jest obfitość ludzkiego dobra, że mamy rzesze wybitnych specjalistów ze wszystkich dziedzin, którym komunizm związał ręce. Ale kiedy odpadną pięta... Jak bardzo byłem w błędzie. Gdy opadły... okazało się, że ręce są niesprawne. Mamy dzisiaj rzeszę kalek, tam gdzie mieli być fachowcy.

Skoro od życia oderwane są tak władza jak i naród, skoro unosimy się ponad czymś, co jakże nieprecyzyjnie nazywa się życiem, to ciekawe, czym wypełni się ta wolna przestrzeń?

Polowanie w Polsce na lewicę. Już nikt nie wie, co to za zwierzę, więc strzela na lewo i na prawo. Aby kogoś załatwić na amen, obnaża mu się lewicę, jak weneryczną chorobę. Powszechne przekonanie, że tego nie da się nabyć bez paskudzenia się na lewo. Oskarżeni wiją się jak piskorze, wołają my zdrowi, taka choroba w ogóle nie istnieje. A na chwilę puszczeni odgryzają się, polując na odchylenie narodowe, antysemityzm i tak zwany populizm. O, to słowo robi wielką karierę. „My nie populiści, my pluraliści”, wołają schwytni. Nikt nie wydaje się tym, za kogo uważają go inni. Szkoda, że brakuje w tym zawirowaniu czasu, by się samych siebie spytać, kim właściwie jesteśmy?

Czytam gazety z Polski i czuję, jak coś mi się zaciska na

gardle. Tylu tam znajomych, jeszcze wczoraj pocziwych, a dzisiaj wszyscy zdają się cierpieć na szczękościsk. A więc to ich szczęka mi się zaciska. Są nabrzmiali od wzajemnych pretensji i rozognieni jak rana, do której ktoś dosypuje soli.

Zbieram od przyjezdnych okruszki polskich lęków, jak opiłki na polach magnetycznych układają się w surrealistyczne kształty. Dzisiaj Polacy boją się Niemców, Żydów, Ukraińców, Wałęsy i braku Wałęsy, Dworca Centralnego, taksówkarzy, wody z kranu, powietrza, emerytury, jesieni, zarażenia AIDS przez powietrze, wychodzenia o zmroku z domu, zostawania po zmroku w domu, czy starczy do końca miesiąca, że sąsiad zrobi nagle dobry interes, że własny interes się nie uda, że będzie wymiana pieniędzy, że wszystko szlag trafi, że coś się zmieni i że już zawsze będzie jak jest.

Znowu zaczęły się w Polsce procesy gnilne. W ostatnim roku był rozpad, zawirowania, wiele kurzu, i nawet fruwały strzępki brudnego papieru toaletowego, ale nie czuło się gnicia. Teraz jakby ponownie sytuacja zwilgotniała. Świeżo przyjezdni z kraju mają na ubraniu ten charakterystyczny zapach.

Kultura nr 517, październik 1990

PAŹDZIERNIK 1990

Na moją zagraniczną wyspę nieustannie przybywają przybysze z Polski, co mi uświadamia, jak blisko i jak daleko jesteśmy od cywilizowanego świata. Wielu z nich przybywa z rozsuplanego siekierą pnia drzewa „Solidarności”. Jedni są gorącymi przeciwnikami Wałęsy i „Centrum”, inni gorącymi zwolennikami Mazowieckiego i ROAD. Są już domy, gdzie ta przepaść dzieli rodziny, jak to bywało za komunistów. Zdarzają się małżeństwa, które by zbliżyć się do siebie, stawiają w małżeńskich łóżach kładkę nad otchłanią. Kolega pisze do mojego syna, że Wałęsa i Kościół chcą teraz objąć władzę i ludzie są tak skłóceni w klasie, w rodzinie, wśród znajomych, że aż strach.

Ale to chyba nie większość? Większość już nie interesuje się polityką, a wróci do niej na chwilę w czasie wyborów prezydenckich jak do piłkarskiego meczu. To jeszcze jakiś czas temu byli zwolennicy „Solidarności”, którzy wzięli rozwód z polityką, gdy okazało się, że wolność nie rozwiązuje żadnego z problemów, które kłępią im szyje i piersi. B. wzięł ten rozwód dosyć dawno, dzisiaj ma swój mały biznesik, a jego wielki problem – jak uchronić swój samochód przed grabieżą. Alarm nie pomaga, bo na żądanie mieszkańców, zatrwożonych warszawską nocą, dozorca zamyka bramę. Złodzieje grabią wóz, zanim dobiegnie. Kiedy rzucam żartem, że powinien sobie sprawić dubeltówkę, on łapie tę myśl z pełną powagą. Już o tym myślał. Kiedy próbuje

z nim pomówić o polityce, odsuwa ten temat nogą, jak zdechłego szczura.

Dlatego szczyrem naszej polityki zajmują się nieliczni. Jakby na karku zaprzątniętego szukaniami żeru mamuta ustawiono szklanekę, która niezwykle dziarsko bąbelkuje. W jednym bąbelku jest rozkrzyczany sejm, w innych garstka partii politycznych, a tam wyprysnął nagle ksiądz jak ptak wachlując w powietrzu sutanną.

Kto uchroni nasze kobiety przed babą z szydełkiem? Od kiedy skrobanki stają się monetą przetargową wyborców, kobiety nie mają szans. Wałęsa pytany o ten problem, nie mrugnął nawet powicką. Nie wolno. Tu akurat jest konsekwentny, co udowodnił przy pomocy własnej rodziny. Premier Mazowiecki też gotów stanąć na straży nienarodzonych. Jako że o wszystkim znowu decydują mężczyźni, mogą tylko namawiać panie, by zaczęły współżyć ze sobą, zostawiając mężczyznom ustawę antyaborcyjną.

Kiedy rozmawiam z naszym mężem stanu o ustawie, mówi o tym czule, jakby ideały jego życia stały się ciałem. Potem wyjaśnia, że wszelkie problemy świata zachodniego, a i nasze, wypływają z osłabienia rodziny oraz z powodu zbyt małej dzielności. To Polak katolik, ale przecież ten światły, z wątlej grupki odpornej na resentymenty, to zarazem jedna z czołowych postaci naszego życia politycznego. I tak właśnie jest, tak, a nie inaczej, nasz Senat, a więc *crème de la crème* narodu, w tej dziedzinie okazał się pocziwym zaściankiem. A poziom sporów na ten temat, pożałuj Boże. Jesienny wiatr unosi nadmuchane prezerwatywy rzucane przez młodzież na dziedziniec rezydencji Prymasa.

Kiedy dzwonię do bliskiego znajomego od wczoraj na wysokim stanowisku — to znajomy z mojego notesu z lat 70-tych — tłumaczy mi z bolesną ironią, że żadnej poważnej sprawy teraz nie można ruszyć, bo trwa właśnie debata na temat przerywania ciąży. — „Dawno nie byłś widzę w kraju, skoro domagasz się decyzji zdroworozsądkowych”. O nie, to pamiętam, tego się nie zapomina, tej niemożności, jakby głowa utkwiała w murze, w której się nią biło.

Z wielkim hałasem przenoszone są kościelne meble do szkół. Trwają nieustanne powitania cudownych obrazów, święcienia sztandarów, krzyży dla państwowych urzędów, słyhać potęż-

ny tupot — to maszerują kolejni pielgrzymi. W ramiona kościoła wmaszerowało już wojsko i milicja. Oto dosyć typowy komunikat z prasy. „Uroczystości zakończył przemarsz pododdziałów do Kaplicy Matki Bożej. Tam, przed Cudownym Obrazem, delegacja żołnierzy złożyła ryngraf w darze wotywnym”. Czuję ten sam, nieco zatęchły, ale słodkawy zapach, który unosił się z prasy polskiej lat 30-tych. Jako że mamy dzisiaj całą mozaikę orientacji politycznych, które są mniej lub bardziej wierną kopią ugrupowań przedwojennych, można śmiało mówić o tym, co w języku psychiatrii nazywa się remisją.

Listy od znajomych. Przybyły zmęczone i pogniecione z całego kraju, ciężkie od znaczków, które już się nie mieszczą na kopertach, jak obrączkowane ptaki, którym udało się wywikłać z sieci naszej zdychającej poczty i wyfrunąć w świat. Ze wschodu ktoś pisze: „Tutaj suwalskie opowiadania, niesamowite, o bałaganach, polskich waśniach na prowincji, o panoszeniu się kościoła i księży. Jeden tutejszy proboszcz przegrał w karty swoją parafię do drugiego — żyją jak udzielni książęta... no tak. Ale jak się zdaje, oduczą ludzi chodzić do kościoła”.

Znajomy lekarz z małego miasteczka 100 km od Warszawy: „Wybory w B. przebiegały zupełnie inaczej niż wszędzie. Zwyciężyli byli działacze partyjni, a z „Solidarności” przeszło niespełna 40 %. Ja nie przeszedłem. I chyba dlatego nic w naszym mieście się nie zmienia. Zresztą gdzie indziej podobno też zmian nie ma. Ja i nasi znajomi coraz bardziej niepokoiimy się o przyszłość kraju. Ta ciągła walka o władzę toczona bez żadnych parawanów zmniejsza bardzo zaufanie do osób, którym wszyscy powierzyliśmy już wolną Polskę. Ja mam nadzieję, że to wkrótce się ułoży”.

A co gada nasza wieś, nieduża wieś mazowiecka, bo i stamtąd przybył list, a w nim strzępki rozmów. Stary chłop: „Zobacz pan moje słowa, takie czasy przyjdą, że każdy będzie mógł wejść do urzędu, zabić urzędnika i nic mu za to nie będzie”. Inny rolnik: „A to dlatego, że w rządzie są sami Żydzi i oni tak rządzą i nie będzie przez nich lepiej”. — „Będzie z tego wojna — dogaduje sąsiadka — to nie przez „Solidarność”, to tak miało być od dawna, już od dawna Sybilla to wszystko przewidziała, że tak będzie, że syn nie będzie szanował ojca ani matki, kobiety będą w spodniach chodzić, a ludzie staną się sobie wrogami jak wilki”.

Wiadomość, że kolejny mój znajomy dostał zawału. Czuję

się jak na polu minowym. Idę tym polem w wielkim tłumie i co chwila gdzieś dochodzi do nieszczęścia. Jednych to zabija, innych okalecza. Nowotwory są bronią mniej gwałtowną, ale bardziej podstępą. Widać w oddali skraj lasu. Jedno pewne, nikt tam jeszcze nigdy nie doszedł. Po co więc tak się pchać, czyż nie lepiej położyć się na trawie i posłuchać, jak pracują serca roślin? Gdyby tak bracia Kaczyńscy położyli się z Michnikiem, a Wałęsa obok Mazowieckiego i Geremka, a w ich nogach Moczulski z Bartoszcze, nasz polityczny krajobraz przestałby może na chwilę rzucać długie cienie w kierunku przyszłości.

O Jezu, dzisiaj w nocy Niemcy się jednoczą – rzekł nagle mój syn. A wtedy przeszedł mi dreszcz po plecach. Nie z lęku bynajmniej, a ze zdziwienia, że gdyby nie on, to bym zapomniał i nie zobaczył tego, co się zdarzyło teraz, chociaż miało się zdarzyć od biedy w przyszłym stuleciu. Pito piwo, puszczano świetlne race, palono trochę pochodni, co się nie najlepiej kojarzy. Miałem wrażenie, że jednoczące się Niemcy nie wiedzą, jak oświetlić to, co właściwie powinno się ukryć.

W Warszawie w moim rodzinnym domu było wiele poniemieckich mebli. Miały swoją solidność i zapach. W roku 1990 można kupić okazynie poenerdowskie meble, bo ambasada przestaje istnieć i wyprzedaje swój dobytek. Ktoś na obręczu koła historii coś zawiązał.

Prezydent Havel ma świetne pióro, więc chociaż słyhać już głosy, że jak przystało na pisarza u steru władzy, popełnia liczne błędy, to nawet jego błędy mają szansę wejść do historii literatury. Opisując nasz stan psychiczny, stan umysłów ludzi Europy wschodniej, gdzie wydarzenia przegoniły wyobraźnię i marzenia, nakreślił taki oto obraz:

„Było wreszcie w tym wszystkim poczucie absurdu. Uczucie, jakiego mógłby doznawać Syzyf, gdyby pewnego dnia jego głaz pozostał na szczycie góry i nie stoczył się na dół. Uczucie Syzyfa nieprzygotowanego psychicznie do tego, że jego wysiłki mogą przynieść sukces. Uczucie Syzyfa, który stracił dotychczasowy sens życia i nie znalazł jeszcze nowego”.

Tak pisał Havel kilka miesięcy temu. Nie wiem, co czuje dzisiaj, w końcu Praga radzi sobie całkiem nieźle. U nas w Polsce obawiam się, że ten obraz należy uzupełnić. Kamień zaczął się zsuwać na wymarzoną stronę, problem w tym, że i my już jesteśmy na drugiej stronie, a on taki ciężki, bo wykarmiony niemal

przez dwa stulecia, przygniata nas i zsuwamy się tłamszeni w stronę wolności.

Lektura *Tygodnika Solidarność* napawa mnie smutkiem, a w ustach czuję niesmak. Nawet gdyby mieli rację, to jak brzydko ją wyluskują. Nędza felietonów, reportaży, widać tylko palce, które próbują uszczypnąć, nogi, które chcą kopnąć. I ten Wałęsa, wszędzie, w dziesiątkach postaci. Wałęsa na gorąco, Wałęsa na zimno, Wałęsa panierowany, z kością, i nawet z rodzinami po żydowsku.

Gazeta Wyborcza bardziej schludna, mała jak rasowy, ale zawzięty ratlerek. Ośmiesza Wałęsę, korzystając z jego potknięć. Żadnego kłamstwa, tylko odpowiedni dobór kwiatów w bukietcie. Szkoda, że tak dobrze pamiętam czas, gdy z takich samych jego potknięć robiono perły.

Doszło do tego, że zyskuje *Polityka*, co ja na to poradzę, bardzo dobre pismo, i w sytuacji gdy dawna opozycja obrzuca się błotem, oni całkiem korzystnie się prezentują, pokryci już wyschniętą skorupą dawnych lat. A tak przeze mnie nielubiani felietoniści też jakby pojaśnili na naszym nagle pociemniałym tle.

Wszystko zbrzydło, jak w mieszkaniu po weselu, gdy nagle o świcie wybuchła kłótnia. Nawet wolność w wazonie straciła kolor i zapach.

Kołysząc się krokiem, niosąc przed sobą brzuch i wąsy, zmierza ku szeroko rozstawionym nogom prezydenckiego fotela. Nawet tu daleko–niedaleko nieustannie spotykam zbolale twarze inteligentów. Wyglądają, jakby ich rzuciła kobieta. Mało kto już teraz przyznaje się do uczuć, no ale stosunek były, i czasami tańczyło się nawet publicznie razem. Nie lubią, jak im o tym przypominać. „Zmienił się, kiedyś był inny, z takim byśmy nie mogli”. A mogli, mogli... tylko nie patrzyli.

Czasami jestem skłonny z przekory zaakceptować Wałęsę. Ale on mi na to nie pozwala. Już jestem bliski... gdy zaraz znowu coś chlapnie, włączam wycieraczki, ale nie potrafię tego zetrzeć. Z programu na żywo w WE dowiedziałem się, że nasz przyszły prezydent pojechał do Chile i tam rozwiązał wszystkie problemy tego biednego narodu. Albo takie żale: „Przecież wszystkie tych ludzi, którzy są dzisiaj na górze, ustawiłem! Zapomnieliście o tym?...” Czasami używa w tym samym kontekście pojęcia „delegowałem”. Zbliżamy się nieuchronnie do boskiego pojnowa-

nia własnej osoby. Tak oto głos ludu staje się ciałem i duszą wszystkich Polaków, a nawet więcej – o czym świadczą słowa: „Żeby zbudować rozwój, trzeba się ze mną pokłócić”.

Mój znajomy zza oceanu dostąpił kiedyś zaszczytu bycia tłumaczem Wałęsy. Jako że raz nie dosłyszał, został obrugany tak brutalnie, że do dzisiaj nie może dojść do siebie. A potem zagniewany przewodniczący powstał i – relacjonuje znajomy – „przeszedł przez nas jakbyśmy byli z powietrza, jak przez zbiorowisko duchów”. I o dziwo, znajomy nabrał po tym do Wałęsy wielkiego szacunku. „Bo tak gigantyczny gbur musi być wielkim człowiekiem”.

Ale właściwie czyż nie wystarczy, co nam oferuje organ Wałęsy TS? Przychylność tego tygodnika Przewodniczącemu zbiłaby z nóg afrykańskiego bawoła. Oto czytamy sprawozdanie z gmachu telewizji, gdzie miało miejsce spotkanie Wałęsy z pracownikami. Trwa tam autentyczny konflikt starej nomenklatury z nowymi ludźmi i jest z pewnością bezradność jakże bliskich memu sercu osób, które wpakowały się w nieprzebyte bagna tej instytucji. Wałęsa miał pogrozić: „Przyjdę tu z kampanią ochotników, zamknijemy się na całą noc, wybierzemy najlepsze wyjście. Do tych, co nam blokują inicjatywę, dobiórę się. Paru takich znam”. I tu następuje komentarz zdolnego dziennikarza: „Ludzie bili brawo. Prezesa milczeli”. I dalej: „Powiedźcie jak to jest – pyta Wałęsa – że gdziekolwiek spotykam się z ludźmi, oni mnie rozumieją i ja to czuję, a potem te wasze sondáže mówią zupełnie coś innego?” Komentarz: „Odpowiedziały mu brawa. Było jasne, że się porozumieli. Zło dzieje się ponad nimi. (...) W pierwszych rzędach, nie okazując żadnych emocji, siedzieli z kamiennymi twarzami prezesa Drawicz i Dworak”.

Ciekawe, do jakiej rozpacz doprowadziła niektórych inteligentów warszawsko-krakowska śmietanka, skoro stali się zwolennikami takiego stylu. Tłumaczą się – nie styl jest ważny, a efekty. Jakby styl nie miał wpływu na kształt i zapach efektu.

Doprawdy są ludzie, którzy z przekory potrafią popełnić samobójstwo. Znam nawet pewnego semitę, który żeby się głębiej usadowić kontra rządowi i ROAD, stał się antysemitą. Czytam mu taki oto pasztecik ulepiony przez Jarosława Kaczyńskiego: „My (w przeciwieństwie do ROAD) wywodzimy się z innej tradycji. Reprezentujemy tę część społeczeństwa polskiego, która nie poddała się komunizmowi, dla którego ta gra z systemem komunistycznym miała charakter potworczy, a istota związana z polską tradycją została nienaruszona”.

– No i co ty na to? – mówię, pewien, że mam go w saku.

– Ja się z tym zgadzam – rzecze godnie i unosi głowę, jakby chciał polknąć własny nos.

W tej sytuacji wstydliwie schowałem notatki, gdzie ośmieliłem się też zapisać głos chłopski popierający Wałęsę. To mówi trybun naszych rolników, Bartoszcze, który przez chwilę był zakazany lewicą, ale w porę przejrzał.

„Kiedy zobaczyłem, że ta jedność służy nie niszczeniu komuny, ale robieniu 'polityki' kosmopolitycznej, wtedy odszedłem”. Odszedł w ramiona polskie i chrześcijańskie, w ramiona Wałęsy. Cytat: „Wałęsa, o tym samym polskim, naszym narodowym chrześcijańskim charakterze”.

Kilka miesięcy temu spotkałem X, jednego z bardziej gorących zwolenników Wałęsy, dziś człeka z dworu. Mówi:

– Wałęsa to mniejsze zło. Któż lepiej niż ja zna jego wady. Ale trzeba rozciąć supeł zawiązany przez lewicę.

– No, a jak zostanie wybrany i supeł już będzie przecięty? – pytam.

– Wtedy trzeba go będzie... – tu się rozejrzał – zastrzelić!

– Zabić? – przestraszyłem się, gotowy własną szeroką pierśią zasłonić przewodniczącego przed sztyletem Brutusa. Nie było to jednak łatwe. Bo siedzieliśmy w małym fiacie. Na szczęście sztylet w oczach X został przykryty miękką powieką.

Wałęsa prezydentem. To niepokój. Ale Wałęsa, który nie wygra wyborów? Czyż nie jest to równie niepokojące? Na tym nie koniec niepokojów, bo Mazowiecki prezydentem, to też niepokój, chociaż wypełniony po brzegi statecznym spokojem. Wałęsa najpewniej wygra te wybory, szczególnie, że zwolennicy ROAD zabierają się do kampanii jakby przed chwilą wstali z łóżka i zaspani nie mogli do dziś odnaleźć okularów. A jeżeli Wałęsa wygra? Już widzę chmarę ludzi, którzy fruną spod jego skrzydeł na stanowiska. Całe to zbiorowisko martyrologicznych palantów, frustratów, którzy szukali tam narkotyku na swoje bóle, rozognionych ciotek rewolucji, ascetycznych braciszków zakonu byłych więźniów świętej sprawy...

Już kilku takich widziałem. Nie wydają się mądrzejsi od starej nomenklatury. I ta buta... Stara nomenklatura wita ich obnażając miękkie brzuchy. I w podskokach spełnia liczne żądania, które tamci rzucają spod wyniosłego czoła.

Na ulicach polskich miast obnażył głowę cham, zawsze ją

nosił, ale przykrytą kołnierzem. I wypłynęła z głębi rzeka narodo-owo-katolicka. I pomyśleć, że niemal cały ten żywioł szuka gdzieś dla siebie pieca i legowiska.

„Porozumienie Centrum” i Wałęsa wydają się czystszy rasowo i bardziej polsko-katolicki, niż niepewny ROAD, więc tam wałą drzwiami i oknami. Ci jednak wiedzą, że ten mrok im zagraża, otrząsają się jak pies, ale niezbyt energicznie, bo przydadzą się te głosy w wyborach. I jak dobrać się do tych pcheł, skoro one sprytnie lokują się u nasady ogona.

Zaczyna się kampania wyborcza. I oto rzesze wyborczych kompanów będą popierać, jedni Wałęsę, drudzy Mazowieckiego. Ci najinteligentniejsi po obu stronach będą to czynić bardziej po to, by przeciwnik nie został prezydentem, niż z przekonania, że ich kandydat się nadaje.

Jedni mówią – Wałęsie brakuje klasy, brakuje wiedzy, ale tylko on rozbije nowy monopol.

Drudzy mówią – Mazowiecki jest senny jak ryba, depresyjny, nie potrafi podejmować decyzji. Ale tylko on zagrozi drogę bełkotowi Wałęsy.

Tak oto mówią najgorliwsi, najbardziej sprawni zwolennicy obu kandydatów. Wiem, bo to słyszałem, ale rzecz jasna nie publicznie, tylko w salonach i korytarzach, na ucho i szeptem.

Zaś obaj pretendenci ociekają skromnością, im nie zależy na władzy. Wałęsa nie chce, ale „będzie musiał”. Mazowiecki wie, że „są zapewne inni, lepsi kandydaci”. Obaj więc poświęcają się dla sprawy.

Tak oto wybierzemy mniejsze zło i mniejsze zło zasiądzie na prezydenckim fotelu, by zacząć czynić to, co mniejsze zło robić najbardziej lubi – rosnać.

Michnik powiedział w radiu o Wałęsie: „przypuszczam, że Lech Wałęsa nie zostanie prezydentem z podobnych przyczyn, dla których ja nigdy nie będę spikerem radiowym”.

A Wałęsa na to: „On tyle mlaska, że człowiek za nim nie nadąży. Ale tym razem przeprosiny będą znacznie trudniejsze niż poprzednio, kiedy to Adam przeproszał mnie na klęczkach”.

Oto dłaczego nie mają racji ci, którzy twierdzą, że spory na Zachodzie są o wiele brutalniejsze, a wszystko jednak gra. U nas będzie skrzypiec. Bo to spór w rodzinie (Wałęsa jest nawet ojcem chrzestnym michnikowego syna). To dotykanie się ludzi

pozbawionych skóry, a więc każde dotknięcie kaleczy. Tu spór nie ma żadnej tradycji i głęboko rani.

Całe nasze dyskusje, biadolonia, gniewy, rozpacze, złe krwie, naukowe rozprawy – to wszystko X. ujął w jednym zdaniu – „my teraz po prostu nic nie umiemy”. Można to rozwijać, ale ze szkodą dla dramatyizmu tego zdania wypowiedzianego z nieco sepleniącą melancholią. Wymycie profesjonalizmu z naszej gleby przez potop sowieckiego socjalizmu jest większe, niż spodziewali się najwięksi pesymiści. Oglądamy te spustoszenia w zależności gdzie kto siedzi lub leży. Np. pewien znany nasz ekonomista uważa, że największym dramatem jest brak sekretarek. Owszem, można i tak. W Polsce nie ma sekretarek, są młode lub starsze wiekiem niewiasty, które bez większego powodzenia próbują zaparzyć herbatę. Jak wiadomo, każda zachodnia instytucja przestaje istnieć bez sekretarek, jak więc budować sprawne instytucje bez nich. Można by tak się bawić, udowadniając, że brakuje nam tysięcy śrubek, by cokolwiek zaczęło funkcjonować. Rzecz w tym, że ich się nie da dorobić, one się muszą urodzić, a potem urobić.

I tu właśnie jest dramat ewentualnej zmiany władzy, która pociągnie za sobą wymianę ministrów itd. To jakby wyjąć kurze historii jajka, które od roku z trudem wysiaduje. Z jajek, to prawda, niewiele się wykluwa, ale mimo wszystko amatorzy się uczą. Teraz przyjdą nowi amatorzy i wszystko zacznie się od nowa. To właśnie jest demokracja, ale czas... czy my mamy czas, by od nowa się uczyć?

Mam poczucie siedzenia na falochronie w czasie wysokiej fali. Na tym falochronie, mokrzy i zziębnięci, siedzą liczni znajomi, ten minister, tamten doradca, inny dyrektor. I co chwila fala wyrzuca na falochron jakąś nową ofiarę. Na pewno znajomy. Spotykam takiego tutaj, niespodzianie, bo wiedziałem, że ma przybyć ktoś ważny, ale nie skojarzyłem nazwiska. patrzę, a z nazwiska wyłazi G.

– Co tu robisz, ty też na dyrektorskiej grzędzie, tyś też oszalał? – krzyczę zdziwiony, ale to moje krzykliwe zdziwienie go nie dziwi, bo on sam zdziwiony i nieco zgorszony sobą.

– A oszalał, oszalał – biadoli – miałem spokojne, dobre życie, skusiło i jest bieda.

Zaczyna się teraz opowieść, którą słyszę w różnych wersjach od wielu. Ofiara, wyrzucona falą naszej pokojowej rewolucji na

falochron władzy, jest wystawiona na niezliczone cierpienia. Każdy urząd w Polsce to góra zastygłego kału. Jak to usunąć, skoro siedzi się na czubku. Tłum nomenklaturowców podryguje jak przerażona galareta. Ta galareta jednak wie, że jest potrzebna. Tylko oni potrafią myszkować wśród zastygłych odpadów przeszłości, bo sami je z siebie wydalali. Nieliczni nowi, których mógł wprowadzić nowy dyrektor, są zagubieni na amen. Zupełnie nieprzygotowani do tej pracy, bo niby skąd, szczerzą bezradnie zęby do zastanej sytuacji, albo, co robią najczęściej, wchodzą w stan symbiotyczny z nomenklaturą, a jako że są delikatnej kompleksji, zarażają się od niej licznymi chorobami. A siedzący na czubku dyrektor ma przede wszystkim poczucie bezradności. Od czasu do czasu wykonuje gwałtowne ruchy jak mucha w sieci. To niegroźne, bo pająk jest martwy, ale sieć jest żywa.

Minister X. (intelektualista): „Mam poczucie, że statek, którym mam kierować, jest zrobiony z materiału, który nie chce się utrzymać na powierzchni. I oczywiście wszyscy mają do mnie o wszystko pretensję. Przychodzę skonany wieczorem do domu i szukam w telewizji sportu, ja, który nie byłem nigdy kibicem”.

Myślę: skąd ja to znam, tu przynajmniej łatwo o sport w telewizji.

Rozmowa z S., on sternikiem innego pijanego statku. Mówię:

„Mój największy dzisiaj problem... mam dosyć Polski, dosyć jako codzienności, dosyć jako sposobu myślenia, dosyć w tym co jest u nas przeciętne i co teraz wypływa na wierzch. Ale odkryłem, że nie jestem w tym sam, że wyczerpanie Polską staje się powszechne, ale głęboko ukryte, jak wielka sieć konspiracji złożona z konspiratorów, którzy o sobie nie wiedzą, ale czują tak samo”. Spojrzał na mnie czułym okiem, co zdarza się, gdy bratnia dusza dotknie ciepłą dłonią bratniej duszy.

„To Pan też...”

Czego nie powiedziano Polakom wczoraj, a dzisiaj się mówi, ale poprzez watek: że to sprawa nie na miesiące, nie na lata, ale na lat dziesiątki. Że słabi muszą wypaść z gry. Że gra będzie długa. Że w miejsce po wyrzuconych komunistach wpłynie rzeka błota. I że są podejrzenia, iż desant Balcerowicza był o jeden most za daleko...

Znowu polskie lęki, ale na poziomie wyższym niż lęk, że okradną samochód, a sąsiad zrobi pieniądze. To nasza dzisiejsza metafizyka, a więc... Mroczne Piwnice Magdaleny, schowki w nogach Okrągłego Stołu, potajemny powrót Onych. Chłód od Luki Technologicznej co nas dzieli od Zachodu, Hiperinflacja majstruje przy tylnych drzwiach. I jakby mało było nieszczęść — słyhać złowrogi skrzyp, to skradają się Zjednoczone Niemcy.

Coraz częściej odbija mi się Polską, prawie zawsze szaro, czasami tylko zielono parkiem łazienkowskim. I napływają obrazy, przed którymi się bronię, ale one są silniejsze. Kolejka w warsztacie samochodowym i gwałtowne ssanie brakujących części zamiennych, mdły zapach braku benzyny na stacjach, przybita stemplem groza urzędu pocztowego i supeł ludzkich nieszczęść nie do rozwiązania w miejskim autobusie. I jak ciepłe kaganki miejsca, gdzie mieszkają bliscy mi ludzie. Boję się pochylić twarz, by się nie sparzyć.

Kultura nr 518, listopad 1990

LISTOPAD 1990

Coraz bardziej lubię samoloty. A jeszcze nie tak dawno bałem się latać mniej lub bardziej – bardziej niż mi na to pozwalała moja męska duma, mniej od większości ludzi, którzy słusznie uważają przemieszczanie się tak wysoko w metalowej puszcze z nienaturalną prędkością za zajęcie ryzykowne. Ale ostatnio ani śladu niepokoju. Gdy samolot zakołysze się lub spadać zacznie w powietrzną dziurę, a na twarze pasażerów lek wkłada najbardziej fantazyjne maski, ja uśmiecham się oczekując, że a nuż zdarzy się coś, co zdarza się tylko raz w życiu. Nic z tego. Schodzimy pewnie i gładko z chmur, by zobaczyć Ursynów, jak wyjedzone przez słońce kości ułożone w perfidnie nudny i geometryczny kształt. Kto by pomyślał, że właśnie tam, jakże dawno i niedawno, przemykałem się chyłkiem pod kolczastym drutem milicyjnej godziny. A ta młoda stewardessa była wtedy jeszcze dzieckiem. Spotykana na schodach udawała, że mnie nie zna, podobnie jak jej rodzice, których podejrzewano o to i owo, nie wiem czy słusznie. W każdym razie nie łączyło mnie z nimi to, co z kilkunastoma mieszkaniem na mojej klatce schodowej i w okolicy. Gdzie dzisiaj jest ta sieć? Co stało się z korytarzami, które łączyły nasze domy, gdzie z ręki do ręki podawaliśmy sobie jeszcze gorące książki drugiego obiegu. Zasypał je piasek, czy mieszka tam wielogłowy szczur?

– Nie spodziewałem się, że będzie mi pani kiedyś podawała herbatę – mówię do stewardessy-sąsiadki i to są pierwsze

słowa, jakie do niej kiedykolwiek wypowiedziałem, a ona płonie się i tak odchodzi jak milcząca pochodnia.

Okęcie przypomina stodołę, gdzie niezbyt starannie wymieciono słomę. Jakżeż tu swojsko, chociaż zarazem obco. Grupka pracowników lotniska w zniszczonych drelichach i o nie mniej zniszczonych obliczach siedzi w kącie, jakby utkwiała w zapyziałej pajęczynie. Pewne ożywienie spowodował Józek – tak się do niego zwracali – który wkroczył triumfalnie na salę przylotów – podobnie wchodzi w miejsca publiczne zwycięscy wodzowie, albo ludzie obdarzeni wielką tajemnicą – i zataczać się począł między pasażerami, ciągnąc za sobą alkoholowy welon. „Józek, po co leżysz między ludzi, połów ty się w magazynie” – mitygować go zaczęli ci z pajęczyny. Ten jednak upodobał sobie bagażę wypływające z dziury na ruchomej taśmie. Cóż za niewygodne miejsce do spania. Cóż za niezwykły kraj. A jednak to mój kraj, wdycham go pełną piersią, obwąchuję jak pies, z lubością wkładając nos choćby pod ogon. I patrzę z niepokojem przez plastikową szybę na tamtą stronę: chociaż wiem, że nikt po mnie dzisiaj nie wyjdzie, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdzieś tam powinni być wszyscy moi zmarli i bezwiednie szukam siwej głowy ojca. A jednak czekają na mnie i to tłumnie. Zastępują drogę i syczą – taksóweczkę, taniej, taxi... I poczułem się osaczony jak w Indiach przez tłum namolnych rykszarzy i – podobnie jak tam – znalazł się jeden najbardziej uparty, jak cień idzie w krok i nudzi – „Wiozę taniej, 100 tys. albo 10 dolców”. „Odczep się Pan” – rzucam w gniewie, odczepił się. Na postoju wielkie stado taksówek, których najwyraźniej nikt nie chce, bo wydają się pokryte kurzem. Dowiaduję się, że tu kurs będzie kosztował 200 tys. Czuję, że jestem w rękach gangsterów, a moja bezradność owocuje nagłym gniewem na Krzysztofa Kozłowskiego. Pojawia się ten uparty, widać krążył z boku jak sęp i oferuje ochłap kursu za pół ceny.

Jedziemy mercedesem, który pamięta Adenauera, a taksówkarz mówi, że będzie głosował na Wałęsę. Pytam, dlaczego – patrzy na mnie jak na głupiego. Przecież to jasne. „Żydzi znowu opanowali wszystko w Polsce i Wałęsa oczyści”. Czuję się dziwnie, jakby ktoś przypadkiem spotkany recytował mój scenariusz. Toż pisałem kiedyś, że prawie wszyscy znajomi skarżą się, że niemal każdy taksówkarz... Cytowałem ich mając nadzieję, że to jednak nieprawda. I masz babo placek. Czynień rozpaczliwy wysiłek, by przegnać zły sen – „Żydzi, przecież Żydów w Polsce już nie ma”.

Nie wiedziałem, że moja naiwność będzie tak niebezpieczna. Wstrząśnięty bezmiarem ludzkiej głupoty kierowca szarpnął kierownicę, a kiedy okazało się, że uszliśmy z życiem, uświadomił mnie, że o n i są wszędzie, że nas wykupują, często na spółkę z Niemcami.

Ulice Śródmieścia były pełne handlujących, żałośnie, szmatławo, niechlujnie. Jak na Azję zbyt ubogo, na Afrykę za mało orientalnie. Czy to są ci groźni Żydzi? Na murach Uniwersytetu wiatr wybrzuszał płótno z napisem – „Polska 1990, kraj inkwizycji”. Zapłaciłem 10 dolarów i na pożegnanie zapytałem, co będzie, jak Wałęsa nie „oczyści”, a ekonomia nie ruszy? „To będzie, panie, koniec Polski, może tak być” – rzekł chowając swój łup. Zjrzałem do kiosku. Na kościelnym piśmie jaśniały gołe damskie pośladki. Czy to są wedle studentów ofiary naszej inkwizycji?

Udałem się do mieszkania, płochliwie i niepewnie, bojąc się, co zastanę po miesiącach niebytności. Nowa lista lokatorów, którą rok temu osobiście wkleiłem w miejsce żalosego strzępka, sama stała się strzępkiem, gdzie nazwiska nie miały imion lub odwrotnie. Klatka schodowa pogłębiła znacznie swoje niechlujstwo. Zamek zaciął się i poczułem, że drzwi własnego mieszkania wymierzają mi policzek. Ustąpiły, gdy straciłem już nadzieję. Wszystko stało na swoim miejscu, ale niepewnie. Meble miały ochotę przybiec na powitanie, lecz nie potrafiły siebie udźwignąć. I poczułem, że 15 lat, które tu przeżyliśmy, spłoszone mym wtargnięciem ucieka przez wszystkie szczeliny. By się wzmacnić, zaparzyłem sobie herbatę. Zakrztusiłem się pierwszym łykiem. Woda nie nadaje się do picia. Ruszyłem do sklepu, by kupić mineralną. W sklepie dużo towaru, ale tylko w kontraście z tym, co było niegdyś. A ceny, wiadomo, 40 stopni gorączki. Kasjerka mówi, że trzeba się śpieszyć, bo sklep podlega likwidacji. Wyszedłem w ostatniej chwili. Potem zauważyłem, że większość sklepów jest likwidowana, co często oznacza tylko inną formę dalszego istnienia. Otworzyłem telewizor. Chlusnęła mi w twarz polityka, chciałem zatkać dziurę, ale strumień był zbyt intensywny. Sześciu kandydatów na prezydenta przekonywało 40 milionów Polaków, że powinni na nich właśnie głosować. Wydawało się, że stanowią jedno ciało o sześciu głowach, jedne głowy były bardziej kwadratowe, inne bardziej okrągłe, ale mówiły mniej lub bardziej gładko to samo, chociaż w głębokim przekonaniu, że mówią co innego. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że reżyserzy tych programów należą do obozu przeciwników i sta-

rają się przedstawić kandydatów w najmniej korzystnym świetle. Wpadłem na to od razu po doświadczeniach amerykańskich, gdzie wielokrotnie oglądając *baseball* dopiero po długim czasie odkryłem, że ten, który ciska piłeczkę jest przeciwnikiem tego, który próbuje walnąć w nią kijem.

Wykonałem kilka telefonów. Aparat łączył z trudem, ale jednak łączył, prezentując wszelkie możliwe odmiany chrypy. Znajomi po tamtej stronie uśmiechali się do mnie, ale jakby poprzez ból zębów. Mówili, że tu jest strasznie ciężko, istne szaleństwo, wszyscy o wszystkich źle mówią, po czym sami zaczęli źle mówić o sobie nawzajem.

– Ale o co właściwie chodzi? – zapytałem.

– Wyjrzyj przez okno, wyjdź na ulicę.

Wyjrzałem, wyszedłem. Uderzyło mnie, że domy otoczone są przez samochody, które tłoczą się w najmniej dozwolonych miejscach, jak owce, które poczuły drapieżnika i przytulają się do siebie i do ścian domów. Podobno ilość włamań i kradzieży przybrała zastraszającą postać. Wyminałem z wprawą kilku pijanych osobników, którzy przemierzali się wydając z siebie nie-ludzkie dźwięki i zanurzyłem się w ciemnej ulicy, której krzywy bruk stanowił kłopotliwe urozmaicenie. I tak idąc miałem poczucie, że toruję sobie drogę w materii bardziej gęstej niż powietrze, to był nie tylko zapach spalin, ale wyczuwalna obecność... strach powiedzieć... czarta. Nie jest to dziedzina, gdzie mam jakiegokolwiek doświadczenie. Ale na czarta jak na seks człowiek reaguje instynktownie. Wracać zacząłem pośpiesznie do domu, sam przed sobą udając, że się nie boję, bo nie wypada bać się czegoś w co się właściwie nie wierzy. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że już się o Niego otarłem, a nawet zapewne siedzi mi za kołnierzem i to od dawna.

Kilka wirujących dni. Co zostanie na dzień? Sam jestem ciekaw. A teraz wysypuję wszystko niechlujnie i nie po kolei.

Bank. Co za energiczne międzynarodowe słowo, jak gwałtowne wybrzuszenie warg. Nasz bank powinien mieć inną nazwę, kojarzy się ze śliną zwisającą z gąbczastego pyska buldoga. Zmierzałem tam pełen najgorszych przeczuć i rzeczywiście już przy drzwiach wpakowałem się na rozległy zad kolejki. Nasze kolejki mają z reguły rozlazłe zady, a za to cienką głowę. Stałem w tym zadzie i od razu poczułem, że mieszkam w tej kolejce wiele lat. Czas płynął. Awantury zaplatały supły tu i tam. Prze-

mieszczaliśmy się powoli. Dziewczyna stojąca przede mną przedzierała się dzielnie przez meandry i katarakty *Res Publici*. A więc nawet w takich warunkach próbujemy być Rzeczpospolitą i Europą. Gorzej, że komputery używane przez personel były brudne i przypominały stare narzędzia w stodole. „Komputery też są przeciwko nam” – rzucił ktoś głęboką myśl. A ja nie wiadomo kiedy poczułem, że coś we mnie, bo przecież nie ja, szepce „Wałęsa na Prezydenta. Niech przyjdzie i kopnie ten bezwładny worek kartofli”. Tak oto odkryłem główny mechanizm napędzający Wałęsę zwolenników. Jego tryby to – „A nuż coś się zmieni”, „Trzeba spróbować, gorzej niż jest nie może być”, „Jest nie do zniesienia”, „Przeegraliśmy tu swoje życie”.

Wieczorem znajomy pianista, dobry pianista, opowiada, że już nie da się żyć z grania. Ma smykałkę do hydrauliki i wraz ze swoim perkusistą i saksofonistą będą teraz tworzyć hydrauliczne trio. Bardzo są nieszczęśliwi i będą głosować na Wałęsę. I na Wałęsę będzie głosował cały nasz mrok. To tylko po części wina Przewodniczącego i sprawi mu ta kampania wkrótce wielki kłopot, bo nie łatwo odciąć mrok. Będzie więc nań głosować rzesza rasowych czyścicieli, a okazało się, że są ich zastępy i że mnożą się nieustannie przez pączkowanie. Zresztą czy to rasizm, sam nie wiem? A jeżeli tak, to bardzo skundlony, ze słowiańską domieszką. Co za dziwny kraj. Szukajcie Żydów, nie znajdziecie ich. Spytajcie kogoś czy jest antysemitą, obrazi się, może nawet krzywdę zrobi. A jednak antysemityzm rośnie w Polsce, bez Żydów i antysemitów. Jak stary ból w amputowanej kończynie.

Największy obecnie nasz problem – jak to z tym Mazowieckim? Jest czy nie jest? – „Przecież chodzi do kościoła”. – „Tym gorzej, to przechrzta”.

Na wiecu w Płocku jakaś życzliwa dama trzymała w dłoni dokument, którym się podzieliła publicznie, że pogrzeb ojca Mazowieckiego był katolicki.

– Lepiej Żyd niż dureń – mówi G.

– Niby lepiej, ale jakoś nieładnie – mówi K. Zaś L., znany filosemita, nachyla się i pyta mnie – No niech pan mi powie, tak naprawdę, jest czy nie jest?

Na wiecach Wałęsy gotuje się jak w kotle. I zawsze pytanko: „Czy oczyści...” Piętnaście minut oklasków. „No, no – grozi dobrotliwie Lech – w co wy mnie chcecie wkopać...”

Podsluchana w windzie rozmowa, która jest miarą gorączki.

– Nie będę głosować na pańskiego gułajja.

– Ani ja na pani fiurera.

Janusz Korczak na plakatach reklamujących film ma niemal zawsze dorysowaną na czole gwiazdę Dawida. Czy jego dzieciom też by rysowali? A na betonie komory gazowej?

Przekonanie, że Żydzi rządzą obecnie Polską wydaje mi się dzisiaj wystarczająco powszechne, by prezydentem został ktoś bezspornie czysty rasowo. Człowiek jednak zawsze w tej mierze niepewny, szczególnie gdy poważnie traktuje się Adama i Ewę. Dlatego ja bym proponował na Prezydenta wędkę Lecha Wałęsy lub krawat Tadeusza Mazowieckiego.

Paweł, lat 16, przyjaciel mego syna. Porusza mnie ta rozmowa. Jest taki niewinny i uczciwy w tym brudzie. I myślę bezwiednie: „Boże, uchron go przed Polską”. A jednocześnie cieszę się, gdy mówi, że nie chce wyjeżdżać. Jego przerażenie tym co się dzieje wokół. „Cale szczęście, że jeszcze jestem dzieckiem” – mówi, on, 187 wzrostu, gruby głos. Nie chcą być dorośli! Mówi:

– Czuję jak polityka mnie zagarnia, ale bronie się, wszyscy moi koledzy i koleżanki, bronimy się. Ojciec, niedawno ujawnił się jako zwolennik Wałęsy, matka przestała z nim rozmawiać, pokłócili się z sąsiadem. Tu chyba wszyscy potracili rozum.

Niedawno, gdy szedł ulicą, zaatakował go jakiś człowiek, nawet był trzeźwy. „Upierał się, że źle na niego patrzę. Co robić z oczami?” Ma poczucie życia na śmietniku: „Żyjemy w strzępkach Zachodu, ich muzyki, filmów, techniki, a gdzie my jesteśmy?” Opowiada o szkole, chodzi już do liceum. W podstawowej próbowali wprowadzić do szkoły demokrację, walczyli z ospałymi nauczycielami. Teraz już nikt w szkole o nic nie walczy.

Mówię: – Jak tak można, bierzcie to w swoje ręce, teraz nikt wam nie przeszkodzi, a nawet są tacy na górze co pomogą. Nie wierzy.

– Trzeba będzie tu jakoś przeżyć swoje życie – mówi pogodzony z tragiczną koniecznością.

Poczułem, że mam łzy w oczach. Kiedy to mi się zdarzyło po raz ostatni? Chyba w sierpniu 1980 roku. Koło zamyka się.

Bezradność. To stan niezwykle powszechny, zajmuje obfite przestrzenie, a zarazem czy coś jest starannie maskowane na tym świecie – ileż malowania, perfumowania, farbowania, zasłaniania, zagłuszania – byle nie zobaczyć prawdy.

Nasza nieszczęsna cywilizacja jakże bezradna wobec problemów, które sama z niezwykłą płodnością wyrzuca ze swego skomputeryzowanego łona.

Dzisiaj w Polsce ta bezradność jest bezwstydnie obnażona. Bezradni są zwolennicy Mazowieckiego i jego przeciwnicy. To samo z Wałęsą. Pod namiotami dwu wrogich obozów słychać szep: „Co robisz, co robisz, wygląda to beznadziejnie”. Na posiedzeniach rządu nawet powietrze rozkłada beznadnie ręce. „Jak to chwycić, jak przesunąć?” Bezradni są ludzie za cokolwiek odpowiedzialni, i nieodpowiedzialni za nic. Do najbardziej beznadnych należą milicjanci...

Gdy ze znajomą wstąpiliśmy na chwilę do kościoła, okradziono jej samochód. Nieszczęście, bo samochód bardzo jej teraz potrzebny — syn w szpitalu, ktoś go napadł na ulicy i poranił nożem. Komisariat na Jezuickiej, przytulony do Katedry, jakby chciał powiedzieć — ci, którzy nie wyleczą tam duszy, trafią do nas. Wchodząc, staram się nie myśleć, że na którymś z tych krzesel zamordowano syna Basi Sadowskiej. Milicjanci siedzą w podkoszulkach, bojąc się sprawdzić, czy mają spodnie. Wyglądają na ofiary, a nie stróżów prawa. Aż żal tym bidakom cokolwiek mówić, przecież te sterty papierów, które zaraz runą, to są właśnie ukradzione koła samochodowe, włamania do mieszkań, rozboje. Oni nawet nie nadążają tego spisywać. Jak tu mieć nadzieję na jakąś inicjatywę. Nawet wyrażenie zainteresowania jest ponad ich siły. Mówią: „Nie ma ludzi, pieniędzy, sprzętu. Wszystko się sypie. Trzeba zmienić pracę. Być złodziejem to teraz interes, bieda być milicjantem”.

Nad bramą domu znajomych napis, którego jeszcze niedawno nie było: „Tu kupisz broń i amunicję”. Kiedyś w tym miejscu sprzedawano bodajże tapczany. Przy drzwiach do mieszkania znajomych zaniepokoił mnie mechanizm o mało humanitarnym kształcie. Potem dowiedziałem się, że to alarm. Znajomi postanowili zamontować go po pewnym wieczorze. Oglądali właśnie film kryminalny w telewizji, kiedy rozległ się dzwonek. Nie otwierali, mimo, że ktoś był natarczywy. Nagle drzwi uniosły się i pojawił się błyszczący pyszczek łomu.

Po takiej przygodzie założyli sobie alarm, którego też się obawiają, ale najgorsze, że już nie wiedzą czy lepiej jest otwierać drzwi, czy ich nie otwierać, gdy ktoś dzwoni.

Większość budynków w naszych miastach posiada domofony, liczne, poruszają tryumfalnie wąsami satelitarnych anten. Wchodzimy do Europy gwałtownie, ale na czworakach i jak się wydaje poprzez piwnicę. Tu właśnie póki co jesteśmy.

Spotykam K. Jak zwykle w biegu, jak zawsze zdaje się na

brzegu zawału. Co słychać. Oczywiście narzeka na brak czasu. Jeszcze wczoraj było go w nadmiarze, jedna z naszych atrakcji wewnątrz socjalistycznego bezsensu. Teraz czas ma w Polsce biegunkę, niewiele z tego wynika, ale wszyscy biegną. Całuję się z K. w biegu, potem biegniemy razem. — „Co robisz?” — sapię. Odsapuje, że nie ma na nic czasu.

— Do tego, co robisz przydałoby się z 50 ludzi, a mam kilku.

— Co ty na Boga robisz?

I wtedy mi powiedział... Poczulem mróz na karku. Mam straszną ochotę powtórzyć, ale się boję.

— I... tak to mówisz?

— Przecież i tak wszyscy wiedzą.

Całujemy się w biegu na pożegnanie. A ja myślę, co za zważony czas. Każdy odcień władzy leży na ulicy. Byle być z kręgu znajomych i przyjaciół królika.

Tłok na cmentarzach. Święto zmarłych jest oczywiście świętem żywych. To smutny triumf jeszcze żywych wobec tych, których już nie ma. Chodząc po Powązkach miałem poczucie niezwyklego spotkania. Tylu znajomych, jakże często na szczytach władzy, oto minister X. czuli swoją dłoń w mojej dłoni, milczymy, ale ja wszystko wiem — bardzo mu ciężko. A tam Andrzej Wajda pobrękuje skarbonką — to na odnawianie grobów. Powązki rzeczywiście coraz piękniejsze, za to w ruinę zmieniają się nowe dzielnice naszych miast. Przesuwam się w toku ściskając ręce, jestem obok Leśmiana, on już za życia był tak pelen niebytów, że jak tu w prawdziwy uwierzyć. Wpada na mnie S. Co w wydawnictwach? — „Fatalnie, wydaje się, że tu już nic nie chce żyć”.

Przypomniałem sobie, jak w stanie wojennym, już bez nadziei, chodziłem po tym cmentarzu i czułem się tu najlepiej, najpewniej, zazdroszcząc po kryjomu tym leżącym pod kamienną pierzyną. Przekreśliło się koło historii i teraz my jesteśmy na wierzchu, ale jakże nam niewygodnie.

Zaduszny autobus wiezie mnie do centrum miasta. Zoczył mnie S. Krzyczy przez głowy ludzi: — „Ja głosuję na Mazowieckiego, ale nasza redakcja dzieli się pół na pół. A w ogóle to zdychamy jako pismo”.

Wysiadam z ulgą przed Pałacem Kultury, bo miałem poczucie, że S. mnie kompromitował. Pałac Kultury w listopadowym chłdzie wydaje się soplem rzeźbionego lodu. A postacie robot-

ników i wielkich Polaków podpierające spód kolosa mają wyraz niebywałego cierpienia. Wiatr hula na wielkim placu, zatrzymując się na chwilę przy grupce ludzi. To handlarze. W normalny dzień kipi tu podobno największe w Europie targowisko. Ale któż dzisiaj się ośmielił? To sowieccy turyści. Ich twarze jeszcze bardziej zmaltretowane przez historię niż nasze. Czegóż tu nie sprzedają ludzie sowieccy, jeszcze wczoraj mieszkańcy rajy na ziemi. Są śrubokręty, lornetki, kawior, ale ten samowarek nie do sprzedania — będzie czaj na rozgrzewkę. A facecikowi w kapełuszu wystaje z kieszonki ikoniczka, że niby przypadkiem ją tam trzyma. Na ziemi rozłożyli się Rumuni, niczego nie sprzedają, siedzą, trzymają postrzępioną karteczkę „Jesteśmy bezdomnymi Rumunami. Pomóżcie!” Małutkie dzieci łażą po nich jak zwierzątka o chwytnych łapkach. Wygląda ten plac jak załazek wielkiego obozu dla uchodźców z rozpadającej się Europy Wschodniej, wielkie wojenne targowisko. A w tle szerokie biodra Pałacu Kultury, który ma być podobno sprzedany amerykańskiemu milionerowi. Ciekawe, kto i za ile kupi biednego Lenina z kremłowskiego mauzoleum.

Nie zapomnę, jak nasze sławy tańczyły wokół Wałęsy. Było to przecież wczoraj. Teraz środowiska intelektualne stanęły zwartym murem przeciw niemu. Ileż w tym historii, odrzuconej miłości. Mam znajomych, którzy przygotowali emigracyjne walizeczki na wypadek, gdyby on został prezydentem. Ale nagle z tego środowiska zaczęły schodzić całe płyty przychylne Wałęsie. I jakże widoczny jest tu mechanizm frustracji. Można by teraz w szkole Wałęsy wydzielić klasy. W jednej zasiądą ludzie, którzy nie zostali posłami lub senatorami, w drugiej, którym Michnik nie podał ręki... I tak piętro po piętrze wznosi się gmach zwycięstwa Wałęsy. Ale piwnice tego gmachu zbudowali przeciwnicy Lecha, jeszcze wczoraj wążący mu pod poły płaszcza. Zbudowała je chora solidarność grupowa, nieświadomie przejęte elementy bolszewickiego myślenia, pogarda wobec prostego człowieka. Wiele błędów, niektóre wymuszone okolicznościami, inne chyba jednak nie.

Wpadam do W. On jak wszyscy teraz w biegu. Sadam go siłą, bo zauważyłem, że nawet stojąc biegnie w miejscu. Jest w rozpacz, którą z nim dzielę. Wspominamy przeszłość. Jakżeż piękne były początki działalności opozycyjnej, jakie zdrowe i rumiane ziarno, z którego wyrósł późniejszy ruch. Sami jednak nie widzieliśmy, jak wysoki jest mur naszego getta i jak to

uksztaltuje umysł. Że drzewo, które z tego wyrośnie będzie chore i rozpęknie się na pół, jakby strzelił w nie piorun.

Wspominałem o tym już wcześniej i nie mam siły, by więcej o tym pisać, a może nawet boję się. Również błędu w ocenie. Mogę tylko powiedzieć, że pójdę do urny, a wrzucając swój głos, opornie i niechętnie, usłyszę jak spada on na popiół i w popiół się zmienia.

Jak rozwikłać to kłębowisko namiętności? Kisiel pokłócił się z *Tygodnikiem Powszechnym*, *Tygodnik* nastroszył się wobec istotnych fragmentów Kościoła. Część starego Krakowa pakuje się, gdy Wałęsa... Stronnictwo Narodowe ogłasza „Dzień Czujności Narodowej”, gwiazdy Dawida na plakatach Mazowieckiego, malowane na ścianach upiorne portrety Wałęsy z napisem: „Wielki brat czuwa”. Dotykalna w Gdańsku nienawiść do Warszawy. Można by tak godzinami wymieniać wczorajszych przyjaciół, bojowników wspólnej sprawy, środowiska jakże solidarne i twarde, w które dzisiaj wchodzi jak w masło nóż sporów. A niechęci przeradzają się w nienawiść, przypominającą w skali namiętności te, które wytrysnęły w stanie wojennym.

Wszyscy o wszystkich mówią źle. Najszlachetniejsze postacie noszą za sobą długi oblepiony błotem ogon obmowy. Postanowiłem nie słuchać, tylko oceniać po kontakcie osobistym, wierzyć jedynie własnym oczom i uszom. Ale z przerażeniem zauważyłem, że nie dają rady, że ogony migają mi przed oczami i nie umiem ich obciąć miękką powieką. Gorzej, bo nawet chwilami mnie to bawi, chwilami cieszy — taki zacny, zasłużony, a ciągnie taki ogon. I czułem się z tym całkiem nieźle do chwili, gdy trafiłem na własny ogon. Boże, jaki długi i paskudny, słabo unerwiony, prawie niewidoczny. Nigdy bym go nie poczuł, gdyby nie małe dziecko znajomych, które w swej słodkiej naiwności zapytało: a to co?

Dziwność obecnej Polski, jej wulkaniczny krajobraz. Oto z takim trudem uruchamiane mechanizmy nie mają dosyć siły, by się przedrzeć przez rozwodnioną rzeczywistość. I jak strumienie lawy kamienieją stykając się z naszym bagnem codziennym, tworząc najbardziej fantastyczne kształty.

Mój kolega... wysooko, wydaje się tonąć w swoim gabinecie. Mówi: — Czasami mam ochotę wyskoczyć na korytarz tego cholernego urzędu i wrzasnąć: „Lechu przychodź”.

M., niegdyś znany wydawca: — Ktoś musi kopnąć to wszystko. — Byle nie za mocno, bo się rozleci — zauważam dyplomatycznie.

— Im mocniej tym lepiej, niech się rozlatuje — mówi M. Obaj będą jednak głosować na Mazowieckiego. Ale płacząc.

A korytarze urzędów nadal straszą. Nowych szefów od nas, jak najbardziej od nas, poznaje się po twarzach. Pewien subtelny element, czasami przywidłe róże w oczach, czasami przeczytane książki zamysłone na czole. Są tu zagubieni, zależni od swoich nomenklaturowych zastępców, zagubieni w okrutnym labiryncie zmieniających się przepisów, wśród biurów, gdzie nieszczęsne kobiety siedzą na brzegach swoich klimakteriów i pocieszają się bułkami rozmiękanymi herbatą.

Poczucie, że może zbliżyć się wielka zmiana, wielkie wietrzenie Warszawy, nie wydaje się dominować uwagi nowych i starych, chociaż jedni i drudzy powinni czuć się zagrożeni. Zmęczenie i rezygnacja działają jak narkoza. Najślabiej uspieni próbują jednak po cichu się ustawić, bokiem, z jednej strony Wałęsą, z drugiej Mazowiecki, potem będzie szybki zwrot. Mają w tym wprawę, chociaż teraz sytuacja okropnie zagmatwana.

Rozmawiam w gabinecie z Y. Wątkujemy jak odporne ciasto sprawy urzędowe, gdy nagle milknie, patrzy w okno i mówi: — Wiesz, mam nieprzepatą ochotę by stąd wyjść i już nie wrócić.

Daje mi poemat, który napisał niedawno. Mam ochotę go uściskać. Toż to mój brat w nieszczęściu.

Spotykamy się wieczorem, idziemy mroczną ulicą wdychając czarci zapach i mijając dużymi zakolami grupki piątkowych pijaków. Obcość tego kraju, który jest jednak nasz. Ci z chodnika należą do innej cywilizacji, są na innej planecie, żyjąc z nami pod jednym dachem. Jak łódki zerwane przez burzę wolności oddalamy się od tego, co jest tu dzisiaj powszechne, od zardzewiałego, zaśmieconego, chorego brzegu. Ale dokąd płyniemy i po co... Przecież tylko tu potrafimy żyć.

By nie kończyć złą poezją, tonem eligijnym i niewybaczalnym pesymizmem, wycisnę z siebie całą nadzieję, która przecież czasami prześwituje przez szczeliny. Są znaki poruszenia ekonomicznego. Prawie niewidoczne dla przechodnia, ale uczeni zaopatrzeni w odpowiednie urzędnika, widzą je. A wysoka gorączka która nas trawi? To jak zwykle przy ciężkiej chorobie początek przesilenia, na które jednak trzeba będzie poczekać. Nieznośne zmaterializowanie naszego myślenia, powszechny

handel i kombinowanie, to wszystko jest bagnem, z którego prędzej czy później wychylą głowy prawdziwi przedsiębiorcy. A wielki spór w rodzinie? Że taki ostry i chwilami nieprzyzwoity, to właśnie jak w rodzinie, tam zawsze największe emocje. Jeżeli Wałęsa zostanie prezydentem — zaskoczy zapewne wszystkich jak spolegliwie i łagodnie władać, próbując zatrzymać najlepszych ludzi z drugiego obozu. W końcu ma wielką intuicję i nie jest samobójcą. Co będzie potem, kiedy spiętrzą się problemy ekonomiczne, a lud zobaczy, że nie staje się cud? Tu liczę na Boską opiekę. A jeżeli wygra. Mazowiecki, co mało prawdopodobne, i powstanie zagniewana opozycja z Wałęsą? Tu liczę na Boską opiekę. A czart, co z czartem? Spróbujmy w niego nie wierzyć. Ksenofobie, resentymenty, niechęci wzajemne? Jako że żywią się przede wszystkim fikcją i nie mają nawet padliny do spożycia, zdechną szybko.

I tak właśnie będzie, o czym przekonają się nasze dzieci.

Kultura nr 519, grudzień 1990

GRUDZIEŃ 1990

(POŚPIESZNIE SPISANE 10 DNI W POLSCE
– CZYLI KRAJ W KLESZCZACH
PIERWSZEJ I DRUGIEJ TURU WYBORÓW)

Miesiąc temu większość moich znajomych przysięgała, że spakuje walizki, jeżeli Wałęsa zostanie prezydentem. Biedni. Nie wiedzieli, że dno naszego piekielka jest wiele niżej. Przybył z czwartego wymiaru Tymiński i pokazał. A przy okazji rzucił miękkie i ciepłe światło na oblicze Wałęsy. Teraz te same walizki są w pogotowiu, gdyby Tymiński... Dramatyczne listy zbiorowe intelektualistów, tych samych od walizek, ich wybitne nazwiska ustawiane w dumnych słupkach apelują do Narodu, by ratował sam siebie i głosował na Wałęsę.

Poszedłem na bankiet, jeden z tysiąca bankietów, jakie urządziła inteligencka Warszawa, zmarznięta i struchlała po kłęsce. Tak zaskoczeni przez mrok i mróz rozpalają w lesie ogień, by ogrzać skostniałe dłonie. Ujrzałem rzeszę głów pochyłych w gorączkowych rozmowach. Na powierzchnię wyskakują jak z kipieli bąbelki, a rozpryskując się wydalają z siebie dwa słowa: Tymiński, Wałęsa. Kłęska Mazowieckiego zdaje się stać w kącie i lkać bezgłośnie. Przybywa nowy gość. Oczywiście wysoko zaawansowany w państwowych tajemnicach. Przecież w Urzędzie Ochrony Państwa już roi się od ludzi z towarzystwa. Mają wiele zalet, również tę, że nie są zbyt dyskretni. Już wiemy, że Służby nie śpią po nocach, bo myszkują szukając jakiegoś pas-

kudztwa na Tymińskiego. Podobno nawet znaleźli, ale nie mogą ujawnić, dlaczego, to już prawdziwa tajemnica.

Obóz Mazowieckiego twierdzi, że to wypowiedzenie wojny na górze wypuściło wszystkie polskie demony. Obóz Wałęsy ogłasza, że Przewodniczący przewidział otwarcie puszkę Pandory i wyszedł zlemu naprzeciw z mieczem w dłoni. A lud uważa, czy może raczej co bardziej światle kawalki tego ludu, że to obie zwaśnione strony doprowadziły naród do ostateczności w postaci Tymińskiego. Oto głosy ludzi, tak zwanych ludzi prostych, złane w jeden strumień, któremu spróbuję odnaleźć wspólny nurt:

Mamy dosyć arogancji władzy, którą poparliśmy. Oni nie chcieli, nie potrafili z nami rozmawiać. Dokonali na naszym brzuchu operacji bez znieczulenia, a nie raczyli jasno powiedzieć, dlaczego tak trzeba i kiedy będzie najbardziej bolało. Rozmawiał z nami tylko Kuroń, ale on miał jedynie grochówkę. Spodobała im się władza, ale my rozwaliliśmy starą nomenklaturę, to rozbijemy teraz nową. Wałęsa ma rację, że rzucił się rządowi do gardła, ale on to robi tylko dla swojego interesu. Gdyby było inaczej, nie mówiłby ciągle: ja, ja. Kiedy dojdzie do władzy, zamordzie wprowadzi. Nie możemy już słuchać o „Solidarności”, o stanie wojennym i że każdy porządny człowiek był kiedyś internowany. Gadające gęby posłów i senatorów doprowadzają nas do szewskiej pasji. Na Tymińskiego głosowaliśmy na złość, z gniewu i rozpacz, i bo nie było innego. Teraz nawet jeżeli będzie gorzej, to będzie inaczej.

Czy to jednak do końca tłumaczy, że 4 miliony dorosłych i zdrowych na umyśle ludzi postanowiło oddać swoją przyszłość w ręce człowieka, którego wewnątrz głowy wydaje się być ofiarą poważnej katastrofy. (Niemal został wcielony w życie scenariusz filmu i powieść Kosińskiego „Wystarczy być”, rzecz o kretynie, który zostaje prezydentem USA).

Każdy ruch ma swoje jądro, szlachetny środek i daleki krąg, gdzie wirują odpady. I oto dzisiaj, kiedy ruch przejął władzę, samo jądro nie potrafi zaspokoić potrzeb obsadzania stanowisk. Nieudacznicy z obrzeży zostali więc wessani na górę. Oto jestem u Wielkiego G. Gabinet ugina się od dostojnych mebli, wytartych przez zady partyjnego aparatu. Jest wzywana prawa ręka G., ważny dyrektor. Otwierają się obite pierzyną drzwi i oczom nie wierzę, wkracza uroczyście D., znany w opozycji nieudacznik. Zawsze niechlujny, ale teraz wszelkie zaniedbania pokryte są

krawatem. Od razu widać, że wielki pan, może zostać nawet ministrem, czemu nie?

Miotła nowego jak wiadomo ma wielkie szczyrby. Nic dziwnego, że w innym gabinecie siedzi relikwiarz przeszłości. Gdy wchodzi, nie unosi głowy zajęty składaniem nowych podpisów. Niechętnie odrywa się od tego szlachetnego zajęcia i podaje mi dłoń, jest chłodna jak wyjęta z wody butelka. Patrzy na mnie przez grube szkła okularów, jakby przez szybę akwarium oglądała mnie ryba. Okazuje się, że sprawa nie jest w jego gestii, to znaczy w jego, ale nie w jego. Lepiej byłoby udać się do kogoś innego. Zdenerwowałem się. Wtedy po barwie mego gniewu poznał, że ja z Nowych. Widzę pełną mobilizację organizmu, otwiera się jak stara szafa, gdzie wiszą zakurzone ubrania. Wychożę, biegnie za mną ciągnąc za sobą stary korzeń, ten korzeń błaga — ja się jeszcze przyjmę w nowej glebie.

L. jest świeżo po studiach, a teraz wróciła z rocznego pobytu za granicą. Co ją uderzyło po powrocie do kraju? — Nie zmieniło się prawie nic, a przede wszystkim nie zmieniło się, co tak różni nas od Zachodu, a co w pełni widać dopiero teraz. — Smutek i niekompetencja. — Nasz świat obrócił się przez ten rok o kilka stopni, ale wszyscy młodzi znajomi zostali w dawnych bezradnych pozach, a zarządzała osi tego ruchu są — smutek i niekompetencja.

Uniwersytet, do Auditorium Maximum przybywa Mazowiecki. Idzie korytarzem oklasków. Sala pełna delegatów z całego kraju. To właśnie pogrzeb, a przynajmniej wielka klęska ROAD, ale jest atmosfera radosnego triumfu. A przecież byłoby naturalne, gdyby premiera niesiono na noszach w grobowym milczeniu. Ta euforia jest wzruszająca, bo świadczy jak wielu ludzi go kocha, i że nie zawsze jest u nas jak w piosence: „Kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go trącają”. Zresztą właściwie spadliśmy wszyscy i cała inteligencja jest w gipsie. Na taką przykrość czasami dobra jest wesola kompania i wspólny śpiew. I tak właśnie bawiono się w Auditorium Maximum. Starsi i zacni zasiedli na trybunie, szlachetna siwa głowa Turowicza, piękny profil Frasyńki, nieco pochylone oblicze Tadeusza Mazowieckiego, którego szczupłe barki nie mogły udźwignąć tak wielkiego aplauzu. Kolejni mówcy składali hołd temu, co przegrał tak szlachetnie, że właściwie wygrał. Pewna

niewiasta ogłosiła, że należy wszystko odłożyć na bok i zająć się edukacją społeczeństwa, bo ono jest po prostu głupie.

Klaskano nieustannie, by dodać sobie animuszu, a czasami wstawano wachlując skrzydłami oklasków. Gdy podjęto decyzję o zawiązaniu „Unii Demokratycznej”, został odśpiewany hymn. Poczulem nagle, że nie mam ochoty wstawać, śpiewać ani niczego zawiązywać. A jako że wśród wstających i wiwatujących roilo się od znajomych, poczułem się nagle przeraźliwie samotnie w tym tłumie, a może nawet w Polsce, kto wie? Premier zaapelował, by mimo wszystko głosować na Wałęsę, co spotkało się z chłodnym przyjęciem. Jakiś młodzian ogłosił, że na siekierę Wałęsy musimy przygotować siekierę jeszcze ostrzejszą. Ale był też głos kreślący wizję obozu koncentracyjnego, gdzie wszyscy obecni na sali znajdują się... jeżeli Tymiński. Ktoś wtedy oświadczył: „Nie mamy wyjścia, bo przy Wałęsie da się jakoś żyć, a przy Tymińskim nie”.

Miarę rzeczy przywrócił na chwilę poseł Rokita, zauważając, że na tej sali Polska się nie kończy i że tworzy się tu najwyraźniej partia arogancji.

Uderzyło mnie, że niektóre ważne osoby nieustannie wymykały się na korytarz, bo jak wiadomo najważniejsze decyzje nie lubią u nas tłumu i najlepiej się czują w korytarzach, gdzie lekkie przeciągi zwiewają papierosowy dym i chłodzą gorące szeptu.

Wyszedłem czując gdzieś z boku, niepokojąco blisko przepaść, która się nagle otwarła pomiędzy elitą a resztą, czyli motłochem. Zagroził drogę memu zamyśleniu pogrzeb, który szeroką rzeką i biciem dzwonów wylewał się z kościoła św. Krzyża, sunęły czarne potoki siostr zakonnych i księży, niesiono sztandary i szli harcerze. Czyżby tu grzebano nasze inteligentkie złudzenia? — Kogo to niosą? — pytam milicjanta. — „A kto tam wie, mówią, że jakiegoś biskupa”. Uspokojony wracam do swych myśli. Nie sądzę, by w Polsce było więcej głupoty niż gdziekolwiek indziej, mam nawet wrażenie, że w tej dziedzinie Bóg obdzielił świat nadzwyczaj sprawiedliwie. Są tylko różne rodzaje mądrości i głupoty. Otóż nasze wyżyny intelektualne są wyjątkowo nadęte i skłonne do lekceważenia nizin. Z kolei głupota nasza odznacza się niezwykłą aktywnością, a organ dumy, który nosi przed sobą, jest w stanie nieustannej erekcji. Sztab Mazowieckiego uczynił wszystko, by Mazowiecki przegrał, jeszcze więcej zrobiła telewizja.

W ciągu jednego roku dramatycznie kręta stała się droga naszej elity. Od miłości do Wałęsy do nienawiści, i oto w ciągu

kilku dni nienawiść poddana niezwyktemu ciśnieniu zmieniła się w heroizm zaakceptowania historycznej konieczności.

Przedwojenny dom z podwórkiem ogrodzonym murem, okupacyjna kapliczka z Matką Boską, która miała chronić przed diabłem, co hula na zewnątrz i pomyślałem, że teraz to może się znowu przydać. W tym domu mieszkał poeta Kamil Baczyński. W tym domu od jakiegoś czasu uparcie nie grzeją kaloryfery, a właściciele mniejszych mieszkań polują na większe, na wyższych piętrach. Moi znajomi, których tu odwiedzam, w żaden sposób nie mogą wyżyć ze swojej pensji. Przy bramie wejściowej wisí niechlujna gabłota podobna do tych, w których wieszane są zdjęcia prezentujące ćwiczenia obrony cywilnej „OBRONA CYWILNA CZUWA”. W blasku okrutnej jarzeniowej rurki wisí zdjęcie Baczyńskiego z napisem — tu w latach... mieszkał... wyszedł na powstanie...

Baczyński błądy, ledwie widoczny na czarno białym zdjęciu, a po bokach dołożono dwa rumiane portrety Wałęsy podkreślone okrzykiem: „Wybór jest prosty, Wałęsa. Tak!” „Wybierz swego!” — To ten Baczyński dorobił się dwóch braciów — mówi poważnie pan Jasio, dozorca, i rusza na barykadę zimnych kaloryferów uzbroyony we francuski klucz.

Po raz pierwszy od czasu stanu wojennego niepewnie się czuję na ulicach mojego miasta. Właściwie już nie znam nikogo, kto by nie padł ofiarą jakiegoś przestępstwa. Sąsiad z dołu poszedł wczoraj po wódkę. Nowe wspaniałe czasy! Jest sklep alkoholowy czynny całą noc, trochę smutno, bo wymrą rozsiane po okolicy alkoholowe babcie. W tym sklepie młodzian wyciągnął pistolet, bo ktoś się wepchnął przed niego. Jestem u znajomej, bardzo już starszej Pani, pokazuje mi ślady na przegubach. Miesiąc temu wtargnęło dwóch do mieszkania, związali, na łóżko rzucili, przeprosili za brutalność, ale muszą przecież z czegoś żyć. Potem krzyčeć zaczęli: — Powiedz, gdzie trzymasz złoto. A jej się wydawało, że czas nagle się cofnął i znowu jest okupacja, kiedy też ją związali...

Spotykam znajomego, wygląda jakby bolały go zęby. Tłumaczy skąd to cierpienie: „W klasie mojego syna przybito krzyż”. Proszę, by rozwinął tę kwestię. Okazuje się, że jego syn jest niewierzący, ale na szczęście ma do towarzystwa kilku antychrystów. Szkołą praktycznie rządzi obecnie siostra zakonna, osoba bardzo

zasadnicza. I chociaż ustalono na zebraniu rodziców, że z powodu tych kilku antychrystów krzyża nie będzie, przybyło dwóch oprawców z młotkiem, drabiną i na oczach dzieci krzyż przybili. Bywa w tej szkole również ksiądz, ale on się nie liczy i, jak głósi plotka, nawet po kryjomu uprawia sprzeciw wobec lekcji religii w szkole. Inna ulotka, tym razem ogólnomiejska, mówi o księdzu, co kazał nie przeciwko Żydom, a przeciw antysemityzmowi i miał nawet powiedzieć rzecz niesłychaną, co aż strach na głos powtarzać, że Matka Boska była Żydówką. Ten ksiądz na podobieństwo cudu miał się objawić na Muranowie.

Bezradność Kościoła. Nieprzepuszczalność wiernych na kościelne argumenty, jak szczelność kamiennej kropielnicy wobec święconej wody. Gromy Kościoła przeciw Tymińskiemu nie zostały dosłyszane i nie dostrzeżono błyskawic. A więc jeszcze jeden dowód, że mamy do czynienia z diabelską robotą.

Wałęsa, który wycofuje się ze swoich wypowiedzi, tych uznanych za antysemitckie, przypomina kota przykrytego nagle kocem. Jakże jest nieporadny, kiedy kroczy tyłem. Problem wydaje się w tym, że przysły prezydent nie wie, iż rasizm zaczyna się od momentu rozróżniania i że ten wysiłek, by wiedzieć — jest? nie jest? — stanowi bazę do uprzedzeń. Nie czując tego, doprawdy trudno wycofać się z ręcznie. Postulat „ujawniania się” obnaży swoje perspektywy i bogactwa, jeżeli zapytać — do którego pokolenia?

Niezwykle ciekawa nowa kategoria powstała w Polsce — nie antysemita — a więc wolny od uprzedzeń, ale musi wiedzieć.

Krąży po mieście ulotka, której narodziny lokuje się w kościele na Solcu, gdzie wymieniono kilkunastu biskupów jako nosicieli żydowskiego wirusa. Nie ma na tej liście biskupa Orszulika, więc powinien być wiarygodny jego wywód, iż podejrzany o nazwisku Mazowiecki Tadeusz został sprawdzony do wieku 16-go i jest czysty.

Myślałem, że nasze polityczne bagno nie zostawi na mnie jednej suchej nitki metafizycznej. Dał mi taką szansę mój dom rodzinny. Oto idąc po schodach, po schodach, które osiwiały, nie do wiary, ale one rzeczywiście osiwiały, ujrzałem nagle, że uchylają się drzwi na pierwszym piętrze i staje w nich kobieta z butelką mleka w ręku, a ta butelka ma mokry smoczek najwy-

rażniej przed chwilą odjęty z ust niemowlęcia. Ta kobieta to przecież dziewczynka, z którą bawiłem się na podwórku, a teraz stoi z tą butelką, z brzuchem i twarzą bardziej zniszczoną niż pamiętana przeze mnie twarz jej matki.

Podsluchane rozmowy bab warszawskich.

– Ten Wałęsa to chłop jak rzepa, gruby, z rumieńcem, Tymiński przy nim nic, impotent.

– Jaki z niego impotent kiedy zmajstrował tyle dzieci.

– Pewnie mu ta Indianka gorące kompresy gdzie trzeba przykładala.

A co piszczy w trawie naszej prowincji, wiem od znajomej, proszę posłuchać, jak grają tam zimowe świerszcze. Znajoma z S. pisze, że w Filipowie i okolicy chłopci zwołują komitet obrony Tymińskiego, bo, jak mówią, „mogą człowieka wykończyć”. A poza tym...

„Więść gminna niesie, że koło Giżycka, że trzy kilometry będzie od szosy w bok, jasnowidz mieszka, który przepowiada, że będzie na najwyższym urzędzie w Polsce rycerz z wąsem, który przejdzie jak huragan wzdłuż i wszerz kraju aż dojdzie do gór gdzie zmienieni w kamienie śpią rycerze, a one te rycerze obudzą się, a mocne takie są, że im ten Arab od tej nafty nie da rady. I posłuchanie będą mieć te rycerze ze swym hersztem tym z wąsem aż przy rzece Loarze, a rzeka będzie płynąć cała krwią amerykańsko-żydowsko-germańską... itd...”

I pisze znajoma, że co rusz elektryzuje S. i okolice wiadomość o przegranych w karty częściach parafii. I że kilku ludzi z Komitetu Obywatelskiego poprzemnowało sklepy państwowe, pozakładali spółki. Ludzie mówią mafia. Ten kto dostanie lokal musi zamówić mszę świętą, pokropić lokal, zawiesić krzyż i może działać. A dziesiąty pułk Ułanów Krechowieckich urządza capstrzyk i patriotyczne obchody, opowiadając się za Moczulskim. Rośnie antysemityzm, bo oddaje się dawnym właścicielom, co im kiedyś zabrano, a okazało się, że większość kamienic przy głównej ulicy jest własnością Żyda, który jest na tyle złośliwy, że żyje. I jakby było mało sensacji, otwarto w S. sklep porno. Baba wiejska, która łażąc po ulicach trafiła na ten sklep, mówiła:

– „Jakie dziwolągi w tym nowym sklepie kiele kościoła, jakieś majtki, co nawet dupy nie zakrywajom, toż w takich można się ciężkiej choroby nerek nabawić”.

O Tymińskim: – „Powiadają, że wariat, to może i dobrze,

bo prezydent wariat to przynajmniej naród zrozumie, bo kto nie zwariował, to na pewno zwariuje”.

O wolności: – „Jaka to wolność, kiedy wszystko upada, a nas Zachód wykupi za marne grosze i będziemy Murzynami Europy”. Tak pisze do mnie znajoma z S.

Walka wyborcza również na plakaty. Nasza wojna na plakaty ma w sobie element magiczno-pierwotny. W portretach atakuje się przede wszystkim oczy. Ulice przypominają pobojowisko pełne połamanych kości hasel i pokiereszowanych głów. Rozpaczliwy wyraz tych ulic patrzących pustymi oczodołami portretów do wczoraj uwielbianych przywódców.

Powszechny kac, który najbarwniej opisał mój przyjaciel, opisując przy okazji dwa poprzednie kace, które przy wszystkich swoich okropnościach zdawał się przy tym obecnym lekceważyć.

– „Pierwszy, gdy obudziłem się w izbie wytrzczeń przypięty skórzanym pasem w izbie golej jak obdarta ze skóry jaszczurka, na której drzwiach widniał napis „przypadki ciężkie”. Drugi: gdy obudziłem się rankiem w szczelnie zapiętym namiocie, w którym gotowało się powietrze i wychynałem na zewnątrz, kołatając jak bocian o podniebieniu sztywnym jak kołek językiem, by dopelznąć do jeziora, pić i rzygać, pić i rzygać... Tak oto teraz pełnę w kierunku 9 grudnia” – zakończył swoją opowieść mój przyjaciel.

Potem rozmawiamy o naszych lękach, opowiada, jak złudne i płytkie wydają mu się teraz dawne lęki; lęk przed rewizją, więzieniem, milicyjną pałką. Prawdziwy lęk jest teraz. I coraz większe poczucie samotności, które z nim dzielę. Mówi: „Ty miński obrzydliwy jak organ płciowy plaza, i na ten organ głosowało 4 miliony moich rodaków. Mazowiecki, którego szanuję, otoczony jest przez ludzi, którymi głęboko gardzę. Wałęsa, nasz marcholit coraz mniejszy i mniejszy. Chodzę ulicami wśród coraz bardziej obcych ludzi. A w tle roztrzaskane środowiska, z których cieknie posoka...”

I tu mój przyjaciel błysnął łzą w oku. A ja mu odbłysnąłem swoją.

Debata telewizyjna Ty miński – Wałęsa. Została gorycz upokorzenia. Każdy, kto czuje się związany z Polską, otrzymał tego wieczora policzek. Znam nawet takich, co gorzko płakali. Ja stary kpiarz nie znalazłem w sobie ani okruszka drwiny. Wałęsa okazał się przy Ty mińskim orłem, ale orłem bez piór.

Hala Gwardii otoczona policyjnymi budami. Wilgotny mrok, ludzie przemykają się jak mieszkańcy wilgotnego czyścica. Wewnątrz mdle światło i uderzający brud tej sali, w której ściany wsiąkły tysiące walk bokserskich i wieloletni ryk kibiców. Na podium Tymiński gładki i bez wyrazu jak przed chwilą rozpakowany cukierek. Dwuosobowa grupa zwolenników Wałęsy zbita w twardą kupę skanduje hasła „KGB”, „Doswidania”, „Wasze czasy już minęły”.

„Nasze czasy jeszcze nie nadeszły” – mówi spokojnie Tymiński, a to nagle pobudza salę, która wybucha entuzjazmem. „Nasz kraj tonie – mówi Tymiński – do tego doprowadził pan Wałęsa, pan Mazowiecki. Czym bliższe nasze zwycięstwo, tym większy krzyk, bo to jest strach”.

Patrzę na zgromadzoną publiczność, wiele umalowanych kobiet w futrach, mężczyzn, którzy wyglądają na majstrów z fabryk, trochę urzędników... Zwolennicy Tymińskiego i jego przeciwnicy wyją do siebie, opluwają się, robią miny, nikt już nie zwraca uwagi na samego idola, który nie wydaje się wytrącony z równowagi i coś bajdurzy, kalecząc przy tym niemilosiernie polski język. Umiejętność gadania bredni opanował do perfekcji. Gdy tak majaczy, czuję niemal ból pod czołem, gdy próba wypłatania z tego sensu grzęźnie w kolejnych suplach. Ochrypli monotonny głos pijaczka z alkoholowego baru w Mławie. I myślę, że gdyby losowo wybrać z takiego baru jednego bywalca, umyć, przespać, ubrać, dla kurażu dać setkę, dla rumieńca w gębę i postawić przed narodem, zaprezentowałby poziom nie gorszy, bynajmniej.

Bohater wiecu dopuszcza do mikrofonu ludzi z sali. Wszyscy wydają się być pacjentami zbiegłymi z psychiatrycznego szpitala. „Jestem czystym Polakiem a nie jakimś mieszańcem” – drze się zwolennik Moczulskiego, od wczoraj zwolennik Wałęsy. Głos zabiera narodowiec niejaki Rybicki. Dostarczył sali atrakcji opowiadając, jak to w czasach stalinowskich Geremek biegał z pistoletem i dowiedzieliśmy się, że Bujak był agentem, bo jakże inaczej skoro przez tyle lat nie mogli go złapać. Poczulem w tym momencie, że wszystkie granice zostały przekroczone, ale byłem w błędzie. Tłum zerwał się, żeby bić brawo.

Znowu bierze górę młodzież od Wałęsy, krzyczą: „Tu jest Polska” i krzyczą to wszystko, co w ostatnich latach na ulicach ciskano w tarcze ZOMO. Teraz te okrzyki... jakby ktoś rzucił perły prosto w pysk wieprza.

Na ratunek mężowi rusza żona, Peruwianka z czarnym wło-

sem i białozębnym uśmiechem. Wykonuje jakiś latynoski taniec i krzycząc po hiszpańsku wprowadza salę w stan euforii.

Potem, gdy Tymiński nie może poradzić sobie z salą, zarządza śpiewanie hymnu narodowego. Co się rozkrzyczą, jest hymn, i wszyscy pogodzeni śpiewają na baczność. Doprawdy nie pamiętam, by kiedyś było mi równie ciężko wstać, a ten śpiew zdawał mi się czymś w rodzaju przymusowego karmienia gęsi. Doświadczyłem oto gwałtu przy użyciu „Jeszcze Polska...”

Miesiam się z wychodzącym tłumem, a ten tłum wylewa się strumieniem na wilgotne i ciemne ulice i szmerze, z tego szmeru wylawiam jeden dźwięk, „Żydzi, Żydzi”, ale uszom nie wierzę, pewien, że się przesłyszałem. Część ludzi zbija się w małe grupki – co oni tam robią? Skradam się, podpatruję i nie do wiary... wyjmują swoje antysemickie organy i wymieniają się pieszczotami. Słychać takie odgłosy: „Rozpanoszyli się Żydzi”; „Znowu będą ich kamienice”.

Miesiąc temu chodząc po ulicach Warszawy czułem zapach czarnej sierści, napisałem to i sam się przestraszyłem swego powonienia. A jednak nie myliłem się. Imię tego czarta jest fašyzm. I nieważne jaki ma kolor, ile w nim pocziwej słowiańskiej domieszki... to właśnie jest to.

Dzwoni do mnie mama. Otwórz telewizor, jest powstanie. Zdenerwowałem się, bo była przejęta. Myślę... scesja Śląska, a może nowy bunt chłopski? Okazało się, że przerwano „Wiadomości” i do studia wkroczyło dwóch niemłodych, ale krzepkich powstańców warszawskich i ogłosili jutro na Zamku Warszawskim mobilizację przeciwko Tymińskiemu. To był początek ofensywy. Do boju ruszyła cała telewizja, już nie mazowiecka, jeszcze nie wałęsowska, ale telewizja wprzęgnięta w świętą sprawę ratowania Narodu przed kanadyjsko-peruwiańskim potworem. Pojechano za ocean, użyto pierwszej żony pretendenta, jego dziatek, ujawniono, że nie mówią po polsku, że musiały być chrzczone po kryjomu, sąsiadka ujawniła, że ma mniej pieniędzy niż to się ludziom marzyło. I przez chwilę miałem wrażenie, że oglądam w stanie wojennym program o opozycji montowany przez kapitana Marka Barańskiego. Ale Barański jest dzisiaj w sztabie Tymińskiego.

Zaraz po tym programie przygotowano kubeł święconej wody, by odkazić teren po paskudztwie. I oto nadano program wyborczy Wałęsy. Uznano, że sprawa jest gardłowa i tak zwana racja stanu upoważnia, by sięgnąć do świętego narodowego arse-

nału. I popłynął anielski śpiew Joan Bacz o „Solidarności”, a na falach tego śpiewu unosił się sierpniowy strajk, uliczne manifestacje atakowały zręby imperium zła, objawił się duch księdza Popiełuszki, błogosławił nas Papież.

I nagle poczułem, że jestem jak przekluty balon, z którego ucieka, wypływa na zawsze, nasza, moja najdroższa mitologia.

Wałęsa im bliżej prezydenckiego fotela, tym bardziej przerażony. Zobaczył, że ten mebel, co tak szlachetnie wyglądał z daleka, teraz niespodziewanie przybrał postać narzędzia tortur. Takie urządzenia złamie kark każdego mitu, a co dopiero mitu tak wychudzonego. Dlatego zrobiło się nagle cicho, łagodnie i dosyć spokojliwie.

Miesiąc temu niemal wszyscy moi znajomi na górze szykowali się, by wracać z gabinetów do skromniejszych pokoi, jeżeli Wałęsa... teraz już na pewno Wałęsa, a nikt się nie pakuje. (Nikt jak nikt — pakują się w Gdańsku). Poświęcą się dla Ojczyzny, jeżeli okoliczności pozwolą. Co nie znaczy, że nie dręczą pytania. Jak będzie wyglądało wietrzenie Warszawy, gdzie podzieje się lok Niezabitowskiej, czy znikną brody w rządzie, czy nastanie moda na wąsy? Ciemno wszędzie, glucho wszędzie... a w tych mrokach snują się plotki na temat składu nowego rządu, nadzieje i lęki zaplatają warkocze i słyszę szepty: „Kiedy to się w końcu skończy, kiedy się skończy to paskudztwo, ta obrzydliwość, ta kampania”.

Ktoś na ulicy: „Człowiek się czuje, jakby mu głowę zanurzyli w gównianym kanale i wyciągli”.

Byłe do niedzieli, do niedzieli. Nowe życie zacznie się od poniedziałku. A więc Polska zaczyna się od poniedziałku. Do-branoc.

Kultura nr 520/521 styczeń/luty 1991

MARZEC 1991

Wir konfliktów od chwili, gdy władza wpadła w nasze ręce, wyrzucił do góry fontanny błota. To poruszenie gleby obudziło kreatury, całe zastępy, które przycupnęły w szczelinach, teraz wystawiają pyski, wachają, a czując ten swojski zapach paskudztwa i widząc, że „czyści” ochlapują się błotem, podciągają wyżej tułowia pewni, że już teraz nikt ich nie odróżni.

Triumf ludzi wczorajszego reżimu wywiesza sztandary. We wszystkich kioskach mieni się barwami kloaki pismo Jerzego Urbana *Nie*. A w nim znakomicie dobrany zespół asenizatorów ma pracę po łokcie. Jak się zdaje, właśnie ten uroczy basenik pozwolił sfinansować Rakowskiemu pismo *Dziś*. Poważny periodyk. Jego powaga na dzisiejszym tle doprawdy wrzeszczy. Rakowski jak pouczał tak poucza. Przypomina znanego z miliona gończych listów gwałciciela rozpruwacza, który jakby nigdy nie udał się do pensji dla pańienek robić publiczny wykład o dobrym prowadzeniu się. Cytując, zapewne niedbale, prof. Geremka — jesteśmy społeczeństwem do demokracji niedojrzałym — Rakowski, który jak wiadomo zawsze szanował demokratyczne aspiracje naszego społeczeństwa, pisze: „Wypowiedź prof. Geremka uważam za znamienne, ponieważ w gruncie rzeczy jest ona przejawem wyniosłego stosunku do mas ludowych — czyli jak to się teraz mówi — „społeczeństwa”. I dalej, ze wrzeszczącą nutką współkrytyczną: „Ale chodzi o to, czy oni (Solidarność) będą żyć z nas, jak my z sanacji przez dwadzieścia lat?”

Pytanie zresztą zasadne, a padliny doprawdy starczy na stulecie.

Kłótnie wczorajszych towarzyszy broni, weteranów 10-letniej wojny z reżimem, otworzyły linie frontu na szerokich przestrzeniach wygranej kampanii. Powszechnie ujawnia się zjawisko, które nazwiemy „efektem Tymińskiego”. Gdzie dwaj się kłócą, wygrywa trzeci, nikomu nie znany, człowiek znikąd, wielce podejrzany.

W dzienniku *Czas* napisano, że w swoim tekście bluźnię przeciwko Ojczyźnie, gdzie indziej ktoś twierdził, że nie lubię Polski. Problem bluźnierstwa niech podpira zmurszałą ścianę naszego zaścianka, natomiast sam jestem ciekaw, jaki jest stan mojego ducha wobec Polski. Nie zajmowałbym się załatwianiem publicznie swoich potrzeb duchowych, gdyby nie podejrzenie, że w tym ustępie nie jestem sam. Mamy jak się zdaje dosyć Polski, jak ma się dosyć nieznośnej żony, ale cóż z tego... nie ma szansy na drugie mieszkanie, chyba, że na innej planecie, a do tego tyle pięknych wspólnych przeżyć, takie udane dzieci, i mimo wszystko nie wyobrażamy sobie życia bez niej. A więc to dożywanie. Na dodatek coraz częściej odkrywamy, że nie tylko ona jest nieznośna, że my nie lepsi. A pod podszewką codziennych kłótni i zgrzytania zębów jest po prostu miłość. I okrutny żal, że ta którą kochamy nie spełnia naszych oczekiwań.

Gdyby zapytać jakiegoś prawdziwego Polaka, choćby to był minister mecenas Chrzanowski – czy Norwid, Piłsudski, Gombrowicz, Miłosz są dobrymi Polakami, odparłby – tak – z lekkim wahaniem, bo oprócz Norwida wszyscy niepraktykujący. Gdyby temu samemu Prawdziwemu Rodakowi przeczytać bez podania nazwisk, co ci Wielcy o Polsce pisali i mówili, gdyby nasz Rodak przeżył taką kurację, wykrztusiłby jęk oburzenia: – „tak może myśleć tylko obcy i śmiertelny wróg Polski”. Zdumiewające, jak wielbi się u nas wielkich, nie słuchając ich. Jak obrzuca się błotem małych i jak pilnie ich się słucha.

Prowincjonalność Polski. Reżim roztrzaskał się u naszych wybrzeży jak gigantyczny tankowiec wylewając tony paskudztwa. Wielka katastrofa ekologiczna. Jedną z substancji zalegających nasze wody jest prowincjonalność. Prowincjonalność naszej produkcji, naszych intelektualistów, Kościoła, polityków.

Uprzednio wszystko stłoczone w zamknięciu, niewidoczne, teraz jesteśmy wolni i wolne są nasze demony.

W kilka tygodni po wyborach niewiele zostało z wielkich emocji. Z ukrycia wypełzli zapomniani Żydzi, Niemcy, Ukraińcy. I nieustannie gdzieś dzwoni, ale nie wiadomo gdzie i na co. Strach gasić światło, strach je zapalać.

Tadeusz Mazowiecki bez wątpienia zasłużył na klęskę, ale czy Wałęsa zasłużył na zwycięstwo? Chyba wątpią w to już nawet jego wczorajsi apologety. Z przyspieszenia zostało tylko sapanie, z wymiecenia nomenklatury trzonek miotły, który może się przydać, by łać swoich niesfornych po karku. A więc trzeba było wspiąć się na prezydencki fotel, by stwierdzić, że właściwie niczego zmieniać nie trzeba.

Najbardziej banalny scenariusz zdarzeń jest teraz realizowany. Wkrótce wszystko jednak pójdzie w zaskakującą stronę, to pewne, ale początek mdły. Wokół Wałęsy tworzy się mocny ośrodek władzy, zwany coraz częściej przez złośliwych biurem politycznym. Z Gdańska przyjechało kilka pociągów, w których jednak tylko kilka przedziałów było pełnych. Wysiedli z nich dosyć młodzi ludzie, dosyć przestraszeni i bezradni. Udali się do Urzędu Rady Ministrów i dopiero tam wpadli w panikę. A ten stukot młotków w pobliskim Belwederze – to jeszcze nie wybijają niczego z głowy, to tylko budowana jest kaplica dla Prezydenta. Początek władania bardzo jednak ekumeniczny, żadnego „wietrzenia Warszawy”. Świta Prezydenta, której marzyło się trzepanie skóry przeciwnikom cierpi na ból zębów, a Porozumienie Centrum nawet bąka nieśmiało, że przepelźnie do opozycji. Króluje polityka obłaskawiania – nawet śmiertelni wrogowie Wałęsy dostali niezwykle prezent w postaci telefonu od Prezydenta. Do Walentynowicz i Gwiazdy dzwonił Belweder podobno aż pięć razy, a i Geremek z Michnikiem otrzymali propozycje tak czule, że za Boga nie chcą się do nich przyznać. Tak oto wielka pewność siebie i jej brak połączyły się w jednym człowieku w jedno. Ludzi można obłaskawić, ich próżność najpierw się nastroszy, a potem zacznie jeść z prezydenckiej ręki. Ale co zrobić z demonami, z milionem małych demonów, które leżyły się w trakcie kampanii wyborczej, dojrzały na wiecach, by w końcu wyfruwać ze szczelin w nieprzemyślanych zdaniach? Prezydent chce wędrować po kraju, by zbierać głosy ludu. On nie da się nabrać, będzie się przebierał, będzie spadał jak jastrząb na nieprzygotowane fabryki, ale czy przewidział worek na demony? Jedną z takich form wędrowek są audycje w radio. Dół dzwoni,

a góra odpowiada. Oto Prezydent deliberuje z niewiastą, które nagromadziły się zapasy koperku. Jak go teraz sprzedać? Pytany o żonę, czy prawda, że jest w 8 miesiącu ciąży, weselo zaprzecza: – „Teraz warsztat jest już na górze”. (Lud ten dowcip zrozumie, a intelektualistom wyjaśniam – Prezydent miał na myśli, że teraz „produkcją” Wałęsów zajmie się Lechowe potomstwo). Szanując intencje nieodrywania się od mas, ale bojąc się, że to wszystko realizacja wizji kraju jako dużego gospodarstwa rolnego, tu świnię kwiczą, trzeba dosypać paszy, tam krwię przed dojeniem nie umyło wymion – kto jest winien? – a sami znajdźcie winnego. Coraz bardziej widać, że co miało być ukrytym programem, tajemną bronią nowej ekipy, jest okrzykiem: „Są problemy? Bierz pan je w swoje ręce i rozwiąż”.

A nowy Premier? Raczej sympatyczny. Sam przeprasza, że się pojawił, on tylko na chwilę.

Obecny młody rząd w ciągu dwóch miesięcy zestarzeje się i okrzepnie, a wtedy nieuchronny konflikt z Prezydentem jak plama ropy wypłynie na wierzch. (Ciekawe, jak się rozwinie podskórny konflikt nowej ekipy z grupą Balcerowicza, która trzyma pieniądze, a więc ma władzę). Nasza przekora narodowa zacznie wkrótce budować parlamentarną przeciwwagę dla coraz obfitszego urzędu Prezydenta, a rządy będą, jak mówił Wałęsa – zde-rzakami w samochodach (model przedwojenny – należy dodać). Czym będzie trzecie wcielenie „Solidarności”? Czy włoży swój kij w mrowisko, zalewając kraj falami strajków i niemożliwych do spełnienia żądań socjalnych? Podobieństwa do przedwojennej choroby staną się uderzające, podobnie jak różnice. Bo czyż nasz organizm narodowy, chory po czterdziestu latach hibernacji, nie próbuje nieświadomie odtworzyć tego, co było przed zabiegiem?

Powszechnie mówi się o nieuchronnej dyktaturze, intelektualści unoszą ostrzegawczo brwi, nawet bracia Kaczyńscy przed nią ostrzegają, Wałęsa kręci głową – ja nigdy – i ogląda się, bo to ma być ktoś spoza naszych coraz szczuplejszych solidarnościowych pleców.

Otóż nie będzie dyktatury, będzie tylko bałagan i ewentualnie bałaganiarska dyktaturka, ale dyktatura, nigdy. Jakoś dziwnie jestem pewien, że nie będę wypluwał tych słów wraz z zębami.

Znowu urzędy, korytarze z wykładziną, która wydaje się być wytartą sierścią wielogłowego potwora biurokracji, cieknące krany, bolesny brak papieru toaletowego i znajomi w gabinetach jak pająki zaplątane we własną sieć. X. był jeszcze miesiąc temu w świetnej

formie, fascynowała go nowość własnej sytuacji i te bezmierne przestrzenie możliwych zmian, tytaniczna praca rozkładała powabnie nagie wdzięki na kanapie przyszłości. Teraz, co wydawało się powabem, okazało się starą na wpół sparaliżowaną kobietą, a odległe horyzonty podeszły i zamknęły się w ścianach, gdzie ciężko wiszą niegustowne obrazy nad meblami, które ujawniły swoją ociężałość. Niemal wszyscy nowi ludzie niedawno przez niego zatrudnieni okazali się nieudacznikami. Poczucie, że wokół wszystko zastyga, a on pomalą staje się częścią tej niemożności, że zaczyna się przyzwyczajając, albo zaczyna się przyzwyczajając, że nie może się przyzwyczaić. Wczorajsza wizyta w pewnym ministerstwie spędziła mu tej nocy sen z powiek. Przybyła tam grupa nowych ludzi, bo to jedno z niewielu miejsc, gdzie ktoś kogoś zmienił. Bardzo mili, kulturalni i bezradni jak zagubione w tłumie dzieci.

Dzwoni do mnie X. i mówi, że jak skończy wizytę u szefa, wpadnie do mnie na herbatę. Jako że gabinet jego szefa mieści się w dawnym gabinecie generała Kiszczaka, czuję jak po grzbiecie przechodzi mnie dreszcz, kiedyś drapieżne zwierzątko, teraz zwierzątko zdziwienia. Pamiętam światła palące się w górnych piętrach Wielkiego Urzędu, czujne oko monstrum, którego maczki podsłuchów nawet w nocy unosiły prześcieradła naszych mieszkań. Teraz X. jest u szefa Urzędu jako kolega. A mnie tylko brak czasu uniemożliwia, by przejść się znanymi korytarzami i pukać do drzwi, gdzie wczorajsi prześladowani, młodzi z WiPu siedzą z generalskimi gwiazdami na ramionach w pokojach gdzie jeszcze wczoraj byli przesłuchiwanie.

X. w końcu dociera do mnie, lubię go, stwierdzam to z radosnym zdziwieniem, bo tak niewiele zostało z wielkiego wzajemnego lubienia się w naszym środowisku, on szczęśliwie ocalał. Ma dużo pracy, o takiej pracy zawsze marzył, ale nie jest szczęśliwy – jestem smutny na tle smutnego kraju – mówi.

Wymarzone przez niektórych wietrzenie, trzepanie i rozbijanie betonu ma na razie miejsce tylko w telewizji, gdzie energicznie zabrał się do pracy nowy szef. A przecież z mojego punktu widzenia to tylko jeden znajomy zastąpił drugiego. Znajomi są po obu stronach otwartej nagle przepaści i doprawdy czasami o ich pozycji zadecydowało tylko miejsce, gdzie stali, gdy otwierała się dziura. Jak zatruwającą mała jest talia nowych politycznych kart. Terlecki na podobieństwo mitycznego rycerza ruszył na smoka i łupie go mieczem, smok co prawda związany jak baleron, ale to i tak godne podziwu, bo rąbiąc takiego

potwora można się utopić choćby w jego krwi. Zresztą jak na razie odrąbano tylko jakieś małe organy. Sam zwiędziałem zdumiewające miejsca w telewizji, gdzie wskazówka zegara zatrzymała się pod koniec lat 50-tych, aż szkoda będzie burzyć taki zabytek. Jak zwykle u nas, najbardziej martwi zniszczenie ludzkiej infrastruktury. Rozmawiając z ludźmi z radia i telewizji uzyskałem jeden zgodny głos — atmosfera tam już od dłuższego czasu nie jest lepsza niż w stanie wojennym — lęk, podejrzliwość, donosy.

Jako że koncepcja Terleckiego skrajnie różna niż Drawicza, ciekawie będzie obejrzeć, kto miał rację. Boję się, że rację może mieć ten wielki trzeci — nasza niemożność.

ROAD, kierowany przez dwóch jeszcze młodych robotników o partyzanckiej przeszłości, skupia grupkę inteligentnych emerytów. Głowa więc nie pasuje do tułowia, a tułów sam nie wie czym ma być, trudno się dziwić, skoro głowa niepewna siebie, a lewe oko zaczyna się spierać z prawym. Ja sam ze sobą stoczyłem spór, czy pójść na obrady ROAD-u? Nie poszedłem. Jakoś nie mogłem patrzeć na znajomych szepionych w bezradnych sporach. Kością niezgody stał się Tadeusz Mazowiecki i Unia Demokratyczna — czy skupiać się wokół tego, co przegrał? Tak oto rozeszły się drogi Frasiuniuka i Bujaka, a to już doprawdy jakby ktoś podzielił włos na cztery. Biedny obywatel nic z tego nie rozumie, nie jest nawet w stanie zapamiętać nazw, Ruch Obywatelski — Akcja Demokratyczna, Porozumienie Centrum, Unia Demokratyczna, Forum Prawicy Demokratycznej, już od tych nazw robi się niewyraźnie, kto z kim i właściwie po co. Czym się różnią? Czy tylko gorącą wzajemną awersją liderów? O tak, na gorze nadal gotują się niechęci, ale na dole już chłodno. Tam wczorajsze spory zmieniły się w bliźnę, a na tej bliźnie nie chce teraz rosnąć choćby jeden polityczny włos. Czym więc mają się żywić nasze partie? Są jak dzieci, które od razu zmieniają się w karły. Miarą ubóstwa naszego życia politycznego jest ustawa antyaborcyjna, która staje się ostatnią deską ratunku, by się określić. Pewne szanse na określenie się daje też religia w szkołach. Ale kto się odważy być „przeciw”, może oprócz tych co i tak już wszystko stracili?

„Jedną z przyczyn patologii społecznej jest skażenie duchem ateizmu, najgorszą z religii pustoszącą umysły i serca” — takie oto słowa płyną spod skrzydeł ministra sprawiedliwości. Mówi się już, i to poważnie, o zakazie rozwodów. Znajomy ginekolog opowiada, że ma przypadki zgłaszania się kobiet, którym ksiądz polecił wyjąć spiralę antykoncepcyjną.

Pewien wybitny Polak mówi mi — „nadszedł czas, by odsunąć się od polityki i wracać do swojej pracy”. A jeszcze miesiąc temu pamiętam, jak wbrew swojej żonie, upierał się — „narozrabialiśmy, przegraliśmy, nie wolno się teraz wycofać”.

J., która była żywym świadectwem nieugiętych uczuć wobec „Solidarności”, skarży się teraz szczególnie ciężko doświadczona. — „Kazali mi wybierać między naszymi, to było okropne, a kiedy wybrałam, nasi zaczynają się znowu dzielić, ale ja nie potrafię już wybierać, zostaję w domu”.

Wolność wychudziła u nas wszystko. To, że „prawda” tak schudła to naturalne, „prawda” ma mięśnie tylko w świecie kłamstwa. Ale konsekwencje tego zabiegu okazały się ważkie dla wszystkich zawodów posługujących się słowem. Pojęcie „chudy literat” zyskuje dzisiaj nowy wymiar.

Dom Literatury stoi okrzakiem nad ruchomymi schodami, pierwszymi ruchomymi schodami w Warszawie, których szum poruszał ocean moich dziecięcych emocji. Z okien biblioteki można zajrzeć w błękitne oczy króla Zygmunta stojącego na kolumnie. W sali, która wdzięcznie się zaokrągliła, odbywały się w czasach stalinowskich procesy literackich czarownic, ale nikt nie spalono tylko składano samokrytyki i recytowano wiersze ku czci słońca tyłkości. To tam stojąc na mównicy stracił przytomność Jerzy Andrzejewski, gdy jego wzrok spotkał sumienie partii płonące w oczach Jasi Broniewskiej. Tam rzucano w paszczę partii pierwsze gesty sprzeciwu. To z pierwszego rzędu tej sali, gdzie po „Liście 34” Marię Dąbrowską gromił kłapouchy aparatczyk Zenon Kliszko, odezwał się przenikliwy głos Belli Czajki — „głośniej, synku”. To tu rwano na strzępy duszę naszej literatury, romansowano z diabłem, tu były pierwsze szarże pisarskie na czołgi i kielkowała opozycja. W mury tej pięknej kamienicy wżarł się pasożyt stanu wojennego, „nowy” ZLP, ukradł dawnemu nazwę i skorupę. Dzisiaj nasza pełzająca rewolucja kazała zamieszkać pod jednym dachem pasożytowi ZLP i nowopowstałemu dziedzicowi prawdziwego ZLP, Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Aby to się stało, musiały nagle skapnąć emocje. Jeszcze rok temu takie bytowanie pod jednym dachem było niemożliwe, już problem używania wspólnych toalet miał wymiar szekspirowskiego dramatu.

Zwiedzam po latach niebywania słynną stołówkę w podziemiach. Dzisiaj tu wszystko odkażone, odmalowane i wyparowała anatema. W tej słynnej stołówce tury, żubry i wilkołaki naszej

literatury kierowały publicznie do ust łyżki pełne niezwykle taniej stawy, zawsze o tej samej godzinie wirował stolik Konwicznego, a na tle dostojnego krajobrazu zataczał się i chrząkał Himilbach, w kawiarni na górze odsłaniał swoje owłosione ręce Janusz Głowacki i przysiadł się doń Leśmiano-podobny Julian Strykowski, dopiero co wysiadły z pustej karety. Wszystko tu było prawie za darmo, może oprócz prawa wstępu zarezerwowanego dla wybranych, dla naszej słodkiej warszawskiej śmietanki, *crème de la crème*, i ten zlakniony wzrok aspirantów omiatający czule salę pełną literackich skarbów, i szlachetny snobizm, który można było zeszkrobywać widelcem ze ścian, ileż on miał kalorii!

Dzisiaj ściany zostały pobielone, pawią się nowe meble, wszystko niby staranniejsze, ale zupełnie bez znaczenia. Wielkie głowy zastąpiły średnie lub anonimowe, a nawet gdy pokaże się ktoś z nazwiskiem, to też jakby chudszy, lżejszy, nieprawdziwy. Na spotkaniu, gdzie przybyli prawie wszyscy ze świata naszej literatury, chudo i mdło. A przecież to już czasami nie tylko pisarze, a wielcy politycy, prezydenci miast, przyszli dyplomaci. Ale ze ściany już nic nie zeszkrobiesz i coś szepce – to bez znaczenia.

I to samo w prawdziwym pisarskim majątku słynnych Oborach pod Konstancinem. Odnowiono barokowy pałac, park został ostrzyżony *à la punk*, stawom dano wyraźny brzeg, a pobliski PGR, tak niegdyś starannie odgradzony, teraz bezwstydnie prześwituje. Gdy wjeżdża się przez wysoką bramę drogą, która otwiera pałac, harmonia tej przestrzeni gra jak w dobrych latach marsz weselny. Na ganku, dzisiaj ściętym przez mróz, pusto, ale ja widzę siwo-lwią głowę Wańkowicza i Słonimskiego, pięknego świerszcza jadącego triumfalnie na rowerze, łatwiej powiedzieć kto tu nie był, jeśli w ogóle ośmielił się istnieć taki pisarz. Aż gęsto, aż gorąco od duchów wielkich, strach iść, by nie nadebrać na czyjąś stopę, na dopiero co zaczęłą książkę z już dawno napisanym epilogiem.

Grupka menadżerów, nie wyglądających na menadżerów, odbywa kurs po angielsku, z takich kursów żyją dzisiaj Obory, ledwie żyją. Właśnie przybyła dwójka muzealników z Warszawy, oglądają i opisują resztki zabytkowych mebli ocalałych po remoncie, są czujni jak poborcy podatkowi. Nawet te resztki chcą nam zabrać i przenieść na warszawski zamek – szepce kierownik. Zagrożony jest cały pałac, bo zgłaszają się Potuliccy, dawni właściciele, zagrożona jest też kamienica na Starówce. Wszystko zagrożone, co nie zarabia na siebie.

W Ministerstwie Kultury władzę objęli muzealnicy, jakby na potwierdzenie, że jesteśmy skansenem wymagającym gwałtownej renowacji. Czy dadzą radę? Jak na razie zdają się zagubieni wśród sypiących się strzech naszej kultury.

Problemem nr 1 w Polsce jest, by ruszyła produkcja. A polskiej produkcji nie widać w warszawskich sklepach i na ulicznym bazarowisku, zaś największym bazarem jest Marszałkowska.

Podziemne koliste przejście, gdzie krzyżuje się Marszałkowska z Alejami Jerozolimskimi, przypomina niezwykle karuzelę w jakimś handlowym Hadesie. Wydaje się, że to nieprawda, że to szalony sen kraju środka Europy, który w roku 91 zasnął na trzecim boku. Gra podwórkowa orkiestra – dlaczego nie ma tańczącego niedźwiedzia? Co trzeci w gęstwie handlujących to Rosjanin, ten handluje kranami, jak on krzyczy ten wczorajszy człowiek sowiecki, do żywego dotknięty, że para polskich emerytów domaga się opuszczenia ceny. W handlowym kotłowisku siedzą Wietnamczycy, to tania siła robocza zwieziona tu przez jakiegoś spryciarza, oni też handlują, cichutko, skromnie, z uśmiechem przyczajonym jak nieoswojone zwierzątko. Obok zebrzą rumuńskie dzieci, wyglądają tak biednie, że nikt im nic nie da, bo kto by uwierzył w aż taką biedę. Na schodach bije się kilkunastu Mongołów, zapewne po tatarsku, bo nie na pięści a podduszają się nawzajem – słyszę jak nasza kobieta wykazuje swoją europejskość przemawiając do tego kłębowiska: – Panowie, dajcie spokój, tak nie można.

Powszechnie znękanie nagle odzyskaną wolnością. Dobre określenie Wolickiego: – „jakby nam wszystkim wyciągnęli dywan spod nóg”. Zachwiali się duzi oraz mali, wielu upadło i gramolą się teraz nieporadnie. W małych miasteczkach, gdzie wszystko na dłoni, widać wyraźnie tęsknotę za dawną stabilizacją, marzy się o raj u utraconym, chociaż nadal spore zapasy owoców z tego raj u zalegają magazyny i domowe spiżarnie.

Bardzo znękanie chorobą wolności są tak zwane stowarzyszenia twórcze, co o tyle porusza, że tam właśnie najwięcej o tej wolności mówiono i najgłośniej ją witano. Filmowcy na zebraniach zespołów zaczęli nagle wyrażać chęć powrotu do czasów, gdy zespoły były finansowane przez państwo, pisarze uważają, że książka musi być dotowana. Podczas wyborów do władz prawdziwy dramat, bo nikt nie chce być prezesem ani niczego piastować.

Nie wiadomo, czy nasza wolność jest zbyt drapieżna, czy dawne wygody dopominają się papu? Trzeba pamiętać, że romans inteligencji z diabłem skończył się w 56 roku, ale tańczono na dworze

prawie do końca. Widziałem niedawno kronikę filmową sprzed lat, gdzie dzisiejszym azjatyckim pasażerem handlowym maszerował 1-majowy tłum błogosławiony przez łaskawą łapkę Gierka. Kamera uwieczniła twarze znanych artystów, których ta łapka podrywała jak kukły do tańca. Nazwiska? Nie będzie nazwisk, nie przejdą mi przez gardło. To dzisiaj prezesi wolności, kombataneci walki z reżimem i, co podkreślam, nieprzejednani wobec tych, którzy się splamili o kilka przecznic za tą 1-majową trybuną.

Trudno poruszać się w Warszawie nie wpadając jak w dziury w wolne stanowiska kierownicze do obsadzenia. Władza leży na ulicy, ale kuszą tylko miejsca najwyższe położone albo wygodne, a takich niewiele. Już powszechnie wiadomo, że piastowanie czegokolwiek podczas Wielkiej Bolesnej Przemiany to narażenie się na porażki i powszechną niechęć. „Trzeba być szalonym patriotą albo durniem, żeby zostać ministrem” – diagnozuje nasze „dzisiaj” specjalista od „jutra” Stanisław Lem. Ale to nie zawsze prawda albo nie każdy do niej dojrzał. Pamiętam salę Politechniki Warszawskiej, gdzie nominowano solidarnościowych kandydatów na posłów. Y. siedział blisko mnie, on nie był na liście, pocił się, nagle rzucił się na trybunę walczyć, też chciał, skompromitował się, wrócił, znowu pocił się. Ten zapach potu będę zawsze pamiętał. Teraz widzę ten sam pot na jego już publicznym czole, bo on nareszcie jest Tam. Usadził się na odpowiednim peronie i zabrał na właściwy pociąg. Zmieniła mu się twarz. Nigdy nie miał najlepszej, a teraz szpeci ją opuchlizna władzy. Skąd my znamy takie twarze. Ta choroba miała być zarezerwowana tylko dla komunistów, a teraz już wiemy, że ów wirus „najzwyklejsze trafia głowy”.

Sam padłem ofiarą naglej namiętności, gdy poszedłem ze znajomym na spacer, a ten pokazał mi zaskakująco ładne nowe domy, jakby z innego świata. — Tu mieszka stara, a teraz wprowadza się nowa nomenklatura — wyjaśnia optymistycznie. Przypomina mi się teraz Z., o którym wiem, że podobnie jak wielu innym z „nowej góry”, zaproponowano mu nowe mieszkanie. Z. jest kryształowo uczciwy więc stoczył ze sobą bitwę duchową, a gniotąc się w nieludzkich warunkach, uległ i przyjął mieszkanie, chyba tu właśnie. Inni członkowie nowej władzy raczej nie mieli takich dusznych problemów, szczególnie na odchodnym. A ja... ja bym też uległ. Mieć ładne mieszkanie wśród brzydoty i rozpadu, gdzie można się schować, wtedy da się tu jakoś żyć. I czuję wyraźne ukłucie zazdrości. Trzeba było zostać dygnita-

rzem, ani z patriotyzmu, ani z głupoty — dla mieszkania. Nie będąc choćby na chwilę dygnitarzem, do końca życia będę objął się w swojej klitce. Jakie szanse na mieszkanie ma mój syn, skoro ceny mieszkań w stolicy gonią Paryż? Nasze dorastające dzieci, jeżeli nie wyemigrują, wyjdą na ulicę domagając się dachu nad głową. W tej dziedzinie nie ruszyło się nic, a jeżeli, to do tyłu.

Połowanie na ludzi na wysokie stanowiska odbywa się z nagonką lub bez. Doprawdy w ciągu jednego dnia można stać się dyrektorem departamentu, dyplomatą w Nowej Zelandii, dygnitarzem w Urzędzie Ochrony Państwa. Warunkiem jest przyzwoite zachowanie w stanie wojennym, najlepiej choćby krótki pobyt w internie, no i jakiś dorobek, może być symboliczny w dowolnej dziedzinie. Kilku „wysokich” znajomych, co zaręczą, dopełni szczęścia. Potem można siedzieć, odbierać telefony — „Czy chciałby pan objąć...” — a zrozpaczonym błagalnikom odmawiać grzecznie, ale stanowczo — „Przyjąłem już inną propozycję” — zaś na obowiązkową wtedy formułę — „Skoro Pan nie, to może znajdzie pan kogoś dla nas” — odpowiadać, po chwili namysłu. — „Właściwie wszyscy znajomi są już zajęci, ale oczywiście pomyślę”.

Znowu zmniejszyła się liczba wind, gdzie jest światło. Kradną już nawet malowane żarówki, a przemyślnie zabezpieczenia nie są skuteczne. Te mroczne windy dziwią tylko tym, że jeszcze jeżdżą. W tych ciemnych windach myślę sobie, że chociaż fasada u nas nędzna, ale każda wycieczka na tyły ujawnia katastrofę. Za dużo łąziłem po tyłach, tak się złożyło, musiałem, i teraz strach, bo skoro takie są tyły z jako taką fasadą, to co się dzieje za nędzną fasadą?

Jestem pesymistą, a depresyjna rzeka podmywa moje brzegi. Nie należy więc mi ufać, bo widzę ciemno. Sam sobą zmęczony szukam światła u tych, którzy je noszą. Ale co spotykam znajomego mi z dawnych lat nosiciela światła, widzę z przerażeniem, że on już nie świeci, jakby po ostatnich wstrząsach całe światło wychlapało się. Przeraża mnie to, ale zarazem krzepi. Bo w kupie męczyć się raźniej, a poza tym, któż lubi błędzić i wieść innych na manowce swoimi opowieściami — przeraża, bo gdzieś na dnie przez cały czas jak uparta mysz skrobie nadzieją, że a nuż nie jest tak źle, jak to widzę.

Kultura nr 4/523 kwiecień 1991

KWIECIEŃ 1991

Co było złe – pogorszyło się. I potwierdza się zasada, że co jeszcze całe, podzieli się. To już niemal wojna domowa, na skalę naszego M5. Kłóć się w salonach, w pokojach, w przedpokoju, a w toalecie czasem dochodzi do opluwania. I to wszystko nasi, nasi, nasi. Nie wiadomo, kto ma rację, zresztą przestaje to być ważne, bo kiedy zaczyna się konflikt, emocje są tak duże, a formy tak brzydkie, że już tylko to staje się paliwem dla niechęci, a nawet nienawiści. „Spektakl naszych sporów, nasze dziwne igrzyska. Tej zawziętości nie pojmuję” – dziwuje się intelektualista Jacek Woźniakowski, właśnie wygryziony z funkcji prezydenta miasta Krakowa. Ta zawziętość ma podłoże neurotyczne, panie Jacku. Wiem, że to niewiele wyjaśnia, ale każe szukać odpowiedzi nie tylko w sferze racjonalnej.

Horror w telewizji, rozłamują się redakcje pism, dzielą polityczne partyjki (ROAD, PPS, nawet „Solidarność Walcząca”), zaraza schodzi na dół, do biur i fabryk. Konflikt zasadniczy jest pomiędzy ogólnie pojętym Centrum a równie ogólnie pojętym ROAD, zaś dwie przeciwstawne idee to akceptacja Wałęsy lub jego negacja. W szczegółach jednak nie wiadomo, kto po której jest stronie, nie ma więc walki koncepcji, jest walka osób. Ile kwiatów zostanie podeptanych w tej szarpaninie, ile drzew nie zostanie zasadzonych? Na górze króluje polityka bez polityki, na dole myśli się tylko o pieniądzach, ale one jeszcze nie w pełni prawdziwe. Gdyby więc jakieś dziecko zapytało, czym dzisiaj zaj-

muje się Polska, należałoby odpowiedzieć: dwiema bajkami. Nic dziwnego, że w tej sytuacji autorytet wszystkich Autorytetów osypuje się jak piasek z piaskowych babek. Popularność prezydenta zsuwa się po belwederskiej skarpie, gdzie nocą słychać jak kaszle i szpetnie klnie duch Marszałka pochylony nad nieudanym pasjansem.

Po aborcji na problem nr 1 w kraju wysunął się popiwiek. Cóż za niezwykle słowo, apetyczne jak piana zwisająca z kufła pełnego piwa. Ten „popiwiek” ma jednak wewnątrz o paskudnej nazwie „podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń”. Popiwikowy problem, najwyraźniej bękart przedwyborczych obietnic, wybrzusza strajkową falę i podobno może nawet poderznąć gardło naszej reformie, za którą głaszcze nas po głowie bogaty wuj z Ameryki – tacy dzielni, inni by nie wytrzymali. Nie wytrzymują.

Obiecana likwidacja popiwku to tylko jedna z wielu obietnic cacanek przedwyborczych. Miało być wymiatanie nomenklatury, a o mały włos na prezesa NIK-u nie mianowano, po prezydenckiej protekcji, ekspozycyjnej posłanki. Na szczęście nie widać nigdzie robotniczych brygad, które miały zwalczać panoszącą się przestępczość. Wymieniać nomenklatury nie można, bo już coraz częściej nie wiadomo co to takiego – a jeśli wiadomo, to nie ma ludzi na wymianę, bo nadal nie działa żaden mechanizm wylaniania kadr oprócz towarzyskiego. Zresztą w kuźni na górze wielki kowal wykuł formułę, że starzy są doświadczeni i boją się ścięcia, a ta mieszanina znakomicie im służy w pracy – to nie koniec ich zalet – nowi ludzie to amatorzy, a do tego goli, a więc ulegną wdziękowi władzy. Napisałem to lekko, ale serio, bo cytuję nie byle kogo. Co gorzej, z moich własnych obserwacji niestety wynika, że ta prymitywna wizja ma w sobie twardy korzeń prawdy.

No tak, ale masy głosowały na te wszystkie niespełnione wizje, więc co teraz? Masy mają krótką pamięć, ale długie łaknienie, a łaknienie karmi pamięć.

Załamanie zainteresowania polityką i ekonomią, poza ekonomią własnej kieszeni, jest dotykalne jak guz na głowie. Ilekroć pytam znajomych, co słychać w kraju – nie wiedzą o czym mówić. B. jeszcze wczoraj roznamiętniona politycznie, po długiej chwili namysłu odpowiada: „Sprzed naszego bloku ukradziono 8 samochodów i było 6 włamań do mieszkań”. Potem skarży się na brak czasu i pogoń za pieniędzmi. Żadnego zainteresowania ży-

ciem publicznym. Jej autokomentarz – „przez tyle lat mój kraj nie interesował się mną, więc sama zaczęłam interesować się sobą i rodziną i na nic więcej już nie mam siły”.

Od rabinów naszej ekonomii można dowiedzieć się, że jest dobrze, chociaż leżymy w samym środku kilkunastu błędnych kół. Pacjent już prawie umarł, ale operacja niemal na pewno jest udana. Medyczne terminy czepiają się jak rzep naszej sytuacji. Zabiegi, jakie się czyni, przypominają leczenie choroby nowotworowej przy pomocy naświetlania, pacjent łysieje, słabnie, ale póki co nie ma przerzutów. Nagle rentgen wykazuje ślady inflacji. Szepty – co będzie, daj Bóg niczłóśliwa?

Nadal nie ma odbudowy tkanki gospodarczej. Podobno wykonanie jakiegokolwiek ruchu dającego szansę na pobudzenie rodzimej aktywności ekonomicznej zniszczy subtelny welon naszej finansowej stabilizacji. Trzeba więc stać zupełnie nago na północnym wietrze i patrzeć, jak cwaniacy spluwają, a z ich śliny rosną fortuny. Natomiast kraj nadal utrzymują wielkie postkomunistyczne mamuty, problem w tym, że skazano je na śmierć. One jednak wykazują nadprzyrodzoną odporność, a to prowadzi do rozpaczliwych reformatorów. Co będzie, jak w końcu padną?

Nie ma w sklepach kolejek, ale żyć znowu coraz ciężiej. Nawet jeśli te wszystkie okropne niedogodności są konieczne, to nadal nikt nie potrafi tego wytłumaczyć prostemu człowiekowi. Człowiek skomplikowany nawet jak nie zrozumie, to będzie udawał, że rozumie, opierając się o ramię zaufania do specjalistów. To zaufanie jest czymś ogromnie niepokojącym, bo ewentualny błąd dotyczy 40-milionowego organizmu. Człowiek prosty u nas jak nie rozumie, to z nawyku jest przekonany, że go oszukują. Jeśli więc nie daje się tłumaczyć w słowach, to należy na obrazkach. Potrzebę języka obrazkowego dostrzeżono na wyżynach naszej władzy, co stwierdziłem osobiście, ale jak na razie istnieje trudność obiektywna, bo nikt nie umie tego narysować.

Każdy nowy, który wchodzi na szczyty władzy, z reguły wpada w dołek zostawiony przez cierpienia poprzedników – jeżeli uczciwy, to mówi – łatwo było przedtem krytykować, trzeba tu wdrapać się, by poczuć, jak trudno jest wykonać jakikolwiek ruch na tych wysokościach, gdzie brakuje tlenu.

Kiedy czytam polskie pisma, z *Kulturą* włącznie, mam wrażenie, że wszyscy wszystkich pouczają. Oto wielka szkolna klasa, gdzie w ławkach siedzą tylko plecy, a za to przy tablicy jest tłum

gestykulujących gęb i każda ma przyklejony wyraz zacierzewionej dydaktycznej pewności siebie. Ja też tam stoję i mądrzę się.

Podejrzewam czasami, że to odmienianie na wszelkie sposoby – nie tak, ale głupota, nie wolno – to tylko różne formy ucieczki od odpowiedzialności. Są owszem takie sytuacje, kiedy odpowiedzialności wziąć się nie da, nawet za pieniądze, nawet po alkoholu i przy muzyce, ale czy właśnie taką przykrość teraz mamy? To raczej nasza słabość, wyczerpanie organizmu i niemoc pokrywana wzdęciem klatki piersiowej.

Spotkania znajomych po dłuższym czasie niewidzenia, to najpierw delikatne chodzenie wokół, nie za blisko nie za daleko, potem subtelne zbliżenie z baczeniem na szczęki i nagle pod ogon: wachać kto jest kto. Szukanie woni Mazowieckiego, Bujaka, *Gazety Wyborczej*. Zapach *Gazety* dla wielu szczególnie ostry, jak czosnkowa esencja. Inni poszukują zapachu Endecji, Chadeccji, święconej wody i mecenasa Chrzanoskiego. Co za bogactwo zapachów ujawnia nasza wolność, jak atrakcyjne stały się nasze polityczne podogonia.

Wznoszenie partii politycznych na personalnych niechęciach jest możliwe, ale czy budowle stojące na takim fundamencie mogą mieć okna i drzwi?

Niemal wszyscy moi znajomi są już na dworach, bo w Polsce nie ma kapitału, nie ma majątków, ale są dwory wokół osób i idee, bo idei też nie ma. Dwory są małe, raczej ubogie, tylko emocje na nich bogate. Największy oczywiście jest dwór Wałęsy, ten z prawdziwego zdarzenia. Tam krążgankami przemyka się w środku nocy Stefan Kisielewski, uzbrojony w całodobową przepustkę. I coraz częściej słyszę, że bije dla wielu ostatni dzwon, by wywinąć się spod nożyczek, które strzygą, zmieniając wczorajsze lwy podziemia w strzyżone pudle z kokardkami. Poprzedni reżim naproduktował niezwykłą ilość takich podstrzyżonych, kręcą się teraz szukając nerwowo dla siebie miejsca w nowej sytuacji, ale od razu widać, że to nie pudle, a kundle, z kompromitującymi strzępkami czerwonej wstążeczki.

Spotykam D. Od niedawna ważna figura. Pamiętam go z czasów, gdy stał bezradnie na peronie, cierpiał i czekał, ale nie powiem, że cierpliwie. W końcu pojechał, i jego oczy już nie mają rozpaczliwego wyrazu młodzieńca umówionego na randkę, któremu nie przyjeżdża tramwaj. Zdążył za to w ciągu miesiąca złapać fatalną opinię. To się teraz w Polsce łapie łatwo, jak cho-

robę weneryczną. A przecież D. ma świetną biografię. Ciągnie ją teraz za sobą jak skrzydła sflaczałe i wyłysiałe z piór. Nie wiem kto ma rację w tym jednym z miliona sporów. On jednak niespokojny, bo niepewny po której stronie barykady jestem – kraj cały w barykadach – więc idzie ku mnie ostrożnie jak saper do miny. Odnajduję w jego giętkich ruchach własne obawy, gdy zbliżam się do tych, których dotknąłem albo mogłem dotknąć czulką swojego tekstu. A co do wyłysiałych i sflaczałych biografii, to ich liczba rośnie epidemiologicznie. U byłych więźniów, działaczy różnych podziemi, kształt tego zewłoku przypomina skrzydła. Należy ostrożnie chodzić, by nie nadebrać, bo to jednak świętość. Ale nawet te włóczęne twory wzbudzają wielką zazdrość właścicieli biografii nomenklaturowych. Oni ciągną za sobą żalostne woła, nabrzmiałe i sine. Znam takich, co próbują je gdzieś ukryć, pracują po nocy, ale nie daje rady, zawsze jakieś paskudztwo wystaje. Co za cierpienia, jakby ktoś chciał pumeksem zmyć grzech pierworodny.

Wyżej wspomniane dramaty dotyczą oczywiście towarzystwa, które porusza się w okolicach szeroko pojętej władzy, czy w rejonach nabrzmiiałych moralnie jak tereny artystyczne i naukowe. Bo poza tym wąskim marginesem króluje sfera przelyku i odbytu, gdzie biega się wokół pieniędzy albo ich braku.

Sejm nie zaplanował samobójstwa na maj, chce jeszcze pożyć, zabije się na jesieni. Wałęsa dąsa się, a z jego okolic dochodzą polajanki, które przypominają odgłosy klapsów, jakie dawał niegdyś sejmowi Piłsudski. W obozie Centrum, chrzczonym właśnie na Chadccę, wielki zgiełk. „Odwłeczenie wyborów na jesienne sloty to nóż wbity w serce naszej wolności. To zdrada narodu, to hańba”. Wczoraj oskarżani o zdradę dzisiaj to zwracają, jak łatwo im przychodzi, nie trzeba nawet wkładać palca do ust. Krzyczą też o spisku nomenklatury, którą podejrzewa się, że po kryjomu przylazi nocami do łóżka ROAD i Unii. Spisek, spisek, spisek. A profesor Geremek też mówi, że to spisek, ale spisek obozu władzy wymierzony w siły mazowiecko-podobne. Jego wielka inteligencja ubrana jest w ton tak kaznodziejski, że dławię się kłakami z tego karakułowego futra. Co ja na to poradzę, że ci, których muszę cenić, którzy nadal mi najbliżsi, a wczoraj nawet kochani, teraz tamują mi oddech plastikowym tonem i ostrym zapachem perfum na pawich ogonach. Gdzie teraz pójść, do kogo się przytulić?

Wydaje się, że nomenklatura zaczyna dzielnie przejmować funkcje Żydów. Będzie więc można wkrótce nawiązywać kontakty wymianą ciepłych uwag, jak to drzewiej bywało z żydkami.

– To panie przez tę nomenklaturę, nawet pogodę zepsuli.

Gdyby trzeba było dzisiaj skonstruować monstrum narodowe, źródło wszelkiego zła, byłby to nomenklaturowy Żyd homoseksualista zarażony aidsem.

Porozumienie Centrum i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe delibieruje nad ustawami antykomunistycznymi, gdzie sprawdzano by czystość krwi aż do żłobka. Ciekawe, czy niemowlę karmione skażonym mlekiem z komunistycznej piersi wedle tych projektów będzie mogło w stanie dorosłym piastować państwowe funkcje?

Kościół polski nieustannie chwalony, że chociaż triumfujący i mógłby pójść jeszcze dalej, jednak nie idzie. Nie wiem czy włączenie do łóżek obywateli to pójście daleko czy blisko? A na prowincji są już miejsca, gdzie księża zaczynają współwładać, co zresztą nastawia wrogo wiernych. Faktem jest, że w skali kraju szybko ostatnio rośnie liczba zwolenników aborcji, co wykazują badania opinii publicznej, i maleje autorytet Kościoła. Problem aborcji, jeszcze nie ujęty w prawny pas cnoty, budzi żywe namiętności. Prasa doniosła o pewnym młodzieńcu w Szczecinie, który, cytując: „W piątek rano, przy jednym z bocznych ołtarzy szczecińskiej katedry (...) obciął sobie narządy płciowe, protestując w ten sposób przeciwko zakazowi aborcji”. Zakończenie komunikatu jest wyraźnie optymistyczne, bo chociaż medycy ocenili stan poszkodowanego na średni, to okazało się, że „pacjent jest trzeźwy i szczęśliwy z tego co zrobił”.

Dotychczas w tej sprawie pisano petycje i szarpano się przed Sejmem za włosy, teraz jak widać czas przejść do czynów. Stronnictwo Narodowo-Chrześcijańskie zapowiada atakowanie miejsc, gdzie sprzedaje się pornografię i środki antykoncepcyjne. Wydaje się, że obie strony mogą dojść do porozumienia. Jeżeli rzesze naszej młodzieży ruszą śladem dzielnego kolegi i złożą na ołtarzach w ofierze źródło wszelkiego zła, pornografia i jej obrzydliwa kuzynka antykoncepcja umrą śmiercią naturalną.

Spotyka mnie przyjemność rozmowy z postacią ze szczytów. Na jej czole lśni szron zdziwienia, że nagle tak wysoko. I wyraźna pociecha, że to pewnie na chwilę. Poczucie bliskości, bo mamy oczywiście bliźniacze biografie, wspólne wesołe zabawy ze strażnikami dawnego ustroju i można się popieścić wspomnieniami.

– No i co, przekabacił Pan już wszystkich na Mazowieckiego? – pyta On z ironicznym uśmiechem. Mówię, że nie, bo nie Kocham Mazowieckiego. Spojrzał i usłyszałem w Jego spojrzeniu pianie koguta. Zacząłem się tłumaczyć, że owszem głosiłem na Mazowieckiego, ale łzy płynęły mi ciurkiem po wewnętrznej stronie policzka. Bo jak na mniejsze zło były premier wydawał mi się okropnie duży. Bez sensu, że się tłumaczę, bo On i tak nie wierzy i czytam w jego oczach – „zaparł się”. A ja myślę – wiedziałem, że w kraju duże emocje, ale że tak duże, iż zalewają nasze szczyty, to jednak zaskoczenie. Ta nowa Góra o wiele mniej nadęta od Góry poprzedniej, ale o ileż bardziej prowincjonalna i chuda w konwersacji. Naprawdę jednak ważne na ile są fachowi, co możliwe, ale niepewne. A nasza szara do Europy wymaga od nowych ekip napolcońskich talentów. Nie ma Napolcon, nie ma jego generałów, już nawet naszych szwoleżerów nie ma. Jest Wisła, ale w stanie pożał się Boże.

Ojcowie naszej operacji ekonomicznej Leszek Balcerowicz i Jeffrey Sachs są nadal optymistyczni, szczególnie na wynos. Balcerowicz trochę spuszcza z tonu przestrzegając, że tak powszechny pesymizm i propaganda klęski uruchamiają prawo samospełniającej się przepowiedni. Jako pesymista i klęskowiec spieszyłem się nieco, że a nuż dokładam się do nieszczęścia. Ja ten amerykański optymizm rozumiem i nawet popieram, bo *keep smiling* ma swój leczniczy sens, maska uśmiechu uruchamia mięśnie i ścięgna, które automatycznie wyciskają soki optymizmu z ukrytych w mózgu owoców.

Jeffrey Sachs, którego spotykam, robi stanowczo za dobre wrażenie, młody, przystojny, inteligentny, uśmiechnięty. Gdybym był poważnie chory na wstydliwą chorobę, chciałbym żeby mnie leczył. Problem tylko, że nasza choroba należy do chorób wstydliwych, ale orientalnych, gdzie nie wystarczy najwybitniejszy nawet amerykański internista. Rozmawiamy przez chwilę, ale wystarczająco długo, bym zaczął obawiać się czy nie cierpi na tym nasza reforma. Staram się wyłuszczyć swoje niepokoje. A więc wyjmuję z worka polskiego cielaka o wielogłowej duszy. Skoro kłopot z tym polskim pokrętem miał nawet Dostojewski i ograniczył się do niechęci, to nic dziwnego, że biedni mieszkańcy drugiego pośladka ziemi zdają się bezradni. Pytam, czy dostarczył w naszym kraju ten neurotyczny smutek, który potrafi zepsuć wino najbardziej wytrawnej reformy. Zastanawia się i przyznaje, że to go chyba najbardziej uderzyło, gdy był w Pol-

sce po raz pierwszy, smutek. „Przez cały czas mego pobytu w Warszawie ciężki smutek zasępiał me czoło. Chociaż sklepy i kawiarnie były otwarte, ulice pełne przechodzących, smętność jakaś wisiała nad całym tym miastem”, zanotował rodak Sachsa bawiący przejazdem w Warszawie w roku 1839. Kilkanaście lat później duński krytyk Brandes pisał o pobycie w Polsce: „Każdego cudzoziemca uderzyć musi okoliczność, że ilekroć spotyka on większą masę ludności np. na spacerach niedzielnych po głównych ulicach, nigdzie nie widać u mieszkańców owego zadowolonego i wesołego świątecznego wyglądu, który cechuje ludność innych wielkich miast. Tu przeciwnie, gdzie spojrzysz, oblicza posępne i frasunku jakiegoś pełne”.

Spotkanie grupy intelektualistów z Europy Wschodniej. Jest Serb, Węgier, Słoweńczy, Estonka, Rumunka, są Rosjanie. Nasza wschodnia arytmetyka wolności – bezradność i smutek – dodawane, mnożone, dzielone. W najlepszej kondycji są Rosjanie, upijają się i oczywiście zaczynają śpiewać, nadymają się przy tym jak patetyczne balony, obnażając nomenklaturowe ziołte i srebrne zęby. Ale w ich barytonach nie ma już potęgi imperium – tańczące hipopotamy w cyrku. Nie wiem, co o nich myśleć – mieszam współczucie i sympatię z pogardą, po czym piję z trudem ten napój. Trącają się ze mną kieliszkami Słoweńczy, zdają się pić to samo – są chyba najbardziej europejscy z całej naszej gromadki.

Nasze wielkie magazyny zawiści – bo kto się w Polsce zrealizował, kto ma poczucie spełnionego życia? Poczucie przegranej dotyczy tak przeszłości, to pół biedy, jak i przyszłości. Kiedyś młody człowiek wiedział, że będzie czekał na mieszkanie 10 lat, potem 20. Gdy terminy zmierzały w kierunku półwiecza, przyszła nagle wolność, miała twarz młodej dziewczyny, ale bezzębne usta starca – tymi ustami powiedziała – nie ma żadnych mieszkań, żadnych terminów. Jak się wszystko poprawi, to dostaniecie.

Nasza młodzież (ta inteligentka) – to osobny temat wart rozwinięcia. Ich gwałtowna i łapczywa ucieczka od polityki, ich brutalność, która jednak dotyczy tylko podważania wszelkich autorytetów. Ładnie to widać na polu literackim. Co za przyjemność kopnąć np. Miłosza, ale ten bucik, jaki on mizerny. I gdzie wasze dzieła, nawet wasz bunt cherlawy. Słabość tej negacji, bo stoi za nią tylko bezradność. Jako że to są już nasze dzieci, zgry-

zota podwójna. A właściwie potrójna, bo o ile byłoby gorzej, gdyby akceptowali zastany świat.

Polska nacja to szczególne skrzyżowanie szlacheckich ambicji z chłopskim niechlujstwem, które jednak uparte i nie strawi własnej gorszości wobec sąsiada. Tak oto 40 milionów schłopiałej szlachty obudziło się nagle na brzegu, od którego odpływa Europa. Na pokładzie bawią się, żrą, piją, tańczą, a my na brzegu, chociaż wolni, ale źle ubrani i bez pieniędzy – nie wpuszczają.

Na takiej glebie, gdzie wielkie ambicje przeplatają się warstwami z poczuciem przegranej, rosną najbardziej wyrafinowane okazy zawiści. To uczucie jest szczególne, bo jego obrzydliwość każe je ukrywać przed samym sobą. Maski, pod którymi kryje się zawiść, tworzą niebywałą rozmaitość zasłon. A pod tą pokrywą następuje efekt cieplarni i zawiść rozwija się jeszcze pełniej i bujniej.

Zawiść zwykle objawia się jako mały guzek, nie większy od główki szpilki, i dopiero jakiś wielki zabieg chirurgiczny może ujawnić, że ta główka ma tułów dinozaura. Suma naszych indywidualnych zawiści zdaje się tworzyć zawiść zbiorową – cały kraj więc leży na zawiści wobec świata, któremu się udało. To poczucie gorszości uruchamia mechanizm obronny w postaci deprecjonowania tamtego świata – udało im się, ale są głupi, albo podli, albo źli. I te niecznośne roszczenia – nam się należy, bo skrzywdziła nas historia. Pod ciśnieniem okoliczności wyciskane jest to z rodaków, w kraju czy na emigracji, jak pasta z tubki. W rzeczywistości jednak prawdziwe jest przede wszystkim poczucie niższości, które mieni się wszystkimi barwami upokorzenia i rodzi depresję. Wolność miała być cudownym lekarstwem na wszystko – polknęliśmy... i jeszcze nam smutniej.

Minęło zbyt wiele lat, śmietnik za nami, śmietnik przed nami. Tam gdzie stał nasz romantyzm zbudowano bar alkoholowy. Tylko to tłumaczy romantyczną kłiwłość rzesz naszych alkoholików.

Odideologizowanie naszego życia, naszej polityki, naszego myślenia o przyszłości ma swoją szczęśliwą stronę, ale i stronę nieszczęśliwą. Liczą się już tylko fakty i konkrety, a nie nadzieje i złudzenia, które w gruncie rzeczy stanowią o przyjemności życia. I dają siłę do przetrwania złych czasów albo do pogodzenia się z faktem, że lepsze czasy będą dla potomnych.

Jeszcze raz wracam do stanu wojennego. To jednak on zламаł nam w kilku miejscach kręgosłup; po latach zrósł się, ale

zostały trwale uszkodzenia w systemie nerwowym. Przyznał mi się kiedyś do podobnych intuicji jeden z głównych architektów zabiegu złamania kości: „Nie było innego wyjścia – zasmucił się – ale zgadzam się – przyznał – że to źle się zrosło”. O tak, zrosło się fatalnie, organizm był zbyt osłabiony na regenerację. Ja też czuję w sobie zgrubienia po tamtych dramatach, dzisiaj już w środku pustych, bo wyjedzonych przez to, co już wiemy o ich zapleczu, wyszydzonych przez wspólny taniec na balu u senatora z wczorajszymi oprawcami.

Zawieszenie „Obserwatora”, niezależnego dziennika telewizyjnego, przez nowe energiczne kierownictwo telewizji spowodowało burzę, jakby publicznie na stole wolności zgwałcono wolność słowa. Wzruszył mnie odruch naszej inteligencji, niemal odruch bezwarunkowy ukształtowany w latach opresji, gdy wszyscy siedzieli w okopach wojny z komunizmem. Oto pojawiły się znowu zbiorowe protesty, gdzie nazwiska pisarzy wdzięcznie mieszają się z imionami zasłużonych działaczy społecznych. „Uważamy, że jest to drastyczny przykład naruszania wolności słowa w Polsce przywołujący na myśl niedobre praktyki z przeszłości. Nie tędy prowadzi droga do demokracji”. Kogo tak pouczają weterani walki o wolność, naznaczeni wieloma bliznami, niektórzy nawet bez nóg, ale z licznymi medalami? Ano przede wszystkim Mariana Terleckiego i Lecha Dymarskiego, czyli ich towarzyszy broni, sygnatariuszy wielu bliźniaczych protestów z przeszłości, nieugiętych działaczy od narodzin tego niezależnego świata. Czy to możliwe, by mogli oni zagradzać drogę do demokracji? Czyżbyśmy mieli różne demokracje, do których dążymy odmiennymi drogami? Jak na razie o wiele łatwiej wydawać wszystkim wyroki niż stawiać pytania i wysłuchiwać odpowiedzi.

W jednym dzienniku radiowym dwie informacje z jednym mianownikiem. Minister stanu do spraw bezpieczeństwa narodowego, Jacek Merkel, podaje się do dymisji z powodu przemęczenia. Szybko nabawił się tego bólu głowy. Rzecznik prasowy prezydenta zapewnia nas, że to normalne w normalnym kraju, w jakim już żyjemy. A Lech Wałęsa spotyka się z byłym prezydentem Jaruzelskim. Generał zapewnia, że to normalne w normalnym kraju. A ja zapewniam, że w żadnym normalnym kraju nie zapewnia się tak często o swej normalności. Jesteśmy nareszcie normalni – mówimy po przebudzeniu, w czasie dnia i przed zaśnięciem. Jesteśmy już zupełnie normalni.

A na marginesie warto by zapytać, po co właściwie Wałęsa spotyka się z generałem? Rozumiem, że generał uważa to za normalne, w jego środowisku niezwykle popularne było słowo normalizacja, o tak, normalizowano nas na słono, na słodko i w occie przez wiele lat. Generał twierdzi, że Wałęsa konsultował się z nim. Na Boga w jakiej sprawie – czyżby jak wprowadza się stan wojenny? A może to spóźnione pojednanie „Solidarności” z WRON? Ten znak zapytania powinien bardzo dużo ważyć, a unosi się nad naszymi wodami jak nieważki owad. Do tego już doszło.

Karol Modzelewski wydaje mi się postacią bardzo szczególną w naszej powojennej historii. Ten wybitny mediewista spędził tradycyjnie swe życie pół na pół w mrokach średniowiecza lub w blasku więziennej żarówki. Niezwykła ciepła inteligencja. I w jego oknie nie majaczy łeb zwierzęcia ambicji, które jak pasożyt rośnie w domach najszlachetniejszych polityków. Modzelewski był chyba najlepszym rzecznikiem prasowym „Solidarności” w jej pierwszym wcieleniu, a teraz na progu III Rzeczypospolitej ostrzega.

„Pogarszanie się warunków życia, któremu rząd nie przeciwdziała w odpowiednim stopniu, łączy się z poczuciem bezsilności, z przeświadczeniem o braku wpływu na to, co rząd czyni. A stąd może wynikać nieufność do instytucji demokratycznych, które dopiero zaczęły się kształtować. Zaś lęk przed przyszłością i nieufność do demokracji rodzą skłonność do poddania się rządowi autokratycznemu (...) Obawiam się, że proponowana w tych warunkach przez Wałęsę koncepcja prezydentury może sprzyjać ześlizgnięciu się naszego kraju w kierunku autokratycznej dyktatury. A gdyby tak się miało stać, musiałbym zadać sobie pytanie, które dotychczas tylko inni mi zadawali – po co osiem i pół roku siedziałem w więzieniu?”

Przesiedziałem z tych ośmiu i pół lat wspólnie z Karolem zaledwie kilka bardzo długich tygodni, może dlatego jestem w stanie poczuć ciężar tego pytania i czuję gdzieś z tyłu chłód, jakby wlażył mi na plecy buldożer.

Spotkaliśmy się w miejscu, gdzie nawet szarość ma wiele odcieni, a każdy dźwięk posiada kilka warstw. Zaś skrzydła ptaków za przekreślonym oknem wydają się ciągnąć za sobą przetrzeń jak przezroczysty welon. Spotkaliśmy się tam, ludzie ze wszystkich warstw geologicznych kraju. Łączyła nas „Solidarność” i solidarność, sprzeciw, niezgoda, bunt... we wszystkich

kolorach, jakie zna polska tęcza. Łączyły codzienne dziecinne gesty i dojrzałe wieczorne rozmowy. Jak cała ówczesna Polska ten obóz był pokracznym skrzyżowaniem chlerlawego więzienia z dobrze zbudowanym i zdrowym sanatorium. Gdyby powiedzieć wtedy niektórym pensjonariuszom, że po kilku latach będą nawzajem bardziej się nie lubić, niż klawiszy, ministra K. i generała J., to nie zdziwiliby się – nie uwierzyliby.

Pamiętam przeprowadzkę do innej celi. Dla więzionych ogromnie ważne jest rozpoznanie kalekiego świata, nawet okrutne ograniczenia są do zniesienia, gdy znamy ich kształt. Zmiana miejsca to zastrzyk niepokoju, który sięga do trzewi dzieciństwa, jak odsunięcie od sutka. I otóż ta przeprowadzka, niewinna, bo przecież już widać było światła wolności, skończyła się pogonią za lepszą pryczą i wygodniejszym miejscem. Moje odstanie w tym biegu tłumaczę gapiostwem i brakiem doświadczenia, bo w dołku dusiła mnie złość, że się spóźniłem. Ale nie tylko. Ogarnęło mnie muskularnym ramieniem przerażenie – bo nagle ujrziałem jak rozpada się nasza solidarność i biegniemy do konfitur władzy.

Narasta w kraju chaos gospodarczy i polityczny. Jako że chaos jest wyższą formą bałaganu, nie przyjmuje lekarstw i na ogół poddaje się tylko cięciom chirurgicznym, to zastanawiam się, co może przeszkodzić ciemnym odpowiedniom. Czy przeszkodzi fakt, że skrajne rozwiązania na progu wolności nie mieszczą nam się w głowach? Jeżeli to nie pomoże, grozi nam stan wojenny, który będzie miał oczywiście inne imię, a czy wprowadzać go będą ofiary nocy długich łomów? – ironia historii nie zna litości, więc kto wie? W poprzednim tekście upierałem się, że nie będzie u nas dyktatury tylko dyktaturka i stoję przy tym, ale niepewnie, jak pijany przy latarni, której stłuczono światło.

List z kraju od niezwykle w Polsce popularnej postaci i osoby wielkiego talentu. Mówiono kiedyś o takich ludziach – wielkiego serca. Dzisiaj serce kojarzy się raczej z mięśniami sercowym i z zawałem. Pisze: „Mam wszystkiego dosyć co dotyczy życia publicznego, mam dosyć Polski, narodu, polskiej kultury, reprezentacji i wszystkiego co bliskoznaczne”. Muszę powiedzieć, że mój mięsień sercowy skurczył się, bo byłem na wiele przygotowany, lecz nie na takie słowa z tej właśnie strony. K., zawsze tryskająca energią, zapałem i optymizmem, może być czujnikiem stanu rzeczy. Jeżeli błoto podeszło tak wysoko, że nawet K. nie ma czym oddychać, to moja wyobraźnia bije wszystkimi dzwonami na alarm.

Fragment innego listu: „Ludziom całkiem odbiło i już nawet sami sobie ze sobą nie radzą. I śmierdzi coraz bardziej faszyzmem w wersji azjatyckiej. Coś nam to poszukiwanie demokracji nie wychodzi”. Z jakiego kraju jest ten list? Mogę podpowiedzieć, że pisany jest po polsku. Ale oto następne zdanie, które myli pozornie łatwy trop: „Co do burdelu w eks-PRL-u, to istotne abyś wiedział, co się dzieje tutaj. Pierze leci, a na dokładkę mamy jeszcze pod bokiem drugi naród wybrany”.

To list z Izraela. Cytuję go na pociechę, że kłębowska problemowa są wszędzie, a my nadal mamy skłonność, by demonizować własną sytuację, a idealizować sytuację innych. Bo w końcu jak na Irak, czy nawet na Albanie, to bardzo u nas kulturalnie. Nadszedł czas, by przejrzeć na oczy – w Europie siedzimy tylko fragmentem siedzenia. Bądźmy więc dumni, że nasza pokojowa rewolucja nie dokonała żadnego mordy; z tego co wiem, nikt nie stracił nawet zęba. Opluwamy się tylko jak dzieci w piaskownicy. A poza tym... wielka kultura. I są miejsca w pobliżu, gdzie patrzą na nas jak na pełnogębną Europę.

Pouczająca lektura „Dziennika” Izaaka Babla pisanego w siedzibie armii Budionnego, która przesuwała się ku Warszawie. Szarpane zdania jak kawałki surowego mięsa wyrwane wprawnymi palcami z tamtego czasu. Co najbardziej porusza pisarza w naszych czasach i rozpadających się miasteczkach? Ich europejskość.

„Bristol, kelnerki, zachodnioeuropejska kultura, człowiek na to zachłannie się rzuca (...) I te opowieści – tu były dolary, pomarańcze, sukna. (...) Wiele by o tym pisać, uroda tej fasady Polski, to wrzeszczy pani hrabino. Przeznaczenie, honor, Żydzi, hrabia Ledóchowski (...) Jak wchłaniam ten zapach Europy, to ciągnie stamtąd”.

I tak już zostało. Gdy nasze nosy skierowane na zachód krzywią się na tak liczne u nas azjatyckie zapachy, dla wzbierającej fali sowieckich uchodźców pachnie u nas obezwładniająco Zachodem.

Naukowiec został przewodniczącym „Solidarności”, polonista jest ministrem pracy, robotnik siedzi na prezydenckim fotelu, muzealnik jest ministrem kultury (to nawet logiczne, ale pachnie XIX wiekiem), dwie partie polityczne skupiające inteligencję też oczywiście kierowane przez byłych robotników. Pojęcie „były robotnik” jest bliźniacze do pojęcia „były inteligent”, patrząc na naszą społeczną panoramę widzę wielu byłych inteligentów, byłych moralistów, byłych pisarzy, byłych opozycjonistów, byłych przyjaciół, byłych świętych, byłych komunistów, wszyscy w nie swoich rolach. Można by to mnożyć i nawet udowadniać, że nareszcie

ruszyliśmy z posad naszą bryłę i wszystko jest możliwe. Czasami jednak wydaje się, że po trzęsieniu ziemi głowy pospadały z karków, a kiedy je powkładano, to widać, że zaszło wiele pomyłek. Ale największy problem, że w tym zawirowaniu nie wiadomo, kto czyje interesy reprezentuje, a są w kraju interesy, aż od nich huczy, jakby wolność wzburzyła rzeki i strumienie, którym nie dano brzegów, więc katastrofalna powódź w każdej chwili jest możliwa. Na razie zerwało już pierwsze mosty, o co nie trudno, bo dłonie tych mostów nie miały brzegów, by się ich chwycić.

Darowano nam sporą część długów, radosna wiadomość, z powodu której nikt się nie upił. (Miałby ochotę tylko sztab specjalistów, ale oni ascetyczni). Ten dług i tak przekraczał wyobraźnię obywateli, więc i jego redukcja jest poza światem pojęć. To trochę tak, jakby ktoś dostał podwójne dożywocie i jest wiadomość, że ma teraz tylko jedno. Wiem, że bluźnię przeciwko prawom ekonomicznym i że stało się dobrze. A więc wiem, że stało się dobrze, ale tego nie czuję i okropnie mi wstyd.

Dzwoni do mnie znajomy lekarz, jak zwykle nudzi mu się, gdy tak siedzi w szumie reanimacyjnej aparatury, gdzie ciemne i jasne moce toczą niewidzialną walkę o dusze unieruchomionych postaci podłączonych do okrutnej aparatury XX wieku. Mówi, że ma dość, przeraża go dzisiejsza Polska, ta spirala konfliktów, wszechogarniająca demagogia, nieuchronna katastrofa, ekonomiczna, obojętność ludzi, która zmienia się w bezradność, a potem w gniew. „Tak śpieszyliśmy się do demokracji, że jak się wydaje już ją minęliśmy, nawet nie wiedząc o tym. Równie okropnie nie było za komunistów. Bo wtedy wydawało się, że to zły sen. Teraz jesteśmy już przebudzeni i wiemy, że koszmar nie minie”. On sam ma dosyć swojej pracy – nawet choroba i śmierć zbrzydły – zarabia teraz nieźle, ale pieniądze też chore. Nagle przerywa i słyszę w zamglonym tle niespokojne kobiece głosy, mówi, że musi kończyć, bo przywieźli kogoś w bardzo ciężkim stanie. Krzyczę do niego – jak możesz narzekać, idziesz teraz ratować ludzkie życie, czy jest coś bardziej niezwykłego? – Ach – zachnął się. I tak zostałem trzymając w ręku stygnącą słuchawkę, przedmiot już nie z tego świata.

Kultura nr 524, maj 1991

CZERWIEC 1991

„Jadą do Polski deski i szyny wapno i cement szkła i maszyny (...)Dźwiga się śmiało i szybko wzrasta jak kwiat kamienny na klombie miasta (...)Wspaniały pomnik radzieckiej sławy, symbol przyjaźni w sercu Warszawy”.

Tak pisali poeci, gdy rósł w sercu Warszawy kamienny kwiat, odmiana stalinowska wyhodowana w Moskwie. Ta zdumiewająca roślina, którą nazwano Pałacem Kultury i Nauki, budziła u niektórych miłość, u innych żywą nienawiść. Miłość i nienawiść tworzą symbole, więc z Pałacu Kultury zrobił się symbol. To nadal najbardziej charakterystyczna bryła w Warszawie, która o dziwo dzisiaj na tle nowych mongoidalnych dzielnic wyprodukowanych przez fabryki, zdaje się nawet mieć coś w rodzaju duszy. Teraz Pałac Kultury staje się widocznym znakiem kapitalistycznych zmian w Polsce. Nowe zdobyło już nawet okolice iglicy Pałacu, gdzie triumfuje reklamowy napis „Digital”. Ten alpinistyczny wyczyn świadczy, że triumf kapitalizmu w Polsce jest ostateczny. A w dole, gdzie rozłożyły się niezwykle szerokie biodra budynku, przypominające odziane w koronki biodra pochodzącej z ludu kobiety rosyjskiej, rozgościł się magazyn imitujący zachodnie sklepy. Strażnik stojący przy tej bramie zachodniego raju poucza właścicieli toreb, że mają je zostawić w szatni. Jest to więc Zachód, ale kontrolowany. W dole kłębi się wielkie handlowe koczowisko. Rosną kłęby gazet zdobnych w cyrylicę, wystają z nich stragany, ale używane są też maski

samochodów i kocyki. Oto ludzie radzieccy ruszyli na podbój świata, a zaczynają od Polski. Nieśmiało, lękliwie i amatorsko. Pomyśleć, że dwadzieścia lat temu nasze karawany ruszały na podbój Berlina, Stambułu, Aten, Indii, Tajlandii, Singapuru. Dzisiaj ci, którym się powiodło, zakładają sklepy. Ich agenci chodzą po targowisku i skupują od handlujących rosyjskich amatorów towary, które potem będą sprzedane po wyższej cenie.

Są tam handlujące gęby, ale znajdziesz i twarze, są baby okutane w chusty a tak okutane, że gdyby się odkutały, to aż strach pomyśleć, co by człowiek zobaczył. Zdarzają się inteligentkie okulary na handlowych nosach, a ruskie przekomarzanki mieszają się z polszczyzną Litwinów, tak miękka, że można by się nią otulić jak puchową koldrą. Mrużą skośne oczy Mongołowie odziani w skórzane kurtki. Handlowe zagony tatarskie wyróżniają się ruchliwością i działaniami zespołowymi. Jest wielu pijanych z kilku zresztą nacji, niektórzy ślinią się objęci braterskim uściskiem, inni w samotności przemierzają zamglone labirynty słowiańskiej duszy. Zdarzają się konflikty, nawet na skalę międzynarodową. I co za nowość, siły są wyrównane, a nawet mamy przewagę, jak to bywało w XVII wieku. Oto widzę i słyszę, jak w twierdzy swojego straganu siedzi polska handlowa białogłowa i pomstuje na krzywdy, jakich doznała od rosyjskiej nieuczciwości. Widzę, jak potężny brodacz biegnie wzdłuż polskich straganów roznosząc wici, że gwałt na naszych jest czyniony. Polacy są na tym targowisku w znacznej mniejszości, ale własny teren dają im siłę. Gromadzi się polski oddział dowodzony przez brodacza o niezwykle szerokich ramionach i brzuchu, który może służyć za tarczę również dla otoczenia. Zaczyna się potyczka na przekleństwa, oj nie wiem czy w tej broni damy im radę. Ale Rosjanie z dala od Moskwy tracą swoje imperialne moce, nawet ich przekleństwa stają się obłe, za to grubas dąży do fizycznej konfrontacji. W samym centrum zawirowania jeden z osaczonych ludzi radzieckich oddał mocz i, jak się wydaje, ugasił płomień konfliktu.

A z tego całego bałaganu jak świątynia Majów z dżungli zapomnienia wystaje trybuna, na której ołtarzu stali ojcowie Polski Ludowej, błogosławiąc swojemu ludowi. To miejsce pochodów i defilad. I widzę pyszczek Gomulki, to jego gorliwe gaworzenie, jakby wcinał kaszanke. „Możemy z ufnością patrzeć w przyszłość, bo przewodzi nam nieśmiertelna idea socjalizmu”. A więc jeszcze jedna nieśmiertelność co umarła młodo. Ten niegdyś święty teren dzisiaj jest nadal częściowo chroniony przez

napisy wykonane po polsku i, co za wzruszenie, cyrylicą: „*Niet stojanki i torgowli*”. Wspinam się po schodkach na ołtarz PRL-u, by osiągnąć miejsce, gdzie stały socjalistyczne podeszwy Bieruta, Gomułki i kolejnych Gierków... to stąd ogarniali czułym okiem płynące dołem rzeki wiwatujących obywateli.

Raz osobiście płynąłem tym korytem pokory, tylko raz, z klasą ze szkoły podstawowej, i do dziś nie mogę się domyć. A miliony nurzały się w tych odchodach własnego konformizmu i smutnych konieczności corocznie, do wczoraj – czemu więc teraz tak krzyczą, że oni są czysti, tylko tamci brudni. I oto na wewnętrznym kamiennym obramowaniu trybuny, dokładnie *vis a vis* miejsca, gdzie wisiały dostojne brzuchy, w których gromadziły się radosne drżenia – „naród nas kocha, towarzysze radzieccy będą z nas zadowoleni” – widnieje napis *Now open – Pewex*”.

Od małego radzieckiego *rebionka* kupuję szczyrych za złotych 8 tysięcy, a od młodziana z Moskwy, co sobie wpiął w piersi znaczek „Solidarność”, nabywam budzik. Chciał 50 tysięcy, ale spotkawszy moje zimne spojrzenie, począł błagać, abym się z nim zaczął targować i sprzedał budzik za 25 tysięcy. (Teraz za każdym razem kiedy dzwoni, pytam, komu bije ten dzwon? Ten dzwon bije Związkiowi Radzieckiemu).

Wracałem z tego targowiska z łupami jak Batory spod Pskowa i z myślą – tośmy im dali łupnia, dzisiaj my górą, ale co będzie jutro?

Spotkania z ludźmi kierującymi losami naszej kultury to spotkania z ludźmi bezradnymi. Można oczywiście pisać elaboraty na temat stanu rzeczy, apokaliptyczne wizje snują nasi znani intelektualisci. To płacze nad umierającym, a czasami już nawet nad grobem. Niechętnie zbliżam się do tego tematu, nie tylko dlatego, że muszę przejść boso przez kolce i płomień słów Słowackiego „Nie czas żałować róż gdy płoną lasy”. Tak, sytuacja naszej kultury to sytuacja kultury kraju, który znajduje się w stanie wojny, a wówczas niemal wstyd być ministrem kultury. Ale nie mogę się pogodzić z pustynnieniem naszego kulturalnego krajobrazu, gdzie bronią się jeszcze ostatnie oazy, ale gdzie już ledwo żyje to, czym najbardziej imponujemy światu, a co odróżniało naszą kulturę od zachodniej komercji. Nie ma takiego skalpela, który oddzieli, co żyło dzięki... a co wbrew mecenatowi totalitarnego państwa. Nie uwierzę, że rozwołnienie kilkunastu programów telewizyj satelitarnej jest bardziej normalne i zdrowe, niż literackie pisma i wielkie nakłady tomików poezji. To był

u nas nie tylko znak szczególnego życia pod parasolem absurdałnego systemu, i cały zespół rekompensat, to nasz szczególny stosunek do sztuki i do zawodu artysty, tradycja ukształtowana przez wiek XIX. Może to dziecko musi być teraz wylewane z kąpielą, ale kto ma oczy i serce widzi, że to jednak zwłoki.

Pewien ambitny polski pisarz pytany o sytuację naszej sztuki wymigał się od oceny, najwyraźniej za ważniejsze uważając co innego. Zwrócił więc uwagę, że musimy zacząć od wychodków. Teoria publicznego wychodka jako jednego z mierników kultury w kraju jest mi bliska.

Nasze publiczne wychodki zdają się być również w samym oku cyklonu reformy. Ta konieczność bez użycia papieru toaletowego kosztuje złotych 300. babcie klozetowe przetrwały stalinizm, Gierka, Jaruzelskiego i w niezmienionej postaci doczekały odrodzenia kapitalizmu. Babcie klozetowe, okutane kocykiem, z łakomą miseczką, kiedyś na monety, teraz na banknoty, i zawsze w zadumie nad ludzką potrzebą, w nadziei, że będzie duża a nie mała. Skrawki papieru toaletowego leżą starannie ułożone w powabnych pozach, jak konchy pełne poziomek. A babcia powabnym gestem zachęca, by z tej pokusy skorzystać. Nawet w niezłych restauracjach toalety są złe, bure i zatęchłe. Cudzoziemcy, których jestem przewodnikiem po naszym Hadesie, wychodzą stamtąd wewnętrznie poruszeni jak od ginekologa. Gdyby zapytać, co najbardziej podrożało w Polsce od czasu gdy zapanowała wolność, kto wie czy nie należałoby odpowiedzieć – korzystanie z publicznych wychodków.

Jeżeli już jesteśmy przy wychodkach, to one tradycyjnie u nas kojarzą się z najgorszym, a przecież nie muszą. Młody Piłsudski tak motywował nieuchronność swojego buntu. „Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę”. Zwyciężył, ale z jego ostatnich wypowiedzi wynika, że atmosferę w kraju nadal uważał za wychodkową. Tak... te piękne lata między dwiema wojnami, czas naszych młodzieńczych westchnień. A oto jak podsumował ten czas w swym testamentie „Pamiętniku” Janusz Korczak: „Podłe haniebne lata – rozkładowe, nikczemne. Przedwojenne, kłamliwe, zakłamate. Przekłete. Nie chciało się żyć. Błoto, cuchnące błoto”. Jeżeli ktoś nie wierzy Korczakowi i Piłsudskiemu, to niech posłucha trzykrotnego premiera Kazimierza Bartla (rok 1938): „Nieodwoalnie toniemy i to nie w wodzie, tylko w gnojówce. Życie w tych warunkach jest przekleństwem, męką i udręką”.

Zanurzając się w świadectwach lat 1918–1939 czuję, jak pryska mit tych lat, złudzenia, które moje pokolenie hodowało z przekory wobec chamskiej komunistycznej propagandy.

To był ciężko chory kraj, budujący gorzką wolność w ranach i ruinach. Ale zarazem jest pewne, że gdyby nie przeklęta wojna i sowiecka okupacja, Polska byłaby dzisiaj częścią zachodniocuropejskiej rodziny.

Znam już dwóch naszych polityków, którzy mając nieszczęście posiadać publiczne twarze zostali zaatakowani przez przechodnia jako nosiciele wirusa choroby Balcerowicza. Dla jednych Balcerowicz jest nadzieją przyszłości, dla drugich wcielonym diablem. Dobrym tego przykładem jest oskarżenie przez prof. Kurowskiego kierownictwa telewizji, że zmiana na stanowisku szefa programów informacyjnych jest wynikiem spisku Balcerowicza. Badania opinii publicznej wskazują na gwałtowne załamanie wiary społeczeństwa w plan naszej reformy i nic nie pomaga wielki dobry cień Zachodu, który pochyla się czule i szeptem: „jesteście dzielni, jesteście pierwsi, tylko wy poszliście tak daleko”.

Znany polityk Y. ma długą szyję, dzięki niej zagląda na samą górę, a czy widzi dobrze z tak bliska to inna sprawa. Oповіда, że takie zaglądnienie napawa go skrajnym przerażeniem, bo dopiero wtedy traci się ostatecznie nadzieję, że ktokolwiek w tym kraju panuje nad sytuacją. Jedynym stałym punktem jest Balcerowicz i on właśnie, wedle Y., jest bliski by wstać i oświadczyć: „Przykro mi, ale omyliłem się. Teoria była dobra, ale w praktyce to jest niewykonalne”. Jakby na potwierdzenie tego groźnego obrazu słyszeć głos ministra Lewandowskiego: „Usiedliśmy na rządowych stolikach. I zobaczyliśmy czeluść, która otwarła się przed Polską”. W tej czeluści rośnie gwałtownie deficyt w budżecie narodowym. Prywatyzacja wlece się i nie daje ułamka kapitału, na który liczono. Nie maleje lęk zachodnich inwestorów przed Polską. Gwałtownie tyjące zwierzę bezrobocia, jego pierwsze gniewne pomruki, no i ta nieszczęsna ludzka materia, która stawia opór większy niż spodziewano się i w zaskakujących miejscach – to na razie tylko znaki zbliżającej się burzy. Y. twierdzi, że z tej chmury już w czerwcu spadnie grad wielki jak kurze jajka. A lud mówi o dwugłowych cielakach i krwawych przepowiedniach. Do tego już widać, że u sąsiadów katastrofa jest nieunikniona, można tylko spekulować nad jej kształtem, i co nam spadnie na głowę, a co na nogi.

Ordynacja wyborcza zdaje się być robiona tak przemyślnie, by przez igielne ucho nie przecisnął się jakiś obcy. Polowano na Tymińskiego, a przy okazji ustrzelono Najdera. Ta ordynacja jest podobno tak skomplikowana, że i profesor uniwersytetu, szczególnie humanista, nie zrozumie. W trakcie prac nad debatującymi stał cały czas cień partii X, ale rezerwuary zagadek i znaków zapytania nie wyczerpują się na tej ciemnej nicwiadomości.

Chłopi traktują miasto tradycyjnie jak pana, ale ten nowy się zbiesił. Za komunistów było przynajmniej wiadomo, jak kombinować. Uszy puchną, gdy się posłucha chłopów. Po przekleństwach i machaniu ręką pada z głębin zadumy myśl metafizyczna: „jest tera tak, że za sześć litrów mleka, które wyduszę z krowy, można kupić jedno piwo”; inni potwierdzają, a ktoś doda, że „jedno za osiem litrów”; inni kiwają głowami i wzdychają nad przepaścią swego losu.

A w miastach i miasteczkach więdnące zgodnie z planem fabryki produkują taśmowo bezrobotnych.

W tej sytuacji doprawdy byle demagog ma dzisiaj nieograniczone możliwości. A skład przyszłego Sejmu może spowodować, że będziemy tęsknić za składem dzisiejszym, łącznie z posłami postkomunistycznymi, którzy często, o zgrozo, zdają się rozsądniejsi niż nasze cietrzewie.

Po programie telewizyjnym, gdzie dawne komuchy starły się z KPN-em, słyszałem przerażone szepty – postkomuniści wypadli lepiej.

Rwanie się tradycji było przekleństwem naszych ostatnich dwóch stuleci. Czterdzieści pięć lat sowsocjalizmu cięło na oślepie gdzie popadnie siekierą. Po kryjomu wiązaliśmy w szczelinach zerwane nici. I w końcu cały ten system był pełen dziur i szczelin, żyliśmy w nich. Teraz potężny walec wielkiej zmiany wszystko miażdży, czasami słyszeć żalosne „pyk”. Widzę, jak zewsząd odchodzą lub są odchodzeni fachowcy, iluż takich spotkałem na progu radia i wydawnictw. Przetrwali stan wojenny, korzystając ze szczelin, robili swoje, nie dzięki systemowi, wbrew niemu. Dzisiaj kurz po wybuchu wolności wykurza ich z kryjówek. Odchodzą do prymitywnych prac, które dadzą pieniądze, ich plecy jeszcze przez chwilę zwlekają, czekają aż ktoś powie im dziękuję. Ale tego słowa nie zna nowy czas.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze... już się nie wstydzimy

mówić... pieniądze. Plany robienia pieniędzy snują ludzie, którzy jeszcze wczoraj dostawali wysypki po dotknięciu banknotu. Dzisiaj mówią o tym równie apetycznie jak więźniowie opowiadają o jedzeniu i kobietach. Ileż ja się nasłuchałem o planach biznesu i to od kogo! Kombinuje kolega socjolog, a nawet kolega filozof. I nagle idąc ulicą sam nie wiem skąd łapię to jak infekcję i myślę, jak zrobić pieniądze? Może z powietrza, skoro to jest w powietrzu...

Dzwonię do mojego przyjaciela, był kiedyś zdolnym naukowcem, ale wziął udział w handlowej wyprawie do Azji i złapał bakcyła. Naukę diabli wzięli. Dzisiaj z grupą straganiarzy oraz właścicielem upadłego zakładu samochodowego tworzą firmę. Zarabia dużo, ale codziennie wymiotuje z obrzydzenia do siebie. „Nie wyobrażasz sobie, jak okropni to są ludzie, kim ja sam się staję, jak żwawo poruszamy się na granicy prawa i jak gibko ją przekraczamy”.

Brak zrozumienia reguł gry w trakcie wielkiej przemiany czyni spustoszenie w naszej już spustoszonej społecznej moralności. Wiadomo natomiast, że brak skrupułów jest niezbędnym elementem tej gry. Jak się wydaje, nawet na górze zaakceptowano, że klasa średnia ma się tworzyć dzięki lukom podatkowym, błędom celników i łapówkom. Nasza klasa średnia wypelza więc ze szczelin. O tak, widać ich oraz słycać coraz wyraźniej. I teraz całe to towarzystwo ma wyłonić swoich Wallenbergów i Kennedych oraz ma być mecenasami dogorywającej polskiej kultury. Na razie widać najhałaśliwszych, czyli Wilczka i Józka z Pragi, widać ich w roześmianych Mercedesach z kurwą na ustach i za szkłem restauracji, na które zwykły obywatel patrzy jak w ekran telewizora.

Przeskakiwanie etapów historycznych, przerabianie w skrócie tego, co trwało stulecia, przypomina historię z pomiętej i zamazanej uczniowskiej ściągawki. A my jesteśmy w środku, gnieceni przez dłoń znerwicowanego uczniaka. Tak oto budujemy karykaturę nowoczesnego współczesnego państwa, ale doprawdy nie wiem, czy jest jakaś inna droga.

Marginalizacja naszego życia politycznego. Ucieczka od instytucji, być na swoim, jak najdalej od jakiegokolwiek struktury. Wstręt do polityki przybiera postać epidemii. Puste miejsca będą więc zajmować kreatury, miernoty albo ludzie, którzy mogą dzięki nabyciu funkcji pchnąć do przodu jakiś swój wózek. Pisałem

kiedyś, że mechanizm selekcji negatywnej był jedynym sprawnym mechanizmem w PRL-u. Jaki mechanizm rodzi się teraz?

Nasze urzędy centralne są zdumiewającą hybrydą starego, gdzie nowe jest kolorowym dodatkiem. Stary chory słoń z kokardkami na trąbie i uszach, a na kokardkach napisy „wolność, demokracja”. Nogi jednak chore na stoniowaciznę. O tym problemie, który zaczyna mieć dramatyczny wymiar, bo jak się wydaje nie mamy dzisiaj ośrodka władzy zdolnego do kierowania i rządzenia krajem, pisze celnie Sławek Bielecki. (Tekst ukazał się w *Tygodniku Solidarność*, który pod nowym kierownictwem zaczyna, jak się zdaje, wracać do zdrowia po ostrej psychozie. Gdyby jeszcze Wierzbickiego przenieść z ostatniej strony w środek, gdzie powstałby gabinet osobliwości...). Bielecki pisze: „Nieumiejętność znalezienia praktycznego sposobu wprowadzenia wielkich zmian spowodowała, że w ciągu półtorarocznych rządów ekipy Mazowieckiego zrezygnowano w ogóle z zasadniczej reformy administracji państwowej i samorządowej. Uwierzono, że zmiana wierzchołka góry nonsensu nada jej sens. A i obecna ekipa premiera Bieleckiego szybko przeszła od przyspieszenia do kontynuacji”.

Problem, że jak zwykle w takich tekstach najsłabszą stroną są dobre rady.

Ze zdziwieniem odkryłem, że nie ma takiego pisma w kraju, w którym miałbym ochotę opublikować tekst. Publikowanie w miesięcznikach to jak czytanie wierszy leżącym w sali reanimacyjnej. Tygodniki sięgają bruku. Pisma codzienne denerwujące jak *Gazeta Wyborcza* – niezwykle ciekawa felietonowo-emocjonalna hybryda. Albo są nudne jak flaki z olejem plus szczypta narodowej przyprawy, albo podobne do kanału ściekowego, nie zejdziesz bez mocnej perfumy. Brak prasy przekazującej informację, po prostu informację, jest garbem naszej niemówiącej wolności słowa. Rosnąca popularność pośmiertnego triumfu Urbana pisma *Nie* to nie tylko dowód braku cenzury i tego, że ludzka bezczelność nie zna granic. Dla dobra sprawy nasze *mass media* wzięły środki na zaparcie krytycznego spojrzenia wobec rzeczywistości. Dlatego niezaspokojeni ludzie kupują *Nie*, jak pornografię, ze wstydem i zgrzytając zębami, a potem zamykają się w toaletach i dalej... z wypiekami na twarzy.

Telewizja sypie się na oczach milionów. Terlecki narobił wielkiego hałasu – podłożył dynamit, zapalił lont – wszyscy wstrzymali

oddech, ale jak długo można nie oddychać? Nic nie wybuchło, wyrzucono tylko niezależny program informacyjny „Obserwator” pod zarzutem, że amatorski, a w międzyczasie „Wiadomości” popadły w pełną amatorszczyznę. W telewizji niewiele da się ukryć, bo wszystko od razu wycieknie ekranem. Po trzech miesiącach urzędowania szef programów informacyjnych Lech Dymarski wyleciał z kierowania „Wiadomościami”, ale zdążył w tym czasie zostać odsądzony od czci i wiary jako gwałciciel wolności słowa, o którą to wolność całe dorosłe życie walczył. Jego miejsce zajął były członek partii. (To w ramach wymiatania dawnej nomenklatury z telewizji). Dla wiadomości ironii historii należy dodać, że Jolanta Filipczak, czelowa muza stanu wojennego, nadal pracuje w „Wiadomościach”, zaś słynny Samitowski jest właśnie wylewany, ale czy da się go wylać do końca? Pamiętam czas, gdy ci ludzie wydawali się olbrzymami, rzygali kłamstwa w nasze usta rozwarte z oburzenia i grozy. Te dawne olbrzymy kłamstwa pełzają teraz na brzuchach pod fotele nowych szefów. Płaczą i kają się: „Ta praca jest dla mnie wszystkim. Mam kłopoty małżeńskie. Wtedy byliśmy przyparci do ściany. Nawet nie wicie, jaka to była wielka ściana, a my tacy mali. Mimo ściany robiliśmy co możliwe, żeby coś ocalić. A teraz... jesteśmy jednak fachowcami”. Tę moką robotę powinien był oczywiście wykonać Drawicz, ale chyba nowa ekipa już rozumie, czemu jej nie wykonał. A dzisiaj to rzeczywiście robi się niesmacznie, jakby zwolniono z szafotu skazańca, któremu nawet w drodze łaski pozwolono dla nas pracować, znowu ciągnąc na ścięcie.

Tematem, który uparcie nie chce się zestarzeć, są telefony, które dzwonią do „Wiadomości”, dzwonią jak dzwoniły niegdyś, ale teraz dzwonią nasi. „Za mało... Dlaczego było krytycznie... Nie tak”. Dzwonią wszystkie ośrodki nowej władzy, a nawet „Solidarność” rolników. Dzwoniono za I-szych sekretarzy, dzwoniono za Mazowieckiego, dzwoni się też dzisiaj, bo nas zarazili nasi wrogowie magicznym myśleniem, że jeżeli będziemy o sobie mówić dobrze, to obywatele nas polubią i nam uwierzą. W rzeczywistości najprędzej uwierzą, jeżeli będziemy sami się krytykować.

Mój znajomy psychoterapeuta, podkreślam człowiek wybitny, był jeszcze kilka miesięcy temu optymistą. Mówił o koniecznym okresie dezintegracji, po którym następować zaczęła integracja. Dzisiaj przestał już dostrzegać czas scalania. Powziął decyzję, zamierza wyjechać, zostawi mieszkanie, będzie tu wracał, ale na chwilę. Dłuższe przebywanie pod takim codziennym ciśnieniem może być szkodliwe dla dzieci. Przez jego ręce prze-

szło w ostatnich latach setki Polaków, wywlekali swoje dusze pełne różności jak kieszenie na drugą stronę. Co tam było szczególnego? Za naszą specyfikę uważa brak wyraźnych granic w kontaktach z ludźmi i postrzeganie świata w kategoriach czarno-białych. Ale najważniejsze... to chorobliwa postać naszego katolicyzmu. Niszcząca rola polskich matek, „Matek. Polek”, i szczególnie rola Matki Boskiej. Ona, podobnie jak nasze matki, nie uchroniła nas od historycznych nieszcześć. Ich miłość chora, bo głęboko uzależniająca, a podszyta niepokojem. To tworzenie ciepłarni dla dzieci, ale na czynnym wulkanie. A więc miłość najgroźniejsza, bo miłość przerażająca.

Wedle wyników badania opinii publicznej — którym jak wiadomo nie wolno wierzyć — spada popularność Kościoła, zaś na pierwsze miejsce jako autorytet wysunęło się wojsko. Rzecz bardzo osobliwa, bo miejsce ostatnie zajmują komuniści. A nigdzie nie było tylu komunistów (i tylu durniów) co w wojsku. Lepiej tu nie szukać logiki, bo zamiast niej można znaleźć coś innego.

Lęk przed zagadką, która czai się w odmętach naszego społeczeństwa. To społeczeństwo ma szczegóły i zakamarki, których jak niegdyś dawna władza, tak teraz nowa nie potrafi objąć ramieniem i wzrokiem. To, że udało nam się rozpaść do czerwoności znikome resztki naszych mniejszości narodowych, to sztuka prawie tak wielka jak zapalić ostatnią zapalkę na sztormowym wietrze. Teraz już wiadomo, że oni będą głosować na wszystko, co tylko nie kojarzy się z nowym. Bo nowe to poczucie zagrożenia. To okupacja kościoła w Przemysłu przez naszych dzielnych katolików, by nie mogli go przejąć obcy. (Nawet prośby Papieża nie pomogły). Nowe, to nicustanne gadanie o polskim narodzie, o jednej religii i jak wspaniale były czasy przedwojenne. Ale kto wie, czy nie największą mniejszością, która doprawdy szybko rośnie, staje się nasza młodzież. Coraz bardziej z boku i spode łba. Coraz dalej od państwa.

Jak złota chmura zbliża się wizyta Papieża. Ale Papież już nie przybywa jak dobry duch zstępujący na rydwanie w krainę zła, by dobro czynić. On wjedzie we wrota Kościoła triumfującego, ale triumfującego w powszechnym zwątpieniu w przyszłość ojczyzny, i w wielkie moralne pomieszanie, którego nie uporządkują żadne święte słowa.

Wysłannik Kościoła, który przybył jako delegat w pustynnie-

jącą krainę kultury, zażądał od ubogich zatrważającej sumy na spotkanie Papieża z Twórcami. A potem oświadczył, że zaszczyt zblizeniem do Ojca świętego mogą być tylko twórcy praktykujący. Ciekawe jak będzie sprawdzany ten napletek praktyki. Okazało się, że nawet skrzypkowie wirtuozi, co mają przygrywać wizycie, też winni posiadać przepustki wiary w postaci świadectwa chrztu i kościelnego ślubu.

Zachodzę do kościoła, który tak niezwykle się zmienił od czasów mojego dzieciństwa. Zawsze mokra muszla kropielnicy, do której jak wtedy zaglądam, czy nie pływają w niej kolorowe rybki. Krata konfesjonalu i wspomnienie pierwszej spowiedzi, do dziś żywe przerażenie, bo zgubiłem karteczkę, gdzie zapisałem swoje grzechy, natężenie struchlałej pamięci, która w końcu wydusza – powiedziałem brzydkie słowo – jakie słowo – pyta wielkie owłosione ucho – cholera – odpowiadam, a ucho jest zmartwione, co to będzie, niepokoję się.

Teraz też się martwię, ale inaczej, bo oto jadąc autobusem widzę, jak zmierza przed Belweder kruczata antyaborcyjna, pochód małych dzieci prowadzonych przez księży. Dzieci niosą fotografie płodów nadziane na piki. Podobno wyświetlany jest w szkołach film bardzo krwawy o aborcji, po którym spać nie mogli nawet dorośli. I wszystkim obywatelom kraju poczta przynosi gruby plik lektury. Na żółtym papierze nasz Papież, główki naszych polskich dzieci, słowa Ojca Świętego w obronie dziecka nienarodzonego. Ale jest i czerwony papier, a na nim okrutny Stalin, z którego wąsów kapie informacja: „Ustawę o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży przegłosowali w dniu 27 V 1956 r., w warunkach stalinowskiego terroru, posłowie mianowani do Sejmu I kadencji z polecenia największego w dziejach ludzkości ludobójcy, obok Adolfa Hitlera, śmiertelnego wroga Polski Józefa Stalina”. Dalej zachwala się rodzenie dzieci uszkodzonych genetycznie i poczętych z gwałtu.

Ton i treść tych propagandówek przeszkadzają zdrowo myślącemu człowiekowi zastanowić się nad całym rzeczywistym spłotem pytania o przerywanie ciąży. Rozpoczęto wojnę, a na wojnie, wiadomo, wykonuje się rozkazy i strzela. Świątynie stają się miejscem powszechnej mobilizacji, zbierane są podpisy i siły, głównie od osób, dla których zajście w ciążę byłoby cudem na miarę niepokalanego poczęcia. Kampania na całego jest prowadzona w dzień i w nocy. Ludzie już nie śpią spokojnie w małżeńskich łóżkach, bo co się poruszają, to budzą księżda.

Nowy akt dramatu czy komedii, jeszcze nie wiadomo, dopisał Sejm, gdzie posłowie znowu się wzięli za czuby z powodu ustawy antyaborcyjnej. Zataczano się w zaciętrzewieniu i to na samym progu zapaści ekonomicznej i politycznej. Oczywiście, głosy posłów narodo-katolickich najbardziej osobliwe. Można by sygnąć w oczy garścią cytatów, ale szkoda naszych oczu. Rzuć tylko jeden, o tak dla przykładu, ale radzę już mrużyć powieki. Oto poseł Stanisław Strózik, nasz poseł a jakże, puszcza wodze fantazji i opowiada, ilu by nas było, gdyby nie masowe aborcje czyli mordy. „Polacy zabili 17 milionów nienarodzonych jeśli nie więcej”. Potem wylicza wszystkie zawody, jakie mogły się znaleźć wśród tych ofiar. Ofiary w oczach posła w miarę przemawiania stają się ofiarami wojny. „Pytam gdzie są zbiorowe mogiły żołnierzy z tych 17 milionów zabitych i nienarodzonych Polaków, którzy chcieli wiernie służyć Polsce, strzec jej granic, aby Polska była Polską, aby Polska nie zginęła. Proszę mi nie mówić, o ohydo, że mogiłami tymi są szamba, muszle klozetowe gabinetów ginekologicznych i śmietniki. To piwo nawarzone przez ustawę z 56 r., trwającą przez trzy i pół dekady lat, to piwo intensywnie czerwone od niewinnej krwi dzieci polskich musi wypić w swej ekspiacji dziś cały naród, a rolnictwo polskie w szczególności”.

Posłowie Niesiołowski, Jurek i Łopuszański podnieśli poziom dyskusji o jedno piętro, ale nie wyżej. Lecz i głosy zwolenników aborcji na ogół historyczne i wątle. Panuje wśród przedstawicieli życia politycznego wielki konformizm i strach (jeżeli ktoś chce, można to nazwać polityką), by nie narazić się Kościołowi. Dlatego nawet przeciwnicy ustawy są za nią, ale w łagodniejszej postaci. Pocieszać się możemy, że takie dyskusje są żalodne i schodzą poniżej pasa również w krajach czystych toalet i tam, gdzie nie rwie się publicznie zębami prezerwatyw. Widocznie ten temat zarezerwowany dla Pana Boga, a od biedy dla Leszka Kołakowskiego. Faktem jest jednak, że tam się nie otwiera równoległe frontu przeciw antykoncepcji. Ja też, chociaż kundelek (patrz niżej), jestem przeciwny, by aborcja była środkiem antykoncepcyjnym.

Inna sprawa, że słuchając wielu głosów miałem wrażenie, że to dyskusja w podwójnym znaczeniu zastępcza. Głównie zamiast rozsupływania piekielnego węzła ekonomicznego. Drugie dno jest starannie ukryte, a może nawet nieświadome. Dyskusje tyczą zygoty, a powinny zająć się samym źródłem kłopotu, czyli seksualnym pociąganiem. Jest to niewątpliwie choroba, która da się leczyć.

Odłożenie głosowania na potem to niekoniecznie triumf

zdrowego rozsądku, to znak, jakby powiedzieli posłowie narodo-
wi — Wielkiego Umywania Rąk.

W tym czasie wiceminister zdrowia głosi publicznie, że jest wrogiem prezerwatyw i homoseksualistów. Premier, który go zwalnia, ma kłopoty. Nawet Prymas staje w obronie zdymisjonowanego wiceministra zdrowia i zapytuje: „Czyż największym źródłem zakażenia wirusem AIDS nie jest grzech? Czy u urzędnika państwowego obowiązuje maska ideologiczna? (...) Kościół nie może odpowiadać na ujadania podwórkowych kundelków”. Nie wiem, czy premier został zakwalifikowany do kundli czy do rasowych, ale oparł się świętej sile i ministra zwolnił. Mężnieje nam premier z miesiąca na miesiąc. Ale co z tego, gdy na jego barki zsuwać się poczyna ciężar nie do udźwignięcia.

Fala strajków nagle przerywa tamę. Doprawdy, nieźle trzeba się było napracować, by nie dojrzeć, co gromadziło się za plecami. Chłopi jak nie blokują traktorami dróg, to próbują, na razie bezskutecznie, obalić rząd w Sejmie. Słowo „katastrofa”, zarezerwowane dla innych czasów oraz innych miejsc na świecie, nale uzyskuje prawo obywatelstwa w naszych gazetach. Ale najchętniej używa się pojęcia „chaos”, jest coś szlachetnego w tym słowie, niemal biblijnego. Najgłośniej bije na alarm *Gazeta Wyborcza*, uzbrojona jak zwykle w atomowe tytuły, ale i rozważna, szeroka w biodrach *Rzeczypospolita* przyśpiesza oddech, pisząc o strajku komunikacji. „Sądny dzień na warszawskich ulicach”. Na tej samej stronie pod nawisem tytułu „Balcerowicz ostrzega”, zasępione oblicza naszego rządu, rzeczywiście, co minister, to sęp. *Gazeta Wyborcza* z 21 maja krzyczy: „Generalny strajk MZK”, „Strajk żołnierzy w Lublinie”, „Bójka w Medyce” (o bójce między polskimi turystami i sowieckimi milicjantami na przejściu granicznym) i „Na własnych śmieciach” (o Warszawie, która dusi się w śmieciach z powodu strajku śmieciarzy). Jeżeli do tego dorzuci się od miesięcy tłący się strajk strażaków i szykujący się strajk policji, to strajk generalny ogłoszony przez „Solidarność” jest już tylko pieprzem wzuconym do ostrej potrawy. Warszawski Plac Trzech Krzyży, co już niejedno widział, zobaczył oto demonstrację „Solidarności”, gdzie fruwały ulotki z napisami „Precz z komuną”, „Precz z Targowicą”, „Precz z Wałęsą”. Nad tłumem powiewały flagi „Żądamy zaprzestania niszczenia polskiego przemysłu i rolnictwa”, „Fabryki robotnikom — ziemia chłopom”. Plac Trzech Krzyży nie potrafi się dziwić, gorzej, że my chyba już też. A jeżeli nastawić ucho, słyhać,

jak mecenas Siła-Nowicki lamentuje, i to gdzie, na łamach *Polityki*: Dokąd idziesz, Polsko, Ojczyzno moja?

Dzwonią dzwony i dzwoni na alarm. Nie wiadomo tylko, kogo budzić i po co. A w tle tych hałasów Wałęsa wędruje w pokutnej mycce po izraelskich kibucach i kłania się, przeprosza za rok 68 i za to, co mu się osobiście wymknęło z powodu przemęczenia, kłania się i prosi o wybaczenie.

Partie polityczne oraz ich przywódcy wydają oświadczenia, a co glos to człowiek już wie, że gdyby ONI mieli władzę, to już by wiedzieli co zrobić, by naród ocalić. Np. Porozumienie Centrum oświadcza, że Polsce grozi chaos, a „Obecny stan... jest wynikiem ugrzęźnięcia w przejściu od komunizmu do demokracji i gospodarki rynkowej”. Jako lekarstwo Porozumienie przepisuje: „Zgnieść komunistyczne struktury. Wymienić kadry”. Co radzą inni? Jako że nie znalazłem niczego, co by nie stało przed nosem w naszej zaściankowej politycznej kuchni, dajmy spokój wyliczaniu. Dołem płynie narodowa rzeka, pełna codziennej krzątaniny i szepków — przetrwać, zarobić, gdy na coraz wyższych brzegach biegają malutkie partie polityczne i kąsają się w pośladki. Te harce odbywają wśród przedmiotów, które były gwarancją sukcesu operacji przeszczepu kapitalizmu na nasz jałowy grunt, a teraz są eksponatami w muzeum historii ruchów antykomunistycznych. Jest Okrągły Stół, na nim jego zwiędła Filozofia w suchym wazonie, Gruba Kreska porąbana siekierą uśmiecha się ironicznie, bo chociaż porąbana, jest taka sama. Autorytet Kościoła stoi przykryty zakurzona sutanną. I jak zwalone przez podmuch wolności drzewo leży Mit Solidarności, to po nim suchą nogą przechodzi na drugi brzeg Pielgrzymka Wojewodów, którzy idą modlić się na Jasną Górę. Małe dzieci wrzucają kamienie w przepaść między Interesem Państwa a interesami politycznych partyjek i grup, nasłuchują, ale nic nie słyhać. A te palce co wystają z wody? Pokazują strzyżone golone. Strzyżone — winien Wałęsa i Kaczyński. Golone — winien dawny rząd i Mazowiecki.

Nagle odkrycie, że komunizmu nie zmywa się wodą, nie wyciera pumeksem, nie wycina piłą, nie wyrwa zębami ani obcęgami. Potrzeba czasu, cierpliwości, mądrości, przebiegłości, szczęścia i jeszcze kilku rzeczy, których nie mamy. Nasi politycy ciężko zatruci polityką gaszą powoli wszystkie światła i zataczają się po omacku, nawet nie wiadomo czy do przodu.

I chyba już widać, że podjęto się czegoś, co jest niemożliwe bez płacenia ceny, której społeczeństwo zapłacić nie potrafi i nie

chce. Demokracja niszczy reformę, ale demokracja ją urodziła i karmi swoją niedojrzałą wychudłą piersią. Tak oto w najlepszych intencjach skonstruowaliśmy biologiczne monstrum, które samo się pożera, widzą to jego przerażone bezradne oczy. Ale ta prawda objawia się jedynie z zewnątrz bądź z dala. Wtedy obraz jest wyraźny i groźny, ale czy wierny? Bo życie jednak posuwa się do przodu. (Teraz i potem, wbrew wszystkiemu, wyduszę z siebie optymizm). Bo błyszczą pierwsze nosy samochodów za szybami pierwszych salonów i nawet o północy kipi piwo w o dziwo trzeźwych piwiarniach, a w środku twarze nie gębomordy. Tworzone są przykłady jak może być, jak być powinno. Brak jakichkolwiek wzorców, powszechność naszego świerzbu zabierały jakąkolwiek nadzieję. Teraz nadal jest ciemno i duszno, ale otwarte są wszystkie okna.

Gładkie twarze towarzyszących mi ludzi, ludzi z kraju, który nie pamięta wojny, ich delikatne ręce, które dotykają ostrożnie tutejszych przedmiotów, jakby bały się pobrudzić lub sparzyć. Niektórzy są przerażeni, bo nasz świat wygląda, jakby spadł z wysokiego piętra, połamał się, ktoś go potem złożył, ale niefachow i tak zostawił. Inni są zafascynowani rozbiem materii – oto chodnik, którym idziemy, jego niezwykłe nierówności wzbogacają nas o nieustanną pamięć o własnych nogach, a dziury ujawniają tajemnice ukryte pod płytą.

W Lublinie o wiele mniej niż w stolicy budynków, gdzie wiją gniazda jaskółki kapitalizmu. Jakby gdzieś daleko rozbiła się fala, która zostawiła tu kilka kolorowych kropel. Częścią lokalnego krajobrazu, jak już wszędzie w Polsce, jest garstka rodzin rumuńskich zaprzątniętych gwałtownym żebractwem. Dziwne, że jeszcze nie wiedzą, że to najgorszy kraj dla tej formy zebrania – tu się nie wybacza biedzie, jeżeli jest natrętna.

Bardzo piękne stare miasto, częściowo odnawiane. Odwiedzając kilka mieszkań, czuję nosem pracę na pokolenia, bo zaniedbanie dotyczy tak fasady domu, jego korzenia jak i samych mieszkań. Ulicami przemierzają się młodzi księża, powiewają wesoło sukienkami. Parujące głowy pijaków zmiękczają krajobraz. Bazar lubelski skromniejszy niż warszawski, ale podobny, tylko że tu skrzyżowanie Azji i Europy wydaje się mieć piaszczyste drogi, tu Rosjanie bardziej rosyjscy, a Litwini bardziej polscy i więcej naszej starej wsi, baby sprzedają warzywa, bób, pestki i orzechy, a ich twarze wydają się być częścią tego asortymentu.

Pojawia się nagle wycieczka z dalekiego świata, ich poznaje

się nie tyle po ubraniu, co po twarzach bez suplów. Gdy zbliżają się, widać, że to przede wszystkim młodzież, brązowe twarze i mycki na głowach. A więc wycieczka z Izraela. Tłum rozstępuje się pełen milkliwej ciekawości, ale cinkciarze z pęczkami rubli i dolarów w garściach już są obok, już szepczą, już syczą. Cały bazar nastroszył się, czując dobrego klienta. A oni speszeni orientalnością tego świata, gdzie pewnie kiedyś handlowali ich przodkowie. Ci chłopcy i te dziewczęta zdają się nosić na ramionach odciski od pasków karabinów i już nie rozumieją języka ulicznego handlu na skrzyżowaniu Azji i Europy.

Jeżeli stanąć na palcach, zobaczyć można wzgórze. Tam nowy mur i brama, która wymaga klucza. To żydowski cmentarz, czy raczej jego szczątki. Głębokie leje zarosłe trawą, ślady celności sowieckiej artylerii, Niemcy bronili się tu, a więc bronili żydowskiego cmentarza. Miasto w dole lizane słońcem zachodu, jaśniej zamek, gdzie w czasie okupacji więziono kilkadziesiąt tysięcy ludzi, potem były tam ubeckie kazamaty. Dalej, tylko nieco dalej, stoją drewniane wieże Majdanka, przejeżdżając obok nich poprzedniej nocy, czulem oddech miliona zamordowanych, wilgotny chłodny oddech...

Kraj zmaltretowany, kraj nieszczęsny, teraz w gwałtownym skurczu wolności. Oglądając się, czy nikt mnie nie usłyszy, staję na brzegu wzgórze i rzucając wzrok na Zachód, krzyczę – jesteście wolni... A przestrzeń przyjmuje mój okrzyk w pełnym blasku jego oczywistości.

Zaskoczył nas wszystkich wybuch wiosny, jak wybuch dobrotliwej bomby nuklearnej, promieniowanie, które nawet ze starych ludzi wyciska młode soki. Wszystko co brzydkie pokazuje swoje piękne zakamarki, a banał nie wstydzi się siebie. Nawet mój chorobliwy pesymizm wypuścił niespodziewanie liście.

Sowiecki socjalizm kazał nam płynąć pod prąd, a teraz chociaż chorzy i na wpół sparaliżowani, płyniemy w końcu z prądem. Wiosna mówi, że natura nam pomoże, tylko potrzebna jest szczypta czasu i liczne cysterny (uwaga, łatwopalne) cierpliwości.

Kultura nr 526/527, lipiec/sierpień 1991

PAŹDZIERNIK 1991

Zawał w Związku Sowieckim. Co poczulśmy? Zmęczenie.

Migawki, które już przechodzą do historii. Gorbaczow w willi na Krymie. Chwyta za słuchawkę telefonu, potem słuchawki następnych aparatów, wszystkie martwe. Wtedy żołądek podchodzi mu do gardła. Jak kiedyś łuna pożaru tak dzisiaj martwy telefon jest znakiem katastrofy. Będziemy do końca życia pamiętać nasze telefony ogłuchłe wśród śnieżnej nocy 13 grudnia 1981 roku.

Lenin i Dzierżyński, ale tym razem już nie w pionie jak zwykle, ale horyzontalnie z wystającą sztywną ręką. I nie są to już kopie, jak w Europie Wschodniej, to odjeżdżają na zawsze matki naszych Leninów i Dzierżyńskich, burzona jest prawdziwa Bastylia.

Tłumy odwiedzają mauzoleum Lenina na Czerwonym Placu, jak na wiadomość, że do sklepu rzucili szynkę. Niczego nie było w ZSRR, a Lenin był zawsze, teraz i Lenina może zabraknąć, bo oto trwa debata — co zrobić z tymi nieszczęsnymi zabalsamowanymi szczątkami? (Czy nie warto by zostawić na pamiątkę i ku przestrodze przyszłym zbawicielom świata. — Historia do napisania — historia ZSRR widziana oczyma zabalsamowanego woda rewolucji a pisana twarzami odwiedzających mauzoleum).

I co za wzruszenie — bo ten pakiecik guzików uruchamiających zagładę świata był w drżących rękach zamachowego bęcwałstwa. Doprawdy już teraz pewne, co od dawna podejrzewano,

że możemy być kiedyś spuszczeni w nicość przez nicuwałę jednym pociągnięciem ręki, jak spuszczana jest woda w klozecie.

Ktoś stamtąd pytał mnie — co zrobić, by nie doszło do rzezi ludów? Przyszła mi do głowy tylko jedna rada — wyjedź.

I banalne ale przejmujące uczucie żalu — szkoda, że mój ojciec tego nie dożył, on na pewno by się cieszył, ja już nie bardzo potrafię.

Kiedy został rozwiązany Związek Sowiecki poczułem jakiś nieokreślony brak i jakby potężnie ciągnęło chłodem. Dopiero po kilku dniach zrozumiałem, że to tak ciągnie od gigantycznej dziury po ZSRR.

Życie w długich ramionach Imperium to był gwałt codzienny, więc codziennie rosły nowe piętra nienawiści. Tak zbudowaliśmy Wielką Nienawiść. Ale całe jedno skrzydło tego gmachu było zajęte przez magazyny Absurdu. Włał się on w puste miejsce po zbrodni.

Wielka Nienawiść zniczułała nas na wszystkie inne postaci zła. Okrucieństwa Pinocheta w Chile oczywiście budziły niepokój — ale na żywą niechęć nie mogliśmy sobie pozwolić, bo w naszym pojęciu ten dyktator uratował Chile od gorszego nieszczęścia. Przecież nawet najokrutniejsze niekomunistyczne dyktatury zdawały się mieć wobec przodującego ustroju jedną wielką zaletę. Były nietrwale, podczas gdy sowiecki socjalizm posiadał niezwykle mechanizmy stabilizacyjne i środki konserwujące, zabójcze dla ludzi, ale gwarantujące mu przetrwanie. Więc nawet zło bardziej dolegliwe a istniejące poza Imperium zdawało nam się zawsze mniejsze, bo nie skazane na wieczność.

Dzisiaj zmieniło się więcej niż nam się zdaje. I gdy nastawić uszu, można posłyszeć jak przesuwają się nasze miary świata, z trudem bo zardzewiały. Są zmiany wielkie, ale są i malutkie. Oto zauważyłem, że oglądając zawody sportowe nie jestem już odruchowo kibicem przeciwnika radzieckiego sportowca.

Ale prawdziwy problem z Wielką Nienawiścią. Jak lodowa góra potrzebuje Ona wiele czasu by zniknąć. Na razie jej strumienie poją nasze małe nienawiści, całe ich sfery rzucają się sobie do gardeł. Stąd taki zgiek i zamieszanie we wschodniej Europie.

Odwiedza mnie P. Tak wiele lat... To było dwadzieścia kilka lat temu, upalne wakacje, a my obaj jeździliśmy jak szaleni po Polsce objijając się o granice, które jeszcze wtedy wydawały się twarde. Co nas tak gnało? Dopiero teraz wiem, byliśmy bardzo

młodzi, szukaliśmy dziewczyny, to bolało, byliśmy głupi, nie wiedzieliśmy, że tak właśnie pachnie szczęście.

Potem widziałem go tylko raz przelotnie w pierwszych dniach stanu wojennego. Sterczałem na ulicy Foksal gapiąc się na książki leżące za szkłem wystawy, zdziwiony że nie schudły. Stał obok.

Skrzypiąc butami minął nas patrol, słońce ostrzyło zęby na śniegu i na karabinach. Spłoszył się, bał się o mnie, a ja spłoszyłem się jego obawą. Teraz siedzimy naprzeciw siebie jednak zdziwieni, że nasz świat wywrócił się na drugą stronę jak kieszeń. Kto by się spodziewał, że było tam aż tyle śmieci. Poznają ten płomyk depresji w oczach, który oświetla dołek, który nosi z sobą. On też ma dosyć Polski, do której zresztą świadomie wrócił po wielu latach pobytu za granicą. On też robił z komunizmu kozła ofiarnego wszystkich swoich problemów. To zostawia ślad. I bez trudu mógłbym wymacać mu odcisk, inteligenckie bolesne zgrubienie ostatniego roku po dyskusjach na temat Wielkiego Elektryka.

Nagle wchodzi jego syn, jest w wieku nas, kiedy przyjaźnił się. Poczulem, że drgnął czas. I to małe trzęsienie ziemi o ileż ważniejsze od wszystkich politycznych zdziewień.

I drugie spotkanie, podobne, ale inne.

T. jest ładną kobietą i zdolną malarką. Pokolenie o stopień młodsze od mojego, więc nie ma jeszcze między nami barykady zbudowanej przez inne doświadczenie, jest za to wspólne dorosłe przeżycie ostatniego dziesięciolecia, pełnego zgiełku, i kurzu. Kiedy odbieram ją w porcie zaczepionym u brzegów luksusowego małego miasteczka, wypełnionego po brzegi wiosennym deszczem, widzę jak wraz z tym deszczem spływa z niej napięcie przywiezione z kraju. Gdy rozmowa wpada wbrew naszej woli w koleiny, które wiodą do sedna naszych problemów, mówi – „Nie spodziewałam się, że w Polsce już wolnej, nadal będę myśleć o władzy ONI, że nie będę potrafiła współodczuwać, gdy są podejmowane ważne dla kraju decyzje”.

Nie byłem w stanie zmusić się, by spojrzeć prawdzie w oczy i zapytać – jak ja sam myślę o kraju? Czy nie podobnie? Coraz częściej słysząc, że do Polski wrócili ONI. Znajomy podслуchał w pociągu: „Oni są jeszcze gorsi od Tamtych”.

Do tego nic się nie da dodać, ani nic ująć. Jest to konstrukcja doskonała.

Odruch myślenia Oni i ...Ja, a w najlepszym razie My, utrwalał się przez wszystkie dni panowania obcego ustroju. Tego

nie zdejmuję się bez operacji, jak nie można pozbawić żółwia skorupy. Mechanizm przejścia władzy nie miał nic z cięcia chirurgicznego, był to zabieg czyniony w półnarkozie tępym narzędziem, które nowe zakażało starym. Winić za to Okrągły Stół to za łatwe, to użycie sikiery tam gdzie do diagnozy konieczny jest laser.

Inne uczucie, które zrodziły tamte czasy – to myślenie „im gorzej tym lepiej”. To nie zawsze w pełni świadome czekanie na katastrofę, z lekkim drżeniem łydki na myśl, jaka będzie kolorowa. Katastroficzne myślenie wydaje się powszechne, a nowy czas tylko kazał głębiej przed samym sobą ukryć tę przypadłość tak częstą u dzieci, które marzą o czymś niezwykłym, chociaż się tego obawiają. To wszystko łączy się oczywiście z naszym bardzo szczególnym stosunkiem do państwa, o czym napisano wiele banałów, a one wszystkie wydają się mniej więcej prawdziwe.

Ale najbardziej rozpowszechniony jest oczywiście lęk i niepokój przed przyszłością, co przybiera wszelkie postacie. Czy starczy pieniędzy, czy po deszczu będą działać telefony, czy przyjdzie hydraulik, czy siostra zakonna znowu naopowiada dziecku głupstw na lekcji religii, że komuna nagle podniesie głowę, czy wsadzą za skrobankę, że okradną, co jutro zdrożeje, że fabryka zbankrutuje, a w pobliże wprowadzą się chorzy na AIDS, gdzie będą mieszkać syn i córka jak dorosną, ilu Żydów jest w rządzie, że zjedzą nas Niemcy...

Jak ćma do ognia lecę ostatnio do Polski dawnej, w minionej wieki i słyszę jak ze szmeru setek relacji samych Polaków i odwiedzających nas cudzoziemców wylania się jeden głos i jeden obraz, barwny, ale przygnębiający. Obraz kraju niesłychanej jak na ówczesną Europę biedy, niesłychanej głupoty szlachty i arystokracji, niesłychanej demoralizacji i nickompetencji. I ta zatrwająca zbieżność rozmaitych naszych słabości, jakby te dzisiejsze były tylko nieco bardziej okrzęsionymi dziećmi dawnych. Może być zresztą pociechą, że uchwytnie są źródła dzisiejszego opóźnienia, które sowsocjalizm tak wzmocnił i pomnożył, i że przestrzeń, która nas niegdyś dzieliła od Europy była nie mniejsza, a może większa niż dzisiaj, zaś perspektywy zmiany na lepsze wtedy o wiele mniejsze. I ten okrzyk króla Stanisława Augusta w rozmowie z Williamem Coxe, „Szczęśliwy Angliku, twój dom jest już wzniesiony, a mój ma się dopiero budować”.

Ale czyż nie podobnie smętny obraz XVIII wieku kreśliła historia, której uczono nas w szkole, którą upowszechniano

w książkach ubranych w majteczki cenzury. Moje pokolenie bro-
niąc się przed upupieniem przez propagandę, już na własny
rachunek skrzywiło w sobie obraz tak historii jak i współczesne-
go świata.

Ciekawa dyskusja w *Res Publice* o naszym stosunku do
przeszłości. Słowa Marcina Króla, które zapamiętałem: „Polska
nigdy w swojej najnowszej historii, liczącej 200 lat, krajem nor-
malnym nie była, a więc po to, żeby stać się krajem normalnym,
Polska musi samą siebie zapomnieć”. Jeszcze kilka lat temu
wyszedłbym ku tej myśli uzbrojony w nasze powstania, w nasze
barykady, w supły na sercach i serca na dłoni. Teraz, chociaż się
nie zgadzam, stoję naprzeciw bezbronny.

Gdyby podkraść się do naszej dzisiejszej sytuacji, złapać ją
za rękę i spojrzeć w oczy prawdzie tak gwałtownie, że nie zdąży
zamknąć powiek, to można zobaczyć, że wszystko, co dzieje się
dzisiaj jest naturalne, nieuniknione i zrozumiałe.

Zostaliśmy poddani próbie, którą czasem dobrze znoszą
poszczególni ludzie, nigdy ogół. Gwałtowne zmiany cywilizacyjne
powodują dzisiaj ostre bóle i zawroty głowy we wszystkich nieo-
mal stronach świata, a my dołożyliśmy sobie jeszcze zmianę sys-
temu, a więc — bagatelka — sposobu funkcjonowania państwa
i ludzi w państwie. Polacy stają się więc emigrantami, co jest za-
wsze czymś ponad siły, a emigrować nie opuszczając własnego
kraju to trudność dodatkowa. I to samo co u emigrantów poczu-
cie utraty gruntu pod nogami, gdy przestaje się rozumieć dawny
świat, a nowy jest jeszcze groźną zagadką, tym groźniejszą, że go
jeszcze nie ma, tylko się staje. Jest to sytuacja, kiedy nawet złe
wczoraj kusi swoją stabilnością.

Gdy patrzy się z lotu ptaka na masowe nerwice, które zwy-
kle pojawiają się u schyłku epoki, to widać, że spełniamy wszyst-
kie warunki, by ulec tej przypadłości.

Dziwne uczucie na ulicach polskich miast, jakby wszyscy
przechodnie byli właśnie w trakcie przeprowadzki i zawadzali się
nogami krzeseł i kredensów.

Im dłużej jestem poza granicami kraju, ale nieuchronnie
w polskiej wannie i pod polskim tuszem, tym wyraźniej widzę,
że emigracyjny wpływ krwi i ulatnianie się intelektualnego
potencjału musi ważyć na naszym energetycznym bilansie
i utrudnia zrobienie kroku do przodu. Coraz więcej u nas skóry
i kości, coraz mniej mięśni i myśli.

Nasze, moje polskie kompleksy, każą szukać tego, co u nas
najlepsze i w czym nie jesteśmy gorsi. Najlepiej są ułożone obok
siebie kompleks niższości z poczuciem wyższości. Moje, nasze,
dziecięce zdziwienie, że wszędzie nasi, że ten najciekawiej zapro-
jektowany dom to jednak, mimo wszystko i oczywiście, Polak, że
najlepszy lekarz oczywiście Polak i tak w kółko Macieju. A te
pęczki niezwykłe ciekawych, pokomplikowanych przez historię
i nietypowe okoliczności osobników to — rzecz jasna — Polacy.
Nie przejdiesz zachodnią ulicą, by się o kogoś nie zaczepić.
A zarazem jaka inna emigracyjna grupa ma u siebie tylu palan-
tów. Pojęcie „palant” jest nie do przetłumaczenia na żaden
język, bo palant jest naszą kolejną niezwykłością. Palant, to
skomplikowany twór, to w pierwszym stadium połączenie bufona
z bęcwałem, a bufonobęcwała z zaściankowym inteligentem. Jak
widać palant się nie tłumaczy, bo zrobiony jest z równie nieprze-
kładalnych składników.

Właśnie dzisiaj odwiedził mnie palant. Jeśli ktoś nie ma
wprawy w rozpoznawaniu upalanta po napięciu twarzy czy spo-
sobie poruszania, może go poznać po zapachu. Bo palant na
ogół bardzo się poci, a to pocenie jest na skutek napięcia między
kompleksem wyższości a poczuciem niższości.

Upokorzenie — bo ma do mnie interes i musi być grzeczny,
a przecież krzyczy w nim, że ja winienem wszystko dla Niego
uczynić, bo Mu się należy. Maską ugrzecznienia, jakże koślawo
leży na pogardzie dla mnie za to upokorzenie. Nie potrafi się
powstrzymać, by nie pokazać mi, że on jest ho, ho, ale to ho, ho,
samo nie wie jak daleko może się posunąć, by nie zepsuć inte-
resu. Skoro widzi, że jego ho, ho, nie robi na mnie żadnego wra-
żenia, szuka przyczyn, oczywiście nie w sobie, a w spisku. Skąd
ja jestem? No tak, oczywiście z Warszawy, w jego oczach błysk
zrozumienia, teraz wszystko jasne, on z prowincji musi paść
ofiara stołecznego spisku. Ale pod ręką kilka innych spisków,
staro lub nowo-nomenklaturowy albo żydowski.

Po takiej wizycie ciężko zatruty palantem od razu muszę
zobaczyć się z którymś z Polaków niepalantów, na szczęście cał-
kiem oni liczni, i każdy z nich jest jak odtrutka na to zatrucie.

Jak bez trudu znaleźć można początki zła komunizmu
u źródła tej idei, tak przypominam sobie niepokojące objawy
w naszej konspiracji lat 70. Czyż koledzy z opozycji, którzy posz-
li inną drogą, nie zostali przez nas od razu odepchnięci, a cza-

sem nawet posądzeni o najgorsze? Czasami, a może to była reguła? Leszek Moczulski? Jak szybko przylepiono mu etykietę ubeka. Pamiętam tekst Staszka Barańczaka w *Krytyce* gdzie opisał postać funkcjonariusza przebranego w szaty opozycjonisty i sprawne pióro nie pozostawiło miejsca na wątpliwości — to była postać Moczulskiego. Skoro nawet Barańczak padł ofiarą tej choroby, co dopiero inni.

Daleko było nam do władzy politycznej, ale rząd dusz był tuż, tuż. I byli swoi i obcy, była grupowa solidarność i elementy partyjnej dyscypliny.

Gdy rozmawiałem z uczestnikami stalinizmu, ludźmi tamtej partii i tamtego wielkiego grzechu, mówili wiele o panicznym lęku przed wyrzuceniem z partii, tak marynarz na statku lęka się wyrzucenia we wrogi żywioł północnego morza. Ten lęk, chociaż o wiele mniejszy, również nas cementował. To oczywiście tylko ślady choroby, której nie daje się uniknąć w podziemiu, a sprawa była piękna i wielu było pięknych ludzi. Zdarza się, że brzydą naprawdę dopiero dzisiaj. Człowiek jak widać jest w stanie wytrzymać prawie wszystko, ale władzy nie wytrzyma.

Dlaczego różnice między nami z niechęci stoczyły się w nienawiść? Polska to obszar szczególnego stresu, gdzie już nie dziesięciolecia a stulecia są połączeniami klęski. Któż nie ma tutaj poczucia przegranego życia. Tym bardziej gorączkowe staje się szukanie sukcesu, choćby za wszelką cenę. I jest wielka nieudolność, i wielka bezradność, to również najłatwiej pokryć gniewem i agresją. Szukając przyczyn nie należy sięgać zbyt daleko. Trzeba zacząć od siebie. Wtedy okaże się, że mało kto z nas ocalał w sobie psychiczne zdrowie. W końcu problemy nawarstwiały się piętrami tworząc gruzowisko przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Konflikt między Centrum a Unią obnaża tylko część licznych osi, które stają się linią barykady. I tylko we fragmentach pokrywa się to ze schematem walki nadętych panów i dumnych chamów. W obozie Centrum są nie tylko zdolni, chociaż mało przytulni bliźniacy, są również liczni inteligenci, którzy nie zdążyli wsiąść do pociągu władzy, gdy odjeżdżał z pierwszego peronu. Jest też grupa odtrąconych, którym ktoś nie podał ręki, albo przypiekl do żywego złośliwym językiem.

Linie podziału zostały wyrąbane sztucznie przez ambicje. To tylko pozornie podział między katolikami i niewierzącymi, mię-

dzy prawicą i lewicą, już prawdziwszy jest podział psychologiczny na mniej i bardziej sfrustrowanych, na bardziej i mniej zrealizowanych, i w końcu na osobowości autorytarne i bardziej otwarte.

Jest też jeden istotny element. Nasza elita ma nieświadomą pogardę dla prostaka, a do tej kategorii łatwo być u nas zaszeregowanym. A gdzie jak gdzie, ale w Polsce nie wybaczają się lekceważenia i wyniosłości. W końcu każdy tu szlachcic, choćby zaściankowy. I to właśnie elita skupiona wokół Tadeusza Mazowieckiego poczęła razić wokół strzałami lekceważenia. Zdumiewające, jak szybko wokół byłego premiera powstał dwór, który gwałtownie zawęził mu pole widzenia. (Trzeba przyznać, że obecny premier Bielecki jest na razie wolny od tych przywar, a nabawić ich się chyba nie zdąży). Tak narodziła się wielka grupa odtrąconych, upokorzonych i dotkniętych. To zaczęło zmieniać się w nienawiść i karmić myślenie spiskowe. Doszło do tego, że nawet światli ludzie z obozu Centrum mówią wydymając boleśnie wargę — „To, co oni robią, jest celowym niszczeniem polskiego narodu”.

Nie ma w tym ziarna prawdy, jest za to ziarno szaleństwa.

Zresztą ktoś jest teraz wolny od spiskowej choroby. Premier uważa, że Sejm dąży do upadku kraju, bo opanowali go dawni komuniści. Wałęsa traci zaufanie do własnej kancelarii i nasyla nań kontrole, zresztą Prezydent, jak wiadomo, nie ufa nikomu oprócz swojego byłego kierowcy. (Opisy dworu Prezydenta i kancelarii wynoszone przez tych, co tam zaszli, nawet jeśli przesadzone, budzą szczerą trwogę). Unia i Centrum oskarżają się nawzajem o łożkowe kontakty z byłą PZPR. A poseł Gil oskarża SDPRL o tajny pakt z puczem w Moskwie, SDPRL, odgryza się... itd.

Co podejrzewa tak zwane społeczeństwo, lepiej nie podejrzewać.

Codziennie wybucha jakaś gigantyczna afera, powstają w okamgnieniu zawrotne fortuny. Słynna spółka Art-B, sztab obsługi długu zagranicznego, to nie wszystko i z pewnością nie koniec. Aresztowanie prezesa Banku Narodowego to dla normalnego państwa wielki wstyd. Sumy jakie są defraudowane, czasami na wpół legalnie, bardziej swojskie astronomom niż zwykłym zjadaczom chleba. Mówi się o szarej strefie gdzie nie rządzi prawo, a gdzie jest bezpiecznie. Więc o czym marzy obywatel? By wejść na chwilę do tej szarej strefy i wyjść z niej niezauważonym.

Polska wydaje się teraz jednym z najlepszych miejsc na

świecie do robienia pieniędzy, pod warunkiem, że ma się znieczulone skrupuły.

Marsz triumfalny Kościoła w Polsce, ku radości jednych, budzi niepokój i gniew w innych. Krytyka płynie również z kręgów Kościołowi bliskich i nawet wielkie autorytety krytykują, np. Miłosz, który – domyślam się – nie pisze na ten temat wszystkiego co myśli. Kościół lekceważy te głosy nazywając je głosami „kundli” albo „wilczurów” (Prymas). Są jednak delikatniejsze określenia np. „głosy mniejszości politycznych” (na pewno eufemizm od „narodowych”). Do najbardziej dyplomatycznych należy określenie z listu biskupów „nieobyci w problematyce narodowej i religijnej”. Ci nieobyci mówią, że Kościół zalewa sobą państwo wciskając się we wszystkie szczeliny, co wydaje się jednak przesadą, bo nie we wszystkie. Ostatnio bronią masowego rażenia Kościoła stają się „wartości chrześcijańskie”. Mają one być wpisane do nowej konstytucji. Ktoś niezbyt wrażliwy mógłby zrobić aluzję do „przewodniczej roli”. Zaś nasz Senat jest właśnie w trakcie przypisania „chrześcijańskich wartości” Telewizji.

Trafna uwaga Anny Jedynek w *G.W.* „Odnoszę wrażenie, że największa krzywda, jaką komunizm wyrządził Kościołowi, nie sprowadzała się do takich działań, jak wstrzymywanie budowy świątyń, inwigilacja księży itp. Krzywdą tą było zaszczepienie Kościołowi skłonności do rozszerzenia swych wpływów przy użyciu środków zaczerpniętych raczej ze sposobów uprawiania polityki niż tradycji ewangelicznej”.

Powiększa się grupa obywateli na Kościół uczulonych. To niedobra choroba, wystarczy choćby pyłek a organizm reaguje histerycznie. Sam jestem bliski tej przypadłości. Gdy słyszę, że ktoś mówi – „jestem Polakiem, katolikiem i patriotą”, coś najwyraźniej dzieje się z moim organizmem. Wielce podejrzana hałaśliwość tej grupy, bo przecież każda postać z wymienionej powyżej świętej trójcy realizuje się naprawdę w milczeniu, nie w gadaniu. Kiedy słucham kardynała Glempa, gdy uda mi się schować niechęć, to mogę choć z wielkim trudem zaakceptować, co nie znaczy dzielić, jego widzenie, pod warunkiem, że nie posunie się o centymetr dalej. Problem w tym, że jeśli nie ON, posuwają go inni. Oto słowa Kardynała:

„Polacy, którzy nie zaakceptowali modelu radzieckiego, nie zechcą również na przykład francuskiego czy niemieckiego. Stać nas na kontynuowanie własnych tradycji. Będziemy się więc bro-

nili przed zamiarami ogłaszanymi przez ideologów różnych mniejszości politycznych, pozbawienia nas własnych cech narodowych, co miałyby pomóc stworzyć społeczeństwo i państwo wedle obcych wzorów”.

Gdyby jeszcze móc uwierzyć, że z tego śmietnika da się wyluskać jakiś „nasz wzór”. I doprawdy, lepiej, aby to mówili proboszcz. Gdy tak każe wielki pasterz do owiec, z których tyle zwilczało z powodu biedy i nieszczęść, to ja się trochę boję. Centymetr dalej jest to (cytat z dziennika *Czas*, autor Andrzej Waśko) „Strach o to, by w żadnej sytuacji nie być posądzonym o nacjonalizm jest jednym z najważniejszych czynników paraliżujących myślenie warszawsko-krakowskiej elity politycznej. Za ‘polski nacjonalizm’ w opinii tych kręgów może zostać uznane dosłownie wszystko: zarówno sympatia do ZChN, jak i upominanie się o prawa Polaków na Wschodzie, zarówno powątpiewanie w litewsko-żydowskie pochodzenia Adama Mickiewicza, jak i samo używanie słowa naród w liczbie pojedynczej. Dla zdobycia towarzyskiego uznania należy za to możliwie często wychwalać Baltów, unosić się nad historyczną wielkością narodu białoruskiego i stale deklarować chęć poproszenia Ukraińców o wybaczenie. Przestrzeganie tych prostych reguł zapewnia dziś opinię intelektualisty i prawdziwego demokraty”.

Ten fragmencik ma wiele smaczków, doceniam czytelników *Kultury*, niech sami rozwiną ukryte tam powaby. Że Kardynał by tak nie powiedział? Zapewne. Ale te dwa sposoby myślenia łączą krótki i jasno oświetlony korytarz. O rzut kamieniem jest Tejkowski. Daleko i blisko. To myślenie ociera się o nacjonalizm, jest prowincjonalne i w naszych warunkach otwiera pole do skrajności. I nawet jeśli Prymas i podobnie myślący nie są skrajni, co zrobią gdy pod ich sztandary zbiegnie się czerń. Już się zbiega. Odtrąca ich, czy przygarną? Szamotanina Porozumienia Centrum, by się nie dać wplątać w te pajęczyny, pokazuje skalę problemu.

To wszystko oczywiście nie powód by zrezygnować z katolicyzmu i wiary w wagę wspólnoty narodowej. Myślę, że większość jest u nas ładnie katolicka, źródło jest takie czyste. Ale ludzie ci milczą. Będą wabieni przez jednych demagogów, rugani przez drugich.

I ten nasz antysemityzm bez Żydów, a więc magiczny. To na nim żerują dwie odmiany szakali – jedne mają pyszczki antysemickie, drugie anty-antysemickie, ale żerują jednakowo. Z tych dwóch trampolin skacze się w dwie różne strony do tego samego

basenu, gdzie spływa kapitał polityczny. Na wszelki wypadek warto jednak skakać na nogi, nie na głowę.

Pogrom Cyganów w Mławie, nienawiść do chorych na AIDS, to znaki jak głęboki jest niepokój i lęk, które szukają swojego ofiarnego kozła.

Plan Balcerowicza staje się węzłem gordyjskim. Nie wiem pod jaką nazwą wejdzie do historii i czy historia w ogóle ustąpi mu skrawek miejsca. Efektowne jest określenie „o jeden most za daleko”, ale czy trafne, tych mostów jest chyba więcej. Wiara w ten plan słabnie w miarę jak rozpada się gospodarka, a ruiny nie chcą kwitnąć. Sam Balcerowicz położył się w końcu w szpitalu. A kto uleczy naszą pogruchotaną gospodarkę?

Jednym z błędów planu Balcerowicza była wielka skala zabiegu i kiepskie przygotowanie do operacji. Jakby robiono ofensywę na słabo rozpoznany kontynent przy pomocy nie żołnierzy a cywilów. Operacja już się zaczęła, gdy poinformowano nas, że ów zabieg jest jedyny oraz nieunikniony. Trudno tylko zrozumieć czemu teraz takie zdziwienie, że ludzie, którzy nie są w mundurach, nie znają musztry i nie rozumieją sztuki wojennej, nie chcą się poświęcać.

Przymierzanie się by złożyć Balcerowicza na ołtarzu historycznych konieczności. Zbyt wierzy w swój plan, by go modyfikować. Ma w sobie coś z żarliwości pierwszych chrześcijan, ale czy naje się nim nasze nie lwie, ale spiałe społeczeństwo?

Wielkie polowanie na spekulantów, głównie w gadaniu. Np. Prezydent – „Łamane jest prawo... będzie rozliczanie ze złodziejstwa, nawet trybunały! Każdą skradzioną złotówkę zabiorę i jeśli trzeba w skarpetkach zostawię”. Za poleceniem Prezydenta powołano policję gospodarczą pod wstrząsającą nazwą „K-17”.

Minęły długie miesiące, każdy ciężarny w nową aferę a wszyscy jak byli tak są w butach.

P.C. i Komitety Obywatelskie zwołują konferencję poświęconą korupcji i rozkładowi państwa. „Istnieje rozkład państwa – mówi Jarosław Kaczyński – sparaliżowane są działania aparatu państwowego, sparaliżowane życie gospodarcze”. Mówiło się, też na tej konferencji o ogromnych pieniądzach w rękach byłych komunistów i że te pieniądze się teraz rozmnażają. Wniosek – ciągle nie możemy oderwać się od komunistów. Rada.

Ujawnić, obnażyć. To czemu się nie ujawnia? Bo gruba kreska Mazowieckiego pozwoliła im się ukryć i pochować skarby.

Dokonałem tylko niewielkiego uproszczenia w tym rozumowaniu. I mnie czasami nagle ogarniają wątpliwości, a nuż tak jest rzeczywiście? Lecz gdy się uspokajam, uderza mnie podejrzenie, że to nie komuniści podnoszą głowę tylko nasz własny cień. Bo przecież ostatecznie prawdziwe ostrza wymierzone są przez nas samych w nas samych. I to już nie dawni komuniści podwyższają nam niebezpiecznie ciśnienie i grożą wylewem krwi do mózgu. Wszędzie tam gdzie wygraża się komunistom są ogólniki. Oni tam gdzieś ukryci, zaś zło jawne to Geremek, Mazowiecki, Unia, a z drugiej strony podpalacz i mały Mussolini Prezydent, z jeszcze innej bracia Kaczyńscy, partyjki chrześcijańsko narodowe, proszę bardzo, to jest na wierzchu. Czytając wywiady robione przez moich akt. lub b. kolegów z moimi akt. lub b. kolegami, zawsze mam wielką ochotę uchylić zasłonki i jak to drzewiej bywało przy pracy dziennikarskiej ścisząc do szeptu głos zapytać – no a teraz proszę tak prywatnie... jak to naprawdę jest?

Adam Michnik replikuje Wałęsę w telewizji. Na początku jest ton wysoki, sięga serca, ale nie wyżej, i jak zwykle jest zdanie okute brylantem dowcipu. „Nikt rozumny dziś w Polsce nie uwierzy w kolejnych dyżurujących winowajców. I nikt w Polsce nie naje się befsztykiem z Adama Michnika”.

I wszystko byłoby cacy, gdyby nie ten krok dalej, niestety uniesienie nogi w marszu już powyżej serca. Nie potrafię powtórzyć gestu Michnika i tak lekko jak przyprawą do befsztyka sypnąć cytatem z Nowego Testamentu. Michnik bez wątpienia potrafi udowodnić, że nie jest Chrystusem, chociaż trudno nie zauważyć, że w replice nim jest. To coś więcej niż wpadnięcie w poślizg.

Pamiętam, był rok bodajże 79, wilgotny wieczór, bodajże wrześnieowy, grób nieznanego żołnierza, kilku tajniaków krażyło wokół jak na nitkach przesuwane wiatrem pająki, gdy z półmroku wyłoniła się kolumna czwórkowa. To partia Leszka Moczulskiego szła się konstituować. Wodza zamknęli, więc szli tylko jego oficerowie. Najwyżej szedł sztandar, a im byli bliżej tym mocniej szli, nogi unoszone wysoko, wojskowo, nie byli konno, ale szli jakby jechali, ułani, a może nawet husarze. I nagle w pierwszym szeregu, nie do wiary, ujrzałem Michnika, on też szedł jadąc konno, obok sztandaru w pierwszym szeregu... Poczulem

ukłucie zażenowania, bo była w tym jakaś fałszywa nuta, zgrzyt taniego patosu, ton fałszywy.

Wtedy dziwiłem się, teraz już nie dziwię się.

A może to nie On, może sen mara, i może wszyscy teraz są poczciwi, jak to się kiedyś w dobrych domach mówiło porządni ludzie, tylko przemęczeni, boją ich zęby bo jest ciężki czas, popsuły nam się w czasach niewoli zęby i jest teraz czas bolących zębów, jak tu wymagać grzeczności, gdy kogoś tak boli, a ja tylko piszę zazdrością. Wałęsie zazdrość talentu literackiego, Michnikowi garniturów, a moje gorycze w ustach z własnego woreczka żółciowego. I czasami ogarnia mnie taka wielka niepewność jak to jest, skoro wszędzie tyle mgły i pozorów. I to naiwne dążenie by jak sprężynę, w zegarku odnaleźć kto ma rację, a kto wsuwa ziarenko piasku, i pewnie zbyt łatwe poczucie, że racji nie ma nikt. Już ładniej uznać, że trochę racji jest po wszystkich stronach. I niewybaczalnym grzechem jest łatwość zapominania o niedawnych jeszcze latach, odwadze i determinacji tych ludzi. U źródła heroicznej postawy były z pewnością te same cechy, które teraz wydają się tak nieznośne. W końcu niezgoda i bunt przeciwko przemocy, obok strony moralnej, mają również swoją pychę, która żywi niezgodę na upokarzającą bierność. Zdarza się po zwycięstwie, że ta pycha zje swojego moralnego bliźniaka i żerując na jego zwłokach tyje i rośnie. Chyba jest trochę takich nieszczęśliwych przypadków. I to świadome wykorzystywanie dwóch ról, moralisty i polityka, czasami zgodnie z sumieniem, czasami z taktyką.

Chciałem tak to zostawić, i nagle poczułem, że nie można, że to część prawdy. Że figura „zrobić piruecik i dostać oklaski” była wtedy i jest teraz żywa, ale któż od tego jest wolny. I przecież gdyby przyszło siedzieć we współczesnej Berezie Kartuskiej wolałbym, żeby Wielkim Kławiszem był Adam Michnik, niż np. Y. z kancelarii Prezydenta, ach w ogóle nie ma nawet o czym mówić, Michnika tam sobie nawet nie umiem wyobrazić, a tamtego urzędnika znakomicie. Ale to tylko moja wyobraźnia, a gdzie jest prawda?

Chciałem tak zostawić ale nie mogę. Bo jak tu nie podkreślić, że replika o której piszę była odpowiedzią na słowa, które brzmiały tak: „panie Geremek, panie Michnik, demokracja była, jest i będzie, ale z demokracją trzeba iść, trzeba iść z narodem, a nie tak, że tylko wy macie rację”. Te słowa oczywiście domagały się męskiej odpowiedzi. Czyż nie podobnie krzychał Gomułka do Antoniego Słonimskiego, przepraszam, doprawdy nie

porównuję Wałęsy do Gomułki, chociaż Michnika do Słonimskiego, czemu nie. Kiedy Gomułka krzychał domagając się, by Słonimski zadeklarował się kim właściwie jest, kontekst był też narodowy i był bodajże rok 60. Biedny Słonimski, mistrz dowcipu, a drugą połowę życia spędził w czasach zupełnie pozbawionego humoru i nie miał żadnej nadziei na publiczną odpowiedź. A dzisiaj jak widać można fontanną humoru tryskać z ekranu telewizora i to w czyje oczy! A więc jednak wolność.

Chciałem tak zostawić i po raz trzeci nie mogę. Zebrało mi się na samokrytykę. Ja przecież nie znoszę dydaktyzmu i tonu Katona, a jestem przez nie zagrożony. Niewątpliwym grzechem takiego pisania, że będąc z kości środowiska, które opisuję, poprzez ostrą krytykę stawiam się niejako ponad nim. Wywyższenie się poprzez zjadliwy opis i moralny kokon, w jaki ubieram swoje obserwacje. Ale łatwo mi (podejrzanie łatwo) o chwilę szczerości, i wtedy widzę, że co krytykuję jest również moje i jest we mnie. Dlatego boli, drażni i tak łatwo daje się uchwycić. I czyż nie jest częste, że im krytyk ostrzejszy tym mocniejsze podejrzania, że ma w sobie realnie lub potencjalnie wszystkie słabości, które wytyka innym, tym żarliwiej im bardziej sam jest przez nie zagrożony. Następny stopień perfidii... ujawniam grzech, by dostać rozgrzeszenie i tym swobodnie dalej grzeszyć. A więc do pracy.

Ile osób liczyła grupa zwana przed rokiem 80 opozycją? Kilkaset? Potężny wybuch sierpnia wyłonił rzeszę działaczy „Solidarności”, w stanie wojennym wielu zamilkło, jeszcze więcej wyjechało, tylko garstka przeszła przez pustynię do ziemi obiecanej.

Wiele tam indywidualności, charakterów barwnych, umysłów ciekawych, dusz skręconych. No i... przejeżdżaliśmy władzę. Nagle i niespodziewanie. Ale nie wzięliśmy jej tylko dla siebie, w pierwszym odruchu poprosiliśmy znajomych, najpierw tych, których telefony i adresy w naszych notesach stanu wojennego były zapisane sztyfrem.

Potem notes warszawskiej opozycji został poszerzony o notes gdański, jakieś odpryski stołu spadły na krakowski rynek. I jak na razie na tym koniec. „Wszędzie słyszę o braku ludzi fachowych. Jakich ludzi? Swoich — oczywiście. Uważam naszą politykę kadrową za schizofreniczną”, mówi Anatol Lawina, dyrektor Zespołu Analiz w Naczelnej Izbie Kontroli, który sam padł „ofiara” tej schizofrenii.

Z pewnością obsesyjnie wracam do tematu – znajomi u władzy. Jest to jedno ze zjawisk, które najgłębiej mnie porusza w okresie nagle odzyskanej wolności. Bo nasz polski przewrót stracił władzę w ręce niemal kolegów i koleżanek z mojego podwórka. Więc mi z kolei spada w ręce całym swoim ciężarem mechanizm, który stoi jak się zdaje u źródeł wielkich katastrof tego świata.

Chociaż znam dobrze bojowników z obu stron niedawno zbudowanej barykady i czuję, jak zazębiają się o siebie fatalne koła, ale wielu szczegółów nadal nie rozumiem. Nie rozumiem siły tych uczuć. I chyba trzeba przyjąć, że do zrozumienia potrzebny jest mikroskop, który potrafi chwycić w soczewkę różne odmiany tego samego wirusa.

Niepokoją w tych wzajemnych oskarżeniach szczeliny, gdzie prześwitują fragmenty języka komunistycznej propagandy. Nie ma wątpliwości, że język, nawyki i odruchy, jakie nam zostawili w spadku komuniści, są o wiele groźniejsze od ich cielesnych powłok i nowych interesów.

Zdziwienie sobą spotykam czasami u samych zwaśnionych. To ostatnie chwile, kiedy zdziwienie ma się jeszcze czym żywić. Czasami objawia się to w następującej formie – „siedziałem z nim w więzieniu (w internie), taki był sensowny facet, co się z nim zrobiło”. – Mając możliwość przechodzić na obie strony barykady, usłyszałem kiedyś taką bliźniaczą sekwencję od dwóch polityków o sobie nawzajem. Myślę, że tylko ponowne zamknięcie w celi tych dwóch zadziwień pozwoliłoby rozsypać węzeł. Szanse na to niewielkie, ale doprawdy ryzykowną rzeczą byłoby twierdzić, że jest to nieprawdopodobne.

Polityka krótkowidzów. Co się dzieje w naszej polityce jest lustrzanym odbiciem sytuacji w biznesie. Uprawia się głównie taktykę – zrobić szybko, łatwo pieniądze i w krzaki. Nasi politycy robią szybki interes polityczny i wążą na drzewo. Bo im z kolei zależy, aby być widzianym. Dalej w górę już iść nie można, w bok też nie da rady, bo gałęzie coraz cieńsze. A w dół to tylko upadek. Oj, chyba nie opląca się być politykiem w kraju, gdzie krótkowidztwo jest chorobą zakaźną.

Partie polityczne są mikre, blade, zajmują się głównie iskaniami sobie wszy, albo rzucaniem w sąsiednie klatki ogryzkami.

Najbardziej liczni są więc bezpartyjni, a wśród nich mają przewagę spłoszeni i bezradni. I coraz bardziej po jednej stronie

jest władza, po drugiej właśnie spłoszeni bezradni, zaś partie polityczne są w ogrodzie.

„Wyraźne jest”, jak opisuje mój znajomy, od niedawna na górze, „rozłazenie się instytucji”. Gospodarka już prawie się rozeszła. I nagle ujawniła się gigantyczna dziura w narodowym budżecie, tak duża, że nie jesteśmy już obok niej, a w niej.

„Zagrożony jest autorytet państwa polskiego, jego prawo, powaga, trwanie”, piszą i mówią ważne osoby naszego życia politycznego. Tu trzeba przyznać jest pełna demokracja, o przyszłość niepokoją się mali i duzi jednak. „Jestem przerażony”, mówi publicznie Prezydent, a prywatnie wykonuje nagle telefony do ludzi, z którymi już dawno zerwał stosunki. Prosi o pomoc. Przerazająca samotność Wałęsy. Sam się na nią skazał, a sytuacja dopełnia wyroku.

Bo doprawdy nie jest już pewne, czy obowiązuje nas arytmetyka, w którą święcie wierzyliśmy – koniec komunizmu plus wolność równa się demokracja. Jak się zdaje coś tam po drodze jeszcze jest. A tak pieściliśmy myśl – kiedy tylko opadną, pęta komunizmu, wytryśnie Polska fontanną dobrobytu, ujawnią się niezliczone talenta tego trudnego, ale zdolnego narodu. Jak na razie ujawnia się głównie nasze dojrzałe amatorstwo. W środowisku polskiej elity politycznej nastąpiła gwałtowna utrata wiary w zbiorową mądrość narodu. Dzieckiem tego zwątpienia jest utrata wiary w dogmat, że większość ma rację.

Dlatego coraz więcej naszych polityków coraz śmielej wykuwa publicznie ścieżkę do tego, co nazywają „silnym państwem”. Pojawiają się nawet pierwsze głosy traktujące taką możliwość w kategoriach zabiegu chirurgicznego, którego oczywiście lepiej byłoby uniknąć, ale „gdyby nastąpił dobry okres rządów autorytarnych, nie oznaczałoby to bynajmniej przekreślenia szans na demokratyczną Polskę. Rządy silnej ręki umożliwiłyby bowiem sprawne przekształcenie gospodarki i szybkie wytworzenie klasy średniej” (Lech Mażewski) – *Rzeczpospolita* nr 155). No i wreszcie sam Prezydent: „Zastanawiam się, czy możliwa jest ewolucja od komunizmu do demokracji, czy też potrzebne są inne twarde metody”. I zupełnie ostatnio: „Z dużą siłą dążę do demokracji, gdybym jednak miał do czynienia z anarchią, wielkimi strajkami, gdyby sytuacja stała się dramatyczna musiałbym oprzeć się na sile, żeby ratować kraj”.

Ciekawe co będzie, ciekawe, ale jedno zawsze jest pewne – będzie inaczej niż się boimy, bądź pragniemy. I jeszcze jedno jest

pewnie: ewentualne rządy „silnej ręki” będą u nas z pewnością rządami jakiegoś innego silnego członka lub organu.

Pożegnanie z „Solidarnością”. Szczególnie smutny pogrzeb po zwycięstwie, i grzebany jest żywy. Z „Solidarności” odeszli prawie wszyscy legendarni jej przywódcy ciągnąc za sobą legendę jak dziurawy i zabłocony płaszcz. Zbyszek Bujak, który założył swoją partię, nie bardzo miał ochotę przyłączyć się do bliźniaczej „Solidarności Pracy”, jako główny powód podał, że „Solidarność” w sztyldzie zabiera wszelkie szanse wyborcze.

Brygady antyterrorystyczne na rozkaz solidarnościowego rządu atakują i usuwają siłą strajkujących.

I tak nasza „Solidarność”, za którą tyłu siedziało, za którą życie oddało na szczęście niewielu, ale gotowych było oddać wielu, nasz wielki sen na jawie, nasz piękny rok oporu pełen romantycznych figur, teraz jak stary zardzewiały i niemal wyludniony statek dryfuje w stronę swego śmiertelnego wroga OPZZ.

Gdy ten tekst ukaże się w druku, nowy Sejm zostanie już wyłoniony przez nielicznych, którzy pójdą do urn. Będzie on zapewne rozdrobniony i skłócony. Nie znam nikogo kto wierzy, że będzie lepszy od tego, na który tak gniewają się Prezydent i rząd. Przyszły rząd będzie słabszy od obecnego, a wszystkie problemy o wiele większe. Kampania wyborcza skompromituje do końca nasze życie polityczne ukazując amatorszczyznę i bezradność prawie wszystkich partii.

I tak oto pierwszy rozdział tworzenia nowej Polski zostaje zamknięty. Ten czas określi przyszłą strukturę polskiej demokracji, jej atmosferę, odruchy, nawyki. A to jak w małżeństwie, gdzie początek związku ma decydujące znaczenie dla formy w jakiej będzie trwał. Niestety ten początek źle wróży naszemu małżeństwu z demokracją.

Nadal wielki ciężar spoczywa na barkach Prezydenta. Stanowczo za wiele przypisuje mu się złej woli, kiedy działa głównie bezradność wspierana przez brak narzędzi do wyrażania i formułowania myśli i woli. W miejscu, gdzie teraz jest, skończył się czas intuicji i nie ma już sceny na ludowy teatr. Teraz potrzeba profesjonalizmu i wizji. Nie widać zresztą nikogo, kto by dorósł do tej roli, lub może raczej, kogo by ona nie przerosła. I pomyśleć, że w tym samym Belwederze nie tak dawno i z podobnych powodów bił głową w ściany Józef Piłsudski, aż trzęsła się Warszawa.

Kłęby papierosowego dymu, na stoliku nie ma zwykłego o tej godzinie pasjansa. Marszałek już wie o zamachu na Pierackiego. Wchodzi do gabinetu jego adiutant, niezbyt mądry ale poczciwy Lepecki.

— Pamiętacie wy Priwislinje?

— Mało panie Marszałku.

— Dziesięć priwislińskich guberni i trzynaście milionów priwislinców — zaczął z polską po rosyjsku — główny gorod Warszawa, wieroispowiedanie rymko-katoliczeskoje. Priwislinje a w nim priwislincy, łapówki i konspiracje.

Marszałek cały się nasrożył i rzucił twarde słowa pod adresem dawnego zaboru rosyjskiego i jego przedwojennych mieszkańców.

Lepecki wtrąca nieśmiało, że to Bogu dzięki przeszłość. Marszałek wali pięścią w stół.

— Gdzie wy w tej terażniejszości widzicie przeszłość. A potem jakby sam do siebie: — Ja nic nie mam przeciw tej waszej czerezwyczajce, ja się na tę waszą czerezwyczajkę na rok zgadzam. (Tak powstała Bereza Kartuska).

W kilka godzin później, gdy przyszły wiadomości, jak się potem okazało nieprawdziwe, że to strzelali Endecy, Marszałek bije pięścią w stół i krzyczy.

— „Ja was każę siec batogami, ja was każę ze skóry obdzierać. Ja każę nie żałować nikogo, ni kobiet, ni panienek. Ja wypalenie przywislińskie nasienie...”*

Dalszy ciąg był zupełnie nieprzewidziany, świat zapłonął a mieszkańców znad Wisły spotkało ileż sroższy los niż ten w gniewie Marszałka. Potem Belweder został odbudowany i zamieszkali w nim najemnicy Imperium. Wbrew temu co o sobie mówili, nie byli reprezentantami klasy robotniczej. Prawdziwy robotnik wszedł do Belwederu w roku 90. I ten prawdziwy robotnik twierdzi, że nieprawdziwy jest lud co począł oblegać Belweder niemal w rocznicę słynnego gdańskiego sierpnia.. Był to tłum głodnych i zagniewanych emerytów. Wałęsa wyszedł im dzielnie naprzeciw. Gruszka ciśnięta z tłumy ugodziła Prezydenta w piersi. „Ładnie, w Matkę Boską mnie trafiliście” — powiedział Wałęsa.

Bardzo to się wydaje swojskie. Co zrobiono z Narutowiczem było nieludzkie i obce naszej tradycji.

Kultura nr 530, listopad 1991

* Mieczysław Lepecki, „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego”, PWN, 1987, str. 216.

LISTOPAD 1991

1 listopada. To w cieniu skrzydeł tego wielkiego mrocznego święta odbyły się w Polsce pierwsze w tej części stulecia wolne wybory do Sejmu i Senatu. Wyłoniła się z nich Polska wolna i na wolność chora. Bardzo chcę wierzyć, że jest to piękna choro-
roba, ale na wszelki wypadek zamykam oczy.

Próbuję zobaczyć bliskich zmarłych, widzę brwi, które nie chcą się już trzymać linii czoła, oczy pełne wysiłku, by przypomnieć sobie własną barwę, słyszę echo słów, ale nie potrafię zobaczyć barwy głosu. I tak samo już nie pamiętam Polski jako części sowieckiego Imperium, ale pamiętam, że uwierała mnie nieznośnie w jakąś niezbędną do istnienia część mózgu. Tak się nie dawało żyć. Ale nad podziw dobrze pamiętam strajk w Stoczni Gdańskiej w roku 80, pamiętam łzy, które złościły twarze stoczniowców, salę pełną przedstawicieli strajkujących zakładów pracy z całej Polski i w gorącym powietrzu chłodne miejsce, to tam zawiązał się marmurowy węzeł historii, pamiętam zabiedzoną kobietę w elektrycznej kolejce – gdy mijaliśmy najeżone strajkiem mury stoczni i triumfalne nieruchome dźwigi – powiedziała do siebie, ale ja usłyszałem – „Niech będzie bieda, niech będzie głód, byle nie było tego kłamstwa, z tym nie daje się już żyć”.

Nie ma jednej prawdy na temat narodu czy społeczności, ale jedna z prawd na temat Polski była i jest taka, jak te słowa. Jes-

teśmy krajem, gdzie niestety wszystko co dobre i złe musiało być sprawdzone do końca.

Gdy zacząłem oglądać telewizyjne studio wyborcze, coś mnie chwyciło za gardło i już nie puściło. Że będzie brzydko i smutno, wiedziałem, ale nie że aż tak. Duże połacie tego programu zdawały się fragmentami kabaretu, gdzie jacyś złośliwcy przedrzeźniają życie polityczne w Polsce, więc, przedrzeźniają Polskę.

Oto pojawia się dwóch młodzieńców reprezentujących partię o obiecującej nazwie „Zdrowa Polska”. Stoją przed siedzibą Prymasa i meldują jak w wojsku na dwa głosy.

– Nasz Prymas stał się ostatnio celem wściekłych ataków ze strony polakożerczych środowisk w USA.

– Nic dziwnego, że ci ludzie zaatakowali Prymasa, zawsze nienawidzili Polski i Polaków.

Dalej ostre słowa potępienia otrzymują wszystkie partie, bo żadna nie wzięła w obronę Prymasa. „Kiedy nasz Prymas został zaatakowany przez Żydów, ludzie ci nabrali wody w usta”. Krwiożerczy Żydzi byli wymieniani kilkakrotnie w tym przedstawieniu, ale jest nadzieja. „Zdrowa Polska wam pomoże”. Bo Polska jest chora i zagrożona przez żydostwo, Niemców, Litwinów, nawet USA. „Panowie określcie się”. I postulat „Nie głosujcie na farbowanych lisów”. Jak widać „Zdrowa Polska” zajmuje się podwójną ekologią – oczyścić Polskę z zanieczyszczonych przemysłowych i oczyścić z obcych.

Potem wystąpiła „Partia Wolności”, czyli dawna „Solidarność Walcząca”. Tu też jak mgły wieczorne snuły się spiski. Powtarzało się ważne pytanie „Kto za tym stoi?”, a powagi sytuacji dodawały słowa „To jest przerażające”. Młody robotnik, członek tej partii, niezwykle inteligentnie udowodnił, że „komunizm nadal jest, nie obalono go, a przede wszystkim zostało koryto, tylko świń przybyło”. I dalej cytuję dokładnie: „ludzie odwracają się od społeczeństwa, wbijają mu siekierę w plecy, a potem realizują swoją linię”.

„Stronnictwo Narodowe” podparło się mundurem, broniło armii i też cytowało nieświadomie komunistów: „Kiedy Polacy będą gospodarzami we własnym kraju?”. (Jeszcze wczoraj byliśmy wszyscy gospodarzami we własnym kraju – to kopiowanie tylko na wywrót hasła komunistów jest zajęciem tyleż powszechnym, co nieświadomym). Narodowcy twierdzą, że „kiedyś byli tępieni przez Bermanów, Minców i Zambrowskich, teraz przez

ich zastępców”. To bodajże ukłon w kierunku Unii, tej samej Unii, która gdy miała premiera, nie rozliczyła tamtych, bo „kruk krukowi oka nie wykoła”.

„Chrześcijańska Demokracja” wystąpiła z kupką ziemi w chusteczce. „Nie dajmy jej sprzedać”. I powtarzał się refren „Rozliczmy system i ludzi tego systemu” – mówiony przez lektora słodkim głosem, jakby chodziło o liczenie tabliczek czekolady.

„Solidarność” pytała – czy możemy sobie na to pozwolić? Na co? Na to co jest. Odpowiedź była stanowcza i negatywna.

„Wyborcza Akcja Katolicka” pokazała mężczyznę w płaszczu zapiętym wysoko pod szyją i z rękoma w kieszeniach. Ten osobnik przemieszczał się niezwykle aktywnie tam i z powrotem na tle fruujących ptaków. Męczył się, albowiem cierpiał na słowne zaparcie, które pokonywał przy pomocy wielkiego wysiłku.

„Polska Partia Przyjaciół Piwa” z żartu powstała, ale jakoś nie ma już ochoty w żart się obrócić. I tak utyla od piwa, że przestała być zabawna. Doprawdy nie pamiętam co mówili, chociaż mówili dużo. Pokazali się też rzemieślnicy, w postaci męsko-damskiej, oboje wielce spłoszeni. Tak mogą wyglądać ludzie, których wyrwano nagle z łóżka z korzeniem snu i ciśnięto na ekran. Belkocą, bo zostawili na nocnych stolikach sztuczne szczęki.

I kiedy zdawało się, że już nic nie jest w stanie nas zaskoczyć – ukazał się nagle hipnotyzer, który wystąpił z ramienia Koalicji Polskiej Partii Ekologicznej i Polskiej Partii Zielonych. Wypełnił sobą cały ekran, wytrzeszczył oczy, wyciągnął dłonie i począł liczyć. Pomyślałem, że jeżeli widzę to co widzę, to ja już jestem od dawna zahipnotyzowany.

I pomyśleć, to był tylko jeden przypadkowy seans telewizyjny. Jakie musiały być atrakcje w innych, skoro np. „Stronnictwo Narodowe” ma być wiedzione do sądu za sianie nienawiści rasowej. Już widzę, jak idą do tego sądu – pierwsi chrześcijanie wiedzeni przez Nerona w objęcia lwów. I smutna też rola Kościoła który robił, co mógł, by się nie angażować, ale jakoś mu to nie wyszło.

Oczywiście, partie czołowe jak Unia, Liberalowie czy Centrum na lepszym poziomie, to znaczy reklamują się jak w krajach rozwiniętych poleca się mydło lub słodczy. Nie dało się usłyszeć z niczych ust choćby zarysu programu i nigdzie nie było choćby skrawka wizji przyszłej Polski. I doprawdy coraz łatwiej uwie-

rzyć, że w obecnej sytuacji tego po prostu zrobić się nie da. Tak program jak i wizja nie znoszą pesymizmu i braku spójności. Obawiam się, że dzisiaj jesteśmy na te dwa elementy skazani.

Zbyt łatwo jest znęcać się nad ofiarami wyborczego studia. Wielu z tych ludzi zdawało się nie wiedzieć, co czynią. Całe to towarzystwo zostało nagle wpuszczone w kapciach i piżamach na publiczny ołtarz Ojczyzny. Wielu z nich zobaczymy i, co gorzej, usłyszymy wkrótce w Sejmie. I to jest demokracja i wolność właśnie, i Polska właśnie. I jedna z prawd na jej temat – dlaczego nie potrafimy się z tym pogodzić?

Coraz głośniejsze słychać jak pod intelektualnymi czołami szemrzą gorzkie strumienie myśli – „ten naród się nie sprawdził, ten naród nas zawiódł”. „Naród nie zdał egzaminu z odpowiedzialności” – głosi *Gazeta Wyborcza* ustami swego redaktora naczelnego – to znaczy prawie nie zdał, ma jeszcze szansę na poprawę w najbliższych dniach i tygodniach.

A czy zdała ten egzamin nasza elita, nasi politycy, nasi ekonomiści?

Wyniki wyborów to szok dla tej części inteligencji, która tak starannie zagospodarowała podwórko naszej polityki, że doprawdy wydawało się, że nie ma już tam miejsc dla innych. I oto wdarli się jacyś inni, poburzyli babki w piaskownicy, narobili hałasu, jeszcze nikt ich nie zna, a już podejrzewani są o najgorsze. Dotychczas byli Nasi-Nasi i Nasi-Tamci, a teraz są jacyś Obcy. Co to będzie?

I z tej goryczy mało kto dostrzegł, że nasze niedojrzałe społeczeństwo jednak skreśliło w czasie wyborów wszystkie skrajności. A niska frekwencja wyborcza ma wiele przyczyn, ich splot sam odczułem boleśnie, bo przecież wlokłem się do tej urny wyborczej niechętnie, jakby miał w niej składać własne prochy. Głosowałem, przyznając bez bicia, na „Solidarność Pracy”, ale nie robiłbym tego, gdybym wiedział, że mają szansę zdobyć wiele głosów. To też chory wybór, ale całe te wybory były chore. Teraz szukanie przyczyn. Ludzie skupieni wokół Unii mistyfikują „wojnę na górze”, czyli marsz legionów Wałęsy na Prezydenturę. A to przecież nie była przyczyna choroby, a jeden z jej objawów.

Druga strona uważa, że powodem, iż zrobiło się tak paskudnie, były mactactwa i manipulacje „tamtych”. Na wzmocnienie mają jeszcze eks-komunistów, oraz ideę dekomunizacji. Obawiam się, że gdyby zmaistrować trutkę na komucha, to jej użycie w skali masowej wybiloby sporą część aktywu Porozumienia

Centrum i jeszcze kilku innych partii, które tak głośno domagają się dekomunizacji.

Zanurzam się ponownie w ekliwych wspomnieniach z dawnych lat. Jest rok 1980. Jeżdżę wzdłuż i wszerz Polski, czasami przystając z zapartym tchem pod bramami fabryk, czasami na miejskich placach. Ludzie mówią na początku niewyraźnie, bo zbyt nagle odzyskali głos i słuch, ogłuszył ich śpiew ptaków i donośność własnych słów. Ale te słowa pomalutka zaczynają układać się w przejrzysty wzór.

Najpiękniej mówili chłopcy, przekomarzali się językiem, a nawet ryzykowali doprowadzając słowa do ich granic, ale i wśród robotników znaleźli się oratorzy. Dla mnie ten czas narodzin „Solidarności” był zejściem nie tylko w kraj wolności, ale w ukryte pokłady naszego języka.

Oczywiście były sygnały wszystkich przyszłych plag; zarodki antyinteligencji, myślenia spiskowego i pierwsze łakome pyszczki ambicji... ale jakie to wszystko wydawało się małe przy tej ścianie, w którą biliśmy solidarnie głową.

Wybory, i po wyborach. Oczywiście pomylili się wszyscy, bo zawsze jest jakoś inaczej niż przewidywano.

Próba uszycia rządu z otrzymanego materiału to jak szycie z podartych kawałków koszuli wyjściowego garnituru. Bez względu na to jak się uszyje, będzie źle, albo nawet śmiesznie.

Dwie niespodzianki wyborcze to sukces KPN i Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ciekawe też, jak mało na wyborców oddziaływały zachęty Kościoła i retoryka antykomunistyczna i potwierdzony został uwiad „Solidarności”.

Do KPN-u nie mam awersji, pewnie dzięki Leszkowi Moczulskiemu, który bywa odważnym i sensownym człowiekiem, szczególnie jeśli zważy się czym był i jest KPN. Niestety, uderzającą umiejętnością KPN-u jest przyciąganie ludzi właśnie nieumiejętnych. Tak oto ojciec rodzi mało udane dzieci, a wychować ich też nie umie. Oto KPN, jego głowa i reszta żałośnie chuda.

Na KPN głosowali bezradni i rozzarowani, którym zabrano Tymińskiego, albo przejrżeli jego nędzę, których zniesmaczyły klótnie w rodzinie, a jednak nadal identyfikują się z przeciwnikami sowsocjalizmu. Została im tylko KPN. I oto teraz zaczyna się demonizować KPN. Wrzuca się ją do jednego worka z ekskomunistami, czy nawet z Tymińskim. A przecież aż ponad 7 % elektoratu głosowało na nich. A jeżeli *Gazeta Wyborcza* piórem

swego szefa pisze „sukces postkomunistów, postzeteselowców, czy KPN”, to już przestaję wierzyć, że to pismo jest tubą Unii Demokratycznej, o co tak dziarsko oskarżają *Gazetę* jej adwersarze. Jest ona kolejnym felietonem polskiego zgorzkniałego intelektualisty, bo z polityką to nie ma nic wspólnego. (Piszę bom gorzki i sam pełen winy).

Sojusz Lewicy Demokratycznej to głównie sojusz dawnego wcielenia władców Polski Ludowej z ich wcieleniem nowym. Oni, co za bezczelność, wpisali na sztandar – „Na interesach z nimi już wyszedłeś... spróbuj z nami”. Doprawdy, uczciwiej byłoby oświadczyć „zaraziliśmy was AIDS, teraz tylko z nami możecie się łajdaczyć, bo chory choremu już nie zaszkodzi”. Byli komuniści nie mogą odwoływać się do przeszłości. Próbuja więc odwołać się do powszechnego w Polsce westchnienia „nawet wtedy było lepiej”. To słaby, chociaż liczny płomyczek karmiony pamięcią złudną, bo każde pobudzenie pamięci realnej jest dla tego płomyka zabójcze. Niełatwo być byłym towarzyszem. (Po roku 1981 ustawowo-cenzurowo można było nazwać „Solidarność” jedynie „byłą Solidarnością”, ale ONI nie wykończyli „Solidarności”, wykończyła się dzisiaj sama, i dzisiaj określenie „była Solidarność” brzmi całkiem naturalnie, podobnie jak właśnie „były towarzysz”). A więc „byli towarzysze” nie mają przeszłości, wątpię czy mają przyszłość. Ale czas jest przewrotny i oto nawet cienie mogą rosnąć do monstualnych rozmiarów. Nie ma teraz co deliberować, ile głosów tym cieniem przysporzył lęk przed Kościołem, ile wyjazd Tymińskiego, a ile po prostu niesmak. Prywatnie i w konfidencji szepnę, że ich dość liczna obecność w Sejmie nie zaszkodzi mu, a może moderować narodowo-katolickie wyskoki. I niepokojący znak zapytania – jak będą głosować w sprawach gospodarczych? Ale ten niepokój dotyczy wszystkich ugrupowań. Następnym problemem, że ONI w Sejmie będą znakomicie karmić tak rozbudzone u nas myślenie spiskowe. Paradoksem jest, że to właśnie komuniści siali kiedyś spiskowe myślenie, a teraz zbierają burzę.

Komuniści realni przez tyle lat byli naszym wielkim wrogiem i naszą wielką nienawiścią, że jeszcze długo prześladować nas będą figury obronne, jakich uczyła nas dawna sytuacja. Teraz Porozumienie Centrum i ZChN polecają, abyśmy to samo ćwiczyli z ich cieniami.

Spiskowe myślenie zaraża i nie przypadkiem pleni się w mgłach i mrokach, a więc sam nie widząc prawie nic, zacząłem pytać ludzi interesu – jak to jest, czy dawna nomenklatura

naprawę pęta naszą gospodarkę, dusi spółkami nomenklaturowymi? Pytani przeze mnie biznesmeni wruszali ramionami, wiele dziwnych rzeczy widzieli na swoich ścieżkach, ale nie widzieli sieci nomenklaturowej.

Pamiętam zupełnie wyjątkowego łajdaka, który mnie kiedyś przesłuchiwał na Rakowieckiej. Pod koniec sesji klepnął się w udo, zapewne by obudzić swą duszę znękaną żmudną i tępa pracą, i oświadczył: — „wkrótce przejdziemy na wczesną emeryturkę i założy się interesik”. Oj wtedy wiele bym dał, aby można mu było dobrać się do tego interesiku. Teraz myślę o tym bez emocji.

Są ludzie winni zbrodni, oni powinni być osądzeni. Nie odbył się żaden proces, który by w sposób choćby symboliczny osądził tamten czas. Wytoczono tylko procesy duchom. A te, które wszczęto przeciw żywym, zaplątały się od razu w swój ogon. Bo niełatwo jest skazać wierzchołek góry lodowej. I jak wylapać wszystkie płotki, które grzeszyły zgodnie z ówczesnym prawem? Czy ważyć, kto wystarczająco winien, a komu można wybaczyć? Już widzę dawny Dworzec Główny pełen niespokojnego tłumu, na podwójnym tronie siedzą bracia Kaczyńscy z wagą. Posługuje im w komży poseł Niesiołowski. Ten bardzo zabiegany, bo w sąsiedniej sali sądzą winnych grzechu lubieżności.

Przywódcy bylej „Solidarności” z przywódcami bylej Polski Ludowej spotykają się dzisiaj nie tylko w gabinetach, proszę jaka ładna seria spotkań Prezydenta z generałami. Ci patrzą ze wzruszeniem na fotele, co tak długo pieściły ich siedzenia, i z drobnym lękiem na telefon, z którego niegdyś jak piorun mógł spłynąć głos gromowładnego Breżniewa. Ale najbardziej osobliwe i zbiorowe spotkanie nastąpiło w Oficynie Wydawniczej BGW. Nikt nie przeczy, że właściciele i fundusze tej firmy są podejrzane, ale publikują książki w wielkich nakładach i tak samo płacą.

W BGW spotkali się oto Rakowski (tajemnice partyjnego sumienia), I sekretarze Gierka i Kania (tajemnice dwóch epok PRL-u), Jaruzelski (w planie), a obok podwójny były minister Kuroń (piękne życie), minister Kozłowski (tajemnice nowego MSW), minister Kuczyński (tajemnice gospodarki), Bujak (tajemnice podziemia). Oprawcy i ofiary, śledczy i przesłuchiwani, pogodziła ich historia oraz firma BGW. Dawni konspiratorzy i rozpracowujący ich SB-cy mogą czuć się jednakowo wystrychnięci

na dudka. Nikt wtedy nie odgadł, że to jedynie szefowie zbierali materiał do sensacyjnych książek.

Z. był zawsze ogromnie zasadniczy, nasze kodeksy moralne nosił w sobie, a przy nich zawsze płonęła czujna lampka. Lęk, by nie uwikłać się w sytuację niemoralną z „nimi”, spędzał mu sen z powiek. Spotygam go teraz i oto zwierza się z na razie ukrytego romansu jego firmy z BGW. — Ratujemy się przed bankrutstwem, rozumiesz, takie teraz czasy, patrz tam nawet Bujak, Kuroń, zrobiła się dżungla, tylko silni przeżyją, takie czasy.

Moralność indywidualna zanurzona jest w zbiorowej, a zbiorowa jak stary schodzony garnitur, szwy trzymają, ale nie za mocno. Jak ktoś naprawdę szarpnie, wszystko się rozłazi. I rozlazło się...

Polska lokalna, nicustannie odkrywana i znowu dokładnie zapomniana. Stąd utrata oddechu z przerażenia, gdy ta Polska ma nagle głos, jak np. w trakcie wyborów. Czyż zresztą nie ten sam upór zaskoczył komunistów, którzy przed niczym się nie zawahali, a przed naszym chłopem tak, i nie wsadzili wsi w dyby kolektywizacji. Dzisiaj nadal uparty chłop kładzie się krzyżem na drodze naszej wielkiej reformy. Ale ten „krzyż” jest tradycyjnie już skłócony, może na szczęście, bo solidarni chłopci załatwiliby wrogie miasto na amen.

Wiejska Apokalipsa wyrażona ustami pewnego rolnika brzmi: „Rzut węgierskiego kurczaka zabił naszego brojlera, przeterminowane niemieckie piwo truje naszego chłopca, a znakomite nasienie zwierząt wylewa się do rzek”. Szczególnie to ostatnie może pobudzać wyobraźnię. Chłopi nienawidzą rządu i nienawidzą Zachodniej Europy, która produkuje żywność taniej i w nadmiarze. Zaś premier Bielecki mówi, że go „nienawieść rolników do władzy i do EWG przeraża”. Boimy się ich tym bardziej im bardziej ich nie rozumiemy.

Jest też świat małych miasteczek, zagłębie frustracji i obłomowszczyzny. Stamtąd czerpał swoje siły Tymiński.

Jakiś czas temu widziałem film, gdzie pokazano stado kopytnych, które na widok kamery utworzyły mały, ale niezwykle zwarty krąg obronny. I nagle zobaczyłem w podobnej konfiguracji znajomych w małym miasteczku. I najeżoną sierść na karku Kowalskiego, gdy wyniucha obcego. By przeżyć potop zaborów, a potem komunizm, nasza społeczność tworzyła figurę obronną i będzie powtarzać ją jeszcze długo.

Dlatego zainteresował mnie tekst w *Res Publice* (7–8, 91r.),

bo wydał się zbieżny z pewnymi intuicjami. Jest to referat Bogdana Jałowieckiego, który opisuje scenę polityczną Polski lokalnej, a korzysta w swym tekście z obszernych badań naszej prowincji prowadzonych przez licznych socjologów. Autor cytuje Janusza Hryniewicza:

„Osobliwością naszego społeczeństwa jest mikrogrupa jako podstawowy element struktury społecznej (...). W małym mieście bardzo wyraźny jest układ polegający na tym, że wokół rodziny nuklearnej koncentruje się układ przyjaźni, w skład którego wchodzi ludzie pełniący role zawodowe ważne dla funkcjonowania danej rodziny. Układ ten jest zazwyczaj dość trwały, a więź rzeczową silnie wzmacnia więź emocjonalna i odwrotnie”.

I dalej:

„Grupy te spełniały ważną rolę w systemie realnego socjalizmu. Zmniejszyły jego dolegliwości, a przede wszystkim zakres reglamentacji zachowań społecznych przez państwo i jego instytucje (...). Życie przeciętnego Polaka w małym mieście toczy się w zasadzie wyłącznie w małych grupach, ponieważ nadal bardzo niewielkie znaczenie ma identyfikacja z grupami typu zrzeszeniowego, w efekcie jednostka uczy się, by w każdej aktywności publicznej oczekiwać bliskich emocjonalnych związków z instytucjami lub osobami. Oparcie życia społecznego na grupach rodzinno-koleżeńskich ma bardzo poważne konsekwencje dla kształtowania się nowego ładu społecznego. Grupy te postrzegają instytucje społeczne jako nieprzyjazne. Również jako wrogów traktuje się wszystkich nie będących członkami własnej grupy. W efekcie wytwarza się relatywizm moralny usprawiedliwiający członków grup obcych. Moralność Kalego jest jedną z cech charakterystycznych polskiego społeczeństwa”.

I dalej:

„W odniesieniu do problemów globalnych oczekuje się gotowych, jednorodnie emocjonalnie podbudowanych formuł. Jak się wydaje, najgroźniejszą konsekwencją tego stanu rzeczy jest intelektualna niemożność zaakceptowania wielości przyczyn różnych globalnych wydarzeń społeczno-politycznych. Społeczeństwo jest więc podatne na wyjaśnienie zjawisk i procesów społecznych w silnie zmitologizowanych kategoriach ideologicznych, stąd tendencje do spiskowej interpretacji wydarzeń i poszukiwanie wroga”.

To tylko fragmenty obszernych badań dokonanych już jakiś czas temu, ale wnioski są niestety ogromnie aktualne. Jednym z tych wniosków jest, że

„Zachowanie elektoratu Polski lokalnej, który jest w ogromnej

części politycznie niezagospodarowany, może być całkowicie nieprzewidywalne (...). A poglądy egalitarne i postawy roszczeniowe oraz znaczne upowszechnienie postaw autorytarnych jeszcze przez długi okres określać będzie zachowanie polityczne mieszkańców Polski lokalnej”.

Tej Polski, trzeba dodać, która — jak już pisałem — nieustannie nas zaskakuje, która nas przeraża i której poznać elita naszej władzy nie chce, jakby nie miała już siły, na tak wielki pasztet, chociaż to właśnie jest teraz już nie jęczyczek, a wielki jęczor u naszej wagi.

Jedna z najpopularniejszych osób publicznych w oczach naszego społeczeństwa to wedle badań Rzecznik Praw Obywatelskich, prof. Ewa Łętowska. Ciekawe, co ona myśli o społeczeństwie, które ją tak wysoko ceni?

Gdyby jakiś socjolog napisał książkę o społeczeństwie polskim na podstawie listów do rzecznika, byłaby to lektura równie fascynująca, co przerażająca. Większość listów to nieustanny krzyk: „Daj”, albo nawet jeszcze mocniej: „Zabierz innemu i daj mnie”.

A co myśli pani profesor o naszym życiu politycznym?

Nie lubię tego naszego sposobu prowadzenia polityki i coraz częściej wydaje mi się, że człowiek, który chce się uważać za przyzwoitego, powinien się od tego wszystkiego trzymać z daleka.

Tyle o nas najbardziej popularna i lubiana przez nas osoba.

Pytanie o wielką reformę, zwaną Planem Balcerowicza, coraz bardziej przypomina owoc dojrzaly do wielkiej katastrofy, jeżeli się go nie zerwie, spadnie sam. Większość Polaków podczas wyborów powiedziała tej reformie w jej obecnym kształcie — nie! Problem, że jak się zdaje, nie ma żadnych argumentów ostatecznych tak „za” jak i „przeciw”, co się zdarza, gdy mamy do czynienia z wielkimi eksperymentami. Padliśmy ofiarą nieudanego eksperymentu socjalizmu, a teraz jest eksperyment następny. Mówią „nie” również wybitni nasi politycy, Karol Modzelewski ma niezwykle długi staż w tej branży, wielkie zasługi a przede wszystkim sprawdzoną polityczną inteligencję. Jako, że wraca właśnie z powrotem w mroki Średniowiecza, bo to jego pierwszy zawód, trudno posądzić go o uwikłanie w doraźne spory. Cytuję:

Obdarzony zawierzeniem rząd Mazowieckiego nie był w swoich poczynaniach ograniczony przez aktywność własnej bazy, nie był kontrolowany lub kontrowany przez związki zawodowe, nie miał

w parlamencie opozycji i początkowo nie natrafił na żaden opór w kraju. Mógł robić co chciał, ale nie wiedział co robić. W tej sytuacji zapożyczono z renomowanych uniwersytetów amerykańskich i z okręgów bliskich MFW receptę zalecaną krajom Ameryki Łacińskiej, która do warunków postsocjalistycznych nie pasuje. I dalej: Panowie pytacie, dlaczego rząd głoszący pluralizm nie sięgnął po pluralizm? Otóż po pierwsze rząd Mazowieckiego cierpiał na wywodzący się ze stanu wojennego i z konspiracji uwiad demokratycznej atmosfery i obyczajowości

(*Życie Gospodarcze*, 19.X.1991 r.).

Podarte zostały nieomal wszystkie zasłony, obalone niemal wszystkie mury dzielące nas od PRL-owskiej przeszłości. Czuć smutek tamtego czasu, zapach zatęchłego gabinetu, gdzie nawet szyby porosły pleśnią, a wielkie tajemnice okazały się kartami.

Oto *Polityka* ujawnia z tajnych archiwów notatkę z dyskusji posiedzenia Biura Politycznego z dnia 8.IV.68 roku. Magiczna pałeczka przenosi nas na górę, gdzie odbywa się sabat czerwonych czarownic. W kotle smażą się zjadliwe trucizny, prapoczątki kampanii antyinteligencjonalnej i antysemitycznej, która spustynniła nasz krajobraz i wyrzuciła za burtę Polski tysiące ludzi pochodzenia żydowskiego. Oto tow. Wiesław ze swoim aeropagiem godzinami delibruje, głowiąc się, jak odróżnić Żyda od syjonisty. Już sama lektura stenogramu przyprawia o ból głowy, podobnie wycieńczający jest wysiłek zrozumienia i nawiązania kontaktu z pacjentem chorym na psychozę maniakalną. Smutne potwierdzenie podejrzeń, że rządziły nami bełkot i szaleństwo. Byliśmy świadkami eksperymentu przełożenia tej językowej miazgi na język faktów i przeniesienia tego do fabryk i na ulicę. Niestety opilki tego tkwią nadal w naszej tęczę.

Na scenę w blask reflektorów wychodzi znowu Stanisław Kania, poczciwy Kania, który sekretarzował przez czas jakiś w doprawdy kłopotliwym dla PZPR okresie szalejącej w PRL kontrrewolucji. Krzątał się po publicznym ołtarzu jak korpulentny poczciwy proboszcz w świątyni, gdzie diabeł zamieszkał nawet w święconej wodzie. Dzisiaj tow. Kania też stał się pisarzem i jest z dawnymi towarzyszami oraz Kurokiem i Bujakiem klasykiem oficyny BGW. On ma też swoje wielkie pięć minut, może zdradzić wielką tajemnicę, jakie było tło upiornej zabawy w „wejdą nie wejdą”. Szczerze mówiąc tak długo ona trwała, że znieczuliliśmy się niemal zupełnie, i jak wszedł w nas generał Jaruzelski ze swoją armią, prawie tego nie poczuliliśmy. Oto tow.

Kania jest w Moskwie, gdzie jechał zapewne żegnając się z życiem. W dali Polska, gdzie szaleje kontrrewolucja, a tu Leonid Breżniew i I sekretarze wszystkich bratnich partii z nożami w zębach. Kadar, wedle Kania, miał łyżki w oczach, gdy mówił o możliwości interwencji: te łyżki można by wsadzić do gabloty w muzeum osobliwości. I oto nadchodzi moment szczytowy – Kania jest sam na sam z Nim. Niedźwiedź mówi powoli, właściwie ledwie mówi, jak się zdaje mózg mu już nie bardzo chce pracować, i pomyśleć mózg Imperium. Zresztą mówi głównie tow. Kania, jak na Sądzie Ostatecznym tłumaczy się z Polski. Jeśli obleje ten egzamin, pancerna lawina ruszy na kraj. Taka rozmowa to mógłby być dramat, który przygniótłby wszystkie dramaty Szekspira, no ale tow. Kania nie pisarz, on aparatczyk, wierzę nawet, że dość poczciwy. I oto Niedźwiedź otwiera usta i mówi – *No charaszo, nie wajdiom* i po pauzie – *a budiet usłażniatsja – wajdiom, wajdiom*. I wreszcie po pauzie – *No biez tiebia – nie wajdiom*.

Mrówki powinny teraz pójść po plecach, a nie chcą iść, te mrówki są już martwe.

Albo taka przebitka z ostatnich lat – wszystko znowu dzieki niezastąpionej BGW, która skusiła również marszałka Sejmu, Michała Kozakiewicza. On też będzie miał książkę, gdzie opíše zdarzenia ostatnie. Oto scena spotkania u Prymasa, gdzie jest Wałęsa i cały aeropag i wielkie pytanie, co robić, bo jest coraz gorzej. Kardynał Glemp „mówi o rosnącej w kraju gorączce dążenia do władzy”. Po czym, jak wspomina marszałek (niegdys znany seksuolog) – „w sposób dość zaskakujący Prymas mówi, iż niepokój polityczny trzeba rozpatrywać w związku z niepokojem na tle erotycznym”.

Wiadomość z piwnic MSW. Oto nowy wiceminister tego resortu, Jan Widacki, przechadzając się mrocznymi podziemnymi korytarzami, potknął się o jakieś paczki. Było w nich 200 egzemplarzy „Gwałtu na Melpomenie” Antoniego Słonimskiego, tylko to ocalało z nakładu, który w 1959 roku poszedł na przedział. Teraz ten niedogwałcony „Gwałt” będzie sprzedany na licytacji.

Jeden z ostatnich numerów *Res Publiki* niesie tajne materiały archiwalne. Rzecz dotyczy naszej elity. Jest rok 1966, więc idea już leżała w gruzach, ale nasza elita jest w tej idei może nie po uszy, ale po... kostki. Oto nasi czołowi pisarze, przez młod-

szych pamiętani jedynie jako ekstrema opozycji antysocjalistycznej, w roku 1966 – nie do wiary – są jeszcze towarzyszami, a jako członkowie partii odpytywani są przez surowe sumienie tej partii w sprawie wielkiego grzesznika Leszka Kołakowskiego, za te grzechy z partii właśnie usuniętego. I oto stała się rzecz niebywała – grupa pisarzy członków Organizacji Partyjnej przy Związku Literatów Polskich ujęła się za Kołakowskim w liście, który kończy się słowami: „Pozostawienie go poza partią przyniosłoby jej uszczerbek zbyt wielki, aby można było przejść na tym do porządku dziennego”. Wśród podpisanych są m.in. Tadeusz Konwicki, Jacek Bocheński, Julian Strykowski, Wiktor Woroszyński...

Krnąbrnych towarzyszy przesłuchuje komisja partyjna, na czele której stoi Kliszko. Czołówka naszych pisarzy jest nagle w szkole i przy tablicy. Sprawa jest poważna, ucieczka z lekcji. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, ale to przecież jest 1966 rok. I jak w koszmarnym śnie nasi wybitni pisarze, sumienie narodu w krótkich spodenkach, stają przed kłapouchym wielkim belfrem Zenonem Kliszką, niby hardzi uczniowie, ale jednak spłoszeni, tłumaczą się, kręcą, mówią niby „nie, „ale”, „sprawa jest złożona”, „n a s z a p a r t i a”. Najbardziej dramatyczny fragment i najbardziej heroiczny to finał przesłuchania Konwickiego. Pisarz długo starał się palić Bogu świeczkę i diabłu ogarek, ale diabeł przyciskał, a Bóg zdawał się być daleko, i na samym końcu doszło do nieszczęścia.

Tow. R. Nowak: – Czy wam zależy na partii?

Tow. Konwicki: – Szczerze mówiąc, nie.

Ale połączmy miłosiernie zasłonę na nazwiskach i cytatach, piszę o tym nie by się nad wybitnymi znęcać. Połączyły mi się nagle te stenogramy z kasą pancerną pułkownika Bednarza (*Rzeczpospolita* z IV 91.) Żółkną tam plany ewakuacji warszawskiej dzielnicy Żoliborz w czasie wojny i nuklearnego ataku. I oto jest instrukcja, która nakazuje – „w pierwszej kolejności wywieźć należy i zapewnić bezpieczne miejsce pracy 26 żoliborskim wybitnym twórcom kultury i sztuki”.

Niestety dziennikarz nie podał nazwisk tych 26 godnych ocalenia z Apokalipsy i jak weryfikowano listę. W końcu znając pokretne biografie niektórych twórców z Żoliborza, rzecz nie była łatwa.

Ta lista to jeden z przykładów niezwykle zagmatwanego stosunku partii do artystów, czyli najpierw do inżynierów ludzkich dusz, potem inżynierów zakładających minę pod socjalistyczny

dom. I czyż nie do wczoraj, mimo wojny, która zaczęła się właściwie w roku 56, a kulminowała w roku 68, zaś w stanie wojennym doszło prawie do podrzynania gardła – mimo to wszystko wielu z pisarzy „wścieklej ekstremy” miało przez cały czas do dyspozycji szpital rządowy na Hożej. Nawet wypuszczeni dopiero co z interny przybywali tam na leczenie, by na korytarzach lub w szpitalnych salach spotykać tych, którzy kazali ich więzić, internować, wymazywać ich imiona z prasy. A igły rządowych strzykawek o dziwo równie gładko wchodziły w aureole co w czarcie zady. Nie wymawiam nikomu tej lecznicy, ukazują tylko pewną figurę.

Bo partia do swego końca, gdy w Sali Kongresowej sama się kładła do trumny śpiewając „bój to był nasz ostatni”, niosła w duszy strzępki miłości do artysty, o tak, te proste komuchowskie dusze mieszały miłość z nienawiścią prostaka do nosiciela spraw niepojętych i magiczny lęk przed słowem, lęk, który doprowadził działalność cenzury do granic obłądzenia. Był to lęk przed prawdą, która w świecie kłamstwa rzeczywiście uzyskała niesłychaną siłę.

A nasi intelektualisci noszą w sobie do dziś roztrzaskane fragmenty dworu, na którym tak długo tańczyli, potem już niby obrażeni, potem zbuntowani, ale tańczyli podjadając torty, popijając wina, zamieniając mieszkania na większe.

Tyle pośpiesznych i powierzchownych refleksji z lektury naszej wolnej prasy, która metodą odkrywczą, też szybko i powierzchownie, odkopuje przeszłość. Podglądanie przeszłości po tylu latach jest niestety namiastką spodziewanych rozkoszy. Mamy bowiem pamięć dziewczęcych wdzięków, a uchylona zasłona obnaża starcze członki.

Kultura nr 531, grudzień 1991

GRUDZIEŃ 1991

Pomyślałem, zbliża się Nowy Rok, zrobię małe porządki, przypomnę co pisałem przez minione półtora roku. I nagle ogarnął mnie strach. Bo ja przecież piszę w nadziei, że tego nikt nie przeczyta, szczególnie ci, których krytykuję. Więc teraz strach samego siebie czytać. Może raczej jakiś mały remanent. A więc korzystam z okazji i próbuję uratować dwie strony, o dwóch śmierciach, te strony uparcie wypadają z kolejnych numerów pisma, bo albo tekst się spóźnił, albo zabrakło właśnie na nie miejsca.

Był robotnikiem, który awansował do rangi mechanika. Pierwsze pokolenie ze wsi. Poznać to można było po zapachu mieszkania, przynieśli ten zapach ze wsi. I buty wystawione na korytarz. Z żoną i pewną liczbą dzieci mieszkali kilka pięter pod nami. Ona prosta, ale otwarta, on obdarzony mądrością, dla której nie znajduję innego słowa jak „naturalna”. Kupił sobie komputer i ten komputer stał się jego pasją. Czasy były burzliwe, dlatego zbudował dla komputera niezwykle przemysłny stolik, który gdy wychodził z domu stawał się sejfem na cenne urządzenie. Całość mocował klódkami do ściany. O tak, był przezorny, ale znał granice, również w picu. Uczył się angielskiego, raczej z miernym wynikiem, ale wytrwale. Kilka wyjazdów za granicę spłynęło po nim jak woda po kaczce. Tylko w Polsce czuł się dobrze. Tylko ją rozumiał. Komunizmu nie znosił, podobnie jak

większość polskich robotników, z powodów moralnych i za bezsens, który mógł obserwować już na poziomie śrubki. Miał pasję do polityki, słuchał systematycznie Wolnej Europy, był pilnym czytelnikiem książek drugiego obiegu, które mu pożyczalem. Kupować nie lubił, były za drogie. Do polityki miał żyłkę, miał również intuicję, jak się potem okazało lepszą niż wielu naszych zawodowców. Gdy na trzy miesiące przed stanem wojennym sowiecka prasa przestała atakować „Solidarność” i gdy nasi odetchnęli z ulgą, on przestraszył się. Wiedział, że tam już ktoś podjął decyzję. W czasie stanu wojennego był ostrożny, ale nie przesadnie, przecież wiedział, że i tak wygramy i że zadecyduje o tym nie tylko nasza postawa, a głównie właśnie komputer. Brał ostrożnie pisma drugiego obiegu do kolportażu, kibicował wszystkim manifestacjom, nie za blisko, nie za daleko. „Takie odwoły jak ja czasami się przydają, a czas działa na ich niekorzyść”, mawiał. Jego zdrowy rozsądek, brak uprzedzeń były uderzające. Reprezentował co najlepsze w naszym ludzie, chociaż miał niektóre jego wady, pewien rodzaj niechlujstwa i skłonności do kombinowania. Ale to ostatnie Polakom wszczepiła historia jak bezwarunkowy odruch. Potrafił narażać się, ale zawsze w miarę, i dbał, by nie zmarnowało się co dobre. To on dokonał brawurowej ewakuacji od sąsiada kilkunastolitrowego gąsiora świeżego bimbru. Ta operacja miała jeżeli się nie mylę, jakiś związek z moim „spalonym” mieszkaniem i z kontaktami, jakie miałem z lokatorami mieszkania, gdzie dojrzewał gąsior.

Teraz już nie potrafię rozplątać wszystkich nici konspiracji, jakie zostały zawiązane na moim osiedlu w czasie stanu wojennego, myślę, że niektóre supły z tamtego czasu będą zasuplane na zawsze.

Określenia miał dosadne, ale starał się, by słowa nie wykraçały poza granice przyzwoitości. Uważał się za robotnika, również w myśleniu, dlatego każdą refleksję budował na żywym materiale. Zaczepiał mnie zawsze na schodach krzycząc „co słychać”. Mówił głośno, nie zważając na niepewnych sąsiadów. Wieścił koniec Imperium, bo sypała się tam gospodarka, a Amerykanie dokonali udanej próby z systemem wojen gwiazdnych. Diagnozy miał daleko idące i ryzykowne, ale zaskakująco trafne, więc o naszej przyszłości dowiedziałem się zawsza na schodach własnego domu. Wolność i ostateczne nasze zwycięstwo przyjął z triumfem, ale ostrożnie, jak kot, który wchodzi do obcego mieszkania. I tu też miał rację.

Podczas ostatniej wizyty w Warszawie, idąc niemiłosiernie

krzywym chodnikiem mojej dzielnicy, ujrzałem jego małego synka, biegł nieprzytomnie, ale na mój widok uśmiechnął się wstydliwie, jakby wiedział o czymś niezwykłym, co mnie zaraz spotka. W oddali kuśtykał On, wsparty o kulę i swoją żonę. Głowę miał ogoloną i obandażowaną. Jedna ręka jak złamane narzędzie wisiała bezwładnie. Wyglądał upiornie. Nie było wątpliwości, że wyszedł przed chwilą z czeluści szpitala, miał na sobie jego trupi odcisk. Podał mi z trudem wielką jak bochen dłoń i wtedy dostrzegłem, że – chociaż cały – jest właściwie w połowie. „Z całego chłopca zostało chłopca pół”, powiedział, a właściwie wybełkotał. Wylew? – zapytałem. Jego żona uśmiechnęła się boleśnie i wstydliwie – „jeszcze gorzej”. Moja wyobraźnia szukając czegoś gorszego odbiła się od ściany. Ledwie stał, ale stał i oczywiście komentował naszą gorzką wolność, po czym wdał się w szczegóły techniczne systemu satelitarnej telewizji – którą załatwił dla naszego domu. Był ledwie żywy, ale nadal otwarty na życie.

Wkrótce potem umarł. I już wiem, że nigdy nie zaczepi mnie na schodach, to boli. Boli też, bo wiem, że był rzadkim u nas charakterem, który zbierał w sobie stare i nowe, tradycję wiejską i miejsko-szlachecką. Łączył je harmonijnie, biorąc z nich co najlepsze, i garść słabości też u nas typowych, ale nie one dominowały.

I uświadomiłem sobie, że myśląc o przyszłej Polsce wierzyłem, że tacy ludzie jak On będą naszą siłą i nadzieją.

To nie jedyna śmierć.

X. wił się wokół swojej wielkości, w którą wierzył bezgranicznie, był tak wokół niej opleciony, że rozmowa z nim była trudna, bo nawet jeśli nie o nim i jego książkach, to jednak za sprawą niezwyklej siły przyciągania też kręciła się wokół tej osi. Mówił inteligentnym szeptem, a więc nawet kiedy się mylił, nie było tego słyhać. Zresztą żył też szeptem, więc tu również dawał wielkie pole dla wyobraźni i dopowiedzeń. Tak, był mistrzem szeptu, pisał szeptem, tak cienko, że banał i sentymentalizm rwały czasami te subtelne nici, ale dla krzyku wojny ten półgłos był znakomity.

Byłem daleko, gdy umarł, więc teraz korzystam, że jestem blisko i próbuję w tę śmierć uwierzyć. Stoję na chodniku i patrzę w okno, gdzie stoi wazonik. Znam ten wazonik dobrze od strony mieszkanki, która teraz wydaje się stroną życia, patrzę nań jak na księżyc, bo wiem, że ta druga strona jest niedostępna. Idę po schodach, spłoszony, bo na razie wszystko jest jak zawsze. Ale na drzwiach przyklejo-

ne dwie papierowe plomby ze stemplem administracji. Stałem naprzeciw, nie sam, z Nim, bo wiedziałem, że zawsze chciał zajrzeć na drugą stronę własnej śmierci.

Dwie papierowe plomby, ot i wszystko.

Teraz powinienem zacząć swój polityczny lament, ale jakoś nie mogę. Jesteśmy wszyscy zatruci polityką. Nigdy nie miałem mocnego żołądka, a codzienna porcja naszych gazet zbić może z nóg nawet słonia. Próbuję więc balansować na granicy polityki i życia, ale siła przyciągania pcha nieubłaganie do polityki.

Wieszcz nasz wsłuchując się w ciszę na Krymie słyhał lecące żurawie, co teraz słyhać, gdy się w ciszę wsłuchać? Szepty i szmery. To nasi politycy namawiają się w sprawie rządu. Kto nie pamięta radosnego dreszczu podniecenia, gdy namawialiśmy się przed zabawą w chowanego lub w ciuciubabkę.

Jak się nie zna kandydatów na kolejnych premierów, to jeszcze pół biedy. Najgorzej, gdy się zna. Porządni ludzie. Ale strach. Już lepiej nie znać. Zawsze można mieć złudzenie, że a nuż jakiś geniusz.

Dawny kierowca Wałęsa został pełnomocnikiem Prezydenta w sprawie formowania rządu. Wstyd o tym pisać, bo pewnie do czasu, kiedy tekst ukaże się w druku, ta niezwykła figura zostanie wycyckana w prasie do końca. A przecież nie znam nikogo, kto znał Mieczysława Wachowskiego. Dziennikarze piszą, że jego biografia składa się głównie z dziur. Dlaczego w dziurach mają od razu siedzieć brzydkie gryzonie? Może on z tych szeregowców, których Napoleon awansował na generałów?

Prezydent sam powiedział, że ufa tylko Bogu Do intelektualistów Wałęsa zaufania nie ma, za bardzo się mądrzą i wywyższają. Przydupasami, którzy wchodzą na orbitę i wirują wokół w gruncie rzeczy gardzi. Były kierowca i partner do ping-ponga Mieczysław Wachowski, teraz sekretarz Prezydenta, wydaje się logicznym rozwiązaniem. Co za ból dla ludzi z dworu. Jeden dwór wstrząśnięty i obrażony do kości odszedł, teraz tworzy się nowy. Jako że prawie na pewno ta świeża grupa Poloniuszy będzie po studiach i z pretensjami, więc były kierowca dla nich też stanie się źródłem upokorzeń.

Czy to tylko u nas tak się paskudzi, pyta młody człowiek, który jest, o dziwo, moim synem?

Gdzie indziej ludzie nie mądrzejsi, ale pokolenia budowały te mechanizmy, te ruchy i odruchy. My wszystko od samego początku. Dlatego groza.

Młodzież coraz bardziej gdzieś obok naszej rzeczywistości, jakby ta rzeczywistość nie była ich. Oto następne niebezpieczne skrzyżowanie na drodze ku...

Mówiliśmy kiedyś, że komuna nam włązi wszędzie, bo i włąziła, ale jak się dobrze uszczelnilo, jak się pogadało i popilo, to trzymała się z dala, jak drapieżnik co do ognia nie podejdzie. Teraz kiedy się popije i pogada, to tylko jakby dolać oliwy do ognia. Podziały idą przez rodziny, nawet małżeńskie łóżka. Pas-kudztwo musi być w powietrzu. Niektórzy mówią, że złe powietrze wyszło z pomników, najpewniej z Dzierżyńskiego, kiedy mu się głowa oddzieliła od tułowia podczas egzekucji. Inni mówią, że dopóki nie wymyśli się trucizny na komucha, nie będzie lepiej. Inni, całkiem liczni, są pewni, że... „jakby, panie, tych żydków, to by od razu było lepsze powietrze”. Jeszcze inni, że prezydenta trzeba zmienić. To się ostatnio łatwo mówi, ale kto na to miejsce? Bardzo jest dziwny w Polsce ten fotel prezydencki, kogo się tam przymierzy, zupełnie nie pasuje.

Andrzej Drawicz, kochany człowiek, domaga się, by Prezydent podał się do dymisji. *Kultura* nr 11 chyba zbyt łaskawie ten apel przedrukowała. Ciekawe, dlaczego sam Drawicz nie podał się do dymisji, kiedy szefował telewizji. Czyżby ta instytucja tak przerosła jego siły, że nawet tego nie zauważył? Następca Drawicza też człowiek, no może nie kochany, ale porządny chłopak, prowadził telewizję jak pijany zając, i tak właśnie zakończył urzędowanie na komisariacie z powiewającym wesoło balonikiem. Wydaje się, że złe duchy nawiedziły nie tylko telewizję, przecież to jest czas porządnym ludzi, a rodzi się jakiś koszmar. Bez złych duchów tego nie wytłumaczysz.

Nowym szefem telewizji został reżyser Janusz Zaorski (Zaorek dla kolegów), bardzo dobrze, bo spoza układów politycznych, za to z towarzyskich oczywiście, zresztą gdyby to nie był jakiś znajomy, nie mógłbym się pozbierać ze zdziwienia. Ciekawe, jak sobie nieszczęsny poradzi ze złymi duchami. Mało który reżyser na świecie ma szansę nie tylko kręcić, ale i być kręconym przez tak wielki *thriller*.

Już się odczepiłem od Terleckiego w końcu on bardziej mi na ofiarę wygląda, niż na oprawcę. Ale sam do mnie nagle przyszedł. Gdy w łóżku próbowałem nakłonić sen, by mnie wziął w ramiona, pojawił się niespodziewanie Terlecki w postaci wywiadu w *Przeglądzie Tygodniowym*. Uderzyło mnie, że były Prezes jest w zasadzie z siebie zadowolony, głupio tylko wyszło z tym pijackim incydentem, nie zaprzecza, ale ma swój komen-

tarz: „Znamy polskich polityków, którym gorsze incydenty jakoś w karierze politycznej nie szkodzą”. Najbardziej jednak osobliwe pierwsze i ostatnie słowa tej rozmowy.

Kiedy człowiek nagle odchodzi ze stanowiska, ma ochotę odkryć całą prawdę, ale najczęściej odstania ją dopiero po latach, w pamiętnikach. Przez chwilę również uległem takiej pokusie, ale doszedłem do wniosku, że może lepiej pokusom nie ulegać. Ciekawe, co to za tajemnice, i ciekawe jak to niculeganie pokusom koresponduje z balonikowym testem i z ostatnimi słowami rozmowy, które jakoś dziwnie są sprzeczne z jej początkiem. *Poza tym myślę, że cała ta historia jest dobrym materiałem na książkę.*

Ogromnie niedojrzała emocjonalnie i moralnie figura z tej rozmowy się wylania. Ale ja czuję ją całym sobą i rozumiem, a nawet się utożsamiam. Bo ja też gdzieś tam jestem nadal dzieckiem, które lubi ciastka i konfitury. Więcej, myślę, że cały ten pęczek nowej władzy ma wspólny mianownik – to artyści! Nawet jeśli nie publikują i pokazują, to dusze mają artystowskie. Nowe role życiowe spadły na nas jak literacki deszcz, po którym nawet na wierzbach wyrosły pomarańcze i banany. I oto mężczyznom, tuż przed lub tuż po czterdziestce (co za niebezpieczny wiek dla samców) kroi się „niezwykła życiowa przygoda”. Co nowy minister czy dyrektor, to mówi o nowej pracy jako o przygodzie. I to rozkosznie luksusowe poczucie, że nawet jak się wszystko skończy katastrofą, to nawet jeszcze lepiej, bo mocniejszy będzie temat, a oficyna BGW już czeka...(na tapecie Izabella Cywińska!, a w planach BGW zapewne cały odchodzący garnitur ministrów. Tworzy się seria z Biblioteki Ministrów, czyli pijani we mgle, albo przygoda człowieka myślącego w zbyt trudnych czasach).

A Prezydent mówi, że jest zmęczony, „jedź do Papieża ładować akumulatory”. Można teraz chodzić pod Belweder i oglądać, jak świecą mu się krzyże w oczach.

Choroby szaleją i wypadki. Jeżeli ktoś nie zginie w wypadku, to ma zawał. Coraz więcej znajomych. Straszny rok – mówią ludzie, jakby przyszłe miały być lepsze. Doprawdy pora uwierzyć, że wszyscy muszą umrzeć. Nie mieliśmy dotychczas czasu na takie głupstwa. Ludzie o tym za dużo gadają, i te upiorne szczegóły o znajomych: „nawet morfina już nie działała”, „umarł na jej rękach”, „jedna nerka była cała w nowotworach, na drugą już przechodziły”. Więc jak tu nie słyszeć, że zawały serca i nowotwory skradają się na kościanych paluszkach. Potwornym wynalazkiem jest AIDS. Aż strach tę nazwę pisać. Skoro to

paskudztwo tak długo się wylęga, to można nosić i przekazywać wokół wyroki śmierci, udając że się przynosi co innego. To, co najlepsze, zostało zainfekowane tym, co najgorsze. I rzecz można, że zbliża się czas, kiedy źródła życia połączą się w jedno ze źródłami śmierci.

Niedawno rozmawiałem z pewnym homoseksualistą, bardzo lubię homoseksualistów. I on przy okazji swej ustnej wypowiedzi niechcący mnie opluł, jedna kropla spadła na mą wargę dolną. No tak, po mnie – pomyślałem, wargi mi pierzchną i pękają, jeśli ten jest zainfekowany to koniec. Podobno szklanka śliny jest konieczna do zakażenia, ale jak ktoś ma pecha, to i kropla wystarczy. Do dziś chodzę jak struty, mam ochotę zrobić test, ale strach. Kiedy ten miły homo... do mnie dzwoni, to zawsze pytam, jak się czuje? On mówi, że dobrze, ale co z tego, może sam nie wie.

Moja znajoma, ale nie bliska, test robiła w tym roku już trzy razy. Straszny czas dla ludzi z wyobraźnią.

Pytam pewnego ministra: Skoro u nas taka ciemnota i AIDS się rozprzestrzeniło szybko, nawet nikt nie wie jak szybko, to czemu narodu nie uświadamia telewizja? – „Panie, toż oni nam każą płacić tysiące dolarów za każdą informację, bo traktują to jako reklamę. A poza tym kto dzisiaj w naszej telewizji ośmielił się pokazać prezerwatywę i urządzenie, któremu ona służy. Kościół by wszystkich zagryzł”.

Jak Kościół tak będzie gryzł, to sam się zarazi, pomyślałem. Kościół nasz uważa, że najlepszym lekarstwem jest wstrzemięźliwość płciowa. Ciekawe, bo właśnie ten front seksualny jest niewątpliwie najsłabszym w wielkiej wojnie, jaką Kościół toczy o ludzkie dusze. Tu jest miejsce, gdzie pozostałości futra i ogona są w naszej rodzinie najbardziej widoczne.

Nie ma już wątpliwości, że skoro tylko prezerwatywa może uchronić ludzkość od zagłady, to wchodzimy triumfalnie w epokę prezerwatyw. Była epoka kamienia łupanego, był czas Oświecenia i wiek, kiedy idea socjalizmu utopijnego zainfekowała sporą część planety, a teraz zaczyna się epoka prezerwatyw i należy to rozumieć nie tylko dosłownie. Plastik i komputer zabierają smak świata, wszystko staje się do jednorazowego użytku, wszystko do wymiany i szybkiego umycia. Czas praktyczny, czas gumowy.

Seks i zawiść. Tyle się pisze w literaturze o tym pierwszym, ale jakby zawsze obok. Jak się nie pisze obok, to wychodzi horror. A o zawiści jakoś naturalnie niewiele. A przecież świat stoi

na jednym i na drugim. Z zawiścią kłopot, bo wystaje z błota tylko główka, jak główka dinozaura, a wielki tułów ukryty. A czy z seksem inaczej? O seksie mało komu łatwo mówić, ale o zawiści jeszcze trudniej. O tym piekielnie trudno nawet ze samym sobą. Zawiść – najbardziej zakłamanym ludzki kontynent. U nas zawiść ma nie tylko wspaniałą pożywkę w chronicznie od wieku niezrealizowanych ambicjach. To również, niestety na ogół słuszne przekonanie, że jak ktoś doszedł do pieniędzy, to w sposób śmierdzący.

Jesień osuwa się w zimę, jakby się błoto osuwało. Depresyjnie. Strasznie dużo rozwodów. Ludzie żyją ze sobą gorzej niż to się zdaje. Fasady jako takie, a za nimi pary spięte pazurami, nie odcepisz. To są te trwałe małżeństwa. A inne, wiadomo... Do tego dzieci robią, a sami nie są dorośli. Wstrząsające odkrycie, dzieci mają dzieci. Myślałem, że tak to się paskudzi tylko u nas, bo nas los doświadczył, a historia zgwałciła. Pojeździłem po świecie, wszędzie strach, płacz i zgrzytanie zębami. Tylko ładniej pachnie.

Co to będzie w naszej ojczyźnie? – pytam rodaków. Jeszcze niedawno mówili – będzie dobrze albo – będzie źle. Teraz kręć włosa, paski, chusteczki, palce. Nie wiedzą, co rzec. Konsternacja. Jesteśmy diabelnie sobą skonsternowani.

Tenis ratuje mnie przed zaleźstwem. Gram często z pewnym jasnovidzem. Pod prysznicami czasem się ofiaruje – chcesz, przepowiem ci przyszłość – i łypie okiem. Zasłaniam się – nie! ani się waż. – Skoro nic a nic nie wierzę w te przesady, to czemu tak się boję?

List! Na początku było słowo, czyli list. Ale ja piszę do kraju oficjalne i prywatne listy. Odpowiedź jest rzadko, a jeżeli to po czasie. Nie ma państwa bez Instytucji, nie ma Instytucji bez pisania i odpisywania na listy. Jeżeli to nie działa, to znaczy, że umierają Instytucje, czyli państwo umiera. Piszę listy do kraju, jak zapuszcza się sondę w trzustkę czy wątrobę, martwa czy żywa? Ledwie żywa.

W listopadowej *Kulturze* kilka plotów od mojego jest tekst Piotra Skórzyńskiego. I nagle strach, może ja też tak majaczą? W końcu on wydziela podobny gatunek jadu. Więc obawa, że gdyby ktoś za mnie napisał mój tekst, to też bym się oburzył. Nie zawsze udaje się ostatnio *Kulturze* oddzielić teksty bezkompro-

misowe od nawiedzonych, pisanych niekompetentnym gniewem i frustracją. W tekście S. wszystko jest mniej więcej bliskie prawdy, tylko niemal zawsze o jeden most za daleko. Jak wiadomo, to wystarczy do całkowitej klęski. Ale są też nonsensy ewidentne, np. słowa „jak można nazwać intelektualistą kogoś, kto niegdyś uwierzył w majaczenia Marksa i Lenina?” Właśnie zdolność do wiary w majaczenia, czy nawet samodzielne uprawianie majaczeń, potem często mocowanie się ze złudą, odkrywanie nowych czystych źródeł, lub nowe pomyłki a czasem i konformizmy – to wszystko jest przypisane kondycji intelektualisty.

Kariera KPNu mnie nie przeraża. Nawet to, że Moczulski łypie okiem w kierunku bulawy marszałkowskiej. Skoro Spychalski mógł być ministrem obrony i nie przegraliśmy od pół wieku żadnej wojny, to Moczulski nam nie zaszkodzi. Ta armia miała tylko jedną wielką bitwę, 13 grudnia. Zdobyli skrzyżowania naszych ulic, potem ustawili tam piczki i grzali dlonie jak kurwy rzymskie (kto te kurwy wymyślił?)

Znajoma moja, bardzo niezwykła niewiasta, cudzoziemka, ale ze znajomością języka polskiego i w Polsce będąca, pisze piękne do mnie listy, w nich nawet błędy są piękne. Bo ona obserwuje Polskę z czułą trwogą. Np. pisze: „W radiu belkocą o pierwszeństwach. Nic głupszego. Myślę, że system pierwszeństw prowadzi do katastrofy, dziecko rośnie całe stopniowo, nie tylko usta, ręce, jeżeli jest inaczej staje się potworem”. Bardzo słusznie. Nam urosły zupełnie monstrualne dlonie i ambicje. W kilka tygodni po tym liście wielki targ o miejsca w nowym Sejmie, kto gdzie usiądzie. Byli tacy co zajęli nie swoje, ale już się przenieść nie chcieli. Ta wielka piaskownica ma na razie tylko swoje zagłębienie, piasku jeszcze nie przywieziono, a proszę popatrzeć, już pierwsi chłopcy ciągną się za włosy.

Jakie niezwykle bogactwa niemożności obnaża dzisiejsza sytuacja. Kraj cierpi na jakieś gigantyczne zaparcie. Mogą tylko prywatni przedsiębiorcy, ale lepiej nie patrzeć jak mogą. Są wśród nich ludzie uczciwi, ale przygniatająca większość zrobiła pieniądze nielegalnie, lub siedząc okrakiem na granicy legalności. I nawet nie wstyd dzisiaj mówić o fundamentach fortuny – handelek walutą, handel samochodami.

Wrzód, który zrobił się niedawno premierowi Bieleckiemu na żołądku, jest wrzodem, który nie oszczędza żadnego organu i nikogo. I tych z bezradnej góry i tych z bezradnych dołów. I to właśnie u nas, jak w niezwykłym laboratorium, obserwować

można jak niemożność i bezradność w szumie reakcji chemicznej zamieniają się w agresję.

W *Konfrontacjach* jedno z licznych dzisiaj niezwykłych spotkań, sąsiadują ze sobą tekstami ks. Henryk Jankowski oraz Mieczysław Rakowski. Ten ostatni doznaje niezwykłych uniesień, bo teraz tak wszystko się paskudzi, społeczeństwo i władza. Ma taką z tego satysfakcję, że chętnie przyzna, że – Oni też... „Co się ty czy elity władzy, to jeśli wolno mi nie wystawiać zbyt pochlebnego świadectwa politykom mojej formacji, to mogę również powiedzieć, że na takie samo świadectwo zaczynają pracować ci, którzy obecnie rządzą Polską”. A więc – ja jeszcze trochę poczekam i wtedy jednak uświnieni będziemy nie do odróżnienia.

A z drugiej strony ciekawe, czy Rakowski ma nadal takie dobre samopoczucie? Obawiam się, że ma. I nie chce rozumieć, co zapewne dobrze rozumie jego sprzątaczką, że wszyscy toniemy w błocie, które przez lat pięćdziesiąt produkowały fabryki zła i absurdu, gdzie M.R. od młodych lat był nadzorcą na coraz wyższych szczeblach, by w końcu jako inteligentny towarzysz zostać kierownikiem wentyla o nazwie *Polityka*. Teraz powinienem zmienić ton na poważny, bo ja podobnie jak Jerzy Giedroyc (patrz wywiad z nim w *Polityce*) uważam to pismo za bardzo dobre. I wielce mi niewyraźnie, że właśnie *Polityka* po odzyskaniu przez nas wolności jest pismem, przy którym *Tygodnik Solidarność* wydaje się biednym kuzynem z prowincji.

O tak, dostarczyliśmy i historia dostarczyła ekskomunistom wiele goryczy kompletnej klapy ich sprawy, ale i niespodziewanie dużo satysfakcji. Nie jest to problem, który mi spędza sen z powiek. To tylko mały przypis do bardzo osobliwego rozdziału, który się dopiero rozpoczął i doprawdy nie starczy najbujniejszej wyobraźni, by dopisać część dalszą.

A co do księdza Jankowskiego, wydawało się, że gdy już nie jego ucho jest konchą, gdzie spływają grzechy Przewodniczącego, utracił znaczenie. A tu proszę, na jego prośbę zwalniają prezesa Narodowego Banku Polskiego z więzienia. Ksiądz oświadczył, że zna prezesa osobiście i zobowiązał się czuwać „nad jego prostolinijnością i zasadami moralnymi”.

M. znana pisarka, jest kobietą wielkiej delikatności i wrażliwości, jest kobiecą kobietą, a ta kobiecość tworzy z literaturą pieszczotliwe sprzężenie zwrotne. Arcydziela z tego nie powsta-

ją, ale kto powiedział, że twórca musi tworzyć arcydzieła. Zmie-
rzam do tego, że dawno nie widziałem osoby tak wstrząśniętej
i przerażonej własną ojczyzną. Jest to właściwie rodzaj szoku, jak
po wypadku. A przecież zawodowo radzi sobie po prostu znako-
micie, czego zresztą dzisiaj w Polsce się nie wybacza. Co robią
ci, którzy sobie nie radzą?

Jak te 10, 15 ostatnich lat szybko minęło, jak pociąg pośpie-
szny, podskakując okrutnie i okrutnie hałasując na naszych
nędznych podkładach. Nawet pijani i chorzy na głowę nie prze-
widzieli takiego obrotu rzeczy. Ludzie tacy jak ja żyli jakby po
drugiej stronie ściany, bez nadziei czy nawet chęci przechodzenia
tam. A teraz tam jesteśmy. No i co? Jakoś dziwnie nijako.
I gdzieś to przypomina powroty do miejsc, skąd wyjechało się
będąc dzieckiem, a wraca się dorosłym. Wszystko teraz takie
małe i bez smaku, tylko czasami jakiś zapach nagle przeniknie
wspomnienie do trzewi.

Bardzo osobliwe, jak się człowiek starzeje. Dla młodego jest
to jakiś tajemniczy i obrzydliwy proces. A dzieje się to dosyć
higienicznie i niepostrzeżenie. Człek jak gigantyczna cebula traci
kolejne warstwy, ale na tyle powoli, że nie da się żadnej łuski
zobaczyć. I nosi się obraz siebie, który jest obrazem młodości,
i chociaż ten obraz nijak nie pasuje do obrazu zmienionego, to
jednak one nadszodziejanie szczęśliwie ze sobą współzyskują. Jes-
teśmy więc złożeni ze stanu rzeczy i stanu wyobrażonego. Czasa-
mi jak przez szczelinę daje się zobaczyć nagle tylko stan realny,
i to budzi grozę, na szczęście krótką, bo imaginacja biegnie na
pomoc.

Nie ośmieliłbym się zanurzać w tym podejrzanym płynie
filozoficznych rozważań, gdybym nie czuł, że coś podobnego jest
z widzeniem własnego kraju. I oto na skutek potężnego wstrząsu
ujrzeliśmy obraz realny, a z powodu niebываłych zmian i ciś-
nień, obraz wymaginowany, czy wyidealizowany nie może sobie
znaleźć miejsca i chęci współzyscia z realnym.

Mówiąc prosto, krótko i młodzieżowo — Polska dzisiaj,
czyli goli w pokrzywach.

Kultura nr 532/533, styczeń/luty 1992

LUTY 1992

Znowu Okęcie i niepewność, jak powita przybyszy lotniczy
port, który nawet w biednych krajach bywa elegancki. Nasze
Okęcie przypomina zgubioną i zabloconą chusteczkę do nosa.
Ale tuż obok już wznosi się niesłychanie szybko nowoczesny
budynek. I właściwie bardzo jest przyjemnie, bo od razu się czu-
je, że nasza groźna granica, która kiedyś nawet grube serca zmu-
szała do szybkiego bicia, teraz zupełnie zmiękła, już prawie jej
nie ma.

Za to okropnie, kiedy dochodzi się do miejsca, gdzie jest
śluz między stroną powietrzną a stroną ogólnodostępną. Był ta-
ki czas, gdy przegnano stamtąd gangsterów, a teraz znowu stoi
zbity tłum osobników, nabite gęby, jakby żuli dolary, na ogół
wąsaci, wbijają ślepią i syczą — taksy. Uformowali solidny szpa-
ler, którym każdy przybysz musi przejść. Za tą ścianą rodziny
podróżnych wspinają się na palce. Tak wygląda powitalna ścież-
ka już wolnej Polski. Poczulem się jakby mnie wszy oblażyły, ale
w sposób już zupełnie wolny i demokratyczny.

Miasto ciemne, za to parter się żarzy. O tak, parter tego
miasta już inny. Jeżeli mieliśmy rewolucję i rewolucyjne zmiany,
to bez wątplenia dotyczą one parteru. Sklepy zmienione nie do
poznania, sporo towaru, nawet ekspedientki i ekspedientki zupeł-
nie odmienieni; jak się trafi na kogoś niemilego lub obojętnego
wobec kupujących to wiadomo, że to osobnik na wymarcu,
dożywający swych ostatnich chwil na brzegu odchodzącej epoki.

Ale kto wie, czy nie bardziej poruszył mnie widok kilku toalet z mydłem i ręcznikiem. To prawda, że doświadczyłem kilku toalet, nawet w kluczowych urzędach, gdzie zamiast papieru toaletowego wałały się strzępki gazet. W pewnej jednak kawiarni byłem świadkiem historycznej sceny. Bardzo młoda niewiasta poczęła robić szatniarzowi awanturę, że w toalecie nie ma mydła i ręcznika, zażądała gwałtownie telefonu właściciela lokalu. Szatniarz wił się jak piskorz, ale dziewczyna nie ustępowała, tak walczą tylko ludzie świadomi swoich praw i znający cel walki. Poczulem, jak mi dreszcz wzruszenia poszedł po plecach, bo byłem pewien, że jestem świadkiem niezwykłego zdarzenia. By wyrazić swoje uczucia na głos wzniosłem palec i rzekłem: „Oto jesteśmy świadkami początku podróży Polski do Europy”. Szatniarz zdawał się nie wiedzieć, o co mi chodzi, ale uderzony powagą tych słów dał niewiedząc numer telefonu, ta zaś nieco sploszyła się, bo sama nie wiedziała, jak wielką rzecz czyni.

W tym naszym nowym świecie uderza jakaś nieokreślona nieobecność, a pierwsze jej dotknięcie właśnie przy wyjściu z lotniska. Po dłuższym pobycie ona się określa — brakuje w państwie państwa.

Znajomi kupili kamienicę, jak kupuje się kurę, co ma znośić złote jajka. Na razie ten dom sam zjada złoto, bo wymaga remontu. Potencjalni milionerzy popadli więc w taką biedę, że nie płacą za czynsz. Ale nie przejmują się, są w towarzystwie milionów obywateli RP bojkotujących czynsze z konieczności lub dla idei. I co? Nic.

Niestety nie jest to znakiem wspaniałomyślności państwa, to raczej znak jego nieobecności. Wprowadzenie od nowego roku nowego podatku dochodowego już obnażyło bezradność w jego wyegzekwowaniu (na marginesie — najzacniejsi obywatele, jakich znam, już szykują się by go nie płacić). Kiedyś mimo białaganu o istnieniu państwa przypominali mundurowi milicjanci, a kiedy ich brakowało, było poczucie, że każdy cywilny osobnik też jest, kto wie kim? Był jakiś urząd, którego się bano, były osoby ważne i nieważne, sprawy nie do załatwienia i do załatwienia, chore reguły gry, ale reguły. Teraz milicji, przepraszam policji, nie widać, to bardzo przyjemne, ale zarazem jakiś niepokój. Reguły gry niejasne, nikt nie jest ważny, chociaż ważne są pieniądze. Nie zmieniło się tylko łapownictwo. Ono już nawet kwitnie na organie, który jest powołany, by je zwalczać. Znajoma, która jest prawnikiem i pracuje dla zachodniego przedsiębiorcy,

zgłosiła na warszawskim komisariacie kradzież w firmie. Komendant wysłuchał, a potem uskarżać się począł na swoje niskie zarobki i nawet w desperacji pokazał listę płac. Po tym spektaklu moja znajoma nie miała wątpliwości. Zaproponowała dodatkowe wynagrodzenie, a komendant sam wyznaczył 12 % od odzyskanego mienia. Oświadczył, że to nie tylko dla niego oświście, ale również dla wzmocnienia placówki. Jako że scena rozegrała się między oficerem policji a prawnikiem, to trudno nie widzieć, że Europa odpywa, a Ameryka Łacińska puka do drzwi.

Smutek odchodzących liberałów — tort dopiero napoczęty, a już go zabrano dla innych. A ci nowi są smutni smutkiem Premiera, chociaż kilku świeżym ministrom trzęsą się ręce z radośnego podniecenia: a teraz my, nareszcie my.

Ci, co przyszli, oskarżają głośno odchodzących o te wszystkie niekompetencje, o które rząd Bieleckiego oskarżał (ale szepsem) rząd premiera Mazowieckiego. Mamy oto początek reakcji łańcuchowej.

W ocenie stanu rzeczy ścierają się dwie zupełnie sprzeczne opinie — obie można usłyszeć od osób godnych uwagi i szacunku: rząd Mazowieckiego popełnił gigantyczne i karygodne błędy, a rząd Bieleckiego zsunął się w ten błąd, a może go nawet pogłębił. Drugi pogląd głosi, że nawet jeżeli błędy były, to małe i właściwie nieuchronne. Dokonujemy niezwykłego eksperymentu, mimo nieuniknionych kosztów i kłopotów, ale droga jest jedyna i słuszna.

Ci, co nie są wybitni w ekonomicznej wiedzy, muszą komuś uwierzyć, bo inaczej trudno nie poczuć, że jedziemy coraz szybciej w gęstniejącej mgłę. A zdrowy rozsądek mówi, że najrozsądniej byłoby nie wierzyć nikomu. Ludzie u nas dzisiaj strasznie chcą komuś wierzyć, ale brakuje nawet materiału na samooszustwo. Na pomoc biegają fakty, np. w postaci gigantycznej dziury w budżecie. Przestała ona być jedną z czarnych dziur kosmicznych, jakby ktoś nagle zapalił światło i oświadczył — proszę bardzo, jesteście właśnie w środku. Wszędzie zaczyna brakować pieniędzy na wszystko. No, może nie wszędzie. Bo ciągle widać nieprawdopodobne marnotrawstwo i niezwykle lekką ręką do pieniędzy i zupełny brak zrozumienia, że różne kieszenie są jednak w tej samej marynarce. I nigdy jeszcze w urzędach państwowych nie wydawano tak lekko pieniędzy na podróże służbowe potrzebne i niepotrzebne, na przyjęcia isticie rzymskie oraz inne niekonieczne przyjemności, jak w tym roku Pańskim 1991. I to

my, nasi – a nie oni. Traktowanie państwowych pieniędzy jako cudzych i lekkie ich wydawanie siedzi w polskich głowach jak wbity tam metalowy ćwiek. Bez młota tego nie usuniesz. I jak się zdaje, ten młot zaczyna bić. Jeżeli nie rozbije przy okazji wszystkiego wokół, to ta okrutna terapia będzie skuteczna.

Formowanie nowego rządu, nazywane uparcie formułowaniem, przypominało niezwykle trudny poród, a patrząc na tę mękę sam zacząłem marzyć o cesarskim cięciu. Ale nasz Cesarz, chociaż machał nożem, nie ciachnął. Teraz i tak jest przekonany, że to wszystko jego zasługa: „Rząd Olszewskiego nie powstałby, gdybym w ostatnim momencie straszliwie mu nie pomógł”.

Moja sąsiadka, niewiasta prosta, zaradna, ale uczciwa, podczas długich tygodni formowania rządu poczuła jakiś wielki niepokój. Kiedy w końcu stało się, sąsiadka wybuchnęła płaczem, ale były to łzy szczęścia i wielkiej ulgi.

– Czego ryczysz – zapytał jej mąż, miły alkoholik.

– Bo tak długo tego rządu nie można było wybrać, że pomyślałam, że już się nigdy nie da. A jak tu żyć bez rządu.

Mamy więc w końcu rząd i premiera, który co prawda przemieszcza się z grecką tragedią w ramionach, ale ma świetną biografię i jest raczej przyjemny. Niestety garnitur ministrów, który nosi, leży dość koślawo, i wcale nie jest pewne, że się uleży i naprostuje, wisząc na wysokim wieszaku władzy. Premier jest wielkim pesymistą, a właściwie katastrofistą, co wiem jeszcze z dawnych rozmów, więc bliski mojemu odczuwaniu świata. Ponad pół roku temu twierdził, że nasza sytuacja to pełna katastrofa. Wtedy można się było łudzić, że jest nie najlepiej poinformowany. A co teraz znaczą jego słowa, że „gdyby wiedział, jaki jest stan państwa, nie zgodziłby się przyjąć funkcji premiera”? Nic dziwnego, że kiedy zaczynają się strajki czy głośne narzekania, nowy rząd wychodzi na balkon i mówi – jak nie będziecie grzeczni, to my skaczemy.

Rząd Bieleckiego obejmował władzę ze słowami: „Nasi poprzednicy zupełnie nie rozmawiali ze społeczeństwem, trzeba cierpliwie wyjaśniać, tłumaczyć”. A potem sami wcale nie rozmawiali, nic nie wyjaśniali. Wygląda, że jak się tam wchodzi, zostaje uszkodzony ważny nerw i zdolność odbioru pewnych bodźców płynących z dolnych części społecznego organizmu.

I tak lud nadal niewiele pojmuje z tego co się właściwie

dzieje. W sklepie słyszę, jak ekspedientka rozmawia z klientką: – Byli, są i będą.

– Byli, są i będą – potwierdza klientka i obie kiwają głowami, pławiąc się w atmosferze głębokiego wzajemnego zrozumienia.

Kto, co? – zapyta niewtajemniczony. – Te krwiopijce, ci Oni, i to Ono, złe, co nas ludzi prostych zawsze oszuka.

„Okazaliśmy się za słabi w te klocki” – przyznaje w rozmowie ze mną ktoś z góry. Ale trzeba dopowiedzieć usprawiedliwienie, że to bardzo trudne klocki. Wymagają wyobraźni dziecka, umiejętności bardzo praktycznych i szerokich horyzontów, a te dwie ostatnie cechy niezmiernie rzadko spotykają się w jednym człowieku. Bo to nie tylko kierowanie, to budowa państwa od podstaw, lub na zatrutych fundamentach.

Problem, że nowe fatalnie się łączy ze starym. Nowi szefowie ze starym personelem tworzą tak zdumiewające mutacje, że żaden genetyk tego by nie wymyślił. Prawdziwa natomiast katastrofa powstanie przy zetknięciu się elementów gospodarki rynkowej z tym, co pozostało z socjalistycznego systemu prawnego, a zostało bardzo wiele. Tu rodzą się niezliczone zaparcia i owa szara strefa i niesłychane afery, które powinno się notować w Księdze Guinnessa.

A gdziekolwiek się ruszyć, słyhać szeptu: „Nie ma ludzi, nie ma kim robić”.

Kłopoty na szczycie znajdują swój odpowiednik niżej. Wszędzie ogromnie trudno dogadać się i kogoś wybrać na kierownicze stanowisko. Gdziekolwiek się wejdzie, trafia się na jakiś impas. Wchodzę do Instytutu Badań Literackich, a tam właśnie nie daje się wyłonić zarządu. Na ogół brakuje kandydata na funkcję kierowniczą, a jeżeli już się znajdzie, to budzi kontrowersje. Skoro góra i dół cierpią na to samo, to znak, że chora jest materia.

„Coś stało się między ludźmi i dzieli ich”, usłyszałem od kilku osób. I rzeczywiście jest jakaś czarna nić, która „wszędzie się przedzie”, ale czy ona norwidowska?

10-ta rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Zalew programów martyrologiczno-wspomnieniowych, nawet pokazywane są cele i prycze, a oprowadzają po nich byli więźniowie oraz internowani. Czują skurcz zażenowania. W telewizji transmisja z odsłonięcia krzyża-pomnika przy kopalni Wujek. Krzyże sta-

wiane w roku 80-tym urodziły ten krzyż. Oby to był już koniec epidemii krzyży. A przecież jeszcze dzisiaj jestem w stanie wymacać na szyi obręcz gniewu i poruszenia, gdy przyszła wiadomość o tej śmierci. Teraz jednak nie czuję wzruszenia, gdy płyną przemówienia i patriotyczne wiersze. Brakuje mi na tej uroczystości Jaruzelskiego i oczywiście Urbana, jak również przyjmującego świętą komunię plutonu egzekucyjnego, bo jak inaczej nazwać tych, co strzelali. W tle tej uroczystości jest śledztwo poplątane niemilosierdzie, wynika z niego, że wielu z plutonu wyemigrowało, prawie jak moja licealna klasa. I jak teraz rozplątać, kto strzelał w głowę, kto w nogi, kto w powietrze, czy musiał, bał się... Tylko jedno słowo przychodzi mi do głowy: rozmieniliśmy na drobne Waszą śmierć, górnicy.

Wracają do mnie strzępki stanu wojennego jak wykopaliska archeologiczne wyciągnięte z głębin zapomnienia siłą przyciągania tej rocznicy. Ilustracje do książki schowane w czeluściach albumu malarstwa, maszynopis podziemnego pisma w szparze podłogi, studiuję je z lupą – to chyba fragment autobiografii Kuronia... Takie to wszystko mizerne teraz, a jednak wzrusza.

Może dlatego dałem się namówić, by pójść na spotkanie w Muzeum Niepodległości w rocznicę 13 grudnia. Co to za muzeum? Ależ oczywiście, to dawne Muzeum Ruchów Rewolucyjnych czy Robotniczych. (Te nazwy miały też to do siebie, że były nie do zapamiętania). Przed pałacykiem, niegdyś Radziwiłłów, stała na postumencie głowa Lenina, i na tę głowę szykował niegdyś zamach mój znajomy M. Miał nawet już gotowy worek i tęgich synów. „A potem wrzucimy go do Wisły”, rozmarzał się. Bałem się, że nie docenia ciężaru tej głowy i że wszystko skończy się fatalnie. Był wtedy w tych planach, jednak, element heroizmu. Jak wygląda ten heroizm teraz?

Głowę Lenina zdmuchnął wiatr historii, jak dziecko zdejmując pył z dmuchawca, a najbardziej szalone marzenia antykomunistów stały się rzeczywistością. Muzeum Ruchów... zmienia się w Muzeum Niepodległości, czyli w Muzeum Ruchów Antykomunistycznych. Na pobliskim placu, już znowu Bankowym, moje oczy odruchowo szukają pomnika Dzierżyńskiego. Jest tylko kikut po nim. Naprzeciw pałacu projektu Coraziego stoi wieżowiec, bardzo zresztą udany, z ciekawym nawiązaniem do bryły pałacu. To dawny słynny „złoty wieżowiec”, teraz błękitny, chyba najdłużej budowany dom w Europie, około trzydziestu lat. Wykończyli go w końcu Jugosłowianie, zanim sami zaczęli się

wykańczać. Są nowe osłony na przystankach, szykowne, lekki zapach Europy, przyjemnie.

W Muzeum Niepodległości rocznicowe spotkanie literackie poświęcone stanowi wojennemu. Najpierw zdziwienie, bo wydaje się, że jest godna frekwencja, potem przy lustracji otrzeźwienie: to z reguły osoby, które w wiek emerytalny wchodziły 10 lat temu.

Co tak drażni nas w nas z tamtego czasu? Nasze gesty były za duże, za obszerne szaty romantyczne, nasz gniew zbyt barokowy. Dzisiaj te figury straciły całe powietrze i wiszą żałośnie sflaczałe. Zdumiewa w walczącej sztuce z tamtego czasu zupełny brak humoru, chociaż przecież wszystko aż trzeszczało od paradoksów i groteski. Ale prawdziwą wielką gębą tamtym czasom dopisały dwa ostatnie lata. Nie przypadkiem jedyny sensowny film, jaki może o tamtym czasie powstać, to komedia, może być gorzka, cierpka, groźna, z trupami nawet, ale to musi być komedia.

Zamroczony wspomnieniami poszedłem jeszcze dalej i znalazłem się w sklepie z antykami. Wiele staroci, ale brakuje kupujących, ceny na ogół wyższe niż na Zachodzie. Niezwykle dużo ikon. Wkrótce dowiaduję się, skąd ta obfitość. Widzę dwóch osobników o tym typie uęźbienia, które zdarza się tylko na stepach dawnego ZSRR. Nie wchodzi, ale wkradają się i szukają kierownika Desy. Gdy ten się pojawia, elegancki i pachnący, jeden z przybyszy, wyróżniający się obandażowaną dłonią, łypiąc wokół podejrzliwie okiem wyjmując z kieszeni coś, co też jest obandażowane, i rozwijając bandaż wysupłuje małą ikonę. Kierownik ogląda i mówi, że nie kupi, bo za bardzo zniszczona; „jak przyniosą (w domyśle ukradną i przemycą) w lepszym stanie, to kupi”.

Wszędzie na swoich ścieżkach spotykałem wielbicieli *Nie*, pisma Urbana, które ma już milionowy układ. (Sukcesy różnych inicjatyw postkomunistycznych są uderzające i skłaniają do lekkiej melancholii). Był przyglupi chłopak w poczekalni kina próbujący przekonać barmana, że jest to świetne pismo, ale barman nawet ścierką, którą pieści kontuar, wyrażał swoje obrzydzenie do Urbana. Młodzian niepomny ostatniego dziesięciolecia, za to sfrustrowany dniem dzisiejszym, rozwodził się nad atrakcjami pisma, gdzie wszystkim tak odważnie się przysala. Na drugim biegunie wielbicieli *Nie* znalazł się S., artysta wybitny, z sukcesem, który konsumował korzystając z ułatwień dawnego ustroju.

Dzisiaj nie dostaje zamówień, rynek sztuki skurczył się niebywale, S. traci grunt pod nogami i czuje się niepotrzebny. Pije piwo, pojękuje i zagryza Urbanem.

Upadek intelektualistów, zsuwają się jak po lodzie gdzieś w dół w najdziwniejszych pozach. Dziwne, bo nikt nawet nie krzyczy. Najgłośniejsze słowa, jakie słyszałem w tej sprawie, brzmiały właśnie: „jakie to dziwne, że nawet nikt nie krzyczy”.

Patrzę na znanych pisarzy, malarzy, muzyków, wszyscy skurczyli się. Nie więksi od nich nasi politycy, ci nie zdążyli nawet urosnąć, a już maleją. Ale czy właściciele pieniędzy są duzi? Nie budzą szacunku, za to sporo zawiści, a żywą nienawiść u intelektualistów, którzy stają się ich klientelą. Nienawiść również za własne upokorzenia, bo jak tu nie spróbować szczęścia i nie chodzić po prośbie, by ratować lub założyć pismo, opublikować książkę, sfinansować koncert. Roztaczają więc wizje wspólnych efektywnych działań i uwodzą uśmiechem, a w myślach powtarzają: „ty wieprzku niemyty, chamie zapluty, gnido bezzębna, żeby cię pokreśliło. Może twoje wnuki będą miały tytuły hrabiowskie, ale ty nawet z tą forsą nigdy z obory nie wyjdiesz”. Jest w tym trochę prawdy, ale często więcej własnego próżnego zadufania.

Zresztą i ja pewnie padam ofiarą swej słabości i nie dostrzegam, że to przede wszystkim mój, nasz świat zmałał, nasz mały niezwykle snobistyczny światek, który miał znamiona kontynentu, a teraz jest rozsypaną garstką niepewnych siebie wysepek. Niektóre są już niemal bezładne. Oto np. te pisma intelektualne, które ocalały, są ledwie żywe, a co uderzające, nie spotkałem dwóch ludzi, którzy by czytali to samo pismo. Jakby te kilkanaście osób, które spotkałem, uparło się by obdzielić pojedynczo wszystko co się ukazuje i warte jest czytania. Klientela więc schudła i została zupełnie rozbita. I nie ma już kanałów, którymi może cyrkulować myśl.

Okładki książek zabłyły jak niegustowne meble na wysoki połysk, ale niewiele polskich nazwisk. Wytłumaczył mi to pewien wydawca. Już nawet hurtownicy zamawiający książki wymagają, by nie było nazwisk na „ski” i „cki”, bo to nie idzie. A jednak wybór na półkach księgarni wydaje się większy niż był kiedykolwiek i już nie trzeba walczyć o książkę, walczyć trzeba o kupujących. Kupilem to i owo z różnych dziedzin i nieszczęście, wzrok ześlizgiwał się już z pierwszej strony. Współczesna historia, świadectwa, współczesna literatura, wszystko to straciło dla mych

oczu przyczepność. Dopiero gdy otworzyłem „Wojnę Peloponeską” Tukidydesa, odzyskałem równowagę.

Niekompetencja i frakcyjność życia politycznego były chorobą ateńskiej demokracji, pramatki naszej. Uśmiech miesza się z grymasem bólu na widok tych samych odwiecznych problemów.

Kraj bajecznych możliwości. Jakie fortuny powstały z niczego, już wiadomo. A jakie kariery polityczne! Mój przyjaciel z lat bardzo dawnych, z którym łączy mnie do dziś ciepła nić, jaka potrafi się tylko wysnuć ze wspólnego dzieciństwa, nigdy nie zajmował się polityką, ani ekonomią. Przepraszam, kiedyś bardzo dawno wydrukowaliśmy na dziecinnej drukarni antykomunistyczną ulotkę w imponującej ilości. Teraz on nagle stał się jednym z głównych doradców pewnej ważnej partii. Po prostu nagle przyszedł mu do głowy taki pomysł. Można więc tak sobie iść ulicą, nagle skrócić – i stać się współświadkiem i współautorem montowania trzeciego rządu wolnej Rzeczypospolitej. Doprawdy kraj zawrotnych karier i bajecznych możliwości.

Kościół zdaje się u sporej części społeczeństwa budzić duże emocje. Widać, że czasami niektórzy wykorzystują puste miejsca po niechęci do komuny i wstawiają tam, strach powiedzieć – Kościół nasz. Wynika z tego starcze dogadywanie pleniące się nawet u młodych. Kiedy mówi się, że strach, bo skracany jest program szkolny i nie ma na pensje dla nauczycieli – słyhać a na katechetów i lekcje religii są pieniądze. Gdy powiesz, że ceny mieszkań w Warszawie zawrotne, dowiesz się, że na budowę kościołów są środki.

Ale kościelne nietakty popelnia czasami nie Kościół. Oto informacja, że Premier został zaproszony przez Prezydenta na robocze śniadanie na godzinę 8 rano do Belwederu. W zaproszeniu odczytanym również w telewizji były słowa „Jeżeli Pan, Panie Premierze, życzy sobie uczestniczyć w porannej Mszy Świętej, to informuje, że rozpoczyna się ona o 7.30”.

W średniowieczu na wszelki wypadek sprawdzano męskość przyszytych papieży. Kto by się spodziewał, że Premier wolnej Polski też przejdzie pewien test.

W rocznicę grudnia włączam radio. Jest oczywiście generał Jaruzelski, ale bez munduru, nie wprowadza już stanu wojennego, ale wprowadza nastrój nostalgiczny. Na innej fali płynie głos

Jerzego Urbana, płynie kraulem, a obok pomyka ząbką Adam Michnik. Płyną w kierunku konkluzji, czy wprowadzenie stanu wojennego było koniecznością historyczną, czy historycznym błędem. Urban wyraźnie góruje w tej rozmowie, jego argumenty wazą, jest spokojny i pewny swego, on by swojej dawnej legitymacji PZPR nie wystawił na aukcję. Michnik kręci się nerwowo, skłonny do kompromisów. I ten ton wielkiej wzajemnej konfidencji.

Myślę sobie, po co, po co u licha to wszystko, nie żeby od razu obcinać uszy, ale przynajmniej nie przytulać się publicznie, jest pewne minimum. Potem okazało się, że to był tylko kawałek prześcieradła, a telewizyjna kamera perfidnej ckipy odsłoniła resztę, i było widać jak po audycji redaktor naczelny *Gazety Wyborczej* próbuje wsiąść do samochodu redaktora naczelnego *Nie*. Prasa doniosła, że mieli jechać na imieniny do Aleksandra Kwaśniewskiego (dzisiaj to po prostu Olek), znanego dygnitarza PZPRowskiemu, a teraz Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ja się tylko zdziwiłem, i cenię sobie, tę dziecięcą umiejętność, chociaż w tym przypadku to chyba jest naiwność. Ale jako że pokazano tę scenę w telewizji dwa razy, byli tacy co mieli inne odczucia. Nasz sąsiad, ten od sąsiadki co się popłakała: „No popatrz Pan, co się porobiło, autorytety same skaczą z tarpejskiej skały”.

Ale oto Y., który był jednym ze zwykłych zjadaczy chleba podziemia, wpadł w wielki gniew. Ujrzałem człowieka, któremu jak głodnemu psu kawałek mięsa, zabrano poczucie godności, zdobyte w stanie wojennym. Największa wściekłość nie tych, co byli wtedy oficerami podziemia, oni mają dzisiaj zwykle wiele na pociechę, ale właśnie szeregowców naszej solidarnościowej armii, która poszła w rozsypkę, ale się nie poddała. Dzisiaj czują się oszukani.

I jakby mało było nieszczęść, Zbyszek Bujak wbija gwóźdź do trumny. Przekazuje swoją legitymację „Solidarności” na aukcję w hotelu Europejskim, na aukcję owszem dla biednych dzieci, ale organizowaną przez generałową Kiszczakową. Legitymacja „Solidarności” Bujaka spoczęła obok munduru generała Kiszczaka, pudełek po cygarach podarowanych generałowi przez Fidela Castro, sukni żony generała Jaruzelskiego, szlafroka Ireneusza Sekuły, oraz grafik, podarowanych na aukcję przez Mieczysława Rakowskiego.

Na licytację przyszło tylko kilka osób, a legitymacja Bujaka została sprzedana za 60 tys. złotych (zupa w restauracji). Mundur gen. Kiszczaka kupiono za 7 mln złotych.

Dziennikarka Teresa Bochwic skomentowała te zdarzenia słowami: „Kazał Pan: Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, ale dlaczego w g...?” Jeśli dobrze rozumiem tę frazę, to dziennikarka posunęła się stanowczo za daleko.

Najpierw była fascynacja, spotkania ofiar i oprawców przy okrągłym stole, potem niezwykle partnerstwo, bezbolesne przemawianie władzy, potem niesienie przez chwilę tej władzy jak wody ze strumienia w nieszczęśliwych dłoniach, truchtem ramię w ramię. Tu coś zakrzepło, a spoiwem było poczucie, że historia bierze odlew z tego czasu. Potem roślina wzajemnego zrozumienia rosła, z małej stała się duża i oplotła dawnych śmiertelnych wrogów przyjaznym ramieniem. Tak oto przeszłość zlewa się w jezioro, gdzie zło, dobro, odwaga i tchórzostwo stają się jednym ściekiem.

Moje pokolenie pogrąża się w wiek, gdzie biegnie szeroka granica między młodośrodkością a średniostarością. To granica kilku lat i jeśli przez ten czas nie widywało się ludzi, przeżywa się szok, bo wydaje się, że niektóre kobiety zwiędły jak kwiaty ścięte nagłą zimą. To najbardziej publiczny i poruszający dramat, który przytłumi każdy spektakl polityczny. Mężczyźni nagle dostali po brzuszku, wcześniej one zdarzały się przy pewnej skłonności, ale u wielu były to brzuszki chwilowe, jak sublokatory. Teraz zadomowiły się na stałe, noszone już bez wstydu jako część osobistego krajobrazu. Do zmian gwałtownych należy zmiana tematu męskich rozmów. Kiedyś mówiono głównie o polityce i wyrzekano na komunizm, teraz zdecydowana większość rozmów krąży wokół pieniędzy oraz interesów. I ten wstrząsający brak czasu. W Polsce okresu socjalizmu czasu nie brakowało i właśnie z tego dobra budowano tak wiele przyjemności. Dopiero teraz ich brak ukazuje, że sami nie wiedzieliśmy, jak nam było dobrze, chociaż to dobrze było wewnątrz wielkiego zła.

Zabieganie jest chorobą w całym świecie zachodniej cywilizacji, my już biegamy nie mniej, ale problem, że u nas odbywa się to w warunkach nader niehigienicznych i doprawdy jeszcze nie wiadomo, czy to budowanie czy raczej demontaż. I ta wysoka gorączka, bo nie ma czasu, w każdej chwili wszystko może się rypnąć, a więc trzeba prędko liczyć pieniądze i w krzaki.

Uderzyło mnie, że wszyscy zakładają firmy, właściwie niemal w komplecie moi znajomi już coś założyli, aż się idiotycznie głupio czułem bez firmy. I dzieje się to w sytuacji, kiedy tylko przez

chwilę zabłysła złota żyła handlu, a teraz znowu przestaje się oplacać. Nie byłem w stanie dowiedzieć się, co te firmy właściwie robią. Z pomruków i pomrugiwań domyślałem się, że sprowadzają i przesuwiają towar. Nikt nie produkuje niczego. Jako że fabryki też prawie nie produkują, doprawdy czegoś tu nie pojmuję. Czyżby ten cały rozpalony handlem parter czerpał budulec z naszych piwnic i fundamentów? A co będzie, jeżeli wybrano stamtąd za dużo?

Spotkałem lekarza, kolegę z dawnych lat. Mieszka w małym miasteczku sto kilometrów od stolicy. On lekarz z powołania. Na prowincję wyjechał specjalnie i nie dla pieniędzy, to była misja. Pamiętam, ogromnie lubiany i ceniony w miasteczku i we wsiach okolicznych.

— Co u ciebie? — pytam, pewien, że on przynajmniej, nasz współczesny doktor Judym, nie będzie narzekać.

Podaje mi wizytówkę, to już trochę mnie zaniepokoiło, wizytówka w jego kieszeni jest obcym ciałem. Czytam, a na wizytówce jego nazwisko i reklama: „uzupełnianie najnowocześniejszymi metodami włosów na głowie”. Już nie pracuje w szpitalu i nie ukrywa, że stał się milionerem. Nawet na wsi są chłopy, co dadzą wiele, by odzyskać utracone owłosienie górne.

— Takie czasy — westchnął.

Kultura nr 534, marzec 1992

MARZEC 1992

Budzę się rano. Nie ma ciepłej wody, ale to głupstwo bo przecież nie ma też Związku Radzieckiego, nie ma u nas cenzury. Partia Zjednoczona i Robotnicza nie ma nawet swojego cmentarza, wszystko co miało być wieczne szlag trafili, nie ma NRD, nie ma milicji tylko jest policja, granice są otwarte, dziennik radiowy, który płynie ku mnie przez ścianę, mówi moimi myślami o sytuacji w świecie, jak przyjemnie, a kiedyś dusza mi wyła, gdy słuchałem.

Odeszło wszystko jak zmora, wielki oddech ulgi, jak go zatrzymać i nie zadławić się?

Z drugiej ręki czasami się dowiaduję, nigdy z pierwszej, że zmienił się ton moich tekstów, że za wiele w nich zawziętości, hysterii, pesymizmu. Też mi się tak zdaje. Ale czy ja się upieram, że jestem normalny? Podejrzewam, że w Polsce przyjdzie mi jeszcze trochę pożyć, zaś mój potomek, którego lubię bezgranicznie, tylko tam na szczęście lub niestety, chce mieszkać, więc modlę się, abym nie miał racji w moim ciemnym widzeniu, niech już moja głowa będzie chora a Polska zdrowa, poświęcę głowę dla ojczyzny (jakoś mdło i niewyraźnie, kiedy się dzisiaj mówi ojczyzna). Tak wiele właśnie teraz się kończy, tak wiele zaczyna. Kończy się romantyzm nasz i pewien model deklarowanego, a czasami wcielonego w życie patriotyzmu. Kończą się nasze cechy narodowe, budują się nowe, może już nie narodowe a ryn-

kowe... jest tyle nowych narodzin, tyle śmierci, ale nic w tym nie jest wyraźne i pewne. Czas wielkiej zmiany, zmiany głębokiej. Może próby uwyrażnienia tego są błędem i grzechem, za szybko, za brutalnie, a więc niechlujnie?

Chciałem tylko zwrócić uwagę emigracyjnym czytelnikom, że ton rozpaczy i historii może się wydać dziwny tylko tym, co są od kraju daleko. Ten ton zyskał już w kraju prawo obywatelstwa i każda gazeta codzienna tego pełna, tym głosem śpiewają barytony naszych autorytetów i soprany aspirujących do autorytetu, z lewa, z prawa i z centrum, wierzący w Boga i nie wierzący. Nie będę myszkował szukając rzeczy szczególnych, cytuję, co wpada mi w rękę w ostatnim tygodniu.

Andrzej Celiński – senator ziemi płockiej, w roku 1981 sekretarz Wałęsy, niegdyś członek KOR-u:

„Coraz częściej zastanawiam się, czy ta moja aktywność ma jakiś sens dla tego mojego kraju. Czy rzeczywiście z tej pracy i tych utarczek coś pozostaje dobrego. Mam nadzieję, że jeśli ci, co mają piasek w garściach, skutecznie zablokują moją pracę dla województwa płockiego – mam nadzieję, że potrafię publicznie powiedzieć do widzenia, ja nie o taką Polskę starałem się walczyć. Po co mi te porażki?”

Krzysztof Czabański, nie wiem czy nadal blisko Centrum i Wałęsy, ale od wczoraj szef PAP. Pisze o Polsce pod tytułem „Pijany Sejm”.

„Mały zrujnowany krain, którym usiłują zawładnąć rozmaite grupy – złodzieje, doktrynerzy, cwaniacy, obce wywiady, zagraniczne pieniądze – jest broniony, świadomie lub nie, przez ludzi uczciwych, ale tych ludzi jest mało, są rozproszeni i bezradni, tymczasem demokracja pozwala ich przeciwnikom na bezwzględne niszczenie tego co dobre.

(...) ma armię za słabą do obrony choćby własnych koszar. Ma zrujnowaną gospodarkę i takiż budżet. Ma skorumpowane urzędy, niezdolne do pilnowania interesów skarbu państwa. Ma równie że elity polityczne, które potrafią jedynie rozpamiętywać własną wielkość i przeszłość, no i obrażać się na wszystkich krytyków”.

Karol Modzelewski, jego chyba przedstawiać nie trzeba:

„Przesiedziałem w PRL osiem i pół roku. Obserwuję rozwój wydarzeń po naszym zwycięstwie i nie jestem wolny od obawy, czy kiedyś nie będę musiał uznać tych lat za stracone” (powtarza to publicznie już po raz drugi).

Można by teraz wejść na szczyt Olimpu i sypanąć w oczy gar-

ścią hiobowych skarg Premiera i Prezydenta, ale zamiast tego przytoczę głos całego ministerstwa, które z urzędu zajmuje się Sprawami Wewnętrznymi. Co oni zobaczyli w naszym Wnętrzu?

Ale najpierw uwaga paradoksalna, paradoksy nie omijają nowego MSW. Nowe władze tego resortu, nie wiem czy sprowokowały, czy tak się samo porobiło, czystkę na górze ministerstwa. Myli się ten, kto pomyślał, że usuwa się jadowe zęby przeszłości. Odchodzi nowe ekipy, które zaledwie zapuściły solidarnościowe korzonki w gabinety, gdzie jeszcze kolaczą się wspomnienia własnych przesłuchań. Dawni przesłuchujący więc zostają, a dawne ofiary i nowi szefowie odchodzą. Może to i normalna kolej rzeczy, ale jakoś dziwnie się robi w okolicy splotu słonecznego.

I jeśli wierzyć nowemu MSW, które pod nowym dowództwem wyszykowało raport „O stanie bezpieczeństwa państwa”, to wysiadły już wszystkie bezpieczniki i przepalają się teraz przewody. U sąsiada lada moment wybuchnie bunt, a wtedy zbrojne bandy pustoszyć będą ojczyznę naszą, bo granic nie ma kto strzec, zresztą tam pewnie użyta będzie broń masowego rażenia, która i nas porazi. (Nie napisano, że wtedy będzie nareszcie spokój). Niemcy szykują się do sojuszu z Rosją, jak kiedyś. W środowiskach młodzieżowych zdobywają głos ugrupowania radykalne, więc terroryzm stoi za plotem. Podziemie gospodarcze rośnie i obejmuje wszystko mackami. Najwyżej postawione w państwie osoby poddawane są pokusom korupcji i niezwykłym ofertom spoza granic Polski. Obce wywiady rozbudowują swoje struktury i docierają skutecznie do elit. Polska staje się poligonem dla międzynarodowego terroryzmu. We wniosku końcowym raportu stwierdza się, że „zjawiska kryzysowe będą się pogłębiać i można spodziewać się w pierwszym kwartale 1992 roku wybuchu niezadowolenia”.

Dzwonią dzwonki i dzwony na alarm, potem się ucisza i znowu dzwonią, ale już głośniejszy. Do tego też się przyzwyczajamy. Zapewne więc zdziwimy się, jeśli coś jednak wybuchnie. Gdzie, jak, po co, czym, kto, co potem??? Te wszystkie pytania nie mają odpowiedzi i to uspokaja. Czy słusznie?

Jeżeli wszyscy w kupie tak licznej i dostojnej przesadzają to też strach, bo w polityce samospełniające się przepowiednie nie są rzadkością.

Ale czas powrócić do konkretów, one uspokajają może dlatego, że ograniczają widzenie. Dla mnie zawsze bardzo konkretni byli sąsiedzi, czym byłoby życie w Polsce bez sąsiadów? Są

kraje, które obywają się bez sąsiadów, ale nasz ciągle nie. Mój sąsiad dalszy jest prawnikiem. Poprawiło mu się, bo oprócz cwaników nagle dobrze zarabiać zaczęli prawnicy i dziennikarze. Wpadam do niego właśnie w chwili, gdy rozważano zakup pistoletu. Ona się trochę boi mieć, on się boi pistoletu nie mieć. Najgorszą opinię mają Śródmieście i Stare Miasto. Moja mama i mamy moich znajomych z reguły nie wychylają nosa, jak się ściemni. Ale i dorodna młodzież też woli nie wychodzić. Lęk jest dotykalny w ciemniczącym powietrzu. Dlatego sąsiad prawnik marzy o czymś bardziej solidnym niż pistolet. Dzisiaj ma ciężką noc. Jak wszędzie, tak i w naszej dzielnicy powstał samochodowy parking zwany społecznym. Oto pewnego dnia mieszkańcy szarpani niepokojem o swe stalowe rumaki zbierają się i po burzliwym spotkaniu, gdzie jak to u nas każdy ma nieco inne zdanie, zawiązują komitet. Ten komitet zupełnie bezprawnie zagarnia miejsce na publicznym parkingu, ogradza je drucianą siatką, a na bramie zawisa solidna kłódka, obok staje mała drewniana budka. Wszyscy uczestnicy akcji mają prawo trzymać w tej zagrodzie samochody, pod warunkiem, że co miesiąc każdy będzie miał nocny dyżur. Nieobecność powoduje utratę prawa lokowania pojazdu w tym chronionym ogroju, a groźba jest realna, bo na plecach czuć oddech kilkunastu chętnych z listy zapasowej. Na mojego sąsiada prawnika wypadło dokładnie w noc sylwestrową, ale ani mu w głowie z tego się wykręcić.

Inny mój sąsiad, sąsiad bliski, trzyma wóz pod oknem.

Od lat nie posiada prawa jazdy, ale bardzo sobie to chwali. Teraz przynajmniej żadnego hamletyzowania po alkoholu, jechać nie jechać, przecież nikt mu nie może zabrać, czego już nie posiada. On, uparty sceptyk, od dwóch lat jest w wielkim dla mnie podziwie. Bo ja zawsze mówiłem, udając, że jestem pewien swego, że komunizm się rozsypie a imperium rozpadnie.

On kpił ze mnie i śmiał się przytrzymując brzuch, kiedyś nawet dostał z tego powodu dolegliwej czkawki. Dzisiaj uważa mnie za proroka. Pyta, co będzie? Doprawdy nie wiem. On sam ma dewizę — „nie przejmujcie się, będzie gorzej”. Jakiś smutek w jego nadobnym obliczu. Przecież całe życie kręciło się wokół miłych spotkań, wypadów do Spatifu, na wódeczkę, na obiadek. Teraz skarży się, że taksówka kosztuje całe dwie flaszki za kurs. Od biedy ma na to pieniądze, ale uważa, że to niemoralne płacić dwie flaszki za jeden kurs.

A propos taksówek — bałagan, który panuje na froncie taksówek, zdaje się być typowy dla naszej wojny o kapitalizm. Tak-

sówki są wszędzie obecne, kuszą przestępując niecierpliwie z koła na koło. Ale tylko przybysz z rejonów naiwności wsiada do takiej taksówki z poczciwym „dzień dobry”. Fachowiec otwiera drzwi i pochylając się, ale niezbyt nisko, pyta głosem stanowczym i twardym — jaka taryfa? Wsiada, jeżeli usłyszy to, czego oczekiwał. Taryf jest bowiem kilka, jest 300, 400, 600, a Okęcie i Centralny Dworzec oferują 1000 razy wskazanie taksometru. A na dodatek taksówkarze toczą ze sobą jakieś nicpojęte wojny, o mafii taksówkowej nasze gazety piszą z szacunkiem jak o mafii włoskiej.

Ale wracajmy do skarg sąsiada. Ceny w restauracji, jak twierdzi, są też wysoce niemoralne. I znajomi już nie wpadają niespodziewanie, by jak kiedyś wspólnie i przytulnie przy kieliszku zagospodarować wieczór. Rozmowy teraz nie przechadzają się pod rękę, a biegną zasapane i spocone. Owszem są nowe okoliczności korzystne. Babcia od wódki, która w pobliskim domu o każdej godzinie dnia i nocy wyjmowała butelki z otchłani swojego szlafroka, żegnając się przy tym znakiem krzyża i wyrzekając na szkodliwość alkoholowego nałogu, już dzisiaj zupełnie niepotrzebna, bo w zasięgu przechadzki jest zawsze otwarty sklep, który oferuje alkohol. Na piwo nie trzeba połować jak niegdyś, jest właściwie kłopot odwrotny — jaki gatunek wybrać, a to czasami aż boli. Tam gdzie był poczciwy klub osiedlowy, jest dzisiaj pub. W tym klubie, pamiętam, nasz osiedlowy szewc miał wieczór poetycki. Dzisiaj zielenią się tam nawet stoły bilardowe. A szewc zniknął, nie wiem czy pisze wiersze, ale z pewnością nie szyje już butów. W pubie odbywają się wielkie nocne pijaństwa. Bardzo młodzi ludzie wynurzają się stamtąd o czwartej rano, wyją jak kojoty, nie wiadomo ze szczęścia czy rozpaczy, wsiadają do swoich rozklekotanych samochodów i ruszają z rykiem pijanych silników.

Niby już wiem, że czas zmienił u nas barwę, zapach i wagę, ale zaskakuje mnie to nadal, a czasami boli.

M. spiał zawsze do południa. Wprawił niegdyś w osłupienie ubeków, gdy — z mojej zresztą winy — naszli ten dom, którego bym nie nazwał spokojnym, bo jak na palach stał na blachach i farbach drukarskich. Powitał funkcjonariuszy śpiąc i tak ich żegnał, a oni sami usnęli i nie spostrzegli, że weszli do beczki prochu. Warczeli mi potem na przesłuchaniach — „są tacy co śpią do południa, zrobimy z tym porządek”. A figę, porządek zrobiło Nowe, przed którym tak się bronili.

Teraz M. zaprasza mnie do siebie, ale bez dawnego entuzjazmu, a zasiadając u niego mam uczucie, że wypijam mu coś bardzo ważnego – czas. W takich warunkach nie ma szansy narodzić się błoga atmosfera wzajemnego zrozumienia i wymiany myśli, które płyną ku sobie leniwie w słodkim syropie. Teraz jak wyniknie myśl, to musi się śpieszyć. I ze zdumieniem widzę, że sprawił sobie notes. Zagląda do niego co jakiś czas. Za chwilę dowiaduję się, że wstaje rano... to znaczy, że nasz świat stanął... no właśnie... na czym, warto by wiedzieć.

Z badań opinii publicznej, których nigdy nie należy przeceniać, wynika, że zaskakująco duży procent Polaków zaczął nagle uważać, że główną przyczyną obecnych problemów są nasze własne niedoskonałe głowy. Więc już nie komunizm, nie tajemne siły w kraju i poza nim, ale my sami nie umiemy. Tak sądzi 39 % badanych. Bardzo to cenne odkrycie, bo tylko taka świadomość każe szukać ratunku tam, gdzie go znaleźć można, a więc u siebie. Ale czai się tu niebezpieczeństwo zupełnej utraty wiary w swoje siły i powszechnej depresji psychicznej, której objawy są już widoczne. Dlatego nie można zapominać, że spustoszenia w naszych głowach są wynikiem niszczącego działania dwóch stuleci, a ostatnie lat pięćdziesiąt był to cios nokautujący. Niestety sama świadomość nie jest lekarstwem. Niedawno pewien rodak huknął mi w ucho – „wszystko przez te nasze kwadratowe głowy”, a potem zaczął gadać bzdury do kwadratu pewien absolutnie, że głosi wielkie mądrości.

Ja sam, który próbuję być łowcą naszych bzdur, z pewnością również je produkuję. Cała nasza sytuacja jest bzdurna, nurzamy się w błotach niekompetencji, ktoś czasami podskoczy, ale, jako że umiejętność lewitacji należy do rzadkości, zaraz znowu jest z nami.

Lecz... gdy rozmawiam z Gruzinami, Bałtami, Rumunami czy Chorwatami, szybko wynurzam się w Polsce, szczęśliwy że nie tam jestem, a tutaj. Wszystkie nasze kłopoty maleją, a kłótnie to prawie pieszczotliwe iskanie się. Kiedy byłem dzieckiem i nie chciałem jeść, mówiono mi, że chińskie dzieci są głodne, co odbierało mi apetyt na amen. Dzisiaj już taki duży, sam sobie gadam, że inni się męczą i nagle wsuwam nasz bigoś ze smakiem.

Rządzenie wciąga jak pozornie nieszkodliwy narkotyk, który chociaż grozi uzależnieniem, ale podobno nie wyniszcza organiz-

mu. Jestem u D., wychudł, szerniał, ale nie wyszlachetniał. Zastanawia się, czy nie za duża cena. Nie ma chwili czasu dla siebie, jałowość spotkań, z których wszystkie mają w sobie plastik i papier. Dzwoni jeden z kilku jego telefonów, grymas bólu na twarzy. Słyszę, że opęda się od rozmówcy, jak od głodnej muchy. Wraca do mnie z ulgą, a wtedy nagle, podskakuje drugi telefon. Chwyta słuchawkę i rzuca ją gwałtownie, zadowolony, że jęknęła. Potem jak w trillerze, gdy już wydawało się, że jest po wszystkim, trzeci aparat skacze mu z krzykiem do gardła. Z krwią w oczach wybiega z gabinetu i rzuca się do gardła swojej sekretarce. Takie oto bywają uroki władzy widziane od środka.

Jeszcze jedno dostojne spotkanie. Przybyłem pełen pasji z pewną ideą, już wcześniej ją zapowiedziałem, przyjęty więc zostałem z entuzjazmem. Łaskawe nastawienie uszu, tak strzygą uszami tylko ludzie przyzwyczajeni do wydawania poleceń, oni nie słuchają, ale wysłuchują, bądź zbierają materiały. Ledwie począłem mówić, a on mnie wysłuchiwać, gdy nagle patrzę... zasnął. Zasnął oczywiście dostojnie. Co robić, bieda. Obudzić bardzo niegrzecznie, nie obudzić i wyjść to zgotować gospodarzowi potem niegrzeczne przebudzenie. W ogóle budzić grzecznie może co najwyżej kochanek kochankę, lub odwrotnie, w innych sytuacjach zjawisko grzecznego budzenia nie zachodzi, a w urzędzie to już zupełnie niemożliwe. Więc mówię dalej, ale głos mi więdnie, aż nagle w zupełnej desperacji jedno słowo mówię mocno. Ocknął się, patrzy na mnie, widzi, nie widzi, widzi, znów mruży oczy. Żegnam się pośpiesznie, czy zdążę, zdążę-łem.

Szedłem okrutnym korytarzem, takie korytarze są tylko w starych urzędach, ale szedłem z trudem, bo entuzjazm z okolic głowy spłynął w całości do stóp.

To, że kiedyś władza brudziła wydawało się normalne, ale że dzisiaj też brudzi jest jednak zaskoczeniem. Jest jakaś trudność nie do pokonania, sprzeczność nie do przezwyciężenia między koniecznościami, które nakazuje u nas dzisiaj władza, a tym czego ludzie oczekują. Ale jeszcze póki co nikomu nie wyrósł świński ryj, a ile tych ryjów wyrosło w dawnych latach! Nie wyrósł? Nagle moja wyobraźnia zawahała się. Za to opluskwanie jest obecnie w Polsce czynnością nagminną, wcześniej komuniści czynili różne paskudztwa, ale pluskiew było jakby mniej, co się zdarza w przyzwoitych więzieniach. Szczególną ofiarą opluskwia-

nia stali się obecnie liberałowie. Za wysoko byli, żeby im teraz darować, gdy przegrali. Bo „Kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują...” A więc koledzy i nie koledzy opowiadają teraz, jak wielkie pieniądze zrobili liberałowie w czasie rządzenia. Pytam tych, co tak mówią, czy mają jakieś dowody, czy przynajmniej widzieli. Nikt niczego nie widział, ale to przecież oczywiste. Drapię się w głowę i myślę — a nuż rzeczywiście. A tu nagle czytam w gazecie, że zdesperowana żona byłego Premiera ogłasza, że jeżeli ktokolwiek odkryje, sam lub przy pomocy detektywów, domniemane posiadłości czy przedmioty, które eks-premierostwo mieli zagrabić, „ten otrzyma je od nas w całości i nieodpłatnie przez stosowny akt notarialny”. A konkurs będzie trwał przez całe dwa miesiące.

Ale się porobiło, myślę, ale się porobiło.

Osobnym niezwykłym zjawiskiem jest demonizacja. Wzajemna. Bracia Kaczyńscy, Niesiołowski, Macierewicz, Michnik, Geremek. A jest to szczególnie dziedzina, bo przy umiejętnej demonizacji zdemonizować można nawet anioła, a i ten choćby nie wiem jak machał skrzydłami, nagle ujrzy oczyma innych, że tworzy się demony, nawet tam gdzie ich nie było. Zdemonizowani odgryzają się jak potrafią, głównie demonizując swoich adwersarzy. I tak nasza scena polityczna zamienia się w scenę teatru, gdzie w sumie porządni ludzie o rumianych, ładnych biografiach, grają piekielną komedię. Jacek Kuroń, jeden z nielicznych, który ocalił głowę w politycznych pogromach, mówi — „politycy kompromitują się jako grupa. Już trudno jest rozróżnić kto jest kto i komu o co chodzi. Patrząc z zewnątrz widać tyle, że się wyglupiamy”.

A lud gaworzy — cytuję z ulicy małego miasteczka — „bogacą się, samochody rozbijają, afery robią, a ja nie mam za co dla dziecka mleka kupić”.

Na tle nagle rozpromienionych sklepów, w których szybach całkiem często błysnie okiem nowy Mercedes, widać przy kasie zgarbioną babcię, które z chusteczki wysupłuje pieniążki — oj chyba znowu nie starczy.

Nasze partie polityczne nadymają się co chwila jak kot, który zobaczy psa, wyglądają wtedy imponująco, ale byle trzaśnięcie drzwi ujawnia ich mikrość. Widać głównie macki, którymi macają się nawzajem, czy można razem czy nie? Te partie wypelzły po ruchach tektonicznych, jak twierdzą jedni upadku komunizmu, lub wewnętrznej wojny na górze jak mówią inni. I rzeczywiście po nagłym pęknięciu „Solidarności” gdzieś między Wałęsą

a Mazowieckim, po obu stronach oddalających się stron ujrzelimy ludzi czy grupy, które tam zastał przypadek. I są już tam do dzisiaj i nawet uwierzyli, że to ich miejsce.

Jeśli ktoś się bardzo napoci, to może wymaca linię podziału między tymi, którzy pachną klerykalnie narodowo i zapewne zrobiliby z Polski zaścianek, nawet wbrew swojej woli, a tymi co używają zachodnich kosmetyków i chcą Polski na wzór zachodniej demokracji, otwartej i liberalnej. Ta Polska będzie wedle ich przeciwników śmietnikiem tego, co z zachodniej cywilizacji najgorsze. I najgorsze, że obie strony w swych oskarżeniach zdają się mieć rację.

Tyle mówiono, że nowy Sejm będzie zapewne gorszy od tego starego, który łąził z nalepką na plecach „kontraktowy”, że wydawało się, iż rzeczywistość jak zwykle zrobi psikusa i będzie jednak inaczej. Niestety tu jak się zdaje przepowiednia ma ochotę się wypełnić. Uderza zdolność nadymania się naszych parlamentarzystów, ale to cecha jak widać dziedziczna. Ten parlament jest jednak godny szacunku, bo rzeczywiście zdaje się być z kości narodu. Ma wszystkie kolorowe wady naszego społeczeństwa, jak również zalety, na razie jak się zdaje ukryte.

Rząd Olszewskiego miał być rządem przełomu i nadziei. Okazało się, że na przełom jest już za późno, bo trzeba latać dno, by statek nie zatonął. Jako że na nadzieję nigdy nie jest za późno, nadzieja jest nadal możliwa. W dziedzinie gospodarczej więc przełomu być nie może, natomiast jest nadzieja, że będą próbować gdzie indziej. Patrę życzliwie i tylko jestem ciekaw czym, co i w co przełamać. Dekomunizacja wędnie na naszych oczach, za to kwitnie hasło „koniec pogody dla aferzystów”. Zobaczymy, jaki wpływ na tę meteorologię będzie miał nowy rząd. Przecież dziura w budżecie narodowym niczego nie chce oszczędzić i dotyka nawet miejsc wstydlivych. Oto nagle nędzarzem stała się Prokuratura. „Nie ma pieniędzy na telefony i sekcje zwłok”. I pomyśleć, że ten bidak próbuje teraz ścigać afery, z których każda z osobna zapełniłaby kasę resortu do pełna. „Aferzystów stać dzisiaj na lepszych ekspertów niż Prokuraturę” — donosi prasa i dodaje, że już pierwsze telefony zostały odcięte w Toruniu, a pierwsze zwłoki nie pokrajane.

Były premier Bielecki przyznaje się teraz, że koszmarem jego rządów była bezradność. To, jak się zdaje, zostało też odziedziczone.

Nastął czas pogłębionej refleksji nad Prezydentem, ale z tego pogłębienia nie wynika, czy Wałęsa jest już przyszpilony i suszy się w encyklopedii, czy jest jedyny i niezbędny. Jest raczej, jak jego zdanie, które mości sobie miejsce w słowniku osobliwości naszych czasów — „Jestem za, a nawet przeciw”.

Koncepcja chłopięca — „Wałęsa wpadł w złe towarzystwo”. To lansuje wczorajszy wielki stronnik Prezydenta, a teraz wróg, Jarosław Kaczyński. Na pytanie — Czy Pan uważa, że to minister Wachowski rządzi?, Jarosław Kaczyński odpowiada — „Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogłem tego rozgryźć nawet wtedy, kiedy kierowałem Kancelarią, nie ma jednak wątpliwości, że jego wpływy są ogromne i nie ma wątpliwości, że jest człowiekiem, który zupełnie nie nadaje się do pełnienia roli jaką pełni. Jego odejście, a tym samym zmiana otoczenia Prezydenta, ułatwiłoby znalezienie optymalnych rozwiązań konstytucyjnych”.

Koncepcję — zagubił się w zadufaniu — lansuje Aleksander Hall: — „(Prezydent) ma wiele autentycznych i wielkich talentów politycznych, natomiast, co się daje bardzo wyraźnie odczuć — zatracił pewne poczucie skromności (...) zatracił umiejętność słuchania”.

Koncepcję — trwale uszkodzenie — lansuje Adam Michnik: — „Prezydent ze względu na osobowość nie rokuje już nadziei”.

Koncepcję — nic się złego nie dzieje, szuka tylko swojego miejsca — lansują Józef Ślisz, przew. Solidarności wiejskiej i prof. Chrzanowski, prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego:

„Jest to raczej próba umiejscowienia urzędu Prezydenta w demokracji parlamentarnej”.

„Istnieje wciąż otwarty problem określenia miejsca Prezydenta w polskim systemie ustrojowym”.

A co sam Prezydent mówi o sobie? Są to fontanny słów, które spadają rozpryskując się na boki. Można potem ze śladów odczytywać, co kto chce, jak z wnętrzości wypatroszonego ptaka. Ale zdarzają się konkrety: „Teraz ja się wiję jak piskorz, naciskam, gniołę, dzwonię, do prokuratorów, do policji — Ludzie naród płacze! Pozwólcie mi albo sami róbcie!”

Albo: „Codziennie przez 24 godziny na dobę mam higienę moralną i duchową. Mam księdza bez przerwy. I to nie dlatego, że jak mówią jestem dewotkiem. Nie. Tylko że tak ciężko jest, że bez higieny moralnej i duchowej padłbym, poszedłbym na skróty. Potrzebuję siły nadludzkiej i ją mam”.

Większość zachodnich polityków można cytować, czasami są

to rzeczy ciekawe, często banały i nudziarstwa, ale rzadko się zdarza, by cytując kogoś, miało się poczucie, że robi się politykowi celowo lub niechcący krzywdę. Wałęsa niestety należy do takich przypadków.

Ten fragment higieniczny przypomniał mi nagle skargę znajomych mi posłów w sprawie basenu, sejmowego basenu, bo taki istnieje. Okazuje się, że obok posłów gardłujących, śpiących, pijanych lub zawsze nieobecnych są posłowie pływający. I otóż ci posłowie pływający skarżą się, że basen im często zabiera Prezydent. Bo Prezydent lubi pływać. Basen jest wtedy zamykany, bo wielki pływak nie lubi tłoku. Woda jest uprzednio wymieniana, właśnie aby było higienicznie.

To wszystko brzmi okropnie, jak okropna jest sytuacja człowieka, który zrobił baśniową karierę w krainie bynajmniej nie baśniowej. Nie tylko ja mam poczucie zagubienia w ostatecznej ocenie osoby Prezydenta, może w ogóle w ocenie ludzi należy unikać ocen ostatecznych, nawet gdy ich pozycja i sytuacja jest ostateczna. Gdybym musiał się deklorować, to powiedziałbym, że przeważają plusy ujemne i dodatnie minusy (to też ze słownika Prezydenta). Łatwo mi uwierzyć, że on chce Polski demokratycznej, ale podobnie jak wszyscy nie bardzo wie jak. Niestety aż nadto dobrze widoczny jest lęk, że w tych dramatycznych zmartwieniach o demokratyczną i wolną Polskę ktoś go przerośnie.

Co to za zwierzę ta pycha, która mieszka w duszy filozofa i robotnika, a jak się ją podleje wodą władzy, rośnie jednako szybko na glebie robotniczej czy filozoficznej.

Listy protestacyjne mają piękną tradycję w Polsce Ludowej. Tak naprawdę zaczęło się wszystko w roku 1964 listem 34. Był to pisk intelektualnej myszy, który w cenzuralnej ciszy zabrzmiał jak ryk rannego lwa.

Dzisiaj, jak to w świecie wolności bywa, można strzelać z armaty prawdy i nikt się nie obudzi. „Kultura narodowa jest w niebezpieczeństwie. (...) Zagrożona jest ta najdelikatniejsza tkanka, która w ciągu tysiąclecia istnienia naszego państwa pozwoliła zachować nam tożsamość narodową” — krzyczą sygnatariusze. Podpisują już nie osoby, a wszystkie możliwe związki twórcze od Stowarzyszenia Akordeonistów Polskich poprzez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Związek Chórów i Orkiestr. Podpisuje się więc zgodnym chórem wszystko, co jest kulturalne albo za takie się uważa. I nic nie drży. Jest

w tym proteście ukryty okrzyk, który uczonemu nie przejdzie przez gardło, a człowiek prosty wykrzyczał mi. Był to krawiec, którego spotkałem na swojej rodzinnej ulicy. „Czerwoni nas, panie, nie wykończyli, ale nasi nas wykończą, jeszcze wczoraj wierzyłem, że nie, teraz panie wiem, wykończą i nawet tego nie zauważą”.

O tak, panuje w prostym narodzie powszechne przekonanie, że nie jest to zwykła fuszerka władzy, ale że kryje się w tym wszystkim jakaś tajemnica. I są rzeczy, których nasze społeczeństwo nie że zrozumieć nie potrafi, ale nie chce jak ciężko chory, który w gruncie rzeczy pragnie, by nie mówiono mu prawdy. A przecież nasza prawda, chociaż ciężka, jest do udźwignięcia. Precyzyjnie bardzo trudno jest zważyć ten ciężar. Wiadomo, że ludzie starzy nie doczekają Polski jako kraju dostatniego i dobrze zorganizowanego. Ludzie w wieku średnim mają szansę oprzeć swoją starość o pierwsze znaki stabilizacji, a może nawet jako takiego dostatku. To przy dobrych wewnętrznych warunkach, bez trzęsienia ziemi i tajfunów ze wschodu. Są surowsze wyroki niż ten.

Spotykam X. Ma atrakcyjne stanowisko na linii swych pasji, należy do tych, co wygrali. Zawsze narzekał, z wdziękiem, on zawsze z wdziękiem, właściwie znam takie dwie osoby na całym Bożym świecie, co narzekają z wdziękiem, z narzekania robią muzyczne etiudy. „Upadek autorytetów. Wszyscy się kłócą i wszyscy się nawzajem nie lubią”. Patrzy na mnie, nie, my się lubimy. „Podobno w latach 20-tych było tak samo” – mówi niejako na deser. Bardzo ciepło się żegnamy.

P.S. W styczniowej *Kulturze* wspominając stan wojenny zacytowałem... aż strach teraz powtórzyć, słowa które porównują żołnierzy stanu wojennego na skrzyżowaniach ulic grzejących ręce nad piecykiem do „kurew rzymskich”. Zapytałem wtedy w tekście – „kto te kurwy wymyślił?” Kiedy teraz jeszcze raz to piszę, jest jakoś wstyd, bo kto wie czy ci żołnierze na skrzyżowaniach naszych ulic nie byli wtedy największymi ofiarami stanu wojennego. Ale wtedy to porównanie wydawało mi się wielce trafne i miało w sobie rozkołysany płomień ironii, której tak nam brakowało. Napisałem i odezwały się „nożyce” w postaci Jana Kotta – to on powiedział w wywiadzie. I przypomina mi w liście, że „już niedługo potem płk Przymanowski opowiedział to w Sejmie przy wrzaskach oburzonej gawiedzi poselskiej”. Twier-

dzi, że przez lata prawdopodobnie z tego powodu nie dostawał wizy na wjazd do Polski. Więc tym bardziej nie wolno mu teraz tego odbierać. Z wielką przyjemnością i serdecznie oddaję zgubę.

Kultura nr 535, kwiecień 1992

KWIECIEŃ 1992

Dzisiaj, ostrzegam, będę się szczególnie narażał Kościołowi. Ci, którzy nie chcą grzeszyć, niech nie czytają. A wszystko z powodu mojego znajomego pisarza, który z właściwym sobie zamachem dramatycznym oświadczył mi, że „Nasz Kościół wpędza naród w pogaństwo”. Co miał na myśli? Zacząłem uważniej patrzeć i czytać. Moją uwagę przykuła partia, co ma naród i wiarę w tytule, a ostatnio jest głośna i nawet współrządzi.

Oto poseł ZChN Marek Jurek oświadczył, że „wielu członków klubu parlamentarnego ZChN modli się o uratowanie dziecka 14-letniej irlandzkiej dziewczynki, która została zgwałcona przez ojca swojej koleżanki”.

Bardzo to wzruszające. A i ciekawe, bo jak się zdaje ci sami posłowie chętnie się pomodlą za utrzymaniem w Polsce kary śmierci. Odezwały się głosy, że należy ją znieść, nawet Wałęsa ujawnił się jako przeciwnik kary śmierci, natomiast ZChN ustami swoich polityków już mruczy, że kara śmierci jest potrzebna.

Poseł ZChN Alojzy Szablewski w swojej interpelacji do ministra sprawiedliwości (też ZChN), zwraca uwagę, że tolerowanie pornografii jest sprzeczne z konstytucją. Poseł przeczytał w Sejmie dramatyczny fragment listu od jednego z obywateli. „Jestem człowiekiem młodym, ale bardzo zniszczonym. Jedną z przyczyn mojego stanu zdrowia jest pornografia” – czytał poseł i spojrzął głęboko narodowi w oczy. „Stwórzmy dla siebie prawdziwą Europę, chrześcijańską i prawą, a może kiedyś

zachodnie państwa zechcą do niej wejść” – zaproponował. Oto jawi się Polska jutra, czysta jak iza, ani jedno brudne zdjęcie już nie zdobi jej duszy, u wrót stoją posłowie Szablewski i Jurek, w naszych prostych sukmanach z chlebem i solą, a tu zbliża się Europa, skruszona i straszliwie wychudzona od rozpusty, zmierzra do nas z nadzieją na moralną wyzerkę.

Nowy raport Instytutu Kinseya na rok 1990 mówi rzeczy groźne dla naszego Kościoła. Oto wedle badań kilkunastoletni przeciętny osobnik męski myśli o seksie średnio raz na pięć minut, podczas gdy czterdziestoletni mężczyzna robi to raz na pół godziny. Geografia tych pragnień została opisana w 10 punktach i jest ona przerażająca. W tym grzesznym nieszczęściu nasi bojownicy o cnotę narodu mają promień nadziei. Otóż z badań wynika, że dojrzały Polak prowadzi się kilkakrotnie lepiej niż taki sam dojrzały osobnik francuski, a jego wyobraźnia erotyczna ma być słabiej rozbudowana niż jego równolatka z Zachodu. Bardzo to osobliwe, że osoba ludzka, nawet wierząca, przemierza się po świecie naładowana grzeszną erotyką jak bomba z prochem. Z tego nicubłaganie wynika, że gdy osoba taka kieruje się wskazówkami Kościoła, to ma w sobie istne piekło konfliktów sumienia. Czy dlatego tak wielu ludzi w ojczyźnie naszej zdaje się nosić w żołądku płonący czajnik zostawiony przez nieuwagę na gazie? Otóż myślę, że jednak nie to głównie dręczy rodaków.

W tej trudnej dla narodu sytuacji biskupi nie milczą. Oto wypowiada się biskup diecezji gorzowskiej Józef Michalik, znany ze szczególnego wkładu w kampanię wyborczą, gdy polecał wicernym, że „Żyd ma głosować na Żyda, katolik na katolika”. Pytany o intelektualistów, którzy teraz się zwrócili przeciwko Kościołowi, mówi: „Myślę, że jest to nowa forma tej samej co niegdyś konfrontacji. Ponieważ Kościół jest ten sam, a i ludzie są nierzadko ci sami. A gdyby spojrzeć na to zjawisko od strony teologicznej, to jest ono przejawem odwiecznej walki dobra ze złem. Wiem, oczywiście, że takie ujęcie jest drażniące dla niektórych katolickich intelektualistów w Polsce... Szatan i jego siły boją się prawdy o sobie, boją się światła”.

To dobrze, że biskup tak raźnie popiera istnienie diabła. Z publikowanych ostatnio badań wynika, że również w ramach naszej katolickiej wiary panuje okrutny bałagan, ludzie u nas wierzą niechlujnie i po łebkach. Oto na 83 % wierzących tylko połowa wierzy w szatana, a w województwie łódzkim, na ziemiach wielkopolskich i podlasko-mazowieckich wiara w diabła

zupełnie podupadła i wierzy w niego tylko 20 % praktykujących. To tak na marginesie, a wracając do wypowiedzi biskupa gorzowskiego, to przyznaję, że się czasami z nim zgadzam, np. kiedy mówi, że „ucieczka pod skrzydła Kościoła była podyktowana oczekiwaniami, których Kościół nie mógł spełnić. To zawsze jest potencjalnie niebezpieczna sytuacja”.

Jakby nie dosyć było plag, które spadają na intelektualistów, swoje nagle dołożył ksiądz Wiesław Niewęglowski, nasz poczciwy ksiądz poeta i duszpasterz środowisk twórczych, co tyłu sławnych odprowadzał alejami Powązek. Pod łaskawe skrzydła jego kościoła chronili się artyści w stanie wojennym, i te wzruszające wspólne oplatki, ile to lat pod rząd? Już nie ma rodziny. Ksiądz opublikował w gazecie artykuł pod tytułem „Krótka pamięć”, a napisał go, jak to się często zdarza, nie tylko wierszom, pod wpływem zdumienia. Co tak zdumiało duszpasterza? Otóż okazało się, że baranki były tylko przebranymi wilkami, dobrze przebranymi, bo jak śpiewali, nie było widać czarnych podniebień. Ksiądz się zresztą nie dziwi, bo ma dobrą pamięć i przypomniał sobie o czym kiedyś pamiętać nie chciał, że oni „mają wieloletnie doświadczenie w walce z Kościołem”. Dalej pisze: „Jeszcze niedawno ci sami nowi Europejczycy bili się w pierśi podczas mszy, którą odprawiałem. Przychodzili, aby pomóc im nie tylko duchowo, ale i materialnie. Stali rzędem po paczki, które z różnych zagranicznych wspólnot kościelnych przywożono dla nich podczas stanu wojennego”. Potem ksiądz wylicza, co który twórca taką pomoc dostawał. „Co trzeci”. Dalej ksiądz przypomina, że oni „wyrzekli się ateizmu i obiecali restytucję. A teraz oglaszają kościół gettem, ciemnogrodem i wrogiem demokracji”.

To ja proponuję, żeby zażądać oddania tych paczek. Kto napluł, niech teraz oddaje. A kwalifikacji niech dokona szanowna komisja z księdzem, a i biskup dla powagi się przyda. Ale się porobiło, ale się porobiło, aż głowa boli, toż ksiądz Niewęglowski nasz poczciwy tak się uniósł gniewem, jak Chrystus gdy przepędzał przekupniów ze świątyni. A mówiłem, że to się źle skończy, jak oglądałem tych klęczących, co jeszcze mieli w kieszeniach piasek z kamieni, którymi w stalinowskich czasach cisekali w Pana Boga. Zgadzam się, mogli się nawrócić, mieli prawo pełne i nawet piękne prawo, ale niepokojąca była ta gorliwa ostentacyjność. Mnie to onieśmielało i zapierało oddech. Mogli się wyklęzczyć w domu, a w kościele trochę postać.

Znowu wspomnienia... to było na progu nagle odzyskanej wolności, wychylaliśmy się poza ten próg nie dowierzając włas-

nym oczom, czy to naprawdę wolność i co teraz z nią zrobić. Wtedy właśnie wyświęcono *Gazetę Wyborczą*. *Gazeta* była wtedy kwilącym niemowlęciem, więc jak tu mieć dzisiaj do niej pretenzję, jeszcze nie miała pełnej świadomości. Patrzyłem z ukosa, jak się tłum redakcyjny pod wodzą naczelnego gromadził i zdjęcie z biskupem robiono, ktoś nagle czmychnął na bok, zanim święcona woda prysnęła, ale większość stała mężnie, chociaż nie zawsze pewnie, potem zdjęcia robiono, o tak, są zdjęcia. Tak oto *Gazeta* została wtedy niejako ochrzczona, ale niechlujnie, bo potem czart w nią wszedł.

Ciekawe czy jak się coś poświęci, to można potem równie uroczystie odświęcić. Paczki zostałyby oddane, a *Gazeta* odświęcona i wszyscy byliby z Kościołem dzisiaj kwita.

Ja nawet jakoś dziś Kościół rozumiem, nie zgadzam się z nim, czasami się wścickam, ale jakoś rozumiem. Zgadzam się, że ta gwałtowna ucieczka środowiska do Kościoła była chora i że romans z diabłem stalinizmu miał coś wspólnego z romansem z aniołem Kościoła. Ale ksiądz i biskup u źródeł widzą tylko zło. Dziwi mnie, że właśnie kapłani nie dostrzegają rozpaczy i słabości, ja na przykład widzę ludzi zdruzgotanych przez wojnę, którzy nie mają siły oprzeć się nowemu gwałtowi, więc biorą sami w nim udział. (Plus oczywiście ta diabelska pokusa, by zostać inżynierem ludzkich dusz). I widzę ludzi zdruzgotanych przez stan wojenny, ale którzy nie mogąc się pogodzić z gwałtem, szukają oparcia dla stopy i znajdują je w Kościele. A siłę tam uzyskaną kierują przeciwko policyjnemu państwu, by walczyć o wolność i demokrację również dla Kościoła. I przecież dzisiejsze rozejście się intelektualistów z Kościołem, gdzie włodarzem jest prymas Glemp i ZChN, nie musi być walką z wiarą. Czy doprawdy ksiądz i biskup tego nie widzą? Jeśli nie widzą, to nawet nie domyślają się, w jak trudnej sytuacji stawiają Kościół. Dawne ataki były prymitywne, a inspirowali je gangsterzy. Teraz Kościół sam schodzi do rynsztoka państwa i tu nie pomoże podkasywanie sutanny. Dzisiaj Kościół będzie atakowany słowami Ewangelii. Straszna to broń.

Wspomnienia, wspomnienia... kiedy pięść historii wyrzuciła mnie z ciepłego łóżka i kluczyłem po Warszawie, po rozbawionej i śnieżnej Warszawie nic a nic nie wiedzącej, że po cichu od środka wyjada ją Zły, dotarłem do X, kiedyś wielkiego wroga Pana Boga, potem wprost przeciwnie, a stamtąd zostałem wysłany po pomoc, gdzie, a no właśnie do księdza Niewęglowskiego. Udałem się tam, a co żeśmy razem z księdzem przeżyli niech

zostanie tajemnicą jak na spowiedzi. I nie zdziwiłem się wtedy, że X. mnie posłał właśnie do księdza. Potem sam to uprawiałem w różnych wariantach, podróżując katakumbami kościołów i odbywając spotkania jakże piękne, w świątyniach i pod nimi. Owszem, spotykałem księży jak z antyklerykalnego koszmaru i księży wspaniałych, i takich kościoły i takich wiernych pół na pół. I to jest prawda o Kościele również dzisiaj.

Jest pewien nieunikniony konflikt między głęboko wierzącymi i niewierzącymi. Śmieszne jest mieć pretensję, że wierzący walczy z pornografią, żąda by zgwałcone dziecko rodziło dziecko, że marzy mu się Kościół, który jest państwem. Skoro jesteśmy tylko w przedśmionku do innego, lepszego świata, czemu nie próbować przedpokoju urządzić na ten niebiański wzór. Teraz można mówić frazesy o kulturze sporu, tolerancji dla inaczej myślących... ale istoty rzeczy to nie zmienia. Tam gdzie jest wiara, kompromis nie zawsze jest możliwy. A gdzie do wiary dochodzą własne poważne kłopoty z dzieciństwem, nerwice i fobie, to konflikty stają się obrzydliwe.

Dzisiejsze problemy intelektualistów z Kościołem, gorzej, z masą narodową, to jedna z tych okrutnych niespodzianek, które właściwie w pełni przewidzieliśmy. Można się jednak spodziewać nieszczęścia, a kiedy przyjdzie, czuć wielką grozę, bo w gruncie rzeczy wierząc i bojąc się nie wierzyliśmy. Zbyt ciężko byłoby z tym żyć. I zabrałoby to całkowicie motywację do walki. Ginać na barykadach i konspirować mogą tylko ci, którzy idealizują przyszłość (albo o niej nie myślą).

Pamiętam, jak w czasie gdy wolność wydawała się szansą zarezerwowaną dla naszych wnuków ktoś niezyczliwy memu chorobliwemu antykomunizmowi przycisnął mnie — jak ja widzę tę wymarzoną wolną Polskę? — wydusiłem z siebie gdzieś z dna — „wyplynie wtedy na wierzch nasza narodowo-katolicko-prowincjonalna esencja, i będzie ona bardzo gorzka”. Nie inaczej, świadomie lub nie, myśleli intelektualiści konstruujący pierwociny naszej demokracji i z lęku przed tą esencją otwierac zaczęli dobre roczniki mozeckiego wina, udając, że nie wiedzą, że podniebienia ludu chcą czegoś bardziej swojskiego.

Dzisiaj wszyscy na wszystkich się zawiedli, elity na społeczeństwie, społeczeństwo na elitach, można by teraz tak mnożyć te zawody w tę i nazad, doprawdy trudno znaleźć kogoś niezawiedzonego od Prezydenta na górze do babci klozetowej w toalecie Pałacu Kultury.

Czasami ma to wymiar dramatyczny. Znam starego oficera

z powstania warszawskiego, który żałuje, że posyłał dzieci na śmierć, skoro wolna Polska jest taka jaka jest. Karol Modzelewski zaczyna publicznie żałować lat, które przesiedział w mamrze, a moja znajoma Włoszka, bardzo już zresztą spolonizowana, opowiada mi jak przed laty bawiąc u nas i mając pieniądze na taksówki jeździła specjalnie jedynie tramwajami na znak solidarności z naszą walką. Teraz w związku z sytuacją dzisiejszą też zaczyna żałować, że nie używała taksówek.

Bo oto stało się ciałem pieszczone przez pokolenia wielkie marzenie o wolności, a ta wolność jest dla większości biedna i podła.

Kiedy już naplułem na Kościół nasz i ocierałem rękawem szpetne usta, dopadła mnie wypowiedź Prezydenta, który tak dosolił elitom czyli intelektualistom, że poleciałoby pierze, gdyby jeszcze jakieś było, ale wszyscy w zasadzie już goli. To bardzo znaczne wykroczenie poza „zawody”, o jakich pisałem, Prezydent zawiódł się jeszcze bardziej i go poniosło. Teraz, dając głowę, będzie odkręcał, przytuli jakiegoś intelektualistę do piersi i popieści. Oto skrawki wiecu na walnym zebraniu delegatów NSZZ „Solidarność” regionu gdańskiego, a więc była to mowa do robotnika:

„Gdzie są ci mądrale, ci, co tak pięknie mówili i mieli być elitą prawną i ekonomiczną. Przeszkadzają wam. Dół robi, góra nie. Ci co byli w ministerstwach nie zrobili roboty. Wyjechali na naszych grzbietach. Zostawili nas w pół drogi i mówią, że prezydent nie zrobił (...) Jedna klasa, która zdała egzamin to ta, z której ja się wywodzę (...) Umiecie się tylko obrażać, a nie potraficie skończyć roboty! Zwieranie szeregów jest jedyną odpowiedzią...”

Oj, znowu zwieranie szeregów, a tak było miło, że się rozwarły. Do innego zwierania szeregów nawołuje ta część Porozumienia Centrum, która ciąży ku ZChN. (Kłóć się już w tym PC na całego, nie więcej ich niż wody w szklance, a jaka tam burza. Okazało się, że bracia Kaczyńscy to w głębi nieco otłuszczonego serca demokracji, a łaknąc władzy uruchomili ciemne moce na własnym łonie i teraz z nimi się szamocą). Oto co profesor ekonomista Stefan Kurowski prawi o środowisku Unii: „Oni nadal uważają, że wartości narodowe stanowią dla nich największe zagrożenie (...) W sprawach gospodarczych motywowani etosem kosmopolitycznym pragną utrzymać niewidzialną rękę Międzynarodowego Funduszu (...) a w polityce zagranicznej gotowi są

zawsze poświęcić interes narodowy na rzecz mitycznego wejścia do Europy”.

Ależ to smaczny kawałek, wrzusza zwłaszcza ten „etos kosmopolityczny”. Tam „zwieranie szeregów”, tu „zgnily kosmopolityzm” i „Europa” jako obelga, przecież to wszystko już było i jak złoty ząb błyszczalo w ustach tych, których nasi mówcy uważają za swoich śmiertelnych wrogów i źródło dzisiejszego zła.

A co do elit co zawiodyły, to one rzeczywiście zawiodyły, zgrzeszyły pychą, egoizmem, amatorstwem, ale któż nie zgrzeszył? „Macie takiego prezydenta na jakiego zasłużyliście” — oświadczył Wałęsa w chwili wielkości, szkoda, że te chwile są coraz mniejsze. Ja bym poszedł jeszcze dalej — macie taki Kościół na jaki zasłużyliście, macie taką gospodarkę... — tu się zawahałem, bo stan naszej ekonomii jednak poniżej naszych możliwości. I gdzie nagroda za tak długi dzielny opór...

List od mojej młodej znajomej. Pyta w rozpaczy: „jak wymyślić sobie pomysł na życie w tym kraju? Jak żyć w tym kraju? (...) Sytuacja sukcesywnie się pogarsza. Chyba to jest stan normalny i na dłużej. Premier lubi mówić, że będzie gorzej. I chyba będzie coraz gorzej. W autobusach, którymi jadę do pracy, porobiło się ostatnio strasznie dużo świrów tj. ludzi o dziwnych tikach gadających do siebie lub co gorzej do innych. Błagam szukajcie pomysłu na j.ż.w.t.k.”

To jżwtk? czyli „jak żyć w tym kraju?” tworzy nieznośną dla języka zbitkę, ale jest pytaniem zasadniczym, dla mnie również.

List od krewniaka z małego miasteczka na wschodzie Polski. Człek już niemłody i schorowany, a zawiadamia, że zabrał się energicznie za naukę języka niemieckiego, co innym też poleca. Wrócił niedawno z krótkiego pobytu za granicą i pisze, że powrót jest szokiem. „Gdy otworzysz telewizję względnie weźmiesz do ręki gazetę, człowiek dosłownie czuje się tak, jak gdyby przyjechał do domu obłąkanych, a na dodatek te rozmowy z ludźmi. Polska jest naprawdę smutnym i nieszczęśliwym krajem i nieszczęśliwym jest ten, kto się tu urodził (no, no, drogi krewniaku, pomyślałem, aż tak żeś daleko zaszedł w goryczy). Jedyne wyjście jest żeby się od tego separować, gdyż w przeciwnym wypadku ogólny obłąd zaczyna się udzielać”.

Potem krewniak pisze o narastającej wśród ludzi nienawiści do Wałęsy i o pewnej kobiecie wiejskiej, która mu rzekła, „że jak widzi tego naszego wodza to ma takie pragnienie wprost nieodparto, ażeby wziąć sierp z obory...” przepraszam, ale nie mogę

dalej cytować. Nie tylko humanizm i szacunek dla funkcji Prezydenta mi nie pozwala, ale i zdrowy rozsądek. A krewniak tak lekko i zamasyście o tym pisze i poleca, żeby się uczyć niemieckiego. Ale się porobiło, myślę, koniec świata.

— „Najstraszniejszą rzeczą, jaką dziś możemy zrobić, jest wyeliminowanie ludzi, którzy już się czegoś nauczyli” — oświadczył w jednym z wywiadów odchodzący, a więc wyeliminowany premier Bielecki. (Biedny Bielecki oraz reszta liberalów, już nawet obecny premier Olszewski, chociaż z zawodu obrońca, nie przeczy, że liberalowie to byli złodzieje. Ilekroć to słyszę, pytam: co ukradli, ale nikt mi na to nie umie odpowiedzieć, najwyżej sypią nazwami afer z tego czasu).

I rzeczywiście jesteście świadkami wielkiego eliminowania, nowe władze są eliminowane przez nowsze. Ma miejsce gwałtowna de-unionizacja i de-liberalizacja, to znaczy usuwanie kadr, które wprowadziły dwie poprzednie ekipy. Niedobitki z rządu Mazowieckiego są też dobijane. To prawda, że owe ekipy wprowadzały głównie swoich ludzi, aż furczało, kiedy kolejni wyfruwali z notesów, ale ja to rozumiem, bo kogo mieli wprowadzać. Nie było kadr czekających w rezerwie. Inna sprawa, że mijają lata, a nowego mechanizmu tworzenia kadr nie widać, jest natomiast całkiem sprawny mechanizm ich niszczenia. Więc chociaż prawdą jest, że z tymi znajomymi przesadzono, to teraz na przesadę odpowiada się grubszą jeszcze przesadą i kosi się jak leci, zdolny niezdolny, sprawdzil się czy nie, ważne że on nie nasz. Partie rządzące zaplecza kadrowego nie mają w ogóle, głowę partii tworzy kilka osób, w przypadku KPN dosłownie dwie. Więc nawet najbardziej newralgiczne i subtelne państwowe funkcje wpadają w ręce dyletantów. Nie wiem, czy za naszymi plecami dyszy pysk motłochu, ale bez wątpienia słyhać szybkie oddechy pół-bęcwałów, pół-idiotów, pół-kretynów, którzy chcą nie pół, a całą władzę. Oni już nam wszystkim pokażą, jak być powinno.

J., człowiek w świecie bywały, stojąc na przyjęciu naprzeciw mnie z kieliszkiem w ręku mówi słowa, które wyrażają moje myśli: „Żyjąc tu na Zachodzie chcąc nie chcąc musieliśmy oglądać polskie delegacje rządowe, to byli Oni, a jednak wstydzili się za ich maniery, ograniczenia, brak znajomości języków, potem przyszła wolność i zaczęli przyjeżdżać ludzie, mniej lub bardziej kompetentni, ale zawsze z klasą. A od jakiegoś czasu

o zgrozo znowu powrócili jacyś niewydarzeńcy, ale to już nie są Oni, to niestety nasi”.

Mam podobne odczucia, oto pojawiają się dzisiaj „Nasi Oni”, a zażenowanie i wstyd większe niż niegdyś, bo tym razem musimy brać za tych Naszych–Onych odpowiedzialność.

W związku z czasem co ucieka i trudną sytuacją kraju w Prezydenta wstąpił wielki duch ekumeniczny. Odwiedził redakcję *Polityki* i dał rozgrzeszenie, odwiedził OPZZ i tam też dał. Tylko wczorajszych przyjaciół nie odwiedza i Kaczyńscy na razie nie dostaną. Ale jak tu się dziwić, skoro jeśli ktoś straszy nasze dzieci Prezydentem, to właśnie wczorajsi przyjaciele Wałęsy.

I oto, tak historycznie potępiana przez Lecha i jego okolice gruba kreska została narysowana, ale już nie cherlawą ręką Mazowieckiego (on rzeczywiście z każdym miesiącem upodobnia się do zółwia, który go personifikuje w telewizyjnym politycznym ZOO), ale krzepką robotniczą dłonią. Tamta kreska była chora, a ta jest zdrowa, bo robotnicza.

Niekonsekwencja w gadaniu naszych polityków jest chlebem powszednim, z reguły robią to, co wczoraj potępiali, a nie robią tego, co obiecali. Traktowanie ich poważnie jest doprawdy zajęciem ponad siły i niestety odsuwanie się naszego społeczeństwa od polityków i polityki jest raczej próbą uniknięcia choroby, a nie chorobą.

A Sejm nasz... mój ty Boże... Słyszę, jak mój znajomy skarży się: „To niesłychane, połowa tych posłów przychodzi na obrady zupełnie pijana”. Na to poseł, ten z grupy abstynenckiej: całe szczęście, pomyśl, co by narobili, gdyby byli przez cały czas trzeźwi”.

Prezydent też dorzuca swoje, krzyczy na posłów: „nie dajcie się manipulować, gdzie ten ideał Polski? Tylko stołeczki i podchody. Żarty się skończyły”.

Oj myślę, że one jeszcze się nie skończyły. Skończyły się natomiast dowcipy. Ostatnie miesiące są niemal ich pozbawione, jeżeli jakież krążą po Warszawie to o rodzinie Wałęsów, ale nędzne, z gatunku tych, jakie opowiadano o ZOMO.

Nasze biedne dzieci znowu boją się telewizji. Jestem u znajomych. On właśnie wydzwania do rodziców dzieci z klasy syna. Chłopiec jako jedyny nie chodzi na religię i dzieci mówią na niego Żyd. Ona usypia biedaka i go pociesza, bo nie dość, że klasa

zaszczała tym Żydem, to miał nakazane przez nauczycielkę, by oglądać Wiadomości Wieczorne. Pokazali w tych Wiadomościach nauczycieli na wagarach i biedny uczeń widział, jak jego nauczyciele mówią brzydkie słowa na ministra oświaty prof. Stelmachowskiego. Oto nawet superpoczcuiwy profesor doczekał się (złośliwy Szwejk z właściwą sobie przesadą nazwałby zapewne eks–marszałka Senatu a teraz ministra Oświaty „wicepierdołą”, ale my się nie ośmielimy). Stelmachowski obłany został przez ciało nauczycielskie stekiem wyzwisk i sam ofuknął ich paskudnie i pogroził laską (świeżutki jego pomysł to zmiana lekcji religii, dotychczas przedmiotu w szkole nieobowiązkowego, na obowiązkowy, plus stopień z religii na świadectwie dzieci pogańskie będą mogły chodzić na lekcje etyki). Zaraz potem pokazali w telewizji, jak kosmonauta sowiecki, który już stracił nadzieję, został jednak ściągnięty z orbity na ziemię. A latał o kilka miesięcy dłużej, bo w trakcie jego lotu Związek Sowiecki się rozpadł i nie było czasu, głowy i pieniędzy, by go na ziemię ściągnąć. Słyszę, jak dzieciak mówi do matki: „Był tak zniszczony ten kosmonauta, że jak go wyciągnęli, to od razu posadzili na wózek inwalidzki. Czy my się też rozpadniemy jak ten Związek Sowiecki?”

Jestem w dużej instytucji, wita mnie K., włożył elegancki garnitur i krawat. Czuję zapach pieniędzy, a on potwierdza, że dzisiaj walczył o forszę dla firmy i załatwił. Jego instytucja wymaga nieustannej reanimacji, ale żyć sama jakoś nadal nie chce. Moim zdaniem K. stara się bardzo i jest nawet umiętny, ale wszyscy wokół mówią, że partoli. Nie wiem, gdzie jest prawda. On przynajmniej sprawia wrażenie kompetentnego, inni moi znajomi nie. Każdy kto u nas jest na górze zbiera z dołu fatalne opinie. K. siada ciężko w fotelu, gryzie papierosa, a pytany co czuje tak ogólnie, ku memu przerażeniu „cytuje” mego krewniaka „przeklęty kto urodził się w tym kraju”.

Poczułem się przeklęty i bardzo spłoszony przemieszczałem się po Warszawie... przecież K. jest przy karierze, przy pieniądzach, przy talentach, a w nim też otchłań rozpaczy. Na wysokości domu partii, którego obecna zawartość jeszcze mnie trochę wzrusza – teraz jest tam giełda, bank i nie wiem co jeszcze – spotykam pisarza H. Od razu sypie mi w oczy nieszczęściem. „Bardzo źle się tu czuję”, mówi i wylicza wszystkie głupoty, zawody i ksenofobie krajowe, opowiada że spotkał wielkiego poetę X, ten po różnych szpitalnych zabiegach, też bardzo przybitą sytuacją i mimo choroby miał podnieść głos mówiąc:

„Co ta Unia robi, ledwie dychają, mogliby wypuścić swoich młodych, bo starzy się nie potrafią ruszyć”.

Czy Unia ma jakichś młodych, czy ci młodzi mają nogi, doprawdy nie wiem.

A więc wielki X też choruje. Moja znajoma ma raka, nagle się dowiaduję. Zmroziło mnie to od stóp do głów. To już moja grupa wiekowa. I nie potrafiłem rozdzielić, gdzie zmartwienie o ich życie, gdzie o własne. Przypomniałem sobie Tadeusza Łomnickiego. Grzebano go z teatralną pompą, co widziałem na filmowej kronice. Spotkałem go kilka miesięcy temu w Lublinie. Trudno było nie cenić go jako aktora, ale niestety najlepiej pamiętam jego najgorszą rolę na trybunie kolejnego zjazdu PZPR, grzmiał wtedy, już nie wiem w jakiej sprawie. Był poważnie chory na chorobę, na którą cierpią nie tylko aktorzy. Nawet gdy nie był na scenie, grał. Wszystko co mówił, recytował. Był w tym patos i gest dramatyczny, co biorąc pod uwagę potoczność naszego lubelskiego tematu sprawiało wrażenie, jakby nieustannie strzelał z armat. Miałem nieprzemogłą ochotę, by schować się w jakimś okopie, ale wstyd nie pozwalał. Mimo hałasu zdawało mi się, że rozmawiam z pogrzebanym za życia, pogrzebanym za maską, a ona tak przywarła, że nie odbijesz jej nawet dłutem.

Jak na mowę pogrzebową po wielkim aktorze wypadło to raczej chamsko, ale nie umiem inaczej. I oto nagle wiadomość – Józef Kuśmierek nie żyje! Zakląłem szpetnie. On by mnie zrozumiał. Jeśli Łomnicki grał, to co robił Kuśmierek? Grzmiał? Był chłopo-filozofem. Myślę, że nikt już nie robi z tematu wiejskiego takiego thrillera jak Kuśmierek. Świetnie się go czytało, jeszcze lepiej słuchało. Kiedy przemawiał w zawsze słusznej sprawie, próbował unieść mównicę i roztrzaskać na znak, że ma rację. Pamiętam, jak przed laty chciał zabić krzykiem tow. Rakowskiego, ale Rakowski twarda sztuka, za to sala struchlała. Nie wiem, czy Kuśmierek w swoich wiejskich filipkach kiedykolwiek miał rację, ale nawet jeśli jej nie miał, to zawsze ją miał. W przerwach dziennikarskiej pracy hodował kaczki, nie dziennikarskie, zupełnie prawdziwe, co jak się zdaje było nieszczęściem jego życia. I był najbardziej efektywnym i atrakcyjnym niechlujem, jakiego znałem.

Ale to nie koniec... od W. dowiaduję się z przerażeniem, że Z. nagle zdiecinniał. Widziałem go kilka miesięcy temu, był w świetnej formie, błyszczał tyłoma lustrami swojej inteligencji, że trzeba było mrużyć oczy. Teraz jakiś wirus zjada mu mózg.

Pytałem nieśmiało W. czy taki wirus to może tak każdego... W. nie wie, ale też jest zaniepokojony.

Poczułem, jak choroby tykają mnie swoim gorącym od gorączki nosem, to tu, to tam, szukają sobie słabego miejsca.

Odmrażanie fragmentów historii sprzed kilkunastu lat ma czasami charakter uroczysty i huczny. Dwudniowy kongres KPNu rozpoczął się odśpiewaniem legionowej pieśni „My Pierwsza Brygada”. Potem młodzież w legionowych czapkach wniosła sztandar KPNu, asystował jej salutując szablą stary żołnierz.

Nie inaczej odmrożono paramilitarną organizację dla dzieci i młodzieży „Strzelec”. Skrzydła roztacza nad nią nowy wiceminister Obrony Narodowej Szeremietiew (ostatnie nominacje w MON zapierają dech również cywilom). Komendant nowego „Strzelca”, Gęsicki, mówi rzeczy, za które Piłsudski wytrzaszałby go po gębie. „Chodzi nam o młodzież o kręgosłupie narodowo-chrześcijańskim”. Nowy Komendant wie, jak ochronić organizację przed infiltracją obcych – „wystarczy spojrzeć w oczy i spytać, czy chłopak uczy się religii”.

Czy grozi nam faszyzm, pyta mnie ten i ów. Co to jest dzisiaj faszyzm? Jakaś forma dziurawego autorytaryzmu na chwilę zdaje się możliwa, ale zabraknie jej wiary, energii, siły, będzie kaleka jak wszystko u nas, i zaraz się przewróci, rozbijając sobie łeb o kamienny krawężnik.

Marginesy nie są groźne, jeśli reszta jest w miarę zdrowa. Na razie nasze marginesy są karłami, tylko Tymiński nagle urósł, ale już zwiądł. Mnie bardziej przeraża brak produkcji, rozpad instytucji, coraz gorszy stan klatek schodowych, gęstniejący bałagan, ciemne wszędzie wszystkich wszystkiego widzenie... I jest jakaś potężna podziemna rzeka autodestrukcji, która płynie pod Polską, nie widać jej, ale słychać jej szum. Kto wie, czy oprócz wybitnych ekonomistów i administratorów nasz rząd nie potrzebuje przede wszystkim wzmocnienia ze strony psychiatrów i psychoterapeutów.

Ludzie zaczęli czekać... tak samo jak w drugiej połowie lat 70-tych, jak pod koniec lat 80-tych. Na co czekają? Aż się coś wielkiego stanie, bo tak dalej nie można żyć. Nie mogą i już. To czekanie zawisa w powietrzu i rośnie. Z doświadczeń narodzin „Solidarności” i zdumiewającego porodu okrągłego stołu wynika, że im bardziej się czekanie przewleka, tym większe jest to, co potem się z tego rodzi. Co będzie teraz? Wtedy jawił się jakiś

amorficzny, ale wyraźny antykomunistyczny krach! Co ma być obecnie, nikt nie wie, ale czekanie takie samo. Wtedy wiązałem z tym wielkie nadzieje, teraz mnie to przeraża, tym bardziej, że zauważyłem, że — jak się na chwilę zagapię i przestanę uważać — to ja też czekam.

Tak nie wolno kończyć. Więc zwierzam się, że chwilą dla mnie naprawdę przyjemną w ojczyźnie było spożycie bigosu w jednej z nowo otwartych knajpek. Mój organizm osłabiony myśleniem o chorobach i narodowych nieszczęściach dopominał się jedzenia. To nie będzie łatwe, mówiło moje wieloletnie doświadczenie. I tu byłem w błędzie. Zjeść teraz łatwo i nie bardzo drogo. Skoro smaczny bigos w estetycznym otoczeniu z tańczącym kelnerem jest możliwy, wszystko inne co dobre też będzie kiedyś możliwe, pomyślałem. Optymizm bigosowy jest niestety jedynym, jaki mi się zdarzył, nawet jeśli on nędzny, kładę go na stół, bo nie mam innego.

I oto już na samym końcu tekstu, jak na skalistym brzegu oddalającej się wysepki przysiadł ptak, z wiadomością, że w Polsce tworzy się nowy rząd godny nazwy rządu Ocalenia Narodowego... szybko kończę, by go nie spłoszyć.

Kultura nr 536, maj 1992

MAJ 1992

Przybywałem już do Polski powietrzem, żelazną drogą, a teraz po raz pierwszy morzem.

Kiedy na innej planecie wsiada się na polski prom, uderza ten prom swojskością, która nieco wzrusza, ale i trochę przygnębia. To jakby obiekt z innego czasu i odmiennej cywilizacji. Nawet jego skóra jest inna, przyciemniona brudem, który już nie jest zmywalny, i ten zapach snujący się wszędzie, zapach powiedzmy niedomytej publicznej toalety, w której ktoś zgasił papierosa. Kelnerzy jakby z pewną cielesną komplikacją od bioder w dół, a góra z kolei z jakąś wyraźną komplikacją duchową. Zwraca uwagę większa niż gdzie indziej liczba ludzi, którzy postanowili zmienić stan trzeźwy na nietrzeźwy, a w tym drugim stanie demonstrują czasami gwałtowną, ale nie krwiożerczą agresywność i wulgarność. No, ale czas podróży jest zawsze czasem szczególnym i znam nacje wielce pocziwe, które właśnie wtedy wiele z tej pocziwości tracą.

Ojczysty brzeg jednak wzrusza, bo brzeg to jednak brzeg, nie jakaś tam betonowa płyta lotniska.

Po bezbolesnych stemplach granicznych ujawnia się wielki natłok taksówek, końca ich nie widać. Kierowcy zbici w gromadki z boku, jakby nie wierzyli, że kogokolwiek będą dzisiaj wieźć. Podchodzę do pierwszego pojazdu. Taksówkarz odłącza się od ludzkiej kupy, ale jakoś nie śpieszy mu się. Mówię, że ja tylko na dworzec kolejowy. Roześmiał się.

– „A do Warszawy pan nie pojedzie?” Ten żart okazał się zupełnie poważny i co gorsza wszyscy następni taksówkarze go pilnie powtarzali. Jechać mogą, ale w Polskę. Gdańsk i bliskie okolice ich nie interesują. Zziębnięci i z rosnącym węzłem gniewu na gardle dotaszczyłem się z bagażami w środek wielkiego samochodowego ogona, a im dalej szedłem, tym kierowcy ciszej szepotali, proponując za dojazd do Warszawy pół opłaty oferowanej z przodu kolejki. Było widać, że obniżając cenę robią wielkie świństwo innym, „ale jakoś przecież trzeba żyć, no nie”. Końcówka kolejki była już w stanie wyraźnego duchowego upadku i trudno się dziwić, skoro przód ustawił się podobno poprzedniego dnia i spędził tu całą noc. I właśnie tam na tym końcu znalazł się łaskawiec, co zechciał jechać na dworzec, ale za całe złotych sto tysięcy. No to pojechałem. Wyplułem gniew i postanowiłem agresję przekuć na czynność poznawczą. Od kierowcy dowiedziałem się, że interes nie opłaca się, że opłacają się tylko dalekie kursy. Przy okazji uzyskałem wiadomość, że „Polska się rozpieprza, a ci co rządzą nie dorośli by nami rządzić”. Popatrzyłem. Może miał rację, ale przeoczył, że sam nie bardzo dorósł, by nim rządzić.

Instytucję żebraka pociągowego pamiętam z dzieciństwa, zdawali się oni być odziedziczeni po biedzie przedwojennej. To ten rodzaj żebractwa, który korzysta z faktu, że pociąg jest wężeniem, skąd uciec od żebraka nie ma jak.

I oto znowu widzę nędzarza pociągowego, nędzarza szczególnie wynędzniałego. I ciekawe, bo był niejako sępem sprząającym po pracy roznosiciela piwa. Ten roznosiciel, też jakby z innego czasu, przemieszczał się niezwykle pośpiesznie, rozrzucając wokół zupełnie wytarty okrzyk, w którym „piwo” straciło swoje brzegi i zlało się w jedno z „komu?” Nędzarz biegł jego śladem, zbierając puste butelki. Miał pecha, bo wpadł na konduktorkę. Konduktorzy w strefie panowania Imperium, teraz w strefie nadal skażonej, to szczególna kategoria ludzi. Konduktor w ZSRR był skrzyżowaniem policjanta, wysokiego rangą inspektora i strażnika więziennego, posiadał ich atrybuty oraz pysk niejako noszony przed twarzą, i ważność, która rozpieierała klatkę piersiową. U kobiet to szło w biust. Nasi konduktorzy oczywiście mniejsi i skromniejsi, jak skromniejszy był nasz komunizm, ale... ta konduktorka była groźna w swoim rynsztunku. I pojąłem nagle słabość wielu mężczyzn do takich mundurowych niewiast, posiąść taką kobietę, to posiąść groźny urząd i go przewyciężyć.

Bilet ma?! – krzyknęła konduktorka, patrząc w dół na nędzarza.

Ten jęknął i zanucił – „ja biedny, ciężkie życie...”

– „A poszedł!” – krzyknęła mundurowa i zafalowała biustem.

Nędzarz zaskowyczał i brzęcząc butelkami z podkulonym ogonem pocwałował korytarzem, zapominając w jakim straszonym jest stanie.

Siedział naprzeciw mój przyjaciel, człowiek zamieszkały na stałe w innej zupełnie cywilizacji. Usiadł jeszcze głębiej w sobie i rzekł: „a moja żona kupuje codziennie dla kota dwie puszki mięsne po dwa dolary sztuka i czasami piasek, żeby mu się przyjemnie srało, a taki piasek też kosztuje... świat jest bez sensu”.

Nic dodać nic ująć – pomyślałem.

Siedziało w tym przedziale dwóch mężczyzn, już podeszłych wiekiem, znali się, ale nie na tyle, by się nie zdziwić, gdy odkryli, że kiedyś byli obaj w AK. I snuli takie rozmowy, trochę kombatanckie, ale skromne, jakby obnażali w sobie solidny i zdrowy fundament. I pomyślałem, że Polska składa się z wielu warstw i że gdzieś tam głęboko, coraz głębiej leży konspiracja drugiej wojny światowej jak wielka kamienna sieć. Czym teraz byłibyśmy bez niej?

Nie wypada psuć wzruszeń opisem toalet w pociągu, bez wody i zamknięcia, i jakiej sprawności od organizmu wymaga taka toaleta, by trzymać drzwi i...

Znowu na dworcu, tym razem Centralnym, taksówki, z syrenką z boku, i aż tysiąckrotny przelicznik. Otóż taksówki w RP są przykładem, jak chory może być ekonomiczny liberalizm. Ceny ustanawiają sami taksówkarze, biorąc pod uwagę własną kieszeń, popyt, podaż, ceny benzyny i koszt eksploatacji wozu. I pewnie ten mechanizm mógłby być skuteczny, ale doszedł czynnik dodatkowy. Ujawnili się równi i równiejsi, ci drudzy stworzyli mafie, która narzuca wyższe ceny i okupuje lukratywne parkingi przed dworcami i hotelami. Skłócenie między samymi taksówkarzami doprowadziło do wielkiej wzajemnej wrogości. Pasażerowie są podkradani, ceny szeptem obniżane, dochodzi do bijatyk o klientów, co sam widziałem w biały dzień nieuzbrojonym okiem. Mają tego dosyć klienci, za każdym razem wsiadając do taksówki, czułem obrzydzenie, mają dosyć sami taksówkarze, bo czują, że im sierść wyrasta na grzbietach. Nie jedyny to przykład, że u nas ekonomiczny liberalizm podlega od razu zwyrodnieniom, nie inaczej niż w krajach Trzeciego Świata.

Zanim zatrzasnę ostatnie drzwi warszawskiej taksówki, opiszę taksówkarza z ludu. Jest i taki gatunek taksówkarza. Siedzą oni w pojeździe niechlujnie, równie niechlujnie jeżdżą. Nie wiadomo, kierownicę trzymają czy lecce, biodrem i głową pomagają pojazdowi, gdy nie chce przyspieszyć. Taksówkarz ludowy opisując stan upadku kraju używał jako przykładu krowy i mleka, które ona daje. Wywiódł w ten sposób wszystkie błędy popełnione przez kolejne ekipy rządowe i poszło mu całkiem gładko. Jako że czułem wielkie przejedzenie narzekaniem bez jakiegokolwiek wniosku, zapytałem: „Ja za granicą... zagubiony jestem i chciałbym wiedzieć, co też z tego wszystkiego będzie?”

Nieprzygotowany i doprowadzony tym pytaniem do ostateczności taksówkarz wystękał: „Chyba wszyscy, panie, zjadą w wielką depresję, w depresję zjadą i koniec”.

Zapładnianie depresją i jej hodowanie w społecznym brzuchu jest wizją wyraźną i groźną. Spotkałem kilka dni potem tego taksówkarza, jak czatował z grupką innych przy rządzie pojazdów na postoju zanurzonym w środku nocy, brakuje tylko ognisk przy postojach, gdzie grzałiby ręce, a widząc mnie krzyknął: „To jeszcze pan tu siedzisz, trzeba stąd spływać, kto może niech ucieka”. A reszta nocnych taksówkarzy zaświeciła oczami i zawtórowała serdecznie: „niech spływa z tego kraju kto może”.

Byli mi przychylni, a jednak poczułem nóż w piersiach.

„Nawet w szpitalach potraktowaliby mnie lepiej, tam w łóżku miałbym naczynie do d... a tu nie mam, bo nie mam czasu” – miał powiedzieć nasz prezydent RP w niemieckim Bundestagu. Wedle prawie całej krajowej prasy, radia i telewizji niczego takiego nie powiedział. Jedyne *Gazeta Wyborcza* i *Nowa Europa* zacytowały. Inne środki masowego przekazu tłumaczą się, że albo nie słyszały, albo uznały, że to nie jest ważne. Nikt nie przyznał, że się bał albo wstydził. Jak się przechodzień potknie, to może sobie stłuc kolano, jak się potknie Prezydent, w jakimś sensie rozbija sobie nos państwo, które reprezentuje. Głupia sprawa, ale przemilczać jeszcze głupiej. Nasza demokracja jeszcze niepewna siebie, nasza prasa zapomina, że jest wolna. Prezydent mnie nie zaskoczył, nasze środki masowego przekazu tak i jestem zmartwiony. U nas wszystko z bibułki, dmuchniesz – rozlatuje się. Więc jak nawet ktoś zacznie chuchać na zimne, może dojść do katastrofy.

Prezydent porusza się za granicą jak słoń w składzie z porcelaną, zdarza się, że nawet zatańczy na stole i niczego nie

straci, wtedy wszyscy klaszczą, jak stłucze – załamują ręce. A przecież w jakimś sensie my wszyscy teraz poruszamy się w nowym świecie niezręcznie, nowi ministrowie, szefowie, dyrektorzy... nawet ci z inteligenckich rodzin. Polaków poznaje się za granicą po zębach, po butach, po fryzurach... i po wielu jeszcze innych rzeczach, z których my z polskich miast śmiejemy się, obserwując przybywających do nas mieszkańców wsi i miasteczek. Nawet nasz hymn narodowy jest prowincjonalny, patrzy pełnymi uwielbienia oczyma w cyniczne oczy Napoleona. Przez 150 lat byliśmy zaledwie przedpokojem Europy, skąd zerkano na salony. Nie było nam nawet dane dostrzec, ile w tych salonach pod blichtrzem jest pustki i głupoty.

Gdyby zastosować proste ludowe miary ludzkiej sprawiedliwości, które jak się zdaje wyznaje Wałęsa, brzydząc się i słusznie fałszem polityki (co nie znaczy, że na własny użytek takiej polityki nie uprawia), to należało w tym szwabskim Bundestagu posunąć się o wiele dalej i przejść nawet do czynów. Wiem, że redaktor *Kultury* nie znosi rzeczy niesmacznych, więc domyślności czytelników zostawiam, co tak naprawdę powinien w tym Bundestagu Prezydent zrobić. Bo Europa na to serdecznie zasłużyła.

Skandale powodują prawie wszyscy nasi politycy, rzadko ze złej woli, najczęściej z powodu niezręczności. Oto np. minister Obrony Narodowej Parys, dając głowę, że nie zdawał sobie sprawy, jaką wagę będą mieć jego słowa: „W ostatnich dniach pewni politycy zapraszają bez wiedzy ministra obrony, bez wiedzy szefa sztabu wybranych oficerów i obiecują im awanse za pewnego rodzaju poparcie wojska dla rozgrywek politycznych”.

Nagabywany, kto zapraszał, minister udał się w milczeniu na dwutygodniowy urlop. Prasa domyśla się, że chodziło o dawnego kierowcę Prezydenta, a obecnie ministra w jego kancelarii, Mieczysława Wachowskiego. Czy ktoś by się zdziwił?

Potwierdza się, jeśli nie co dzień to co tydzień, przejmujące poczucie, że Polska znajduje się w rękach amatorów, którzy na dodatek okrutnie się nie lubią i kłócą. Minister Parys, uniwersytecki intelektualista, minister Wachowski, dla którego jedynym uniwersyteciem był Lech Wałęsa, obaj jednak pewni siebie, a przecież zagubieni.

I oto Prezydent zostaje zmuszony, by zapewnić naród, że nie zamierza wprowadzać stanu wojennego. Tak koło się prawie zamyka. Aż iskry idą po plecach.

Jedni krytykują ministra obrony za skandaliczną nieodpo-

wiedzialność, inni uważają, że jest czystym rycerzem wolności, który broni nas przed hańbą zamachu stanu. I co za radość dla zbieraczy paradoksów, bo tak krzyczą wczorajsi sojusznicy Wałęsy. To wszystko ujawnia jakieś pokraczne wojny podjazdowe między rządem a Belwederem o wpływy w armii, o wpływy wszędzie tam, gdzie wpływy mieć można.

Rewelacje *Gazety Wyborczej* na temat Prezydenta i Belwederu – spowiadają się publicznie wczorajsi sojusznicy Prezydenta. Ten wielki, chociaż zarazem mały akt oskarżenia Wałęsy i jego dworu, w normalnym kraju zatrząsłby prezydenckim fotelem. A u nas ten fotel nawet nie drgnie, bo on przecież i tak nie ma nóg. I jakieś wielkie obrzydzenie po tej lekturze, chociaż nie ma tam jednego zdania, jednej sceny, która budzi zdziwienie. Bo przecież tak naprawdę my to wszystko już wiedzieliśmy w roku pańskim 1981. Dzisiaj Wałęsę atakują ci, którzy go wczoraj zachęcali, by szedł w prezydenty i donosili amunicję na wojnę na górze. Oni też od dawna „wszystko” wiedzieli, ale Wałęsa był im potrzebny, a dzisiaj godzą się nawet gościć na łamach znieprawionej *Gazety*. Poświęcają się dla racji stanu. Wczoraj ta sama racja wymagała, by rozpałać pożar, a potem iść w ogień z Wałęsą. Poczucie obrzydzenia po tej lekturze dotyczy całej naszej sfery politycznej. Bardzo jest gorzko.

W kilka zaledwie dni potem ta sama *Gazeta* drukuje wywiad przeprowadzony (!) przez generała Jaruzelskiego z redaktorem naczelnym pisma, Adamem Michnikiem. Wywiad nosi tytuł „Rozmawiać bez nienawiści”. Wysłuchałem tej lekcji moralności z rozdziawioną gębą i mam tylko jedno pytanie: „Rozmawiać, proszę bardzo, ale dlaczego od razu się kochać?” Wywiad ten kończy książkę, którą generał wydaje w Paryżu. Przyjemnie. No i proszę bardzo, jaki porządny chłop z tego generała, kto by przypuszczał? A Wałęsa to po prostu świnia.

Cała ta figura... potem podróż Michnika i generała do Paryża gdzie wystąpili w telewizji jako światowy przykład miłosego pojednania, jak i co tam mówili... to wszystko już nie na moje siły intelektualne, niech ktoś mądrzejszy to opisz i wyjaśni tym, co jeszcze mają chęć się dziwić i oburzać. Boję się tylko, że ktoś mądrzejszy machnie po prostu ręką.

Znajomy, który był na zjeździe Solidarności regionu Mazowsze, opowiada cicho, jakby mówił o wstydlivej chorobie, że gdy na salę wszedł Zbyszek Bujak, ktoś krzyknął oburzony: „Kto tu właściwie zaprosił Bujaka?” i dostał oklaski. Ktoś odez-

wał się, że „Bujak mimo wszystko ma dla „Solidarności” pewne w przeszłości zasługi, więc niech sobie posłucha” – teraz gwizdy mieszały się z cichą aprobatą. Bujakowi w końcu, łaskawie chociaż niechętnie, pozwolono na obradach zostać. I mógł usłyszeć, jak potężny ciałem przewodniczący regionu Mazowsze Maciej Jankowski oświadcza, że „Solidarność” powinna się skupić nie na tych, co nic nie mają, ale na tych co mają za dużo.

Ciekawe, gdzie zadryfuje coraz mniejszy, ale coraz bardziej najezony wrak „Solidarności”. Napisałem... a wkrótce potem 80-tysięczny tłum manifestantów pod sztandarami „Solidarności” ruszył na podbój Warszawy. Przed solidarnościowym Sejmem krzyczeli „chcemy posłów a nie osłów”. Marszałek Sejmu czekał na progu, którego nie chciała przekroczyć głowa pochodu. I tak zgodnie z polską tradycją „kto ważniejszy” obie strony zostały po obu stronach progu, o co jest teraz awantura. Tylko posłowie z KPNU przeszli na drugą stronę i też krzyczeli „posły, osły”. (Potem Sejm krzyczał na posłów KPNU, że są świnie, bo zdradzili. W naszym parlamencie nie było jeszcze mordobicia, ale w następnym Sejmie już na pewno będzie). Tłum ruszył na Urząd Rady Ministrów, a solidarnościowy premier Olszewski wyszedł dzielnie naprzeciw, chociaż szedł jak na śmierć. I słusznie, bo mu podarowano trumnę, a tłum krzyczał „aferzyści do więzienia”. Przed Belwederem tłum obrażał nawet księdza „higienistę” Prezydenta i świeżo obsmarowanego przez *Gazetę* ministra Wachowskiego. Słynny przywódca „Solidarności” po chwili dramatycznego wahania wyszedł do solidarnościowych manifestantów i powiedział: „Gdybym nie był Prezydentem, szedłbym na czele tego pochodu”. Potem dodał: „Tak jak wy, a może jeszcze bardziej jestem niezadowolony” – to wszystko jednak nie znalazło zrozumienia. Wałęsa cierpi na coraz większe rozdwojenie, jak być Prezydentem i być po stronie głodnych mas?

Józefów, niewinna miejscowość pod Warszawą, dołącza do listy osad, które nasze *mass media* nazywają Ciemnogrodem. Co czynili mieszkańcy Józefowa dowodzeni przez piekarza? Nie chcieli wpuścić malutkich dzieci chorych na AIDS do drewnianego baraku, który miał stać się dla nich domem. Na czele dziecinnej kruczaty stał słynny opiekun narkomanów Marek Kotański z nielicznymi włosami spiętymi w kok. Mieszkańcy pilnowali baraku za dnia i w nocy. Grozili, że złe przepędzą ogniem i żelazem. Zaraza wedle nich mogła się przedostać wodą

i powietrzem i zakazić przyzwoitą miejscowość. Postawili na swoim, nie wpuścili, ale rzecz nie jest aż tak prosta.

Cały ten akt nawiedzenia Józefowa przez AIDS był czyniony historycznym, co Kotańskiemu przychodzi bez trudu. A przede wszystkim, skąd mieszkańcy Józefowa mają wiedzieć czym jest naprawdę AIDS, skoro sternicy Polski są tak zajęci ważnymi sprawami, że nie mają czasu, by to wytłumaczyć swoim obywatelom? Ci ludzie są przerażeni, bo im się od dwóch lat wali świat. AIDS jest jednym z piorunochronów, który skupia wyladowania przerażenia.

Wielka rzeka niepokoju, co płynie pod Polską, może wykarcić w wielkiej ciszy każde monstrum. Może, ale nie musi. Nasi faszyści też coraz głośniejsze krzyczą i mocniej biją. Czy przedtem ich nie było? Policyjne państwo ograniczyło ich równie skutecznie jak i liberałów. Dzisiaj wolność zburzyła ściany basenów, gdzie gromadziły odchody te postacie autorytaryzmu, które nie mieściły się w ramach sowsocjalizmu. Słońce wolności rozognia tę substancję. Pokrywa ona teraz cienką warstwą coraz większe przestrzenie. Grozi to rozszerzeniem infekcji oraz powoduje, że przykry zapach nigdy nie wietrzeje. Ale to jest wolność również.

Pamiętam różne chudziny, różnych nieśmiałych, wycofanych, a teraz? Figury odziane w garnitury i gabinety. Tacy sami, a zupełnie inni ludzie. Krzątają się nieco zakłopotani, bo właściwie nie wiedzą, gdzie ja się lokuję w tym świecie, który nagle uzyskał podział na „ważnych” i „nieważnych”. Albo takich co mają przyszłość lub jej nie mają. Trudno mnie wsadzić do jakiejś grupy, więc próbują mnie traktować środkowo, ale to strasznie trudna pozycja, bo ja się im bezwiednie staczam w „ważny” albo „nieważny”.

Polska składa się dzisiaj z ludzi, którzy stracili grunt pod nogami i z ludzi, którym przewróciło się w głowie. Jedno i drugie jest trudne do zniesienia.

Odzwyczajony od naszej rodzimej nawierzchni nieustannie potykam się o czyjeś chamstwo. W banku stojąca przy kasie kobieta pozwoliła swemu małemu synkowi wspiąć się na kontuar i patrzeć jak kasjerka liczy pieniądze — „proszę go zabrać, to nie jest kino” — burknęła kasjerka. Chłopiec został zabrany, a zdruzgotana matka wymieniła ze mną pełne zrozumienia spojrzenie. Tak Europa kulturalnym zdziwieniem wita dziwności dzikiej Azji. To spojrzenie odróżnia nas od miejsc położonych

od Buga na wschód, tam kasjerka rugnęłaby podobnie, ale nikt by się nie dziwił.

Chwilę potem wsiałam do autobusu, który stoi na pętli z wygaszonymi światłami. Kusi mnie, by zapytać kierowcy, za ile minut ruszamy, ale waham się. Po ciężkim dniu jak mi ów skończy do gardła, to kto wie, może przegryzę mu tętnicę szyjną. W czasie, gdy pasowałam się ze sobą, jakaś starsza niewiasta zajrzała do kabiny i wyręczyła czy raczej wysłowiła mnie.

— Gówno to panią obchodzi — odparł dyrektor autobusu.

I znowu miałem możliwość wymienić znaczące spojrzenie, a ktoś się nawet do nas odważnie przyłączył. (Proszę zauważyć, że kierowca nie potrafił swego „gówna” nie osłodzić, jednak i mimo wszystko, naszą wielkopańską formą „pani”).

O tak, każdy dzień przynosił mi potwierdzenie wielkiego chamstwa ale i zdziwienia, że to my i u nas. Że u Nas i Nam to się przydarza, mimo wszystko Europejczykom! Tu bije źródło naszych wielkich cierpień. Jesteśmy dokładnie w środku w nieznośnym rozkroku między chamską Azją (przepraszam Azję kulturalną) a wykwinną Europą. Większość naszych słabości widzimy, wstydzimy się ich, ale one silniejsze. To przy interpretacji miękkiej. Można też twardo i szczerzej...

Jesteśmy głęboko, do szpiku kości skorumpowani. Ale nigdy nie przyznamy, że oszustwo i kradzież w naszym wykonaniu mają takie imię. Nie mamy poczucia państwa i obowiązków wobec niego, ani poczucia wspólnego dobra. Manipulacje i machlojki, które już teraz obserwuję u swoich pocziwych znajomych w związku z wprowadzeniem powszechnego podatku dochodowego, dowodzą, że oszukiwać będą wszyscy, a zbiorowe sumienie wszystkich rozgrzeszy.

I pomyśleć, że cała ta niemoralność jest przykryta obrusem, na którym stoi monstrancja, i jest zagłuszana pianiem o narodzie jako najwyższej wartości.

Maria Dąbrowska, ta arcy-polska pisarka, zanotowała już w roku 1921, a więc „jak dzisiaj” w trzy lata po uzyskaniu niepodległości: „*Jesteśmy naród nie z baśni, tylko z bajki, żywy temat do satyry, i to jest miejsce z którego może się zacząć szerzyć śmierć na cały organizm. Naród tragikomiczny, groteskowy i patetyczny, naród bez prostoty*”. Dalsze lata dzienników Dąbrowskiej ujawniają, że i ona nie była wolna od pewnych przywar. Przeraża mnie nie tylko to, że okaleczenia spotykam u prawie wszystkich ludzi w Polsce, ale że je spotykam również u siebie, który się tak

mądrzę i pouczam. Historia jest dla nas jakimś usprawiedliwieniem, ale przygnębia, że dzisiejszy bałagan kompromituje nowe państwo, utrwała a nawet o zgrozo pogłębia dawne grzechy i nie daje szansy choćby na zapoczątkowanie odbudowy sfery społecznej moralności.

Gdybym musiał powiedzieć, co (prawie) najbardziej lubię, winieniem rzec – strzyżenie. Fryzjerzy są różni, delikatne ręce młodej dziewczyny wydają się narzędziem naturalnym, owłosione ręce zużytych mężczyzn to jakieś grube nieporozumienie, ale ono funkcjonuje i też jest przyjemnie. Strzyże mnie taki jeden i narzeka. Mówiąc o naszej wolności, konkluduje: „Z tego całego szumu to korzystają tylko cwaniacy”. – „Cały szum” – jako imię na odzyskanie przez Polskę niepodległości i budowanie zrębów demokracji. Boję się, że dzisiaj nie mniejszość a większość Polaków z takim określeniem się zgodzi. Fryzjer ciągnie: „Tu u nas nigdy ludzie rządowi nie wierzyli i wierzyć nie będą. I tak będzie dopóki pieniądze da się robić tylko na machlojkach, rząd nie będzie wierzył ludziom, ludzie rządowi, takie kiwanie się było, jest i będzie...”. Tu męska Kasandra wzięła brzytwę do ręki, więc przytaknąłem. Oj wielka bieda, jeśli tak naród myśli. A myśli tak, bo tak widzi. Czy widzi czego nie ma?

Kultura nr 537, czerwiec 1992

CZERWIEC 1992

Gdybym napisał: „słowa straciły jakiegokolwiek znaczenie, wydarzenia mówią same za siebie”, byłaby to prawda, ale sugeruje ona jakąś tragedię a niczego takiego w Polsce nie ma, są tylko setki bęcwalizmów i niezręczności, jakby stado słoni baraszkowało w domu towarowym pełnym porcelany. Ale najważniejsze, że jest wiosna! I ona pokrywa świeżą zielenią wszystko, nawet dramat ministra Parysa, który krzyczał, że lew jest zły i został oddany lwu na pożarcie, nawet dramat prezesa Zaorskiego, który już nie jest pożerany przez telewizję, bo zabrała się ona za Zbyszka Romaszewskiego. Nie widać prawie Belwederu, bo tonie w zieleni z Prezydentem i z jego adiutantem Wachowskim. Tego ostatniego widziałem w telewizji przebranego za Araba na egipskim wielbłądzie, bo aż tam dotarł z wiernym mu Prezydentem. I w zapachu bżów tonie konanie trzeciego wolnego rządu trzeciej Rzeczypospolitej.

Chodzę po Warszawie, po mojej nie mojej Warszawie. Na Mokotowskiej staję przed budynkiem gdzie był region Mazowsze. Szukam na chodniku miejsca, gdzie pamiętam stawiano betonowe płyty przeznaczone do wieszania plakatów, te płyty ustawiał dźwig, a całą akcją kierował ze zwykłą sobie pewnością siebie Sławek Bielecki. Bardzo ważne wydawały się wtedy te płyty, wtedy, czyli w przeddzień stanu wojennego. Wrywano je potem z korzeniami nie wiadomo dlaczego z taką złością i nie ma po nich teraz nawet śladu. A Sławek podał się niedawno do

dymisji jako doradca rządu. Dziwne, że on, taki sceptyk, mógł uwierzyć w konia, który kulał na wszystkie nogi jeszcze przed startem. Na budynku widnieje napis „Uniwersytet, wydział pedagogiki”. Jakie pedagogiczne wnioski z przeszłości mogą wyciągnąć obecni lokatorzy budynku oprócz absurdalnych? Chcę tam wejść chociaż boję się spotkania z czasem. Drzwi są zamknięte. Jestem pewien, że klucz został przekręcony dwukrotnie. W pobliskiej księgarni już na placu Zbawiciela piętrzy się bestseller, na jego okładce błyszczy generał Jaruzelski pocziwie zamyślony nad tytułem „Stan wojenny, dlaczego”. Ta książka też mi się wydaje zamknięta i nie mogę jej otworzyć. Bo czy naprawdę odpowiedź może być inna – dogorywające Imperium w ostatnim skurczu broniło swoich prowincji rękami wiernych namiestników. Mogli oni mieć mniej lub bardziej skomplikowane dusze, zabarwione mniej lub bardziej narodowo czy liberalnie, to nie zmienia istoty rzeczy. I to jest ważne, a nie gaworzenie, że „Solidarność” była nierozsądna, że sowieckie czołgi, i... rzuciłem jednak okiem na fragmenty drukowane w *Polityce*... generał bije się ze skruchą w swe szczuple ale stalowe piersi: – „Tego też, niestety, nie dopilnowałem”. (Te wzruszające spazmy wyrzutów sumienia dotyczą takich okropieństw, że oto internowano niepotrzebnie zbyt wielu pocziwych intelektualistów). Pan, panie generale, nie dopilnował już dawno czegoś o wiele ważniejszego. Porządny człowiek, za którego pan się uważa, nie robi kariery w armii, która jest armią podbitego narodu; a oprócz zbrodni mordu, istnieje zbrodnia kłamstwa, absurdu, zbrodnia ekonomiczna... Te wszystkie pan uprawiał z właściwą sobie pracowitością siedząc przez lat kilkadziesiąt na szczycie PRLowskiej drabiny. Stan wojenny to była tylko kulminacja. Ale wracamy do parteru, w końcu on zwykle w ostatecznych rachunku okazuje się najwyższym piętrem. Sklepy wciągają mnie do środka. Cały ten świat parteru zmienił się bardzo, ale mniej więcej w połowie. Część wewnątrz goni zachodnią Europę, co prawda, z zadyszką i gubiąc wiele po drodze, gdy druga część zapyziała, tkwi w przeszłości. Tak samo jest z personelem. Szczególnie młodzi przestawili się, wkładają uśmiech, są zainteresowani klientem, i nawet już widać sprzedawców, którzy potrafią być grzecznie natarczywi. Ale część personelu nadal pojada w pracy, panienki wychylają się do siebie ze swoich stanowisk – „wyobraź sobie, że poszła z nim do łóżka” – a kupujący bardzo im przeszkadzają w ściąganiu kołdry z tego łóżka. Uderza, że ci odmienieni i ci „zabytkowi” jednak nie mają pojęcia, co sprzedają, więc lepiej ich się

nie radzić, bo jest wtedy ambaras. No ale to jednak jest jakiś początek. Koszmarem sowsocjalizmu było, że zrównał z ziemią dokładnie wszystkie wzorce. Teraz nasza dżungla, która tak bujnie rośnie w ruinach dawnego, rodzi czasami wzorowe owoce.

Rosną reklamy, ale rosną na chodniku, który roztrzaskany jest, jak był zawsze. To wszystko moje nie moje. Na swojskiej ziemi wyrasta obcy błyszczący świat, na który nie mam wpływu, którego nie rozumiem, który interesuje się nie mną a tylko moją kieszenią, ale ja w tej kieszenie nie mam dosyć pieniędzy, abym mógł się czuć temu światu potrzebny i być w nim jak w swoim domu. A więc... moje nie moje miasto, na każdym rogu ktoś kiedyś na mnie czekał, lub ja na kogoś, ścięto pomniki pod którymi wymienialiśmy jeszcze zielone pocałunki. Nowe nazwy ulic jeszcze nie zapuściły korzeni w mojej pamięci, nowa geografia sklepów nie jest dla mnie jasna, ceny uparcie nie mieszczą się w wyobraźni. Chodzę i zachodzę, przysiadam, podnoszę nogę jak pies, który znaczy swój teren... oj nie wiem, czy to będzie kiedykolwiek moje? Ale chyba najbardziej przerażająca obcość bije od ludzi, kiedyś tak bliskich i kochanych, dzisiaj przez okrutną Kirke zamienionych w wieprze stłoczone przy korycie władzy.

Mordobicie na górze, bo przecież to nie jest wojna, ogromnie niepokoi liczną publiczność. Nie widzą szczegółów, jakby uchem słuchali w radio transmisji bokerskiego meczu, więc głównie docierają do nich stękania, a potem można sobie czasami obejrzeć ofiary z podbitymi oczami i rozkwaszonymi nosami. Niepokój czy to nie przerodzi się w coś naprawdę poważnego. I tu podobnie jak w trakcie walki bokerskiej widz zwykle odczuwa konieczność, by się z kimś utożsamić – bo to leży w ludzkiej naturze, a na tej potrzebie wspierają się skrzydła literatury i filmu. I oto nasza publiczność dokonuje wyboru, mimo że doprawdy wie nie więcej o swoich bohaterach niż ci, którzy śledzą dalekie odgłosy meczu w orientalnym Las Vegas. Ten ma coś sympatycznego w oczach, tamten nosi imię, które się miło kojarzy... więc niech już będzie nasz. W tej sytuacji rośnie jednak grupa widzów, którzy nie zajmują w ogóle niczyjej strony, bo doszli do wniosku, że to wszystko nie warto funta kłaków.

Każde spotkanie towarzyskie, jeśli przez nieuwagę ktoś nastąpi na odcisk polityki, zamienia się szybko w bolesny spór. Wspólne w tym sporze jest, że mówi się okropne rzeczy w zasadzie o wszystkich, którzy zajmują jakiegokolwiek miejsce wystające ponad poziom wody. Doprawdy czasami mam wrażenie, że człowiek człowiekowi nie jest u nas wilkiem, a kundlem.

Główny podział jest na zwolenników i przeciwników Wałęsy. Najbardziej zajadłymi przeciwnikami Prezydenta są Ci, którzy na niego jeszcze niedawno stawali, ale się zawiedli. Czasami ujawni się podział na zwolenników i przeciwników skrobanek, na ludzi broniących Kościoła i zajadłych antyklerykałów. Na porządku dziennym będzie uwaga, że sporo w tym wszystkim namieszali Żydzi, nie żeby ktokolwiek był antysemitą, broń Boże, ale to przecież oczywiste, bo oni niby nasi, ale jak dochodzi co do czego to oni nie nasi i wprowadzają jakiś niepokój w naszym narodowym porządku, który jest im z natury rzeczy niedostępny.

Miałem możliwość oglądać grupkę rodaków wracających z dwutygodniowej zagranicznej wycieczki. Byli naprawdę szczerze zatrwożeni co zastaną po powrocie: „czy ten rząd już upadł? czy nie było manifestacji? co znowu podróżowało?”

Co tak właściwie dzieje się w telewizji? — pytam jednego z byłych szefów. Pytam podstępnie jak to uczynił wywiadowca Breitschneider w gospodzie pod Kielichem. Mój rozmówca nie daje mi jednak materiału i mam przemożne poczucie, że to nie on taki czujny, po prostu naprawdę nie ma nic do powiedzenia. Oprócz jednej oczywistości. Telewizja jest jak wspaniała wielka kość nasiąknięta szpikiem, więc jak tu się oprzeć, by jej nie chwycić. Wszystkie partie polityczne, Belweder, rząd, poszczególni ministrowie, „Solidarność”... i cała ta pozostała drobica, wszyscy chcą mieć wpływ na telewizję. Ustawa dotycząca telewizji, która dałaby szansę na wielogłosie nie przypadkiem więc nie może się narodzić. I pomyśleć, że wielogłosowej telewizji tak boją się ci, którzy wczoraj daliby się pokroić za śmierć cenzury i wolność słowa!

Telewizja ma swoją niezwykłą specyfikę. Jest wielka i pełna amatorów, którzy kiedyś uwierzyli, że są zawodowcami. Ilekroć mam jakiś krótki romans z ekipą telewizyjną, zastanawiam się dlaczego ci ludzie robią to na czym się kompletnie nie znają. Telewizja przerasta kolejnych szefów, bo jest wielką bryłą ukształtowaną w minionej epoce, a pod wpływem ciśnienia wolności ta bryła odkształciła się przybierając groteskowy kształt. Żaden z nowych szefów nie znał się na telewizji, chociaż poprzedni szef z pewnością bardziej niż nowy. A ktokolwiek zacznie myśleć czym ma ta telewizja właśnie być, zanim się obejrzy szarpany jest za nogawki a potem za włosy przez wszystkich.

Jakiś czas temu wjechałem windą na 9 piętro, by spotkać się

z szefem telewizji i z jego zastępcą. Chociaż ich gabinety są daleko od siebie, oni zawsze byli razem w jednym, w wszelki wypadek. Zastałem dwóch ludzi zagnanych na to wysokie piętro przez okoliczności. Siedzieli w kłębach papierosowego dymu, bardzo skacowani, zerkając nerwowo przez moją głowę na ekran otwartego telewizora, jak się zerka na własne nieszczęście. — Ale żeśmy wdepnęli — powiedzieli niemal chórem.

W pewnym nobliwym budynku warszawskim na czwartym piętrze z kolei studio gotowe do emisji prywatnego programu. Zamierzają ruszyć jeszcze w czerwcu, wbrew prawu, i czekać na skandal. To jednak są wspaniałe czasy, kiedy tak bujne marzenia można podsuwać pod samą granicę rzeczywistości. Patrząc na tych ludzi zakrzętanym wokół swojej wizji, nie mogłem zgadnąć czy oni cierpią na wysoką gorączkę, czy raczej emitują zdrowie.

Osobliwa jest w kraju ta konsternacja finansowa. Wielka ssawka wysysa pieniądze. Narzekają na ich brak wszyscy, ale w moim środowisku to nie groźba ubóstwa, a tylko nieznacznego obniżenia standardu życia przy nieco zwiększonym wysiłku. Nie jest to jakiś horror, ale płacz wielki i wielkie lamentowanie.

Stopień zaabsorbowania pieniędzmi da się wytłumaczyć faktem, że sytuacja jest naprawdę nowa i trudna. Dlatego, jeśli uda się uniknąć przy spotkaniu polityki, mówi się o pieniądzach. Kilku znajomych niby mimochodem pytało się czy nie mam ochoty w to lub owo zainwestować? Brak pieniędzy zmusza czasami do działań dramatycznych i symbolicznych. Znam pewną wdowę, które próbowała sprzedać order Budowniczego Polski Ludowej odziedziczony po mężu, ale nic z tego, gdyż było w nim za mało złota. Natomiast żartów nie ma w państwowych urzędach. Dyrektor departamentu nie zarabia zwykle 3 milionów, podczas gdy sekretarka w prywatnej firmie 10. Nic dziwnego, że administracja jest wypłukiwana z fachowców. A właściciel dobrej administracji Polska potrzebuje dzisiaj najbardziej.

Pieniądże robi się u nas w najrozmaitsze sposoby, ale z pewnością nie zwykłą rzetelną pracą w zwykłym rzetelnym zakładzie, tam nie zgromadzi się sumy wystarczającej na zakup samochodu, gdy zakup mieszkania jest w ogóle już poza wyobraźnią.

Ludzie, których spotykam po latach... po pierwszym powitaniu zawieszamy głowy nad czasem, który minął i zwykle wymie-

niamy takie oto słowa... „jest okropnie, kto się spodziewał, że do tego dojdzie, no ale kiedyś... będzie dobrze”.

Jak z dawnych czasów obwążuje się dzisiaj człowieka; z kim przestaje, gdzie należy i gdzie pisze: „Porządny człowiek, a pisze w *Nowym Świecie*” – czyli coś musi być z nim nie tak. Tamta jest zwolenniczką Wałęsy, „a taka wydawała się rozsądna”. Ten niezły chłop, „ale czemu na Boga sprzedał się *Gazecie Wyborczej*?” A X? Robi pieniądze, to obrzydliwe, kiedy kraj w takiej potrzebie. Y? Został ministrem! To przerażające, mógłby być najwyższym księgowym w gminie.

W jednym z urzędów wchodzę do pokoju gdzie winien siedzieć mój znajomy, i owszem siedzi, ale inny. Oczom nie wierzę! Toż to G., kumpel ze szkoły podstawowej. Pamiętam smak jego włosów w moich ustach i zapach potu, gdy turlaliśmy się po szkolnym korytarzu. Aż mi dreszcz metafizyczny podreptał po plecach. Kiedyś nieco żartem pisałem, że wszystkie nominacje są z mojego notesu ostatnich lat, a gdy ten notes się skończy, wyfruują na stanowiska koledzy z notesu młodzieńczo-dziecięcego. Więc po raz któryś z kolei czuję, że „wypełniło się”. Od G. dowiaduję się, że nie wygryzł X. gdyż ten powędrował po prostu dużo wyżej. Idę więc o wiele wyżej. X. jeszcze nie zakorzeniony w swoim gabinecie, trzyma się na wszelki wypadek poręczony fotela. Gaworzymy sobie, a ja się skarżę już trochę rutynowo, że wszystko się rozpada, a w miejscu gdzie jesteśmy, dostrzegam jeszcze nie ruinę, ale rozłazenie się. Jakby poszczególne członki urzędu już coraz mniej o sobie wiedziały i wiedzieć chciały. „Nie wie już prawica co robi lewica” – wzdyham. Kiedy to powiedziałem coś zabłysło w jego oku, mówi: „Studiując niedawno Biblię odkryłem, że to Ewangelia jest u źródła tej frazy, ale w pierwotnym biblijnym brzmieniu to znaczy coś przeciwnego niż w potocznym. – Kiedy dajesz jałmużnę niech nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni. – Ewangelia wg Mateusza, czyli – ciągnie znajomy – powinno się tego właściwie używać w pozytywnym sensie. Ale rozumiem, co chciałeś powiedzieć, i obawiam się, że masz rację”.

Popatrzyłem na ściany gabinetu, ileż służalczych rozmów one wchłonęły, ileż karier partyjnych kacyków kołysało tam swoje ukłony, ale dają głowę, że żaden z duchów przeszłości nie wysnułby takiej refleksji jak X. Tylko czy w tej refleksyjności jest nasza siła, czy nie drzemie tam pewna słabość?

Wiem, czytelnicy są już zapewne przejeżdżeni tymi znajomymi na stanowiskach – chwali się, narzeka i nudzi. Co poradzę,

kiedy to prawda i ja czuję się tą prawdą przygnieciony, bo z niej wynika, że to nie tylko okoliczności załatwiają Polskę, a również niewielka grupka osób. Jest jeszcze gorzej... bo nie wierzę, że istnieją jakieś gotowe zasoby kompetencji, z których można skorzystać. Więc nieuchronny był mechanizm notesowy. Natomiast fatalne jest, że upływ czasu nie uruchomił innego mechanizmu, który poszerzyłby bazę naboru i dał szansę na kształcenie przyszłej administracji. Roztrzaskujemy stare struktury, które w dużej mierze zasłużyły na wyrwanie z korzeniami, ale nowi ludzie rzadko są spoiwem, które zlepią coraz szersze pęknięcia. Część nie nadaje się, a czas i stress tylko pogłębiają ich nerwicę, część się uczy, ale czy zdążą? Chorobą jednak główną jest brak koncepcji reformy administracji, a szerzej, wizji państwa jakie chcemy zbudować.

Już postanowiłem dać spokój z wątkiem kadrowym, ale nie daje się. Bo oto zdychający rząd próbuje się wesprzeć KPNem a KPN stawia warunki. Moczulski ma być ministrem obrony narodowej, bardzo przyjemnie, Ostoja Owsiany sprawiedliwości (nie mogę się oprzeć wrażeniu, że za tym nazwiskiem stoi równie osobliwa postać), zaś ministrem łączności ma być Adaś S. Szkoda, że już mam telefon, zmartwiłem się. Ale, ale, co Adaś na Boga czyni w KPN, a co w łączności? Przepraszam, zapomniałem, że w dzieciństwie połączył nasze mieszkania linią telefoniczną, początkowo waliło się w kaloryfer, ale z czasem został zamontowany prawdziwy brzęczyk. Wtedy bym się nie wahał, że on powinien być tym ministrem, szczególnie że sam zamierzałem wówczas zostać prezydentem, no ewentualnie sportowcem. Adam natomiast marzył aby zostać kanalarzem, było to czyste i głębokie marzenie. Niestety jesteśmy już zupełnie dorośli, chociaż tacy jeszcze dziecinni. Bardzo go lubię, więc jak ja mogę chcieć, by został tym ministrem. Doprawdy szalony kraj, gdzie już wszystko jest możliwe. Ja zostanę arcybiskupem, Ostoja Owsiany, kiedy już znudzi mu się być Wielkim Sprawiedliwym, zostanie Miss Polski, a czołowym polskim chirurgiem będzie jakiś obywatel po amputacji obu rąk. To wszystko chyba jednak musi się źle skończyć.

Wszyscy nosimy oblicza, które w rzeczywistości są pół maskami ukrywającymi prawdziwe twarze. Jak na maski za mało ukrywają, na twarze są zbyt dalekie od prawdy. Jako że padam czasami ofiarą różnych przyjęć, które łączą jedno, są przeraźliwie jałowe i nieprawdziwe, to znaczy nikt nie jest sobą, gorzej że

większość uczestników już nie wie kim jest naprawdę, więc by nam oszaleć nauczyłem się łapać spadające w okamgnieniu półmaski. Trzeba mieć refleks jak przy łowieniu spadających gwiazd i tu też czasami nie jest się do końca pewnym – spada czy nie? I zwykle odkrywa się przerażająco smutne twarze ukryte za uśmiechem, bezgraniczne zdumienie za półmaską zainteresowania. I oto w Wiadomościach ujrzałem premiera Olszewskiego, gdy przybył do Belwederu. Powitał go Prezydent z polajanką, że tak zwlekano ze zwolnieniem ministra Parysa. Szli obaj wprost w pyski kamery i nagle premierowi spadła półmaska i zaraz wskoczyła na swoje miejsce, jakby była na elastycznych gumkach zaczepionych na brwiach, a pod nią twarz bezgranicznego znużenia, poniżenia i niechęci.

Pocziwe kłamstwo Okrągłego Stołu z upływem czasu coraz wyraźniej traci swoją pocziwość. Nie była to zdrada, jak lubią mówić niektórzy, ani narodowe nieszczęście. Kłamano w dobrej wierze i nie jakoś okropnie, tylko trochę. Ograniczenie liczby osób zasłużonych dla spraw wolności, którym wtedy rozdano karty przy stole, też wydaje się mniej więcej zrozumiałe. Nie przewidziano, że ci którzy czuli, że zasługują a nie byli dopuszczeni, zostaną skaleczeni na całe życie. Ograniczono miejsca przy stole, aby był większy porządek, by wyeliminować tych co nie potrafią się zachować w salonie i rękawem ocierają wilgotne od narodowego sosu usta. Teraz oni sami wywalczyli sobie miejsca przy stole władzy, ale nadal są purpurowi ze złości za dawną zniewagę. To skaleczenie jest ciągle otwartą raną naszej współczesnej polityki.

Ale to nie wszystko; społeczeństwu nie powiedziano, że to nie będzie szybkie wycięcie wyrostka robaczkowego, lecz trepanacja czaszki, a potem operacja żołądka, a potem kto wie, może nawet serca. Że trwać to będzie nie miesiące, jak zapowiadano, a dziesiątki lat. Prowincji jakby mimochodem zapomniano powiedzieć, że dla naszego rolnictwa byłoby najlepiej gdyby większość chłopów wyparowała razem ze swoimi karłowatymi gospodarstwami, bo powinno u nas pracować na roli kilka procent społeczeństwa a grzebie w ziemi powyżej 30 %. Nie było i nie jest łatwo wysłować tę prawdę, bo kto wie czy chłopci nie ruszyliby wtedy do miasta, a wtedy trzeba by dla dobra kraju trochę do nich postrzelać.

I jak tu się przyznać, że imaginacja opozycji przeceniła siły zdychającego sowsocjalizmu i niezwykle łaskawie potraktowano

jeśli nie morderców, to z pewnością zbrodniarzy kłamstwa i przestępców ekonomicznych. I oni mieli czas, by spokojnie palić dokumenty i zacierać ślady swoich przestępstw. A dzisiaj czują się coraz lepiej, z wyrozumiałym współczuciem obserwują jak rzucamy się sobie nawzajem do gardeł, publikują książki gdzie wspominają dawne trudne czasy, za te książki dostają spore pieniądze, chociaż i tak powodzi im się znakomicie, bo przecież nikt nie tknął zagrabionych przez nich legalnie dóbr. Niektórzy szczęśliwcy doświadczyli nawet niezwyklej przygody, bo oto weszli im niespodziewanie do łóżka dawni śmiertelni wrogowie, dzisiaj triumfujący i łaskawi i ogromnie ciekawi figur jakich jeszcze nigdy nie przerabiali. I chorzy na przekonanie, że po takich zasługach i po takim zwycięstwie to oni teraz wyznaczają prawa moralne, że w imieniu społeczeństwa i narodu mają prawo wybaczać dawnym oprawcom, a motłoch niech się gapi i uczy.

Można by tak wyliczyć różne błędy i niemożności... widać je po latach coraz wyraźniej, ale wtedy tak ostre widzenie przekraczało siły umysłowe i fizyczne naszej politycznej elity, która była i jest raczej... elitą.

Mamy oto nowy dreszczowiec. Sejm w wielkim gwałcie uchwalili, że Wielki Urząd ma ujawnić osoby, które w latach 1945–1990 współpracowały z UB i SB. Ujawnianie judaszów ma być czynione etapami, najpierw ujawni się ich wśród urzędników państwowych od wojewody wzwyż, następnie schodzimy w dół po czyszcowej drabinie poprzez sędziów do członków zarządu gmin. Bagatelka, pewnie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Posiedzenie parlamentu było niezwykle burzliwe, znajomy, który znalazł się w oku cyklonu, twierdzi, że gdyby nie był łysawy to z pewnością by wyłysiał. Zaś poseł Małachowski tak o tym zdarzeniu pisał pod tytułem „Kierunek totalizm”; *Kiedy opadła wrzawa, jakże boleśnie przypominająca najgorsze czasy rozbuchanych sejmików szlacheckich kiedy dobro Rzeczypospolitej było wdeptywane w brud bezprawia, co tak się tragicznie skończyło dla naszej ojczyzny...* Oj zawstydz mnie Pan, panie pośle, lamentuje pan już głośniej ode mnie. I doprawdy coraz bliżej Małachowskiemu do Reytana.

Wspomnienia, wspomnienia... Wysiadam z pociągu na bydgoskim dworcu, jest kwiecień 1981 roku. Dworzec oblepiony plakatami „Nigdy więcej nie chcemy wołać 'kobiety do środka'”. Ten czas jeszcze gorący po ataku milicji na obradujących w budynku WRN. Niedawny strajk generalny zamienił fabryki

w twierdze. Ten orzech był wtedy nie do zgryzienia dla władzy, ale my nie wiedzieliśmy, że tracimy siłę, która będzie potrzebna w grudniu. Mijam gmach gdzie obradują strajkujący chłopci, uderza mnie jędrność i trafność tej chłopskiej mowy, która płynie na plac przez megafony.

Sala w bydgoskim MKZecie wypełniona po brzegi przedstawicielami fabryk i urzędów z całego województwa. Kiedy wpuszczono mnie bez żadnej kontroli, myślałem, jak blisko u nas od wielkiej ufności do wielkiej podejrzliwości. Gorąca dyskusja, czy należy odwołać w regionie pogotowie strajkowe. Jako pierwsi oglądamy wykradzony z telewizji film kręcony podczas najścia WRNu przez milicję. Porusza mnie ten obraz, ale nie potrafię nie dostrzec w nim skrawków groteski – patetycznie przemawiający Rulewski i naprzeciw sztywny jak manekin oficer MO. Obaj prości i wyraźni jak postacie z szopki. Nagle na salę, gdzie odbywa się ta przejmująca projekcja, wchodzi jakiś mężczyzna z teczuszką, wygląda na osobnika, który szedł mimo i nagle ujrzał, że dają coś ciekawego w telewizji.

– A pan to kim jesteś! – krzyknął niespodziewanie ktoś z sali.

– Ja tu przypadkiem – wystękał spłoszony jegomość i mocniej przycisnął teczkę do brzucha.

– Dowód osobisty!

– Ja, dowód, a to dlaczego...?

No i zaczęło się, Ubek, ubek! – zaryczała jednym głosem sala. Wzięto człowieka pod ramiona i won z sali. W tym czasie na ekranie milicjanci bili pałkami starego rolnika Bartoszcze.

Oj poczułem wtedy jakieś ukłucie w sercu. Jakby szepł, który się wwiercał w ten delikatny mięsień – „blisko ofiarom do oprawców”.

Nieco później, gdy nasz świat stanął na głowie, w miejscu starannie zamkniętym gdzie prawdziwą rozrywką było obserwowanie przez okratowane okna gawronów, jeden z bohaterów bydgoskiego dramatu szeptał mi na uszko, „tak naprawdę to Rulewskiego słabo pobito, potem tylko do fotografii wyjął sztuczną szczękę, a ten budynek WRN wbrew późniejszym zapewnieniom jednak chciano okupować...” i znowu mnie zakłuło. Nie mówmy więc, że nie było od początku znaków, ale wtedy zdawały się tylko skrzypieniem gałęzi w czasie nawałnicy.

Czym dzisiaj jest „wielkie ujawnianie”, na ile jest pracą moralną, na ile grą polityczną, a może to ostatnia deska ratunku tonącego rządu? A myślałem, że premier Olszewski potrafi pójść

godnie na dno. Doprawdy nie mogłem uwierzyć, że aż tak uwierzył, że konkurenci chcą zguby kraju, więc on musi... do końca...

A najgorsze, że ta sprawa ujawniania nie jest wcale jednoznaczna i prosta, uprościł ją sposób i forma wcielania jej w życie. Nieujawnianie agentów jest rzeczą fatalną, ale ujawnianie tak po czasie, niechlujnie, bez możliwości obrony, weryfikacji, tak szeroko, w ogniu wielkich konfliktów, to nie tylko wielkie trzęsienie sumień, otwieranie zabliznionych ran ale ile samobójstw, ileż śmierci za życia. I ta wielka gorycz zemsty, bo zemsta jest zawsze gorzka. Czy udźwigniemy tyle goryczy? Ale we mnie też siedzi diablik, który zaciera kosmate rączki – kto, kto, kto? A może ja?! Dreszcz nagłego przerażenia, a jak dawni prześladowcy sfabrykowali złościwie? O, nikt już nie będzie spał spokojnie. Jak długo komunizm będzie mścił się z za grobu? I przecież już od dawna trwa wyciekanie „pewnych nazwisk” spod dłoni kolejnych ministrów, cieką od samego początku powtarzane w wielkiej dyskrecji od ucha do ucha.

– A minister Skubiszewski jest (...) wrzasnął nagle Krzysztof Wyszowski, biedak nie wytrzymał. Czy ma jakieś dowody? Po co dowody, skoro ma pewność. A więc już się zaczęło. Będzie pomieszanie prawdziwego czyścica z magłem. Jaka pokraka z tego się narodzi, strach myśleć.

Ledwie napisałem, a już się rodzi, ja niestety tekst już wkładam w pysk maszyny telefaksu, ale kątem oka jeszcze widzę ten poród. Posłowie dostają teczki z nazwiskami agentów, na razie nikt nie popełnia samobójstwa. Moczulski krzyczy, że jest na liście, ale to oszczerstwo (aż się tu prosi przysłowie – kto mieczem wojuje...). Kto następny?... niestety maszyna już ciągnie za nogi czternastą stronę... słyszę tylko krzyk prezydenta – teczki są sfingowane. (Czyżby tam był ktoś mu bliski? Nagła słodycz podejrzeń... kusi dzwonić do znajomych, pytać, obrzydzenie własną słabością.) I krzyczy – rząd do dymisji! I padł. „Wolnym niepodległym państwem nie mogą rządzić ludzie zniewoleni własną przeszłością” – mówi upadły Premier. Na Boga, kogo miał na myśli?... Przykładam ucho do słuchawki telefonicznej i już jest Plotka i rośnie, że... strach pisać. I słyszę rozedrgany głos Kuroń... „posłowie Unii nie otworzą tych teczek na znak protestu... to gra polityczna, która zmierza do rozbicia państwa...”

Lecąc samolotem nad Polską, jeszcze niie rozbitą, a tylko zalaną słońcem, ujrzałem nagle w dole półwysep i zatokę jak na wielkiej mapie. A więc dawne mapy jednak nie kłamały. Tak

wygląda helski półwysep z lotu stalowego ptaka. Tyle miesięcy tam spędziłem w dzieciństwie patrząc z falujących złotem plaż czy nie dostrzegę tamtego brzegu, i czegoś co wydawało się, że ma kształt wolności. Ale wystarczyło wtedy obejrzeć się przez ramię by ujrzeć stalowe wieże rozsiane co kilkaset metrów, gdzie nieustannie obracały się czułki radarów, a ludzie w mundurach gapili się to w morze, to na kobiece plecy i ich okolice, które dzisiaj są o co najmniej 30 lat starsze. To straszne!

Patrzę teraz z tej wielkiej wysokości... tam gdzie jest najwęższa talia muszą być Chałupy, dalej Kuźnice... wszystko jak na dłoni, widać lśniące pasmo szosy i biel plaż. Zapach smażonych ryb, wodorostów, sieci rozwieszonych na wietrze, jej włosów. I krzyk radości mojego małego synka, gdy po raz pierwszy polizała go fala. I nagle ogarnia mnie jakieś wielkie wzruszenie i czułość, gdy patrzę w dół w stronę tego ojczystego wyrostka.

Kultura nr 538/539, lipiec/sierpień 1992

SMECZ – Z UKOSA